

# Rok 1984







Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Dziękujemy Adamowi Szopie, księgarni biznesowej Księgi Barneja, Kamilowi Jończy, Robertowi Hajdukowi, Bartłomiejowi Daczyńskiemu oraz anonimowemu darczyńcy za sfinansowanie wydania tej książki.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

GEORGE ORWELL

## Rok 1984

TŁUM. JULIA FIEDORCZUK

### OD TŁUMACZKI

Różne bywają powody, dla których dokonuje się ponownego przekładu dzieła literackiego już obecnego w danym języku. Najczęściej tłumacz lub tłumaczka czują, iż istniejący przekład jest niedobry albo przestarzały i jako taki wymaga korekty. Czasem jednak chodzi o pokusę samodzielnego zmierzenia się z jakimś ważnym tekstem i przedstawienia własnej — niekoniecznie doskonalszej — interpretacji. Podjęłam się tłumaczenia *Roku 1984* z tego drugiego powodu, znajdując dodatkową motywację w fakcie, iż wykonuję tę pracę dla „Wolnych Lektur”, których działania na rzecz popularyzacji i zwiększania dostępności literatury są mi bardzo bliskie. Moje punkty odniesienia to dwa klasyczne spolszczenia powieści Orwella: wersja Juliusza Mieroszewskiego z 1979 roku i o blisko dekadę późniejszy przekład Tomasza Mirkowicza, którym zaczytywałam się jako licealistka. Nie było moją ambicją poprawianie wybitnej pracy translatorskiej Mirkowicza, ani odróżnianie się na siłę tam, gdzie jego (lub wcześniejsze) rozwiązania zdążyły przeniknąć do potocznej polszczyzny. Określenia takie jak „Wielki Brat”, „nowomowa” czy „dwójmyślenie” należą dziś do popkultury i nie widziałam żadnego powodu, żeby wprowadzać nowe. Czytelnicy i czytelniczki z łatwością zauważą miejsca, gdzie pojawiają się pewne innowacje, mam nadzieję, że zostaną zaakceptowane, podobnie jak nieco nowocześniejszy i surowszy język całości.

*Julia Fiedorczuk*

# CZEŚĆ I

## I

Był jasny, zimny kwietniowy dzień, zegary wybijały trzynastą. Winston Smith, przyciskając brodę do piersi dla osłony przed zacinającym wiatrem, wślizgnął się najszybciej, jak potrafił, przez szklane drzwi Rezydencji Zwycięstwa; wirujący w podmuchach wiatru ziarnisty pył mimo wszystko dostał się do środka.

W holu cuchnęło gotowaną kapustą i starymi, szmacianymi wycieraczkami. Na jego końcu wisiał kolorowy plakat, zbyt duży do eksponowania w pomieszczeniu. Przedstawiał tylko ogromną twarz, szeroką na więcej niż metr: twarz mężczyzny w wieku około czterdziestu pięciu lat, z bujnymi, czarnymi wąsami, o ostrych, interesujących rysach. Winston skierował się w stronę schodów. Nie było sensu sprawdzać, czy winda działa. I w najlepszych czasach rzadko była sprawna, obecnie zaś w ciągu dnia przerywano dostawę prądu — to jedna z form oszczędności, związanych z przygotowaniem do Tygodnia Nienawiści. Mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze. Winston miał już trzydzieści dziewięć lat, w dodatku dokuczало mu owrzodzenie żyłne nad prawą kostką, toteż wspinał się powoli i co jakiś czas przystawał, żeby odpocząć. Na każdym piętrze naprzeciwko szybu windy spoglądała z plakatu ogromna twarz. Wizerunek był tak sprytnie pomyślany, że oczy zdawały się śledzić każdy ruch przechodzącej osoby. Napis u dołu głosił: „WIELKI BRAT WIDZI”.

W mieszkaniu dźwięczny głos odczytywał ciągi liczb, które miały jakiś związek z produkcją surówki. Głos ów wydobywał się z podłużnego, metalowego panelu, przypominającego mętne lustro, wmontowanego w ścianę po prawej. Winston przekręcił gałkę i głos ucichł nieco, lecz nadal można było rozróżnić słowa. Urządzenie (mówiono na nie „teleekran”) dawało się ściszyć, ale nie wyłączyć. Winston podszedł do okna. Był niewysoki i szczupły; niebieski kombinezon, uniform członków Partii, dodatkowo podkreślał mizerność jego ciała. Mężczyzna miał bardzo jasne włosy, a twarz naturalnie rumianą — o skórze zgrubiałej od szarego mydła, tępych żyłek i zimy, która właśnie dobiegła końca.

Świat na zewnątrz sprawiał wrażenie zimnego nawet przez szybę zamkniętego okna. W dole, na ulicy, wiatr porwał do spiralnego tańca kurz i strzępy gazet. I chociaż świeciło słońce, a niebo było intensywnie niebieskie, rzeczywistość wydawała się bezbarwna — poza porozlepianymi wszędzie plakatami. Twarz o czarnych wąsach spoglądała z każdego bardziej wyeksponowanego miejsca. Jedna wisiała na froncie budynku dokładnie naprzeciwko okna. „WIELKI BRAT WIDZI”, głosił napis, podczas gdy ciemne oczy zaglądały głęboko w oczy Winstona. Niżej, na poziomie ulicy, kolejna; ten plakat miał naderwany róg, papier gwałtownie trzepotał na wietrze, to odsłaniając, to zasłaniając pojedyncze słowo: ANGSOС. Hen, w oddali helikopter zapikował między dachy budynków, zawisnął na moment jak trzmiel, po czym uniósł się zakrzywionym lotem. Był to zaglądający ludziom do okien patrol policyjny. Ale te patrole nie miały wielkiego znaczenia. Liczyła się tylko myśl policja.

Za plecami Winstona głos z teleekranu nadal plótł coś o surówce i o tym, że wykonano, z nawiązką, dziewiąty Plan Trzyletni. Teleekran jednocześnie transmitował i odbierał dane. Rejestrował każdy wydany przez Winstona dźwięk, głośniejszy od najcichszego szeptu; co więcej, dopóki Winston przebywał w polu widzenia panelu, mógł być także obserwowany. Nikt oczywiście nie miał pewności, czy w danym momencie podlega obserwacji. Można było jedynie zgadywać, jak często i według jakiej logiki myśl policja uruchamiała konkretny kanał przesyłu. Nie dało się wykluczyć, że obserwowali wszystkich przez cały czas. W każdym razie mogli podłączyć się do dowolnego kanału, kiedy tylko chcieli. Trzeba było żyć — i ludzie tak żyli, z przyzwyczajenia, które przeradzało się w instynkt — zakładając, że każdy dźwięk jest podsłuchiwany, a każdy ruch podglądany, z wyjątkiem chwil, gdy w pomieszczeniu jest ciemno.

Winston stał tyłem do teleekranu. Tak było bezpieczniej; chociaż, jak dobrze wiedział, z ludzkich pleców też można dużo wyczytać. Kilometr dalej nad brudnym pejzażem górował ogromny, biały gmach Ministerstwa Prawdy — jego miejsca pracy. I to jest Londyn — pomyślał z mglistym obrzydzeniem — główne miasto Pierwszego Pasa

Powietrznego, trzeciej najgęściej zaludnionej prowincji Oceanii. Usiłował wydobyć z pamięci jakieś wspomnienie z dzieciństwa, które pozwoliłoby ustalić, czy Londyn zawsze tak wyglądał. Rzędy rozsypujących się dziewiętnastowiecznych czynszówek, podpartych po bokach belkami, z oknami pozatykanymi tekturą i dachami połatanymi blachą falistą — czy zawsze tu były? Albo te kuriozalne, walące się ogrodowe murki? Albo leje po bombach, z tańczącymi na wietrze okruchami tynku, sterty gruzu, poprzerastane pędami wierzbowicy<sup>1</sup>, czy tereny doszczętnie zrównane z ziemią przez bomby, gdzie natychmiast wyrastały kolonie obskurnych, drewnianych chałup, przypominających kurniki? Nic to jednak nie dało, Winston nie pamiętał; z dzieciństwa pozostała mu tylko seria prześwietlonych obrazów, bez żadnego tła i przeważnie niezrozumiałych.

Ministerstwo Prawdy — w nowomowie<sup>2</sup> „Minipra” — zdecydowanie wyróżniało się na tle innych widocznych budynków. Ogromne gmaszysko w kształcie piramidy, pobudowane z lśniącego, białego betonu, wznosiło się tarasowo na wysokość trzystu metrów. Ze swojego okna Winston widział wyraźnie, wypisane eleganckimi literami na białej fasadzie, trzy slogany Partii:

WOJNA TO POKÓJ  
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA  
IGNORANCJA TO SIŁA

Mówiono, że nadziemna część Ministerstwa Prawdy składa się z trzech tysięcy pomieszczeń; ponoć tyle samo ma ich część podziemna. W różnych miejscach Londynu znajdowały się jeszcze trzy inne budynki o podobnym wyglądzie i rozmiarach. Do tego stopnia górowały nad otaczającą je architekturą, że z dachu Rezydencji Zwycięstwa widziało się wszystkie cztery jednocześnie. Mieściły cztery ministerstwa, wchodzące w skład aparatu rządowego: Ministerstwo Prawdy, odpowiedzialne za wiadomości, rozrywkę, edukację i sztukę; Ministerstwo Pokoju, zajmujące się wojną; Ministerstwo Miłości, pilnujące prawa i porządku; oraz Ministerstwo Dobrobytu, skoncentrowane na ekonomii. Ich nazwy w nowomowie brzmiały: „Minipra”, „Minipo”, „Minimilo”, „Minidobro”.

Najbardziej przerażało Ministerstwo Miłości. Gmach ten w ogóle nie miał okien. Winston nigdy nie był w środku ani nawet nie zbliżył się do Ministerstwa Miłości bliżej niż na pół kilometra. Na teren ministerstwa wpuszczano tylko w sprawach oficjalnych, a i wtedy trzeba było przedzierać się przez labirynt zasieków z drutu kolczastego, stalowych drzwi i ukrytych stanowisk karabinów maszynowych. Dodatkowo okoliczne ulice patrolowali strażnicy o twarzach goryli, ubrani w czarne uniformy i uzbrojeni w pałki teleskopowe.

Winston obrócił się gwałtownie. Wcześniej postarał się nadać swojej twarzy wyraz łagodnego optymizmu, zalecany, kiedy stało się przodem do teleekranu. Przemierzył pokój i wszedł do maleńkiej kuchni. Żeby wrócić do domu w porze obiadu, musiał poświęcić posiłek w stolówce, tymczasem w lodówce miał tylko kawałek ciemnego chleba, który należało zachować na śniadanie. Zdjął z półki butelkę bezbarwnej cieczy z prostą, białą etykietą, na której widniała nazwa: „*Gin Zwycięstwa*”. Z butelki wydobywał się mdlący, oleisty zapach; przypominał chiński alkohol ryżowy. Winston nalał sobie prawie pełną filiżankę, przygotował się na szok i przełknął płyn na raz, jak dawkę lekarstwa.

Twarz mu spurpurowiała, z oczu popłynęły łzy. To coś smakowało jak kwas azotowy<sup>3</sup>, w dodatku po każdym hańsieniu człowiek miał wrażenie, że obrywa pałką w tył głowy. Ale w następnej chwili palenie w żołądku osłabło, a świat wydał się Winstonowi trochę weselszy. Wydobył papierosa z pomiętego pudełka z napisem „*Papierosy Zwycięstwa*” i nieopatrznie uniosł go pionowo, w wyniku czego tytoń wysypał się na podłogę. Z następnym poszło mu lepiej. Wrócił do pokoju i usiadł przy małym stole, znajdującym się

Alkohol

<sup>1</sup>wierzbownica — drobnokwiatowa roślina wieloletnia z rodziny wiesiołkowatych.. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>nowomowa — oficjalny język Oceanii. Opis struktury i etymologii tego języka znajduje się w Aneksie. [przypis autorski]

<sup>3</sup>kwas azotowy — nieorganiczny związek chemiczny, jeden z najsilniejszych kwasów tlenowych. [przypis edytorski]

po lewej stronie teleekranu. Z szuflady biurka wydobyl obsadkę, buteleczkę atramentu i gruby, czysty zeszyt formatu A4, z czerwonym grzbietem i marmurkową okładką.

Z jakiegoś powodu umiejscowienie teleekranu w pokoju było nietypowe. Gdyby zamontowano go, jak to zwykle robiono, w ścianie w głębi pomieszczenia, miałby widok na całe wnętrze. Tymczasem teleekran tkwił na dłuższej ścianie, naprzeciwko okna. Z jednej strony znajdowała się płytka wnęka i właśnie tam Winston teraz siedział; kiedy projektowano te mieszkania, zapewne w tym miejscu przewidziano regał na książki. Wciskając się do wnęki, Winston był w stanie usunąć się z pola widzenia teleekranu. Mogli go oczywiście podsłuchać; o ile jednak tkwił w obecnej pozycji, nie było go widać. Częściowo właśnie przez ten nietypowy rozkład pokoju wpadł na pomysł, który miał teraz zrealizować.

Częściowo zaś stało się to przez wyjątkowo piękny zeszyt. Przed chwilą wyjął go z szuflady. Takiego gładkiego, kremowego papieru nie produkowano od co najmniej czterdziestu lat. Winston domyślał się jednak, że zeszyt pochodził z jeszcze dawniejszych czasów — poźółł już nieco ze starości. Zauważył go w oknie obskurnego sklepiku ze starzyzną w jednej z biedniejszych części miasta (nie mógł sobie teraz przypomnieć, w której dzielnicy) i natychmiast poczuł obezwładniające pragnienie, żeby go mieć. Członkom Partii w zasadzie nie wolno było wchodzić do zwykłych sklepów (czyli „handlować na wolnym rynku”), ale nie przestrzegano tej reguły bezwzględnie, bo niektórych rzeczy, jak choćby sznurówek czy żyłek, nie dało się dostać w żaden inny sposób. Rozejrzał się szybko po ulicy, następnie wślizgnął się do sklepiku i kupił notes za dwa dolary i pięćdziesiąt centów, bez żadnego konkretnego zamiaru. Niosąc go do domu w teczce z dokumentami, odczuwał wyrzuty sumienia. Samo posiadanie takiego notesu, nawet zupełnie czystego, mogło być kompromitujące.

Teraz zdecydował, że zacznie prowadzić dziennik. Nie było to zakazane (nic nie było zakazane, wszelkie prawa dawno już zniesiono), nie miał jednak wątpliwości, że w razie przyłapania dostanie karę śmierci (albo co najmniej dwadzieścia pięć lat kolonii karnej). Winston umocował stalówkę w oprawce i posłał przez chwilę, żeby ją oczyścić. Pióro było archaicznym przyborem, rzadko używanym nawet do składania podpisów; zdobył je sekretnie po prostu dlatego, że czuł, iż piękny, kremowy papier zasługuje na coś lepszego, niż żeby skrobać po nim kopiowym ołówkiem. Prawdę powiedziawszy, Winston nie miał wprawdy w ręcznym pisaniu. Wszelkie teksty, poza najkrótszymi notatkami, dyktował do glosopisu; oczywiście teraz to nie wchodziło w grę. Zanurzył stalówkę w atramencie i zaważał się przez chwilę. Zadrżał. Zostawiając ślad na papierze, podejmował nieodwracalną decyzję. Małymi, niezgrabnymi literami napisał:

*4 kwietnia, 1984.*

Opadł na oparcie krzesła. Ogarnęło go poczucie całkowitej niemocy. Po pierwsze, nie był pewien, czy rzeczywiście jest rok 1984. Musiał być mniej więcej ten rok, bo był raczej pewien, że ma 39 lat, a wiedział, iż urodził się w 1944 lub 1945; jednak w tych czasach datę dawało się ustalić tylko w przybliżeniu do roku czy dwóch.

Nagle ogarnęła go wątpliwość: dla kogo pisze ten dziennik? Dla przyszłości, dla tych, którzy się jeszcze nie urodzili. Jego umysł krążył przez chwilę wokół niepewnej daty, aż wyłoniło się używane często w nowomowie słowo: *dwójmyślenie*. Dopiero teraz do Winstona dotarła waga tego, co przedsięwziął. Jak można porozumieć się z przyszłością? Było to z natury rzeczy niemożliwe. Jeśli przyszłość będzie przypominała terażniejszość, nikt go nie usłyszy, jeśli zaś będzie inna, jego położenie nie będzie miało dla niej żadnego znaczenia.

Siedział przez jakiś czas, tępo wpatrując się w papier. Teleekran przełączył się na ostrą, militarną muzykę. O dziwo, Winston czuł, że stracił umiejętność formułowania myśli, a wręcz zapomniał, co zamierzał wyrazić. Od tygodni szykował się na tę chwilę, ale nie przyszło mu do głowy, że będzie wymagała czegoś jeszcze prócz odwagi. Zakładał, że pisanie samo w sobie okaże się łatwe, wystarczy po prostu przelać na papier niekończący się, nerwowy potok słów, rozbrzmiewających w jego głowie od lat. Jednakże teraz wszystko ucichło. W dodatku wrzód na kostce zaczął niemiłosiernie śwędzieć. Winston bał się go podrapać, ponieważ za każdym razem kończyło się to infekcją. Mijały sekundy.

Nie był świadom niczego poza białą kartki przed oczami, swędzeniem skóry nad kostką, hałaśliwą muzyką i lekkim rauszem po ginie.

Nagle, owładnięty panicznym strachem, zaczął pisać, tylko niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, co wychodzi spod jego pióra. Drobne, dziecinne pismo zappełniało kartkę nierównymi, falującymi liniami, pomijając najpierw wielkie litery, a potem także kropki:

*4 kwietnia, 1984.*

Wczorajszy wieczór w kinie. Same filmy wojenne. Jeden świetny, o bombardowanym gdzieś na Morzu Śródziemnym<sup>4</sup> statku pełnym uchodźców. Publiczność bardzo ubawiona widokiem ogromnego mężczyzny próbującego uciec wplaw przed helikopterem. najpierw widzimy go chlapiącego się w wodzie jakby był żółwiem, następnie przez celownik helikoptera, wreszcie podziurawionego, podczas gdy morze wokół niego robi się czerwone on tonie tak szybko, jakby przez dziury w ciele wlewała się woda. kiedy tonie publiczność ryczy ze śmiechu. potem widać łódź ratunkową pełną dzieci a nad nią helikopter. kobieta w średnim wieku może żydówka siedzi na dziobie łodzi z mniej więcej trzyletnim chłopcem w ramionach. chłopiec krzyczy ze strachu i chowa głowę między jej piersiami jakby miał się w niej zagrzebać a kobieta otacza go ramionami i pociesza chociaż sama jest blada z przerażenia. cały czas okrywa go tak szczelnie jak tylko się da jakby miała nadzieję że jej ramiona mogą go ochronić przed kulami. wtedy helikopter spuszcza na nich bombę dwudziestokilową straszliwy blask i z łodzi zostają tylko drzazgi. potem wspaniałe ujęcie dziecięcego ramienia wzlatającego wyżej i wyżej i wyżej widocznie filmował to helikopter z kamerą z przodu i rozlega się gromki aplauz z partyjnych rzędów tymczasem jedna prołka robi hecę że nie powinni tego dawać nie przy dzieciach tak nie wolno nie wolno nie przy dzieciach aż policja ją aż ją policja wyrzuciła nie sądzę żeby coś jej zrobili kogo obchodzą prole to typowa prolska reakcja oni nigdy...

Winston przerwał pisanie, bo złapał go skurcz. Nie miał pojęcia, co skłoniło go do wylania z siebie tego potoku bzdur. Ciekawe jest jednak to, że kiedy pisał, zupełnie inne wspomnienie wyklarowało się w jego świadomości, tak wyraźnie, jakby zostało już gdzieś zanotowane. Zdał sobie teraz sprawę, że to właśnie owo zdarzenie wpłynęło na jego decyzję, żeby szybciej wrócić do domu i zabrać się do pisania.

Miało ono miejsce tego ranka w ministerstwie — jeśli o zdarzeniu tak mglistym można powiedzieć, iż miało miejsce.

Dochodziła jedenasta i w Departamencie Archiwów, gdzie Winston pracował, wciągano krzesła z boksów, żeby ustawić je pośrodku sali, naprzeciwko dużego teleekranu, i przygotować do Dwóch Minut Nienawiści. Winston zajmował akurat miejsce w jednym ze środkowych rzędów, kiedy do pomieszczenia niespodziewanie weszły dwie osoby, znane mu z widzenia. Jedną z nich była dziewczyna, którą często mijał w korytarzu. Nie znał jej imienia, ale wiedział, że pracowała w Departamencie Fikcji. Widywał ją czasem z kluczem w dłoniach powalanych olejem, domyślał się więc, że zapewne była konserwatorką którejś z maszyn piszących powieści. Była mniej więcej dwudziestosiedmioletnią kobietą o zuchwałym wyglądzie. Miała gęste, ciemne włosy, piegowatą twarz i szybkie, wysportowane ruchy. Wąska, szkarłatna szarfa — symbol Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej — ciasno opasywała jej talię, uwypuklając kobiecego kształt bioder, ukrytych pod kombinezonem. Winston czuł do niej antypatię od pierwszego wejrzenia. I wiedział dlaczego. Irytowała go atmosfera boisk do hokeja, zimnych kąpeli, pieszych wycieczek i prawomyślności, którą dziewczyna roztaczała wokół siebie. Nie znosił większości kobiet, zwłaszcza młodych i ładnych. Przeważnie to one, szczególnie młode, były najbardziej zjadłymi orędowniczkami Partii. Łykały slogany, bezinteresownie szpiegowały i tropiły wszelkie odstępstwa od ortodoksji. Ale ta dziewczyna sprawiała wrażenie jeszcze bardziej niebezpiecznej niż inne. Raz, kiedy mijali się na korytarzu, zmierzyla go wzrokiem, który zdawał się przenikać do wnętrza, co na moment nappełniło go mroczną trwogą. Przeszło

Mizoginia

<sup>4</sup>*Morze Śródziemne* — morze międzykontynentalne leżące pomiędzy Europą, Afryką i Azją. [przypis edytorski]

mu nawet przez myśl, że ona może być agentką myślopolicii. Było to, co prawda, wysoce nieprawdopodobne. Niemniej jednak odczuwał w jej obecności dziwny dyskomfort, będący mieszaniną lęku i wrogości.

Drugą z tych osób był mężczyzna o nazwisku O'Brien, członek Wewnętrznej Partii, pełniący tak ważną i ukrytą funkcję, że Winston miał jedynie mglistą ideę co do jej natury. Na widok zbliżającego się czarnego kombinezону członka Wewnętrznej Partii ludzie przy krzesłach na chwilę zamilkli. O'Brien był dużym, krzepkim mężczyzną o byczym karku i szorstkiej, humorzastej, okrutnej twarzy. Pomimo groźnego wyglądu jego sposób bycia nie był pozbawiony uroku. Miał zwyczaj poprawiać okulary na nosie gestem tak zaskakująco kulturalnym, że aż rozbijającym. Gdyby ktokolwiek myślał jeszcze w takich kategoriach, mógłby na widok tego gestu przypomnieć sobie osiemnastowiecznego szlachcica, częstującego znajomych tabaką<sup>5</sup>. Winston widział O'Briena może tuzin razy w ciągu blisko tyluż lat. Ciągnęło go do tego człowieka nie tylko dlatego, że intrygował go kontrast między wyszukanymi manierami O'Briena a jego atletyczną fizycznością. Chodziło bardziej o utrzymywaną w sekrecie wiarę — albo może nawet nie wiarę, a tylko nadzieję — że polityczna ortodoksja O'Briena nie jest doskonała. Coś w jego twarzy nieodparcie to sugerowało. Ale może tym, co się na niej malowało, nie było odstępstwo od ortodoksji, a jedynie inteligencja. W każdym razie wyglądał na osobę, z którą dałoby się porozmawiać, gdyby można było w jakiś sposób oszukać teleekran i znaleźć się z nim sam na sam. Winston nigdy nie spróbował zweryfikować tych domysłów, w istocie nie było sposobu, żeby to zrobić. O'Brien spojrział na zegarek i widząc, że zbliża się jedenasta, najwyraźniej postanowił, że zostanie w Ministerstwie Prawdy na Dwie Minuty Nienawiści. Zajął miejsce w tym samym rządzie co Winston, dwa krzesła dalej. Drobna kobieta o włosach w kolorze piasku, pracująca w boksie sąsiadującym z boksem Winstona, siedziała między nimi. Ciemnowłosa dziewczyna usiadła bezpośrednio za Winstonem.

W następnej chwili z teleekranu w końcu pomieszczenia wydobyło się okropne skrzyknięcie, jakby uruchomiła się jakaś monstualna, nienaoliwiona maszyna. Zęby bolały od tego dźwięku i ciarki przebiegały po plecach. Zaczęła się Nienawiść.

Jak zwykle, na ekranie wyświetliła się twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Wśród publiczności dało się słyszeć posykiwania. Drobna kobieta o włosach w kolorze piasku wydała z siebie dźwięk wyrażający mieszaninę strachu i wstrętu. Goldstein, renegat i odszczepieniec, dawno temu (jak dawno temu, tego nikt nie pamiętał) był jedną z najważniejszych figur Partii, niemal równą samemu Wielkiemu Bratu, ale potem zaangażował się w działania kontrrewolucyjne, za które skazano go na śmierć; jednak w jakiś tajemniczy sposób zdołał uciec i zniknąć. Przebieg Dwóch Minut Nienawiści każdego dnia był nieco inny, lecz Goldstein niezmiennie stanowił gwóźdź programu. Był pierwotnym zdrajcą, pierwszym, który zbezczeszczył czystość Partii. Wszystkie następne zbrodnie, wszystkie zdrady, akty sabotażu, herezje, zbłądzenia z partyjnej drogi, wynikały bezpośrednio z jego wpływów. Nadal gdzieś tam żył i inspirował rozmaitych spiskowców, może za oceanem, pod ochroną swoich obcych mocodawców; a może nawet — jak czasem plotkowano — w jakiejś kryjówce na obszarze Oceanii.

Winston poczuł ucisk w gardle. Widząc twarz Goldsteina, zawsze odczuwał boleśnie mieszane emocje. Była to szczupła, żydowska twarz, z kozią bródką i ogromną, puszystą aureolą siwych włosów — inteligentna, a mimo wszystko z gruntu wstrętna twarz durnego starca z długim nosem, na którego czubku balansowały okulary. Przypominała pysk owcy, a jego głos brzmiał jak beczenie owcy. Goldstein wygłaszał swój zwykły jadowity atak na doktrynę Partii — tak przesadzony i niemoralny, że nawet dziecko powinno się na nim poznać, a jednak na tyle przekonujący, żeby wzbudzić niepokój, że inni, mniej rozsądni słuchacze, mogliby dać się nabrać. Obrażał Wielkiego Brata, potępiał dyktaturę Partii, żądał natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją, postulował wolność wypowiedzi, wolność prasy, wolność zgromadzeń, wolność myśli, rozpaczal histerycznie, że Rewolucja została zdradzona — i wyrażał to wszystko w szybkiej, wielosylabowej mowie, stanowiącej swego rodzaju parodię zwyczajowego stylu oratorów Partii, zawierającej nawet elementy nowomowy; w istocie, więcej jej elementów niż jakikolwiek członek Partii użyłby w zwykłej rozmowie. I w razie gdyby ktoś miał jakąkolwiek wątpliwość co do

<sup>5</sup>tabaka — sproszkowany tytoń, wciągany przez nos; (daw.) tytoń do fajki. [przypis edytorski]

rzeczywistości, której dotyczyło zwodnicze efekciarstwo Goldsteina, na teleekranie za jego głową przez cały czas maszerowały niekończące się kolumny eurazjatyckich wojsk — nieprzebrane szeregi postawnych mężczyzn o pozbawionych wyrazu azjatyckich twarzach. Przybliżyły się do powierzchni ekranu, po czym rozplywały się, a wtedy na ich miejscu pojawiały się następne, bardzo podobne. W tle beczącego głosu Goldsteina rozlegało się głuche dudnienie żołnierskich butów.

Nie upłynęło nawet trzydzieści sekund Nienawiści, a połowa zebranych zaczęła wy-  
dawać z siebie niekontrolowane odgłosy gniewu. Zadowolona z siebie owcza twarz na  
ekranie, w połączeniu z przerażającą siłą eurazjatyckiej armii, to było za wiele, ale faktem  
jest, że sam już widok Goldsteina czy nawet tylko myśl o nim automatycznie wywoływały  
w ludziach strach i gniew. Był obiektem nienawiści bardziej niezmiennym niż Eurazja czy  
Azja Wschodnia, bo kiedy Oceania toczyła wojnę z jedną z tych sił, z drugą była w stan-  
ie pokoju. Co jednak bardzo dziwne, choć wszyscy nienawidzili Goldsteina i gardzili  
nim, choć każdego dnia, tysiąc razy dziennie, na platformach, teleekranach, stronach  
gazet i książek demontowano jego teorie, niszczone je i wyśmiewano, wykazywano ich  
żałosną nędzę — pomimo tego wszystkiego nie zdawało się, by jego wpływ choć tro-  
chę słabnął. Zawsze znajdowały się nowe ofiary, tylko czekające, żeby pozwolić mu się  
uwieść. Myślopolicja każdego dnia demaskowała szpiegów i sabotażystów działających  
pod jego wpływem. Był przywódcą ogromnej armii cieni, podziemnej sieci konspirato-  
rów, oddanych sprawie obalenia państwa. Bractwo — podobno tak się nazywali. Szeptem  
przekazywano sobie również plotki o okropnej, napisanej przez Goldsteina książce, która  
miała stanowić kompendium wszelkich herezji, krążące to tu, to tam. Nie miała tytułu,  
ludzie mówili o niej po prostu *książka*. Ale takie informacje wędrowały jedynie w formie  
niejasnych pogłosek. Ani o Bractwie, ani o *książce* żaden zwykły członek Partii nigdy by  
się z własnej woli nie zająknął.

W drugiej minucie zebranych ogarnął szal. Miotali się na swoich miejscach i krzy-  
czeli co sił w płucach, starając się zagłuszyć dobiegające z teleekranu beczenie. Drobną  
kobieta o włosach w kolorze piasku zrobiła się jaskraworóżowa, jej usta otwierały się  
i zamykały niczym pyszczek wyrzuconej na brzeg ryby. Nawet ciężka twarz O'Briena na-  
biegła krwią. Siedział na swoim miejscu wyprostowany, a jego potężna klatka piersiowa  
unosila się i drżała, jak pod naporem gwałtownej fali. Ciemnowłosa dziewczyna za ple-  
cami Winstona krzyczała: „Świnia! Świnia! Świnia!”, a w pewnej chwili chwyciła opasy  
*Słownik nowomowy* i cisnęła nim w stronę ekranu. Słownik uderzył Goldsteina w nos  
i odbił się; głos niestrudzenie ciągnął dalej. W chwili większej przytomności Winston  
zorientował się, że wrzeszczy razem z pozostałymi, kopiąc w szczebel krzesła. Najstrasz-  
niejsze w Dwóch Minutach Nienawiści nie było to, że aktywny udział w tej ceremonii  
był obowiązkowy, lecz fakt, iż nie dało się nie brać w niej udziału. Po trzydziestu sekun-  
dach nikt już nie musiał niczego udawać. Potworna ekstatyczna fala strachu, mściwości,  
pragnienia, by mordować i torturować, by kilofem rozkwaszać ludzkie twarze, płynęła  
przez zebranych jak prąd, zamieniając wszystkich bez wyjątku, czy tego chcieli czy nie,  
w wykrzywionych, wrzeszczących szaleńców. A jednak gniew, który czuli, był abstrakcyj-  
ną, nieukierunkowaną emocją, którą dało się przenieść z jednego przedmiotu na inny jak  
płomień lampy lutowniczej. I tak, w pewnym momencie nienawiść Winstona kierowała  
się już nie przeciwko Goldsteinowi, tylko na odwrót, przeciwko Wielkiemu Bratu, Partii  
i myślopolicji. W takich chwilach jego serce rwało się do samotnego, wyszydzonego he-  
retyka na ekranie, jedyne go strażnika prawdy i rozsądku w świecie pełnym kłamstw. Ale  
już chwilę później dołączał do reszty zebranych i wszystko, co mówiono o Goldsteinie,  
brał za prawdę. W tych z kolei momentach nienawiść, którą potajemnie żywił do Wiel-  
kiego Brata, zamieniała się w uwielbienie i wtedy Wielki Brat zdawał się rosnąć, stawał się  
ogromnym, nieporuszonym jak skała, niepokonanym i nieustraszonym obrońcą swojego  
ludu przed azjatyckimi hordami, zaś Goldstein, przy całej swojej samotności i bezbron-  
ności, pomimo wątpliwości, czy w ogóle istnieje, nabierał cech mrocznego uwodziciela,  
samą siłą swojego głosu zdolnego do zburzenia porządku, na którym zasadzała się cywil-  
lizacja.

Czasem dawało się zmienić kierunek nienawiści aktem woli. Niczym człowiek, któ-  
remu śni się koszmar, nagłym, gwałtownym wysiłkiem odrywa głowę od poduszki, Win-

Nienawiść, Gniew, Strach

Bunt, Buntownik, Szpieg,  
Książka

Konflikt wewnętrzny



ston oderwał nienawiść od ekranu i skierował ją ku siedzącej za nim ciemnowłosej dziewczynie. Żywe, zachwycające halucynacje wyświetliły się w jego umyśle. Chciał zatłuc ją na śmierć gumową pałką policyjną. Chciał przywiązać ją nagą do słupa i podziurawić jej ciało strzałami, jak to uczyniono ze świętym Sebastianem<sup>6</sup>. Chciał ją gwałcić i poderżnąć jej gardło podczas szczytowania. Co więcej, dopiero teraz zrozumiał, *dłaczego* jej nienawidzi. Nienawidził jej, bo była młoda, piękna i aseksualna, bo chciał iść z nią do łóżka, ale wiedział, że to się nigdy nie zdarzy, bo jej słodką, subtelną talię, która zdawała się zapraszać, aby ją otoczyć ramieniem, opasywała znieawidzona szkarłatna szarfa, agresywny symbol czystości.

Nienawiść osiągnęła swój szczyt. Głos Goldsteina przeszedł w autentyczne beczenie, na moment także jego twarz zmieniła się w owczy łeb, który wkrótce rozpląnął się, ustępując miejsca postaci żołnierza Eurazji. Ten zbliżał się, napierał, ogromny i straszny, i zdawał się wyskakiwać ponad powierzchnię teleekranu, tak że niektóre osoby z pierwszego rzędu robiły uniki na swoich krzesłach. Jednak już po chwili, ku ogromnej uldze zebranych, wroga postać przeobraziła się w twarz Wielkiego Brata, czarnowłosa, czarnowąsą, emanującą siłą i osobliwym spokojem i tak ogromną, że zajmowała prawie cały ekran. Nikt nie słyszał, co Wielki Brat mówił — były to zwykłe słowa zachęty, z rodzaju tych, jakie wygłasza się pośród bitewnego zgiełku, w szczegółach niezrozumiałe, lecz mimo wszystko podnoszące morale tylko dlatego, że zostały wypowiedziane. Potem twarz Wielkiego Brata znikła, a zamiast niej pojawiły się, wypisane pogrubionymi wielkimi literami, trzy slogany Partii:

WOJNA TO POKÓJ  
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA  
IGNORANCJA TO SIŁA

Jeszcze przez kilka sekund twarz Wielkiego Brata majaczyła na ekranie, jakby wrzenie wzrokowe, jakie pozostawiła w oglądających, było zbyt wielkie, żeby rozproszyc się w jednej chwili. Drobną kobietą o włosach w kolorze piasku opadła na siedzenie stojącego przed nią krzesła. Z drżącym szeptem, w którym dawało się rozpoznać słowa: „Mój zbawca!”, wyciągnęła ramiona w stronę ekranu. Następnie ukryła twarz w dłoniach. Było jasne, że się modli.

W tym samym momencie wszyscy zebrani zaczęli skandować, niespiesznie, rytmicznie i głośno: „W-B!.. W-B!.. W-B!”. Powtarzali te sylaby wiele razy, powoli, robiąc długą pauzę między „Wu” i „Be” — było to głębokie zawodzenie, tak osobliwie dzikie, że w tle niemal słyszano tupanie gołych stóp i bębnienie tam-tamów. Trwało to może ze trzydzieści sekund. Pieśń ta wybrzmiewała często w chwilach obezwładniających emocji. Była po części hymnem, sławiącym mądrość i majestat Wielkiego Brata, ale w większym stopniu — aktem autohipnozy, służącym celowemu wyłączeniu świadomości za pomocą rytmicznego hałasu. Winstona zmroziło. Wprawdzie podczas Dwóch Minut Nienawiści udzielało mu się zbiorowe delirium<sup>7</sup>, jednak ten nieludzki przyspiew „W-B!.. W-B!” za każdym razem napelniał go przerażeniem. Rzecz jasna, skandował razem z innymi: nie można było inaczej. Oddzielić się od własnych uczuć, kontrolować wyraz twarzy, zachowywać się tak samo jak inni — tak nakazywał instynkt. Zanim jednak Winston w pełni utożsamiał się z tłumem, przez parę sekund wyraz oczu mógł chyba zdradzać jego prawdziwe uczucia. Właśnie w tym momencie miało miejsce owo niezwykle zdarzenie — o ile rzeczywiście cokolwiek się wydarzyło.

Na mgnienie oka jego wzrok spotkał się ze wzrokiem O'Briena. O'Brien akurat wstał, zdjął okulary i znowu je zakładał tym swoim charakterystycznym gestem. Przez ułamek sekundy, kiedy na siebie patrzyli, Winston wiedział — tak, *wiedział!* — że O'Brien myśli odkładnie to samo co on. Nie było wątpliwości, wiadomość została przekazana. Zupełnie jakby ich umysły otworzyły się i myśli mogły przepływać z jednego do drugiego za

<sup>6</sup>święty Sebastian (zm. ok. 288/304) — rzymski męczennik chrześcijański, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego; zginął przeszyty strzałami. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>delirium — zaburzenia świadomości połączone z bredzeniem i halucynacjami; (pot.) szaleństwo. [przypis edytorski]

pośrednictwem oczu. „Jestem z tobą”, zdawał się mówić do niego O'Brien. „Dokładnie wiem, co czujesz. Wiem o twojej pogardzie, nienawiści, obrzydzeniu. Ale nie martw się, jestem po twojej stronie!”. W następnej chwili iskra porozumienia zgasła, a twarz O'Briena stała się nieprzenikniona jak wszystkie inne twarze.

To wszystko; w dodatku Winston nie miał już pewności, czy cokolwiek rzeczywiście zaszło. Podobne incydenty nie miały dalszego ciągu. Cały ich skutek polegał na podtrzymaniu wiary albo nadziei, że inni poza nim również byli wrogami Partii. Może te plotki o potężnych spiskach były jednak prawdziwe, może Bractwo istniało! Mimo niekończących się aresztowań, publicznych spowiedzi i egzekucji, nie mógł mieć pewności, że Bractwo nie jest mitem. Czasem wierzył, że istnieje, a czasem nie. Nie było żadnych dowodów, jedynie ulotne spostrzeżenia, znaczące lub nie: skrawki podsłuchanych rozmów, blade bązgroły na ścianach ubikacji, to znów — podczas spotkania dwóch nieznanym — ledwie zauważalny gest dłoni, być może sygnalizujący wzajemne rozpoznanie. Była to wyłącznie zgadywanka, ale też niewykluczone, że Winston miał po prostu bujną wyobraźnię. Wrócił do boksu, nie patrząc już na O'Briena. Nie przeszło mu przez myśl, że mógłby podtrzymać ten chwilowy kontakt. Nawet gdyby wiedział, jak się za to zabrać, byłoby to niewyobrażalnie niebezpieczne. Przez sekundę, może dwie, między ich oczami przepływał dwuznaczny komunikat — to wszystko. Jednak nawet to stanowiło doświadczenie godne zapamiętania w ciasnej samotności, w której wszystkim przyszło żyć.

Winston wyprostował się na krześle. Beknął. To gin podchodził mu do gardła.

Ponownie skupił wzrok na kartce. Naraz odkrył, że oddając się bezładnym rozmyśleniom, jednocześnie pisał, zupełnie jak automat. I to nie tym samym, przykurczonym piśmem co wcześniej. Pióro toczyło się zmysłowo po gładkim papierze, rysując duże, staranne, drukowane litery:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM  
PRECZ Z WIELKIM BRATEM  
PRECZ Z WIELKIM BRATEM  
PRECZ Z WIELKIM BRATEM  
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

— i tak dalej, aż zapełnił pół strony.

Nie mógł opanować ataku paniki. Absurd, bo napisanie tych konkretnych słów nie stanowiło aktu bardziej niebezpiecznego niż samo otwarcie zeszytu, jednak przez chwilę kusiło go, żeby wyrwać zapisane strony i porzucić całe przedsięwzięcie.

Nie zrobił tego jednak, wiedział, że to na nic. Czy będzie dalej pisał: „PRECZ Z WIELKIM BRATEM” czy powstrzyma się od pisania tych słów, to już niczego nie zmieni. Czy będzie prowadził swój dziennik czy zrezygnuje, to już nie ma znaczenia. Myśl policja i tak go dorwie. Popenił — i popeniłby, nawet gdyby nie dotknął piórem powierzchni papieru — podstawową zbrodnię, zawierającą w sobie wszystkie inne przewinienia. Myśl zbrodnię, jak to nazywali. Myśl zbrodni nie da się ukrywać w nieskończoność. Można skutecznie robić uniki przez pewien czas, całymi latami, w końcu jednak dorwą człowieka.

Odbywało się to w nocy — aresztowania przeprowadzano zawsze w nocy. Nagłe przebudzenie, brutalne szarpnięcie za ramię, oślepiające światło latarki, krąg zaciętych twarzy wokół łóżka. W większości przypadków nie było sądu, nie spisywano raportu z aresztowania. Ludzie po prostu znikali, zawsze w nocy. Nazwisko danej osoby usuwano z rejestrów i przepadał po niej wszelki ślad; niepowtarzalna egzystencja podlegała zanegowaniu, a następnie zapomnieniu. To było unicestwienie, wymazanie. Albo *ewaporowanie*<sup>8</sup> — jak zwykło się mówić o takich przypadkach.

Na moment opanowała go trwoga. Zaczął pokrywać kartkę pospiesznym, niestaranym piśmem:

<sup>8</sup>*ewaporowanie* (daw.) — wyparowanie, ulotnienie się. [przypis edytorski]

zastrzelą mnie wszystko mi jedno strzelą w tył głowy wszystko mi jedno precz z wielkim bratem zawsze strzelają w tył głowy wszystko mi jedno precz z wielkim bratem...

Opadł na oparcie krzesła, trochę zawstydzony, i odłożył pióro. Nagle poderwał się gwałtownie — ktoś pukał do drzwi.

Już! Siedział cicho jak mysz, w płonnej nadziei, że ktokolwiek puka, odejdzie po tej jednej próbie. Niestety, pukanie powtórzyło się. Najgorszą strategią byłoby przedłużanie tego momentu. Serce waliło mu jak młot, ale na twarzy, w wyniku głębokiego przyzwyczajenia, nie malowały się żadne emocje. Podniósł się i powoli podszedł do drzwi.

## 2

Kładąc dłoń na klamce, Winston spostrzegł, że dziennik został na stole, otwarty. Całą stronę pokrywały słowa: „PRECZ Z WIELKIM BRATEM”, zapisane literami tak wielkimi, że dawały się odczytać z drugiego końca pokoju. Był to szczyt głupoty, ale nawet ogarnięty trwogą nie chciał pobrudzić kremowego papieru, zamykając zeszyt przed wyschnięciem atramentu.

Zaczerpnął powietrza i otworzył drzwi. Natychmiast załała go ciepła fala ulgi. Na korytarzu stała bezbarwna, zahukana kobieta o cienkich włosach i pobrużdżonej twarzy.

— Och, towarzyszu — odezwała się ponurym, skomlącym głosem — tak mi się właśnie zdawało, że słyszę, jak towarzysz wraca. A może moglibyście zajść i zerknąć na zlew u nas w kuchni? Zatkanął się i...

To była pani Parsons, żona sąsiada z tego samego piętra. (Partia nie aprobowała zwrotu „pani”, należało zwracać się do innych per „towarzyszu” lub „towarzyszko”, jednak w przypadku niektórych kobiet instynktownie narzucało się słowo „pani”). Miała około trzydziestki, ale wyglądała starzej. Odnosiło się wrażenie, że w bruzdach na jej twarzy osiada kurz. Winston szedł za nią korytarzem. Konieczność tych amatorskich napraw uprzykrzała mu życie prawie każdego dnia. Rezydencję Zwycięstwa zbudowano około 1930 roku, były to stare mieszkania i wszystko się w nich sypało. Tynk odchodził płatami ze ścian i sufitów, przy większym mrozie pękały rury, dach przeciekał, kiedy tylko spadł śnieg, ogrzewanie działało przeważnie na pół gwizdka albo w ogóle nie było włączane z przyczyn ekonomicznych. Wszelkie naprawy, poza tymi, jakie udawało się zrobić własnoręcznie, wymagały zgód niedostępnych komitetów, które czasem przez dwa lata zatwierdzały przykładowo wymianę szyby w oknie.

— Oczywiście tylko dlatego, że Toma nie ma w domu — dodała pani Parsons nieśmiało.

Mieszkanie Parsonsów było większe od lokum Winstona i w nieco inny sposób obkurkne. Wszystkie sprzęty sprawiały wrażenie zniszczonych i poobijanych, jakby dopiero co przeszło tędy jakieś duże, agresywne zwierzę. Sprzęt sportowy — kije do hokeja, rękawice bokserskie, dziurawa piłka do nogi, zapocone, wywrócone na lewą stronę szorty — walał się po podłodze; na stole piętrzyły się brudne naczynia i podręczniki z pozaginanymi rogami. Na ścianach wisiały szkarłatne transparenty Ligi Młodzieżowej i Szpiegów oraz pełnowymiarowy plakat z Wielkim Bratem. W powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty, zwykle wyczuwalny w całym budynku, tu jednak łączył się z ostrzejszym odorem potu, który — to się wiedziało zaraz po wejściu do środka — wydzielala osoba w tej chwili nieobecna. W drugim pokoju ktoś próbował wtórować dźwiękom orkiestry wojskowej, nadal dobiegającym z teleekranu, na instrumencie z grzebienia przykrytego skrawkiem papieru toaletowego.

— To dzieci — powiedziała pani Parsons, rzucając nieco lękliwe spojrzenie w stronę drzwi. — Nie wychodziły dziś. I oczywiście...

Miała skłonność do przerywania zdań w połowie. Zlew kuchenny prawie po brzegi wypełniała brudna, zielonkawa woda, unosił się z niej wyjątkowo silny smród kapusty. Winston przykucnął i obejrzał kolanko odpływu. Strasznie nie chciało mu się robić tego rękami; nienawidził zadań manualnych, zaś schyłanie się często wywoływało u niego ataki kaszlu. Pani Parsons gapiała się bezradnie.

— Oczywiście gdyby Tom był w domu, raz-dwa by to załatwił — powiedziała. — On lubi takie rzeczy. Ten mój Tom to złota rączka!

Parsons, podobnie jak Winston, pracował w Ministerstwie Prawdy. Był grubawym, ale energicznym mężczyzną cechującym się paraliżującym poziomem głupoty, istnym kłębkim idiotycznego entuzjazmu, jednym z tych pozbawionych wątpliwości, wiernych popychadeł, od których stabilność Partii zależała w jeszcze większym stopniu niż od myślopolicii. Miał trzydzieści pięć lat, a dopiero co siłą wydalono go z Ligi Młodzieżowej, zaś przed wstąpieniem do Ligi udało mu się zabawić w szeregach Szpiegów o rok dłużej, niż przewidywał statut. W ministerstwie zajmował jakieś podrzędne stanowisko, w zasadzie niewymagające inteligencji, był za to jednym z najaktywniejszych członków Komitetu Sportowego i innych zespołów, zajmujących się organizowaniem grupowych pieszych wycieczek, spontanicznych demonstracji, kampanii oszczędnościowych i wszelkich działań dobrowolnych. Z cichą dumą opowiadał, między pyknięciami fajki, że od czterech lat nie opuścił żadnego wieczora w Osiedlowym Domu Kultury. Ciągnął się za nim przytłaczający odór potu, jakby mimowolne świadectwo jego pracowitości, i unosił się w powietrzu długo po jego wyjściu.

— Ma pani specjalny klucz do nakrętek? — spytał Winston, mocując się z kolankiem.

— Klucz — powtórzyła pani Parsons, natychmiast stając się bezkręgowcem. — Czy mamy? Tak na pewno, to nie wiem. Może dzieci...

Rozległ się tupot, jeszcze jeden przenikliwy świst na grzebieniu i dzieci wpadły do salonu. Pani Parsons przyniosła klucz. Winston wypuścił wodę i z obrzydzeniem usunął zatykający rurę korek z ludzkich włosów. Obmył palce, najlepiej jak mógł, w zimnej wodzie z kranu i wrócił do pokoju.

— Ręce do góry! — rozległ się dziki głos.

Dorodny, dziewięcioletni łobuz wyskoczył zza stołu, grożąc Winstonowi zabawkowym pistoletem automatycznym, podczas gdy jego młodsza o jakieś dwa lata siostra wykonywała identyczny gest, trzymając w rękach kawałek drewna. Oboje mieli na sobie granatowe spodnie, szare koszulki i czerwone chusty — umundurowanie Szpiegów. Winston podniósł ręce nad głowę, ale zrobiło mu się nieswojo; w zachowaniu chłopca było coś tak złowrogiego, jakby wcale nie chodziło tu o zabawę.

— Zdrajca! — wołał chłopiec. — Myślozbrodniarz! Eurazjatycki szpieg! Zastrzelę cię, ewaporuję, wyślę cię do kopalni soli!

I nagle oboje skakali wokół niego, wrzeszcząc: „Zdrajca!” i „Myślozbrodniarz!”. Dziewczynka naśladowała każdy gest brata. Było to nieco przerażające, jak baraszkowanie tygrysiątek, z których wkrótce wyrosną ludożercy. Z oczu chłopca biło wyrachowane okrucieństwo, całkiem wyraźna chęć, żeby uderzyć lub kopnąć Winstona, połączona ze świadomością, że wkrótce będzie dość duży, aby to zrobić. Całe szczęście, że nie trzyma w rękach prawdziwej broni, pomyślał Winston.

Pani Parsons nerwowo spoglądała to na Winstona, to na dzieci. W lepszym świetle w pokoju odnotował ze zdumieniem, że w bruzdach na jej twarzy naprawdę osiadł kurz.

— Tacy są czasem hałaśliwi — powiedziała. — Są rozczarowani, bo nie mogą pójść na wieszanie. To o to chodzi. Nie mam czasu ich zabrać, a Tom wróci za późno.

— Czemu nie możemy pójść na wieszanie? — ryknął chłopiec na cały głos.

— Chcę na wieszanie! Chcę na wieszanie! — wtórowała mu dziewczynka, nadal podskakując.

Winstonowi przypomniało się, że jacyś oskarżeni o zbrodnie wojenne eurazjatyccy więźniowie mieli zostać wieczorem powieszani w parku. Mniej więcej raz w miesiącu odbywały się tego rodzaju spektakle; cieszyły się sporą popularnością. Zwłaszcza dzieci uważały je za świetną zabawę. Winston pożegnał się z panią Parsons i wyszedł. Ledwie uszedł parę kroków, a coś walnęło go w tył głowy, powodując wyjątkowo silny ból. Zupełnie jakby został dźgnięty rozgrzanym do czerwoności metalowym prętem. Kiedy się odruchowo odwrócił, zobaczył, że pani Parsons wciąga do mieszkania chłopca, chowającego do kieszeni procę.

— Goldstein — wrzeszczał chłopiec w zamykających się drzwiach. W całej tej sytuacji Winstona najbardziej zaskoczył wyraz bezradnej trwogi, malujący się na szarej twarzy kobiety.

Kiedy znalazł się z powrotem w mieszkaniu, szybko minął teleekran i ponownie usiadł przy stole, pocierając bolące miejsce z tyłu głowy. Muzyka ustała, zamiast tego obcesowy,

Dziecko, Dzieciństwo,  
Szpieg, Okrucieństwo,  
Zabawa

Dziecko, Zabawa,  
Okrucieństwo



żołnierski głos z okrutną satysfakcją opisywał uzbrojenie nowej pływającej fortecy, która właśnie zarzuciła kotwicę między Islandią a Wyspami Owczymi<sup>9</sup>.

Z takimi dziećmi, pomyślał Winston, życie tej kobiety musi być koszmarem. Jeszcze rok, może dwa, a będą dwadzieścia cztery godziny na dobę wypatrywać u niej najdrobniejszych choćby przejawów nieprawomyślności. Prawie wszystkie dzieci są potworne. Najgorsze, że choć organizacje takie jak Szpiedzy systemowo zamieniały dzieci w nieokielzanych barbarzyńców, nie pojawiała się u nich żadna skłonność do buntowania się przeciwko Partii. Wręcz przeciwnie, uwielbiały Partię i wszystko, co z nią związane. Piosenki, procesje, transparenty, wycieczki, musztra z drewnianą bronią, skandowanie sloganów, wielbienie Wielkiego Brata — to wszystko było dla nich rodzajem wspaniałej zabawy. Cała ich furia kierowała się na zewnątrz, przeciwko wrogom państwa, przeciwko obcym, zdrajcom, sabotażystom, myślobrodniarzom. Było już właściwie na porządku dziennym, że ludzie po trzydziestce bali się własnych dzieci. I nie bez powodu. Nie było tygodnia, żeby „Times” nie zamieścił akapitu o jednym czy drugim małym, wścibskim podsłuchiwanie, czyli „bohaterskim malcu”, który podchwycił jakieś kompromitujące zdanie i wydał własnych rodziców myślopolicji.

Ból po pocisku z procy ustąpił. Winston bez przekonania wziął do ręki pióro, zastanawiając się, czy warto coś jeszcze zapisać w dzienniku. Nagle znowu pomyślał o O'Brienie.

Lata wcześniej — ile dokładnie? Już chyba z siedem — śniło mu się, że przemierza jakieś pomieszczenie zatopione w ciemnościach. Mijając kogoś siedzącego nieco z boku, usłyszał słowa: „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku”. Zostały one wypowiedziane bardzo cicho, niemal od niechcienia, nie brzmiały jak rozkaz, lecz stwierdzenie faktu. Nie zatrzymał się, szedł dalej. Co ciekawe, wtedy, we śnie, te słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Dopiero potem zaczęło do niego docierać ich znaczenie. Teraz już nie pamiętał, czy przed tym snem czy później pierwszy raz zobaczył O'Briena; nie pamiętał też, kiedy dokładnie uświadomił sobie, że głos usłyszany we śnie był jego głosem. Ale był tego pewien — to O'Brien przemówił do niego z ciemności.

Winston nie potrafił rozstrzygnąć, nawet po porannej wymianie spojrzeń, czy O'Brien był przyjacielem czy wrogiem. I nie było to jakoś szczególnie istotne. Istniała między nimi nić porozumienia ważniejsza niż sympatia czy przekonania osobiste. „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku”, powiedział O'Brien. Winston nie wiedział, co to znaczy, miał jednak pewność, że tak czy inaczej te słowa kiedyś się spełnią.

Głos w teleekranie umilkł na chwilę. Dźwięk trąbki, czysty i piękny, popłynął w zatchłym powietrzu. Po czym rozległo się chrapliwe ogłoszenie:

— Uwaga! Uwaga! Depesza z frontu malabarskiego<sup>10</sup>! W południowych Indiach nasze siły odniosły miażdżące zwycięstwo. Mogę przekazać, że ofensywa, o której przebiegu zaraz poinformujemy, zbliża nas wymiennie do końca wojny. Oto treść komunikatu...

Nadchodzą złe wieści, pomyślał Winston. I nie pomylił się. Zaraz po krwawym opisie unicestwienia eurazjatyckiej armii, zawierającym oszałamiające liczby zabitych i uwięzionych, pojawiło się ogłoszenie, że z początkiem kolejnego tygodnia racja czekolady zostaje zmniejszona z trzydziestu do dwudziestu gramów.

Winston znowu beknął. Działanie ginu miało, pozostawiając uczucie osłabienia. Z teleekranu, być może dla uczczenia zwycięstwa, a może dla zatarcia pamięci o odebranej czekoladzie, buchnęły dźwięki hymnu *Oceanio, to dla ciebie*. Należało stanąć na baczność, ale tam, gdzie siedział, był niewidoczny.

Po hymnie popłynęła lżejsza muzyka. Winston podszedł do okna, wciąż ustawiając się tyłem do teleekranu. Dzień nadal był zimny i jasny. Gdzieś w oddali z głuchym grzmotem eksplodowała rakietka. Obecnie spadało na Londyn od dwudziestu do trzydziestu bomb tygodniowo.

W dole na ulicy wiatr nerwowo szarpał naderwanym plakatem, to zasłaniając, to odkrywając napis „ANGSOC”. Angsoc. Święte zasady angsocu. Nowomowa, dwójmyślenie, zmienność przeszłości. Miał wrażenie, jakby znalazł się w dżungli porastającej morskie dno, w potwornym świecie, w którym i on był potworem. Czuł się bardzo samotny.

<sup>9</sup>Wyspy Owcze — wulkaniczny archipeląg na Atlantyku przy granicy z Morzem Norweskim, terytorium zależne Danii. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>malabarski — odnoszący się do Wybrzeża Malabarskiego a. Malabaru w pld.-zach. Indiach nad Morzem Arabskim. [przypis edytorski]

Przeszłość była martwa, przyszłość niewyobrażalna. Skąd mógł wiedzieć, czy choćby jedna żyjąca istota ludzka stoi po jego stronie? I jaką miał pewność, że rządy Partii nie będą trwały *wiecznie*? Zamiast odpowiedzi zobaczył trzy slogany, widniejące na białym froncie Ministerstwa Prawdy:

WOJNA TO POKÓJ  
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA  
IGNORANCJA TO SIŁA

Wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę. Widniały na niej te same hasła, wypisane wyraźnymi, drobnymi literami. Na rewersie znajdowało się oblicze Wielkiego Brata — również z monety spoglądały jego oczy. Był wszędzie — na monetach, na znaczkach pocztowych, na okładkach książek, na transparentach, na plakatach i opakowaniach papierosów. Zewsząd patrzyły te oczy, a głos stale napominał. We śnie czy na jawie, w pracy czy przy posiłku, w budynku czy na powietrzu, w wannie czy w łóżku — nie dało się uciec. Nic nie było prywatne poza kilkoma centymetrami kwadratowymi zamkniętymi pod czaszką.

Słońce się przesunęło i niezliczone okna Ministerstwa Prawdy, już nieoświetlone, wyglądały ponuro niczym okienka wartowni. Ogromna piramida napępiała serce lękiem. Był to potężny budynek, nie do sforsowania. Nie zniszczyłoby go nawet tysiąc rakiet. Winston znowu zaczął się zastanawiać, dla kogo pisze ten dziennik. Dla przyszłości, dla przeszłości — dla jakiejś epoki, którą sobie wyobraził. Czekala go nie śmierć, lecz anihilacja<sup>11</sup>. Dziennik zamienią w popiół, jego ewaporują. To, co napisze, zostanie odczytane jedynie przez myślopolację, która następnie unicestwi tekst i usunie ze swej pamięci. W jaki sposób zwrócić się do przyszłości, skoro nie zostanie po tobie żaden fizyczny ślad, nawet słowo nabazgrane anonimowo na kartce papieru?

Teleekran wybił czternastą. Za dziesięć minut powinien wyjść. O 14.30 musi znów stawić się w pracy.

O dziwo, bicie zegara dodało mu otuchy. Był samotną duszą, wypowiadał prawdę, której nikt nie usłyszy. Dopóki jednak mówił prawdę, w jakiś niejasny sposób udawało się zachować ciągłość. Ocalenie dziedzictwa ludzkości nie odbywało się poprzez bycie usłyszanym, ale poprzez zachowanie przytomności. Wrócił do stołu, umoczył pióro w atramencie i napisał:

Do przyszłości lub przeszłości, w której myśl jest wolna, a ludzie różnią się od siebie i nie żyją w samotności — do czasu, w którym istnieje prawda i w którym to, co się stało, nie może się odstać:

Z epoki unifikacji, z epoki samotności, z epoki Wielkiego Brata, z epoki dwójmyślenia — pozdrawiam was!

Dotarło do niego, że jest już właściwie martwy. Zrozumiał, że dopiero teraz, kiedy potrafił nadawać kształt myślom, dokonał decydującego kroku. Następstwa każdego działania są już w tym działaniu zawarte. Napisał:

Myślóbrodnia nie pociąga za sobą śmierci: myślóbrodnia JEST śmiercią.

Teraz, gdy uświadomił sobie, że jest martwy, musi spróbować jak najdłużej pozostać przy życiu. Dwa palce prawej ręki miał poplamione atramentem. Właśnie taki szczegół mógł go zdradzić. Jakiś ciekawski nadgorliwiec w ministerstwie (najprawdopodobniej kobieta, taka jak ta drobna osoba o włosach w kolorze piasku lub ciemnowłosa dziewczyna z Departamentu Fikcji) może zacząć się zastanawiać, dlaczego pisał coś podczas przerwy obiadowej, dlaczego użył staromodnego pióra, co pisał — a potem podrzucić komu trzeba odpowiednią aluzję. Poszedł do łazienki i dokładnie starł tusz twardym, szarym mydłem, które drapało skórę jak papier ścierny, więc świetnie nadało się do tego celu.

Odłożył dziennik do szuflady. Ukrycie go było niemożliwe, mógł jednak zrobić coś, żeby wiedzieć, czy istnienie zeszytu zostało odkryte czy nie. Położyć włos na krawędzi?

<sup>11</sup> *anihilacja* — dematerializacja, unicestwienie. [przypis edytorski]

Nie, to zbyt oczywiste. Opuszkiem palca podniósł więc charakterystyczny, biały paproch i umieścił w rogu okładki. Jeśli ktoś ruszy zeszyt, paproch spadnie.

### 3

Winston śnił o matce.

Musiał mieć dziesięć lub jedenaście lat — tak kalkulował — kiedy matka znikła. Była wysoka, raczej milczącą kobietą o posągowej urodzie, powolnych ruchach i wspaniałych, jasnych włosach. Ojciec jawił się bardziej mgliście: śniady i szczupły, zawsze starannie ubrany w ciemny garnitur (Winstonowi zapadły w pamięć zwłaszcza buty o cienkich podszewkach), z okularami na nosie. Oboje najpewniej pochłonęła jedna z pierwszych czystek w latach pięćdziesiątych.

W tej chwili matka siedziała gdzieś głęboko pod nim, trzymając w ramionach jego młodszą siostrę. Po siostrze zostało mu jedynie wspomnienie maleńkiego, słabowitego dziecka, zawsze cichego, obdarzonego wielkimi, czujnymi oczami. Obie patrzyły teraz na niego, zadzierając głowy. Znajdowały się gdzieś pod ziemią — jakby na dnie studni albo bardzo głębokiego grobowca — samo to miejsce jednak ciągle się obniżało. Był to salon tonącego statku, a one wpatrywały się w niego poprzez ciemniejącą wodę. W pomieszczeniu nadal było trochę powietrza, wciąż mógł je widzieć, a one — jego, ale cały czas tonęły, opadając coraz głębiej i głębiej w zieleń wody, która wkrótce miała je na zawsze ukryć przed jego wzrokiem. On zatrzymał wolność, światło i powietrze, a one osuwały się ku śmierci; znajdowały się w tym położeniu *dlatego*, że on znajdował się w swoim. On to wiedział i one to wiedziały, widział tę wiedzę w ich oczach. Ani na ich twarzach, ani w ich sercach nie było żalu, a jedynie świadomość, że muszą umrzeć, żeby on przeżył, i że taka jest nieuchronna kolej rzeczy.

Nie pamiętał, co się stało, wiedział jednak, śniąc, że matka i siostra muszą w jakiś sposób oddać za niego życie. Był to jeden z tych snów, w których pomimo fantastycznej scenerii myśli człowieka nadal płyną; fakty oraz odsłaniające się wówczas idee pozostają odkrywczymi i ważne również po przebudzeniu. Winstona uderzyło naraz, że śmierć jego matki przed blisko trzydziestu laty była tragiczna i smutna w sposób, który nie jest już możliwy. Zrozumiał, że tragedia należy do przeszłości, do czasów, kiedy istniały prywatność, miłość i przyjaźń, a ludzie tworzący rodzinę wspierali się, nie zastanawiając się, dlaczego to robią. Wspomnienie matki było rozdzierające, ponieważ umierała, kochając go, podczas gdy on był zbyt mały i samolubny, żeby odwzajemnić tę miłość, i ponieważ poświęciła się dla niego — nie pamiętał jak — pojmując lojalność jako sprawę osobistą i niepodlegającą dyskusji. Nic podobnego nie mogłoby się już wydarzyć. Obecnie istniały lęk, nienawiść i ból, nie istniała już jednak godność emocji, nie było głębokiego czy złożonego smutku. Dostrzegał to wszystko w ogromnych oczach matki i siostry, które patrzyły ku niemu z dołu poprzez zieleń wody, z głębokości setek metrów, i spadały coraz głębiej w otchłań.

Nagle stał na krótkiej, sprężystej trawie; był letni wieczór i ukośne promienie słońca pozłacały ziemię. Krajobraz, na który patrzył, tak często powtarzał się w jego snach, że nie był już całkiem pewien, czy kiedykolwiek widział go na jawie. W myślach nazywał to miejsce Złotą Krainą. Było to opuszczone, oskubane przez króliki pastwisko, oznaczone tu i ówdzie kopczykami kretów, w poprzek którego meandrowała wydeptana ścieżka. Po drugiej stronie pastwiska gałęzie tworzących nierówny żywopłot wiązków<sup>12</sup> kołysały się na delikatnym wietrze, ich liście, zbite w gęstą masę, poruszały się leciutko niby kobiece włosy. Niedaleko, ale poza zasięgiem wzroku, wił się niespiesznie strumień, klenie<sup>13</sup> pływały w rozlewiskach pod wierzbami.

Przez pole szła ku niemu ta ciemnowłosa dziewczyna. Jednym ruchem, tak to wyglądało, zdarła z siebie ubrania i z pogardą rzuciła na ziemię. Jej ciało było białe i gładkie, lecz nie wzbudziło w nim pożądania; w istocie ledwo na nie popatrzył. Obezwładnił go za to zachwyt dla gestu, którym odrzuciła swój strój. Wdzięk i beztroska tego ruchu zdawały się unicestwiać całą kulturę, cały system ideowy, jakby Wielkiego Brata i Partię, i my-

Sen, Matka, Siostra,  
Rodzina, Ojciec,  
Wspomnienia, Ofiara,  
Poświęcenie, Śmierć,  
Miłość, Kondycja ludzka

Kobieta, Erotyzm

<sup>12</sup>wiąz — drzewo o ząbkowanych liściach, drobnych kwiatkach i płaskich, okrągłych owocach. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>klenie (*Squalius cephalus*) — gatunek ryby słodkowodnej z rodziny karpiowatych. [przypis edytorski]

ślopolię można było wtrącić do otchłani jednym, wspaniałym ruchem ramienia. Także ten gest należał do minionych czasów. Winston obudził się ze słowem „Shakespeare<sup>14</sup>” na ustach.

Z teleekranu wydobywał się ogłuszający gwizd. Ciągnął się, na tej samej nucie, przez trzydzieści sekund. Oznaczało to godzinę 7.15, czas pobudki dla pracowników biurowych. Winston zwał się z łóżka — nagi, bo członkowie Zewnętrznej Partii otrzymywali rocznie tylko trzy tysiące kuponów odzieżowych, a piżama kosztowała aż sześćset — i sięgnął po zawieszony na poręczy krzesła szorty i znoszony podkoszulek. Poranne Podskoki zaczęły się za trzy minuty. W następnej chwili zgął się od gwałtownego napadu kaszlu, który prawie zawsze atakował go wkrótce po przebudzeniu. Tak mu później brakowało powietrza, że musiał się położyć i wziąć kilka głębokich wdechów, żeby móc znowu oddychać. Żył nabrzmiały mu od kaszlu, a owróżdzenie nad kostką zaczęło swędzieć.

— Przedział trzydzieści-czterdzieści! — skandował przenikliwy kobiecy głos. — Przedział trzydzieści-czterdzieści! Na miejsca, proszę. Trzydzieści-czterdzieści!

Winston stanął na baczność przed teleekranem, na którym właśnie wyświetlił się obraz młodej kobiety, szczupłej, lecz muskularnej, ubranej w tunikę i sportowe buty.

— Zginanie i rozciąganie ramion! — krzyczała. — Ćwiczcie razem ze mną. *Raz*, dwa, trzy, cztery! *Raz*, dwa, trzy, cztery! Dalej, towarzysze, raźniej! *Raz*, dwa, trzy, cztery! *Raz*, dwa, trzy, cztery!...

Ból, wywołany atakiem kaszlu, nie zdołał całkiem zatrzeć w głowie Winstona wrażenia pozostawionego przez sen, zaś rytmiczna gimnastyka w jakiś sposób je nawet wzmocniła. Mechanicznie wyrzucając ramiona do przodu i do tyłu, z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy, pożądanym podczas zaprawy, próbował sięgnąć myślą niewyraźnych czasów wczesnego dzieciństwa. Było to niesamowicie trudne. Przeszłość dawniejsza niż lata pięćdziesiąte blakła. Kiedy nie ma żadnych zewnętrznych punktów odniesienia, zarysy własnego życia również tracą ostrość. Pamięta się spektakularne wydarzenia, które najprawdopodobniej nigdy nie miały miejsca, pamięta się szczegóły zajęć, ale nie ich nastroj; ma się w pamięci długie, puste okresy, z którymi nie wiążą się żadne wspomnienia. Dawniej wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Nawet nazwy państw i ich kształty na mapie były inne. Na przykład Pierwszy Pas Powietrzny dawniej się tak nie nazywał, to była Anglia lub Wielka Brytania; choć Londyn, myślał Winston z dużą dozą pewności, zawsze był Londynem.

Winston nie pamiętał czasów, kiedy jego kraj nie prowadziłby jakiejś wojny, było jednak jasne, że w czasach jego dzieciństwa dość długo panował pokój, ponieważ jedno z jego pierwszych wspomnień dotyczyło nalotu bombowego, który ewidentnie wszystkich zaskoczył. Może to był akurat ten moment, gdy bomba atomowa spadła na Colchester<sup>15</sup>. Samego nalotu nie przypominał sobie dokładnie, poza tym, że ojciec mocno ścisnął jego dłoń, gdy po jakichś krętych schodach pospiesznie schodzili w dół, coraz niżej i niżej pod ziemię. Stopnie dzwoniły mu pod nogami, które w pewnym momencie tak bardzo się zmęczyły, że zaczął popłakiwać i musieli przystanąć. Matka, powolna i nieco senna, jak to ona, została daleko w tyle. Niosła jego małą siostrę — albo tylko zwinięte koce — nie miał pewności, czy siostra była już wtedy na świecie. Wreszcie znaleźli się w hałaśliwym, zatłoczonym miejscu i spostrzegli, że to stacja metra.

Ludzie porozsiadali się na kamiennych płytach posadzki, inni, ściśnięci w grupkach, zajmowali miejsca na piętrowych, metalowych pryczach. Winston i jego rodzice znaleźli sobie miejsce na ziemi, obok pary starszusków przycupniętych na pryczy. Mężczyzna ubrany był w przyzwoity, ciemny garnitur, spod zepchniętej na tył głowy czarnej, płóciennej czapki wymykały mu się kosmyki bardzo białych włosów. Był purpurowy na twarzy, z błękitnych oczu kapąły łzy. Zalatywało od niego ginem. Zdawało się, że alkohol wydobywał się z porów jego skóry w miejsce potu i płynął z oczu zamiast łez. Starsuszek był porządnie wstawiony, a mimo to szczerze cierpiał pod ciężarem jakiegoś nieznośnego nieszczęścia. Na swój dziecinny sposób Winston wyczuwał, że właśnie wydarzyło się coś potwornego, coś, czego nigdy nie da się przebaczyć ani naprawić. I chyba wiedział co.

<sup>14</sup>Shakespeare, William a. William Szekspir (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg, aktor i reformator teatru. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Colchester — miasto w Anglii, w hrabstwie Essex. [przypis edytorski]



Zginął ktoś, kogo ten stary mężczyzna bardzo kochał, może jego wnuczka. Co parę minut starzec powtarzał:

— Trza było im nie ufać. Tak mówiłem, nie, matka? Tak to się kończy, cały czas mówiłem. Trza było szujom nie ufać.

Ale którym szujom nie powinni byli zaufać, tego Winston nie wiedział.

Od tamtego momentu wojna trwała w zasadzie nieprzerwanie, choć, ściśle rzecz biorąc, nie była to zawsze ta sama wojna. Przez kilka miesięcy w jego dzieciństwie trwały chaotyczne walki na ulicach samego Londynu, niektóre pamiętał bardzo wyraźnie. Jednak prześledzenie historii całego okresu, ustalenie, kto walczył z kim w jakimś konkretnym czasie, było zupełnie niewykonalne, ponieważ żaden przekaz pisemny ani ustny nie wspominał o innym układzie sił niż aktualnie obowiązujący. Na przykład teraz, w roku 1984 (o ile faktycznie był 1984) Oceania walczyła z Eurazją, mając Azję Wschodnią za sojuszniczkę. W żadnej wypowiedzi prywatnej ani publicznej nie mogła pojawić się sugestia, że te trzy siły mogły być w jakiegokolwiek chwili w innej konfiguracji. W istocie, Winston zdawał sobie sprawę, że zaledwie cztery lata wcześniej Oceania była sprzymierzona z Eurazją i toczyła wojnę z Azją Wschodnią. Był to po prostu skrawek wiedzy tajemnej, który przypadkowo zachował, gdyż jego pamięć nie w pełni poddawała się kontroli. Oficjalnie nigdy nie doszło do zmiany sojuszników. Oceania prowadziła obecnie wojnę z Eurazją, a zatem Oceania zawsze prowadziła wojnę z Eurazją. Aktualny wróg niezmiennie ucieleśniał zło absolutne, toteż nie wchodził w grę, w przeszłości ani w przyszłości, żaden inny układ.

Naprawdę przerażające było to, pomyślał tysięczny raz, z bólem wyginając ramiona do tyłu (z dłońmi na biodrach, bo właśnie wykonywali obroty tułowia, co miało dobre działanie na mięśnie kręgosłupa) — a więc najbardziej przerażające było to, że wszystko mogło być prawdą. Czy zatem fakt, że Partia miała prawo ingerować w przeszłość i decydować, że to czy tamto *nigdy się nie wydarzyło*, nie był o wiele straszniejszy od zwykłych tortur i śmierci?

Partia twierdziła, że Oceania nigdy nie zawarła sojuszu z Eurazją. On, Winston Smith, wiedział, że Eurazja była sojuszniczką Oceanii zaledwie cztery lata wcześniej. Skąd jednak czerpał tę wiedzę? Wyłącznie z własnej świadomości, która niedługo i tak zostanie unicestwiona. Jeśli wszyscy inni przyjmą kłamstwo narzucone przez Partię — jeśli ta sama opowieść zostanie zapisana we wszystkich archiwach — wtedy kłamstwo przejdzie do historii i stanie się prawdą. „Kto kontroluje przeszłość”, głosiło jedno z haseł Partii, „kontroluje przyszłość; kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość”. A jednocześnie przeszłość, choć z natury zmienna, nigdy nie ulegała zmianie. Co stanowiło prawdę obecnie, stanowiło ją przez całą wieczność. Zasada była bardzo prosta i wymagała jedynie ciągłych zwycięstw nad własną pamięcią. Nazywano to „regulowaniem rzeczywistości”, a w nowomowie „dwójmyśleniem”.

— Rozluźnić się! — burknęła instruktorka nieco łagodniej.

Winston opuścił ramiona wzdłuż tułowia i powoli napełnił płuca powietrzem. Jego umysł gubił się w pokrętej rzeczywistości dwójmyślenia. Wiedzieć i nie wiedzieć; mieć przeświadczenie o absolutnej szczerości podczas opowiadania precyzyjnie zaprojektowanych kłamstw; utrzymywać jednocześnie dwie wykluczające się opinie, dostrzegać ich wzajemną sprzeczność, a mimo to wierzyć w obie; stosować logikę wbrew logice; odrzucać moralność i rościć sobie do niej prawo; twierdzić, że demokracja jest niemożliwa i że Partia jej strzeże; zapomnieć wszystko, czego nie należy pamiętać, ale wydobyć z zapomnienia to, co w danym momencie potrzebne, tylko po to, żeby następnie znowu zapomnieć; a przede wszystkim stosować tę samą logikę w stosunku do procesu jej implementowania. Wymagało to najwyższych umiejętności: świadomie zmusić się do nieświadomości, a następnie wyrzucić ze świadomości właśnie przeprowadzony akt autohipnozy. Samo już rozumienie słowa „dwójmyślenie” wiązało się z dwójmyśleniem.

Instruktorka znów nakazała wszystkim stanąć na baczność.

— Zobaczmy teraz, kto dosięgnie palców stóp! — zawołała entuzjastycznie. — Robimy skłon, towarzysze, *raz-dwa! Raz-dwa!*...

Winston nienawidził tego ćwiczenia, wywoływało ból promieniujący od pięt aż po pośladki i często prowadziło do kolejnego ataku kaszlu. Ulotnił się niemal przyjemny nastrój, który towarzyszył jego wcześniejszym rozmyślaniom. Doszedł do wniosku, że

Wojna, Polityka, Pamięć,  
Historia

Prawda, Wiedza, Konflikt  
wewnętrzny

chodzi o coś więcej niż regulację przeszłości — chodzi o jej kompletne zniszczenie. Bo jak ustalić choćby najbardziej oczywiste fakty, jeśli istnieje jedynie świadectwo własnej pamięci? Usiłował przypomnieć sobie, w którym roku pierwszy raz usłyszał o Wielkim Bracie. Chyba w latach sześćdziesiątych, jednak pewności nie miał. W partyjnej historii Wielki Brat występował, rzecz jasna, jako przywódca i strażnik Rewolucji od samych jej początków. Jego dokonania stopniowo cofano w czasie, tak że w tej chwili rozciągały się mityczną rzeczywistość lat czterdziestych i trzydziestych, kiedy kapitaliści w dziwacznych cylindrach przemierzali ulice Londynu wielkimi, lśniącymi samochodami lub w oszklonych powozach. Nie było żadnej możliwości, żeby ustalić, co z tego było prawdą, a co zmyślono. Winston nie mógł nawet sobie przypomnieć daty powstania Partii. Z pojęciem „angsoc” spotkał się chyba dopiero po roku 1960, możliwe jednak, że sam termin funkcjonował znacznie wcześniej, tylko w staromowie miał formę „socjalizm angielski”. Wszystko rozplywało się we mgle. Czasem dało się, owszem, odkryć oczywiste kłamstwo. Nie było prawdą, na przykład, jakoby Partia wynalazła samoloty, choć właśnie tak głośiły partyjne podręczniki do historii. Samoloty pamiętał bowiem od najwcześniejszego dzieciństwa. Jednak niczego nie można było wykazać. Nie istniał żaden materiał dowodowy. Tylko raz w życiu miał w ręku niezaprzeczalny dowód zafalszowania historii. Wtedy jednak...

— Smith! — wrzasnął jęczący głos z teleekranu. — Smith W. 6079! Tak, ty! Niżej, proszę! Stać cię na więcej. Nie starasz się. Jeszcze niżej! *Tak* lepiej, towarzyszu. Teraz proszę się rozluźnić, wszyscy, i patrzeć na mnie.

Gorący pot oblał nagle całe ciało Winstona. Jego twarz zachowała jednak całkowicie neutralny wyraz. Nigdy nie okazuj przerażenia! Nigdy nie okazuj złości! Jeden błysk w oku mógł zdradzić człowieka. Stał, przyglądając się, jak instruktorka podnosi ramiona do góry, a następnie — nie powiedziałoby się, że z wdziękiem, raczej z jakąś godną podziwu starannością i bardzo sprawnie — pochyla się i wsuwa sobie palce dłoni pod stopy.

— *Właśnie tak*, towarzysze! *To* chcę zobaczyć. Popatrzcie raz jeszcze. Mam 39 lat i urodziłam czworo dzieci. Patrzcie! — wykonała jeszcze jeden skłon. — Widzicie, że *moje* kolana nie są ugięte. Wszyscy możecie to zrobić, jeśli tylko zechcecie — dodała, prostując się. — Każdy poniżej czterdziestego piątego roku życia może bez problemu sięgnąć dłońmi stóp. Nie wszyscy mamy ten przywilej, żeby walczyć na linii frontu, ale możemy przynajmniej utrzymywać formę. Pamiętajcie o naszych chłopcach na froncie w Malabarze! I o marynarzach w pływającej fortecy! Pomyślcie tylko, z czym *oni* muszą sobie radzić. Jeszcze jedna próba. Teraz lepiej, towarzyszu, o *wiele* lepiej — dodała zachęcająco, podczas gdy Winston, schylając się z gwałtownym zamachem, zdołał dosięgnąć palców stóp bez zginania kolan, pierwszy raz od kilku lat.

#### 4

Z głębokim, nieświadomym westchnieniem, którego na progu kolejnego dnia pracy nie umiał powstrzymać nawet w sąsiedztwie teleekranu, Winston sięgnął po głosopis, zdmuchnął kurz z ustnika i założył okulary. Następnie rozprostował i spiął razem cztery nieduże rulony papieru, które zdążyły już wyskoczyć z rury pneumatycznej na prawą stronę biurka.

W ścianach boksów znajdowały się trzy otwory. Po prawej stronie głosopisu mała rura pneumatyczna na pisemne notatki; po lewej — większa na gazety; w ścianie bocznej, w zasięgu ręki Winstona, duża, podłużna szczelina, zabezpieczona kratką z drutu. Przez ostatni z otworów wyrzucało się niepotrzebne papiery. Tysiące albo dziesiątki tysięcy podobnych szczelin były rozsiane po całym budynku; znajdowały się nie dość, że w każdym pomieszczeniu, to jeszcze, dosłownie co parę kroków, na korytarzach. Z jakiegoś powodu mówiono o nich „szczeliny pamięci”. Kiedy jakiś dokument przeznaczono do zniszczenia albo gdy człowiek natykał się na walający się, niepotrzebny kawałek papieru, automatycznie podnosił kłapkę najbliższej szczeliny pamięci i tam go wrzucał; papier odlatywał, niesiony strumieniem ciepłego powietrza, i lądował w ogromnym piecu, ukrytym w trzewiach budynku.

Winston uważnie obejrzał cztery dopiero co rozprostowane kartki papieru. Każda zawierała tylko jedną lub dwie linijki tekstu. Skrótowy żargon nie był w ścisłym sensie nowomową, choć pojawiało się w nim wiele typowych dla niej słów — w ten sposób komunikowano wewnątrz sprawy ministerstwa. Przeczytał:

times 17.3.84 przemowa wb mylraport afryka sprostować  
times 19.12.83 prognozy pl 3-1 4-ty kwartał 83 litbład poprawić aktual  
wydanie  
times 14.2.84 minidobro mylcytat czekolada sprostować  
times 3.12.83 relacja wb orędzie plusplusniezadowała dot nieosoba prze-  
pisać cały przedprzel antearchi.

Z pewnym zadowoleniem Winston odłożył na bok wiadomość czwartą. Zawierała skomplikowane i odpowiedzialne zadanie, które wolał zostawić na potem. Pozostałe trzy należały do prac rutynowych, choć drugie mogło wymagać żmudnego przeglądania kolumn cyfr.

Winston wybrał „stare numery” na teleekranie i zamówił odpowiednie wydania „Timesa”<sup>16</sup>. Wyśliznęły się z pneumatycznej rury dosłownie po paru minutach. Otrzymane wcześniej wiadomości odnosiły się do artykułów lub informacji prasowych, w odniesieniu do których z takiego czy innego powodu postanowiono, iż wymagają zmodyfikowania czy raczej, w urzędowym żargonie, sprostowania. Przykładowo, z wydania „Timesa” z 17 marca można było wywnioskować, że Wielki Brat w mowie wygłoszonej poprzedniego dnia przewidywał spokój na froncie południowoindyjskim i rychłą eurazjatycką ofensywę w Afryce Północnej. A jednak Wysokie Dowództwo Eurazjatyckie rozpoczęło ofensywę w południowych Indiach, zostawiając Afrykę Północną w spokoju. Należało wobec tego przepisać akapit przemówienia Wielkiego Brata w taki sposób, żeby zapowiadał to, co w istocie zaszło. Z kolei w „Timesie” z 19 grudnia publikowano oficjalne prognozy produkcji różnych dóbr konsumpcyjnych w czwartym kwartale 1983 roku, będącym jednocześnie szóstym kwartałem Dziewiątego Planu Trzyletniego. Dzisiejsze wydanie podawało informację o faktycznym poziomie produkcji, z którego wynikało, że wszystkie przewidywania były całkowicie chybione. Zadanie Winstona polegało na sprostowaniu oryginalnych liczb tak, żeby zgadzały się z tymi podanymi ostatnio. Trzecia wiadomość odnosiła się do bardzo prostego błędu, do naprawienia w parę minut. Nie dawniej niż w lutym Ministerstwo Dobrobytu złożyło obietnicę („zdecydowane zapewnienie”, jak to oficjalnie ujęto), że do końca roku 1984 nie nastąpi zmniejszenie racji czekolady. Ale Winston już wiedział, że przydział zostanie zredukowany z trzydziestu do dwudziestu gramów pod koniec bieżącego tygodnia. Należało jedynie zastąpić oryginalną obietnicę ostrzeżeniem, że w kwietniu prawdopodobnie zajdzie konieczność ograniczenia racji.

Po uporaniu się z daną sprawą, Winston przypinał głosopisaną poprawkę do odpowiedniego numeru „Timesa” i wpychał do tuby. Następnie niemal bezwiednie zginał kartki z zadaniami oraz wszelkie swoje notatki i wrzucał je do szczeliny pamięci, żeby spłonęły.

Co działo się w niewidocznym labiryncie, do którego prowadziły rury pneumatyczne, tego dokładnie nie wiedział, miał jedynie ogólne pojęcie. Gdy wszystkie niezbędne poprawki do danego wydania „Timesa” zostały zebrane i sprawdzone, drukowano nową wersję owego numeru, podmieniano egzemplarz w archiwum, następnie oryginał niszczone. Ciągłym modyfikacjom ulegały nie tylko artykuły, ale też książki, periodyki, pamflety, plakaty, ulotki, filmy, ścieżki dźwiękowe, komiksy, fotografie — wszystkie rodzaje literatury czy dokumentacji, które mogłyby mieć jakiegokolwiek znaczenie polityczne lub ideologiczne. Dzień po dniu, niemal minuta po minucie, uaktualniano przeszłość. Dzięki temu można było udowodnić i udokumentować trafność każdej partyjnej prognozy; żadna informacja ani opinia nie mogła przetrwać, o ile nie odpowiadała wymogom teraźniejszości. Historia była palimpsestem, wycieranym do czysta i zapisywanym od nowa tak często, jak było to potrzebne. Po wprowadzeniu tego rodzaju zmian nikt nie udowodniłby fałszerstwa. Największa sekcja Departamentu Archiwów, o wiele większa od tej, gdzie

<sup>16</sup>*Times* — właśc. „The Times”, brytyjski dziennik społeczno-polityczny, wydawany od 1785 roku w Londynie. [przypis edytorski]

pracował Winston, składała się z osób, których jedyne zadanie polegało na wyszukiwaniu i zbieraniu wszystkich kopii książek, gazet i innych dokumentów, przeznaczonych do zniszczenia po zastąpieniu ich nowszymi wersjami. Wydanie „Timesa” modyfikowane, powiedzmy, tuzin razy z powodu zmian układów politycznych lub błędnych prorocstw, ogłoszonych przez Wielkiego Brata, nadal nosiło oryginalną datę, przy czym nie istniał żaden egzemplarz niezgodny z oficjalną wersją. Wycofywano i ciągle przepisywano na nowo także książki, oczywiście bez ujawniania tego procesu. Nawet pisemne instrukcje, które Winston otrzymywał i które natychmiast po załatwieniu sprawy podlegały zniszczeniu, nie wspominały o fałszerstwie ani nie sugerowały takiej możliwości. Była w nich mowa o błędach, przeinaczeniach, literówkach, nieprawidłowych cytowaniach, które po prostu należało skorygować w imię precyzji.

Właściwie trudno mówić tu o fałszerstwie, myślał Winston, poprawiając liczby dotyczące Ministerstwa Dobrobytu. Było to raczej zastępowanie jednego nonsensu innym. Materiał, na którym się pracowało, przeważnie nie miał żadnego związku z czymkolwiek w świecie rzeczywistym, nawet takiego, jaki zachodzi w przypadku zwykłego kłamstwa. Oryginalne statystyki były równie fantastyczne jak sprostowania. Najczęściej wymyślał je jakiś pracownik. Przykładowo, Ministerstwo Dobrobytu zakładało produkcję butów na poziomie stu czterdziestu pięciu milionów par w danym kwartale. Faktyczna produkcja wyniosła sześćdziesiąt dwa miliony. Jednak przepisując prognozę, Winston obniżał liczbę do pięćdziesięciu siedmiu milionów, aby można było wykazać, że plan został przekroczony. Tak czy inaczej, sześćdziesiąt dwa miliony nie były liczbą prawdziwszą niż pięćdziesiąt siedem milionów czy sto czterdzieści pięć milionów. Całkiem możliwe, że nie wyprodukowano w tym czasie żadnych butów. Co jeszcze bardziej prawdopodobne, nikt nie wiedział, ile par obuwia wytworzono, i nikogo to nie obchodziło. Każdy się orientował, że co kwartał astronomiczna liczba butów była produkowana na papierze, podczas gdy mniej więcej połowa populacji Oceanii chodziła boso. Wszelkie zapisane fakty — doniosłe czy nieistotne — właśnie tak wyglądały. Wszystko rozpyływało się w sfabrykowanej mgłę i w końcu nie było już nawet pewne, który jest rok.

Winston rozejrzał się po hali. Po drugiej jej stronie, w identycznym boksie siedział nieduży, pedantyczny mężczyzna z cieniem zarostu na brodzie. Nazywał się Tillotson i był całkowicie pochłonięty pracą; na kolanie miał złożoną gazetę, a do twarzy przysunięty ustnik glosopisu. Sprawiał wrażenie, jakby zależało mu, aby jego słowa pozostały tajemnicą, dzieloną wyłącznie z teleekranem. Kiedy podniósł głowę, jego okulary posłały Winstonowi wrogi błysk.

Winston prawie nie znał Tillotsona, nie wiedział, czym tamten się zajmuje. Ludzie z Departamentu Archiwów niechętnie rozmawiali o swojej pracy. W długiej, pozbawionej okien hali z podwójnym rzędem stanowisk, wśród niekończącego się szelestu papierów i pomruku słów szeptanych do glosopisów siedziało kilkadziesiąt osób, których nie znał nawet z nazwiska, choć widywał je codziennie, przemykające korytarzami albo gestykulujące podczas Dwóch Minut Nienawiści. Wiedział, że w sąsiednim boksie drobna kobieta z włosami w kolorze piasku śleczy dzień po dniu, wyszukując i usuwając z prasy nazwiska ludzi, których ewaporowano i których w związku z tym uważano za nigdy nieistniejących. Przydzielenie jej tego zadania było w jakimś sensie logiczne, ponieważ kilka lat wcześniej ewaporowano także jej męża. Parę stanowisk dalej delikatne, nieudolne, rozmarzone stworzenie o nazwisku Ampleforth, o bardzo włochatych uszach i zdumiewającym talencie do żonglowania rymami i rytmem zdań, zajmowało się produkcją zniekształconych — „ostatecznych”, jak je nazywano — wersji poezji, które stały się ideologicznie niepoprawne, ale z jakiegoś powodu chciano zachować je w antologiach. Owa hala z około pięćdziesiątką pracowników była tylko jedną sekcją, jakby pojedynczą komórką w ogromnym, złożonym organizmie Departamentu Archiwów. Dalej, wyżej i niżej roje urzędników wykonywały niewyobrażalną liczbę zadań. W gmachu mieściły się ogromne drukarnie, w których zatrudniano korektorów i specjalistów od typografii, oraz wyposażone w zaawansowany sprzęt studia do fałszowania zdjęć. Istniała też sekcja teleprogramów, do której zaangażowano inżynierów, producentów i grupy aktorów, wybranych z uwagi na umiejętność naśladowania głosów. Ponadto armia urzędników tworzyła listy książek i czasopism, które należało wycofać. Znajdowały się tu ogrom-



ne repozytoria<sup>17</sup>, gdzie składowano poprawione dokumenty, i ukryte piece, w których niszczone oryginały. Co więcej, gdzieś na terenie budynku, choć nikt nie wiedział gdzie dokładnie, działały anonimowe mózgi zawiadujące całą tą operacją, koordynujące prace poszczególnych sekcji i decydujące o tym, co z przeszłości ma zostać zachowane, co sfalszowane, a co wymazane i unicestwione.

A przecież Departament Archiwów stanowił tylko jedną z wielu gałęzi Ministerstwa Prawdy, którego podstawowe zadanie polegało nie na rekonstruowaniu przeszłości, lecz na dostarczaniu mieszkańcom Oceanii prasy, filmów, podręczników, teleprogramów, sztuk scenicznych, powieści, każdej możliwej informacji, instrukcji czy rozrywki — od pomnika po slogan, od liryki po rozprawę naukową z zakresu biologii, od książeczek dla dzieci po *Słownik nowomowy*. Ministerstwo musiało nie tylko zaspokajać rozmaite potrzeby Partii, ale też powtarzać całą operację na niższym poziomie na rzecz proletariatu. Istniał cały łańcuch oddzielnych departamentów, zajmujących się literaturą, muzyką, teatrem i, ogólniej, rozrywką proletariacką. Tu powstawały brukowce, zawierające niemal wyłącznie sport, ciekawostki kryminalne, astrologię, powieści sensacyjne po pięć centów, filmy ociekające seksem i sentymentalne piosenki, które komponowano całkowicie mechanicznie na specjalnym kalejdoskopie określanym mianem wersyfikatora. Była nawet odpowiednia podjednostka — znana w nowomowie jako Pornokom — zajmująca się produkowaniem najpodlejszej pornografii, rozsyłanej w szczelnych opakowaniach, której nikomu z Partii, poza osobami zaangażowanymi w produkcję, nie wolno było oglądać.

Kiedy Winston zajęty był pracą, z rury pneumatycznej wyslizgnęły się trzy wiadomości; były to proste sprawy i poradził sobie z nimi przed Dwoma Minutami Nienawiści. Po Nienawiści wrócił do boksu, zdjął z półki *Słownik nowomowy*, odsunął głosopis, przetarł okulary i zabrał się do zasadniczego zadania tego poranka.

Największą przyjemnością życiową Winstona była jego praca. Przeważnie sprowadzała się do żmudnej rutyny, czasem jednak trafiały się wyzwania tak trudne i intrygujące, że można było się w nich pograć jak podczas rozwiązywania zagadki matematycznej. Wymagały fałszerstw bardzo subtelnych, a jedyną instrukcją stanowiła znajomość zasad angosocu, połączona z wyczuciem oczekiwań Partii. Winston był w tym dobry. Zdarzało się, że powierzano mu prostowanie najważniejszych artykułów z „Timesa”, pisanych w całości w nowomowie. Rozwinął wiadomość, którą wcześniej odłożył na bok:

times 3.12.83 relacja wb orędzie plusplusniezadowała dot nieosoba przepisać cały przedprzeł antearchi.

W staromowie można to wyrazić następująco:

Relacja z codziennego orędzia Wielkiego Brata w numerze „Timesa” z 3 grudnia 1983 roku jest wybitnie niezadowolająca i zawiera wzmianki o nieistniejących osobach. Przepisać w całości i przedstawić przełożonemu przed archiwizacją.

Winston przeczytał zakwestionowany artykuł. Orędzie Wielkiego Brata z tamtego dnia skupiało się głównie na pochwałach organizacji znanej jako ZPF, dostarczającej papierosy i innego rodzaju luksusowe dobra marynarzom z pływającej fortecy. Niejaki towarzysz Withers, prominentny członek Wewnętrznej Partii, zasłużył sobie na imienną wzmiankę i odznaczenie — Order Najwyższej Zasługi drugiej klasy.

Trzy miesiące później ZPF nagle rozwiązano, bez żadnego uzasadnienia. Można się było domyślać, że Withers i jego towarzysze popadli w niełaskę, jednak ani prasa, ani teletelekrany nie podały żadnych wiadomości na ten temat. Nie było to zaskakujące, wzięwszy pod uwagę, że przestępców politycznych raczej nie stawiano przed sądem ani nawet nie denuncjowano ich publicznie. Wielkie czystki, dotyczące tysięcy ludzi, z publicznymi procesami zdrajców i myślozbrodniarzy, którzy przyznawali się do odrażających przestępstw, a następnie szli na stracenie, stanowiły szczególny rodzaj teatru i nie zdarzały się częściej niż raz na parę lat. Ludzie, którzy podpadli Partii, przeważnie po prostu znikali i nikt o nich więcej nie słyszał. Niektórzy pewnie nawet dalej żyli. Spośród osób znanych

<sup>17</sup>repozytorium (daw.) — szafa lub półka na akta urzędowe. [przypis edytorski]

Winstonowi znikło w ten sposób, w różnych momentach, może trzydzieści, nie licząc jego rodziców.

Winston podrapał się po nosie spinaczem. W boksie po przeciwnej stronie towarzysza Tillotson nadal kulił się konspiracyjnie nad swoim głosopisem. Na moment podniósł głowę: znów ten wrogi błysk. Winston był ciekaw, czy Tillotson trzyma się nad tym samym tekstem co on. Było to całkiem możliwe. Tak skomplikowane zadanie nie zostałyby powierzone tylko jednej osobie, a przekazanie go komisji oznaczałoby otwarte przyznanie się, że chodzi o sfabrykowanie informacji. Z dużym prawdopodobieństwem tuzin ludzi pracowało właśnie nad alternatywnymi wersjami faktycznego przemówienia Wielkiego Brata. Następnie jakaś mądra głowa z Wewnętrznej Partii wybierze tę lub tamtą wersję, zredaguje i wprawi w ruch skomplikowany proces dostosowywania całej reszty dokumentacji, żeby wybrane kłamstwo na trwałe weszło do archiwum i stało się prawdą.

Winston nie wiedział, czym Withers podpadł. Może chodziło o korupcję albo brak kompetencji lub też Wielki Brat pozbywał się zbyt popularnego podwładnego. Może Withersa lub kogoś z jego otoczenia podejrzewano o heretyckie skłonności. Albo — i to było najbardziej prawdopodobne — stało się tak po prostu dlatego, że czystki i ewaporacje stanowiły nieodzowny element mechanizmu władzy. Jedyna wskazówka zawierała się w słowach „dot nieosoba”, sugerujących, że Withers już nie żyje. Aresztowanie nie zawsze oznaczało śmierć. Zdarzało się, że zatrzymanych wypuszczano, pozwalano im żyć przez rok lub dwa na wolności i dopiero wtedy dokonywano egzekucji. Bywało i tak, bardzo rzadko, że ktoś, kogo od dawna uważało się za martwego, wracał jak duch przy okazji jakiegoś publicznego procesu, podczas którego w swoim zeznaniu ujawniał nazwiska wielu innych winowajców; następnie zniknął, tym razem już na zawsze. Ale Withers był już *nieosobą*. Nie istniał, nigdy nie istniał. Winston zdecydował, że nie wystarczy zwykłe odwrócenie przesłania mowy Wielkiego Brata. Lepiej napisać tekst od nowa, skupiając się na sprawie kompletnie niepowiązanej z oryginalnym tematem.

Mógł przerobić przemówienie na zwyczajowe potępienie zdrajców i myślozbrodniarzy, ale to było nieco zbyt oczywiste, z kolei spreparowanie wojennego zwycięstwa czy triumfalnego przekroczenia założeń Dziewiątego Planu Trzyletniego za bardzo skomplikowałyby dokumentację. Potrzebował wytworu czystej fantazji. I nagle w jego głowie pojawiła się w pełni uformowana postać niejakiego towarzysza Ogilvy'ego, który niedawno w bohaterskich okolicznościach zginął na wojnie. Wielki Brat poświęcał czasem Orędzie Dnia na upamiętnienie jakiegoś skromnego, szeregowego członka Partii, ukazując jego życie i śmierć jako przykład godny naśladowania. Dziś upamiętni towarzysza Ogilvy'ego. Rzecz jasna, nie było żadnego towarzysza Ogilvy'ego, ale parę linijek tekstu i sfabrykowane zdjęcia z łatwością powołają go do istnienia.

Winston pomyślał przez chwilę, następnie zbliżył do twarzy głosopis i zaczął dyktować tekst dobrze znanym stylem Wielkiego Brata — jednocześnie żołnierskim i pedantycznym, a także łatwym do naśladowania, ze względu na zabieg stylistyczny polegający na zadawaniu pytań, na które mówiący sam od razu odpowiadał („Czego uczy nas to doświadczenie, towarzysze? Uczy nas jednej z podstawowych zasad angso-cu, a mianowicie że...” itd., itd.).

W wieku trzech lat towarzysz Ogilvy nie uznawał żadnych zabawek poza werblem, pistoletem maszynowym i modelem helikoptera. Jako sześciolatek — o rok wcześniej niż inne dzieci, bo zrobiono dla niego wyjątek — wstąpił w szeregi Szpiegów; w wieku lat dziewięciu był już zastępowym. Gdy miał jedenaście lat, wydał myślopolicii własnego wujka po podsłuchaniu rozmowy, w której, jak mu się wydawało, pojawiły się nielegalne treści. Jako siedemnastolatek został lokalnym liderem Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej. Dwa lata później wynalazł granat ręczny, który Ministerstwo Pokoju wprowadziło do użytku; podczas pierwszej próby pojedynczy wybuch zlikwidował trzydziestu jeden eurazjatyckich więźniów. W wieku dwudziestu trzech lat zginął w akcji. Leciał nad Oceanem Indyjskim z ważnymi depezsami; kiedy dogoniły go odrzutowce wroga, wraz z karabinem i depezsami katapultował się z helikoptera do głębokiej wody. „O tej śmierci — mówił Wielki Brat — nie można myśleć inaczej niż z zazdrością”. Wielki Brat dodał też parę uwag o prawomyślności i determinacji towarzysza Ogilvy'ego. Mianowicie był on stuprocentowym abstynentem, nie palił, jego jedyną rozrywkę stanowił codzienny godzinny trening fizyczny, ponadto złożył śluby czystości, uważając, że małżeństwo

Falsz

i troszczenie się o rodzinę uniemożliwią mu pełnienie służby z pełnym oddaniem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rozmawiał wyłącznie o zasadach angsocu, a jedynym celem jego życia była walka z eurazjatyckim wrogiem i tropienie szpiegów, sabotażystów, myślobrodniarzy oraz wszelkiej maści zdrajców.

Winston zastanawiał się, czy nie przyznać towarzyszowi Ogilvy'emu Orderu Najwyższej Zasługi; ostatecznie zrezygnował, bowiem wymagałoby to skorygowania wielu innych dokumentów.

Ponownie zerknął na rywala w przeciwległym boksie. Coś podpowiadało mu ponad wszelką wątpliwość, że Tillotson głowi się nad tym samym zadaniem. Nikt nie mógł wiedzieć, czyja wersja zostanie przyjęta, Winston był jednak przekonany, że będzie to jego tekst. Towarzysz Ogilvy, jeszcze godzinę temu nieistniejący, teraz stał się rzeczywisty. Dotarło do Winstona, że można stwarzać ludzi martwych, ale nie żywych. Towarzysz Ogilvy, który nigdy nie istniał w czasie teraźniejszym, zaistniał w przeszłości, a kiedy akt fałszerstwa zostanie zapomniany, jego istnienie stanie się tak autentyczne i tak samo możliwe do udokumentowania jak istnienie Karola Wielkiego<sup>18</sup> czy Juliusza Cezara<sup>19</sup>.

Falsz

## 5

W niskiej stołówce, głęboko pod ziemią, obiadowa kolejka przesuwiała się powoli rzadkimi zrywami. Pomieszczenie było już bardzo zatłoczone, panował w nim ogłuszający hałas. Przez kratę na kontuarze parował gulasz; jego kwaśny, metaliczny aromat przegrywał mimo wszystko z odorem Ginu Zwycięstwa. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdował się mały bar, a właściwie zwykła dziura w ścianie; tam można było kupić się w cenie dziesięciu centów za porcję.

— Akurat cię szukałem! — odezwał się głos za plecami Winstona.

Winston odwrócił się. Był to jego przyjaciel Syme, zatrudniony w Departamencie Badań. „Przyjaciel” to pewnie nie najważniejsze słowo, w tych czasach nie miało się przyjaciół, miało się towarzyszy; a jednak towarzystwo niektórych było przyjemniejsze od towarzystwa innych. Syme był filologiem, specjalistą od nowomowy. Wchodził w skład ogromnego zespołu ekspertów, opracowującego jedenaste wydanie *Słownika nowomowy*. Był małym stworzeniem, jeszcze mniejszym od Winstona, z ciemnymi włosami i dużymi, wypukłymi oczami, smutnymi, zarazem jednak szyderczymi; kiedy z kimś rozmawiał, oczy te uważnie badały twarz interlokutora.

— Chciałem zapytać, czy masz może żyletki — powiedział.

— Ani jednej! — odpowiedział Winston pospiesznie, jakby czuł się winny. — Wszędzie próbowałem. Chyba już ich nie robią.

Wszyscy pytali o żyletki. Po prawdzie miał jeszcze dwie nieużywane, które chował na później. Brakowało ich od miesięcy. W każdym momencie jakiegoś podstawowego artykułu brakowało w partyjnych sklepach. Czasem to były guziki, kiedy indziej nici do cerowania albo sznurowadła, obecnie problem dotyczył żyłek. Można je było dostać jedynie, i to nie zawsze, polując mniej lub bardziej skrycie na „wolnym” rynku.

— Używam tej samej od sześciu tygodni — skłamał Winston.

Kolejka drgnęła. Kiedy się zatrzymali, odwrócił się znowu do Syme'a. Obaj sięgnęli po zatłuszczone, metalowe tace, które piętrzyły się na kontuarze.

— Poszedłeś wczoraj na wieszanie jeńców? — spytał Syme.

— Pracowałem — powiedział Winston obojętnie. — Obejrzę sobie potem w kinie.

— To zupełnie nie to samo — zawyrokował Syme.

Jego ironiczne oczy przesuwwały się po twarzy Winstona. „Znam cię”, zdawały się mówić. „Przejrzałem cię. Bardzo dobrze wiem, dlaczego nie poszedłeś na wieszanie więźniów”. Intelktualnie Syme był jadowitym ortodoksem. Opowiadanie o nalotach na wioski wroga, procesach i spowiedziach myślobrodniarzy czy egzekucjach, odbywających się w piwnicach Ministerstwa Miłości, napawało go niezdrową rozkoszą. Rozmawiając z nim, należało odciągać go od tych tematów i kierować uwagę na zawiloci nowomowy,

Okrucieństwo, Przemoc

<sup>18</sup>Karol Wielki a. Karol I Wielki (ok. 742/747–814) — król Franków i Longobardów, cesarz rzymski od 800 r. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Juliusz Cezar a. Gajusz Juliusz Cezar (ok. 100/102–44 p.n.e.) — rzymski polityk, wódz, dyktator i pisarz. [przypis edytorski]

o których mówił fachowo i interesująco. Winston odwrócił nieco twarz, żeby uniknąć badawczego spojrzenia dużych, ciemnych oczu.

— To było dobre wieszanie — powiedział Syme nostalgicznie. — Kiedy im zwiążają stopy, to moim zdaniem wszystko psuje. Lubię widzieć, jak wierzgają. Ale przede wszystkim lubię samą końcówkę, kiedy wywalają języki. I są niebieskie, aż fioletowe. Ten szczegół do mnie przemawia.

— Następny, proszę! — krzyknęła prolka z chochlą, ubrana w biały fartuch.

Podetknęli talerze pod kratę. Na każdym sprawnie wylądował przepisowy obiad — miska różowo-szarego gulaszu, kawałek chleba, kostka sera, kubek Kawy Zwycięstwa bez mleka i tabletki sacharyny.

— Tam jest wolny stół — powiedział Syme — pod teleekranem. Weźmy po drodze gin.

Gin podano im w fajansowych kubkach bez ucha. Przedostali się przez zatłoczone pomieszczenie i postawili tace na metalowym blacie. W jednym rogu ktoś zostawił po sobie kałużę gulaszu, ohydną, przypominającą wymioty. Winston uniósł kubek z ginem, zamarł na moment, zbierając się na odwagę, po czym szybko przełknął smakujący benzyną płyn. Łzy nabiegły mu do oczu, zamrugał. Niespodziewanie odkrył, że jest głodny. Zaczął pochłaniać łyżką gulasz. W mętnej brei trafiły się kostki czegoś gąbczastego, co było chyba jakimś mięsnym preparatem. Nie odezwali się więcej, aż opróżnili miski. Przy stole po lewej, za plecami Winstona, ktoś bez ustanku paplał; nieprzyjemny głos, przypominający kwakanie kaczki, wybijał się ponad panujący w pomieszczeniu gwar.

— Jak idzie praca nad słownikiem? — spytał Winston, podnosząc głos, żeby przechrzycić panujący hałas.

— Powoli — odpowiedział Syme. — Siedzę w przymiotnikach. To fascynujące.

Na wzmiankę o nowomowie natychmiast wypogodniał. Odsunął swoją miskę, wziął chleb do jednej delikatnej dłoni, do drugiej kawałek sera i pochylił się nad stołem, żeby móc mówić bez podnoszenia głosu.

— Jedenaste wydanie to wydanie definitywne — powiedział. — Nadajemy językowi ostateczny kształt; ten, który przyjmie, kiedy już nikt nie będzie mówił inaczej. Kiedy skończymy, ludzie tacy jak ty będą musieli nauczyć się wszystkiego od początku. Pewnie ci się wydaje, że nasze zadanie polega na wymyślaniu nowych słów. Nic podobnego! Niszczymy je, całe zasoby, setki wyrazów każdego dnia. Okrawamy język do kości. Jedenaste wydanie będzie zawierało tylko słowa, które pozostaną w użyciu po 2050 roku.

Wgryzł się z apetytem w swój chleb, przełknął kilka razy i perorował dalej ze szczególnym, pedantycznym żarem. Jego szczupła, śniada twarz ożywiła się, oczy straciły ironiczny wyraz i stały się prawie rozmarzone.

— Niszczenie słów to piękna sprawa. Oczywiście największych cięć dokonujemy w czasownikach i przymiotnikach, są jednak również setki rzeczowników, kwalifikujących się do likwidacji. Nie chodzi tylko o synonimy, także o antonimy<sup>20</sup>. W gruncie rzeczy, jakie jest uzasadnienie dla istnienia wyrazu, oznaczającego prostą odwrotność innego? Każdy wyraz zawiera w sobie swoje przeciwieństwo. Na przykład „dobry” — po co nam „zły”? Wyraz „bezdobry” wystarczy, a właściwie jest lepszy, bo to dokładne zaprzeczenie, podczas gdy „zły” nim nie jest. Albo kiedy potrzebujesz mocniejszej wersji „dobrego”, jaki jest sens w tworzeniu całego ciągu nieprecyzyjnych, bezużytecznych określeń, takich jak „świetny”, „wspaniały” i cała reszta? „Plusdobry” załatwia sprawę, a jeśli potrzeba jeszcze mocniej — „plusplusdobry”. Oczywiście już używamy tych słów, ale w ostatecznej formie nowomowy inne po prostu nie będą istniały. W końcu całą tę sprawę dobra i zła da się załatwić sześcioma słowami, a tak naprawdę jednym. Nie widzisz, jakie to piękne, Winstonie? Rzecz jasna, pomyśl ten wyszedł od W. B. — dodał po chwili.

Na wzmiankę o Wielkim Bracie na twarzy Winstona pojawiła się nieco przebrzmiała gorliwość. Syme jednak od razu wyczuł brak entuzjazmu.

— Tak naprawdę nie doceniasz nowomowy, Winstonie — powiedział prawie smutno. — Nawet kiedy piszesz po nowemu, nadal myślisz w staromowie. Czytałem niektóre

<sup>20</sup>antonim — wyraz o znaczeniu przeciwnym do innego wyrazu; przeciwieństwo synonimu. [przypis edytorski]

z tych kawałków, które czasem publikujesz w „Timesie”. Są całkiem dobre, ale to przekłady. W głębi serca wolisz mglistą staromowę z tymi wszystkimi zbędnymi odcieniami znaczeń. Nie łapiesz, jaką piękną sprawą jest niszczenie słów. Wiedziałeś, że nowomowa to jedyny język, którego zasób słów co roku się kurczy?

Winston wiedział o tym oczywiście. Uśmiechnął się, miał nadzieję, że sympatycznie; nie ufał sobie w tym momencie wystarczająco, żeby cokolwiek powiedzieć. Syme odgryzł kolejny kawałek ciemnego chleba, przeżuł szybko i ciągnął:

— Nie rozumiesz, że zasadniczym celem nowomowy jest ograniczenie pola myślenia? W końcu sprawimy, że myślozbrodnia stanie się dosłownie niemożliwa, ponieważ nie będzie słów, które by ją mogły wyrazić. Każde pojęcie, którego ludzie mogliby kiedykolwiek potrzebować, będzie się dało wyrazić *jednym* słowem o precyzyjnie określonym znaczeniu, wyczyszczonym ze wszelkich pobocznych sensów, bo te pójdą w niepamięć. W jedenastym wydaniu jesteśmy już bliscy tego celu, ale proces będzie trwał jeszcze długo po mojej i twojej śmierci. Rok po roku zasób słów będzie się kurczył, a wraz z nim — zakres świadomości. Już teraz żaden powód czy wymówka nie usprawiedliwia myślozbrodni. Prawomyślność jest kwestią samodyscypliny, kontrolowania rzeczywistości. W końcu jednak nawet i to nie będzie potrzebne. Rewolucja dopełni się, kiedy język osiągnie doskonałość. Nowomowa to angsoc, a angsoc to nowomowa — dodał z niemal mistyczną satysfakcją. — Przyszło ci kiedyś do głowy, Winstonie, że najpóźniej do 2050 roku nie będzie wśród żywych nikogo, kto mógłby zrozumieć rozmowę, którą teraz prowadzimy?

— Oprócz... — zaczął Winston niepewnie i urwał.

Miał już dokończyć: „Oprócz proli”, powstrzymał się jednak z obawy, że taka uwaga mogłaby okazać się nieortodoksyjna. Syme domyślił się jednak, co Winston zamierzał powiedzieć.

— Prole to nie ludzie — stwierdził beztrzesko. — Do 2050, a zapewne wcześniej, prawdziwa znajomość staromowy zaniknie. Cała istniejąca literatura zostanie zniszczona. Chaucer<sup>21</sup>, Shakespeare, Milton<sup>22</sup> czy Byron<sup>23</sup> będą istnieć tylko w nowomowie, staną się nie tylko czymś innym, ale wręcz przeciwieństwem tego, czym byli. Zmieni się także literatura partyjna. Nawet hasła ulegną modyfikacji. Nie będzie można powiedzieć „wolność to niewola”, kiedy pojęcie wolności zostanie wyeliminowane. Zasadniczy klimat myśli stanie się zupełnie inny. Właściwie *nie będzie* myśli takiej, jaką znamy dziś. Ortodoksja oznacza niemyślenie, brak potrzeby myślenia. Ortodoksja to nieświadomość.

Któregoś dnia, pomyślał nagle Winston z głębokim przekonaniem, Syme zostanie ewaporowany. Jest zbyt inteligentny. Widzi zbyt jasno i mówi za bardzo wprost. Partia nie lubi takich ludzi. Pewnego dnia zniknie. Ma to wypisane na twarzy.

Winston zjadł swój chleb i ser. Przesunął się odrobinę na krzesło i sięgnął po kawę. Przy stole po lewej mężczyzna o ostrym głosie dalej niestrudzenie nadawał. Słuchała go młoda kobieta, pewnie jego sekretarka, siedząca tyłem do Winstona, i zdawała się gorliwie przytakiwać wszystkim jego słowom. Od czasu do czasu do uszu Winstona docierała fraza w rodzaju „*Absolutnie się z wami zgadzam*” albo „*Myślę, że w stu procentach macie rację*”, wypowiedziana młodym i raczej głupio brzmiącym, kobiecym głosem. Ale mężczyzna nie pauzował nawet wtedy, kiedy dziewczyna coś wtrącała. Winston znał tego człowieka z widzenia, ale nie wiedział o nim nic ponadto, że tamten pełnił jakąś ważną funkcję w Departamencie Fikcji. Miał może trzydzieści lat, muskularną szyję i duże, ruchliwe usta. Głowę odchyłał nieco do tyłu, przez co światło padało na jego okulary pod takim kątem, że Winston dostrzegał tylko dwa ślepe dyski zamiast oczu. Nieco przerażające było to, że z potoku dźwięków, wydobywających się z jego ust, nie dało się zrozumieć prawie żadnego słowa. Tylko raz Winston wyłowił zbitkę — „kompletne i ostateczne wyeliminowanie goldsteinizmu” — wytrajkotaną tak szybko, że poszczególne wyrazy łączyły się w jedną całość, jakby to był odlany wers druku. Reszta była tylko hałasem, kwa-kwa-kwakaniem. A jednak, choć właściwie nie dało się usłyszeć, o czym ten człowiek mówi, nie można było mieć żadnych wątpliwości co do zasadniczej treści. Mógł potępić Goldsteina, żądać surowszych kar dla myślozbrodniarzy i sabotażystów,

Kondycja ludzka, Pozycja społeczna

Kondycja ludzka

<sup>21</sup>Chaucer, Geoffrey (ok. 1343–1400) — angielski poeta, filozof i dyplomata. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Milton, John (1608–1674) — poeta i pisarz angielski. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Byron, George Gordon (1788–1824) — angielski poeta i dramaturg romantyczny. [przypis edytorski]

pieklić się na potworności popełniane przez eurazjatycką armię, wychwalać Wielkiego Brata czy bohaterów frontu malabarskiego — to nie robiło żadnej różnicy. Cokolwiek mówił, można było mieć pewność, że każde zdanie wyrażało czystą ortodoksję, nieskazitelny angsoc. Obserwując pozbawioną oczu, kłapiącą pospiesznie szczękę, Winston miał dziwne wrażenie, że nie patrzy na prawdziwego człowieka, tylko na coś w rodzaju marionetki. To nie mózg tego mężczyzny mówił, mówiła jego krtań. To, co się z niej wydobywało, składało się ze słów, ale nie było mową w prawdziwym znaczeniu: był to hałas, wydobywający się z nieświadomości, jak kwakanie kaczki.

Syme zamilkł na chwilę, trzonkiem swojej łyżki rysował jakieś wzory w kałuży gulaszu. Głos z drugiego stolika kwakał nieustannie, wybijając się ponad gwar stołówek.

— Jest w nowomowie jedno słowo — powiedział Syme. — Nie wiem, czy je znasz: *kwaczyć*, czyli mówić w sposób przypominający kwakanie kaczki. To jedno z tych interesujących słów o dwóch przeciwstawnych znaczeniach. W odniesieniu do przeciwnika będzie obelgą, skierowane do kogoś, z kim się zgadzasz, stanie się pochwałą.

Syme bez wątpienia zostanie ewaporowany, pomyślał znowu Winston. Myśli tej towarzyszył pewnego rodzaju smutek, chociaż wiedział, że Syme raczej go nie lubi, gardzi nim i bez wahania zadencjonowałby go jako myślozbrodniarza, gdyby tylko uznał, że istnieją ku temu podstawy. Coś było z Syme'm trochę nie tak. Czegoś mu brakowało: dyskrecji, dystansu, zbawiennej głupoty. Nie dało mu się zarzucić braku ortodoksji. Wierzył w zasady angsocu, wielbił Wielkiego Brata, celebrował zwycięstwa, nienawidził heretyków — nie dość, że szczerze, to jeszcze z pewnego rodzaju nerwową gorliwością. Miał zawsze najświeższe informacje, do których zwykli członkowie Partii nie docierali. A jednak towarzyszyła mu ledwie wyczuwalna aura złej sławy. Mówił rzeczy, których lepiej byłoby nie wypowiadać na głos, przeczytał za dużo książek, bywał w kawiarni Pod Kasztanem, zagłębiu muzyków i malarzy. Nie istniało prawo, nawet niepisane, zabraniające przesiadywania w tym miejscu, a jednak źle to wróżyło. Zbierali się tam starzy, zdyskredytowani partyjniacy tuż przed czystką. Podobno widywano tam nawet samego Goldsteina lata temu. Nietrudno było przewidzieć dalsze losy Syme'a. A jednak faktem było, że gdyby Syme choć na trzy sekundy uzyskał dostęp do sekretnych poglądów Winstona, natychmiast wydałby go myślopolicji. Każdy inny też by to zrobił, ale Syme chętniej niż inni. Tylko że sama gorliwość nie wystarczy. Ortodoksja to nieświadomość.

Syme podniósł wzrok.

— Idzie Parsons — powiedział.

Coś w tonie jego głosu sugerowało, że miał ochotę dodać: „ten pieprzony idiota”. Parsons, sąsiad Winstona z Rezydencji Zwycięstwa, istotnie zbliżał się do nich, klucząc między stolikami. Był przysadzistym mężczyzną średniego wzrostu, o jasnych włosach i żabiej twarzy. W wieku trzydziestu pięciu lat miał już walki tłuszczu na szyi i wokół pasa, ruszał się jednak żwawo, po chłopięcemu. Wyglądał jak powiększone dziecko, do tego stopnia, że choć miał na sobie przepisowy kombinezon, człowiek odruchowo widział go w granatowych szortach, szarej koszuli i czerwonej chuście Szpiegów. Myśląc o nim, miało się przed oczami dołeczki w kolanach i podwinięte rękawy, odsłaniające pulchne ramiona. Rzeczywiście, Parsons chętnie zakładał krótkie spodenki, kiedy tylko nadarzała się okazja w postaci pieszej wycieczki lub jakiejś innej formy aktywności fizycznej. Przywitał się z nimi radosnym „Cze, cze!” i usiadł, roztaczając intensywny odór potu. Jego różową twarz pokrywały kropelki wilgoci. Miał nadzwyczajną zdolność do pocenia się. Po mokrej rączce rakiетки do ping-ponga w Osiedlowym Domu Kultury można było poznać, że chwilę wcześniej z niej korzystał. Syme wyjął pasek papieru wypełniony długą kolumną słów i studiował je teraz z ołówkiem kopiowym w ręku.

— Popatrz, pracuje nawet przy obiedzie! — powiedział Parsons, szturchając Winstona. — To dopiero zapał, co? Co tam masz, stary? Pewnie dla mnie za mądre. Smith, stary, powiem ci, czemu cię ganiam; zapomniałeś o zrzutce.

— O której zrzutce? — zapytał Winston, odruchowo szukając portfela. Mniej więcej jedna czwarta wypłaty szła na dobrowolne zrzutki, tak liczne, że trudno było je spamiętać.

— Na Tydzień Nienawiści. No wiesz, na fundusz społeczny. Jestem skarbnikiem naszego bloku. Zamierzamy ostro się postarać, będzie co podziwiać. Już ja dopilnuję, żeby Rezydencja Zwycięstwa miała najlepszą wystawę flag w okolicy. Obiecałeś mi dwa dolary.

Społecznik

Winston wysupłał dwa pognicione, brudne banknoty i wręczył je Parsonsowi, co ten ładnym piśmem słabo wykształconego człowieka skrupulatnie odnotował w małym notesie.

— *À propos*<sup>24</sup>, staruszk — powiedział — słyszałem, że ten mój bachor strzelił do ciebie wczoraj z katapulty. Dałem mu za to popalić. Powiedziałem, że mu ją zabiorę, jeśli jeszcze raz to zrobi.

— Chyba był trochę niezadowolony, że nie mógł zobaczyć egzekucji — odrzekł Winston.

— Bywa, ale, jak to się mówi, nastawienie ma dobre, nie? Psotne te moje szczeniaki, jedno i drugie, ale jakie pilne! Myślą tylko o Szpiegach. I o wojnie, oczywiście. Wiecie, co zrobiła ta moja mała w zeszłą sobotę, kiedy jej drużyna poszła na wyprawę w okolice Berkhamstead<sup>25</sup>? Zgarnęła dwie inne smarkule, razem urwały się z wycieczki i spędziły popołudnie, śledząc jakiegoś faceta. Trzymały mu się na ogonie przez dwie godziny, w lesie. A kiedy dotarli do Amersham<sup>26</sup>, nasłały na niego patrol.

— Dlaczego? — spytał Winston, trochę zdezorientowany.

Parsons ciągnął triumfalnie:

— Moja mała upewniła się, że to jakiś wrogi agent; może zrzucili go ze spadochronem, na przykład. Ale nie o to chodzi, staruszk. Jak sądzicie, po czym poznała? Otóż zauważyła, że miał na sobie dziwne buty. Mówi, że nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś takie nosił. Więc domyśliła się, że to cudzoziemiec. Bystra, jak na siedmioletnią smarkulę, nie?

— Co się stało z tym facetem? — spytał Winston.

— A tego to nie wiem. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby... — Parsons udał, że celuje z karabinu, i cmoknął, co miało imitować strzał.

— I dobrze — powiedział Syme mechanicznie, nie odrywając się od kartki.

— Oczywiście, nie można ryzykować — zgodził się Winston potulnie.

— Wojna to wojna, no nie? — powiedział Parsons.

Jakby na potwierdzenie tych słów, z teleekranu tuż nad ich głowami popłynął dźwięk trąbki. Tym razem jednak nie była to informacja o militarnym zwycięstwie, a jedynie ogłoszenie z Ministerstwa Dobrobytu.

— Towarzysze! — wołał z zapalem młodzieńczy głos. — Uwaga, towarzysze! Mamy dla was znakomitą wiadomość. Zwycięzamy na froncie produkcji! Statystyki podaży artykułów konsumpcyjnych pokazują, że standard życia podniósł się w ciągu ostatniego roku co najmniej o 20%. Dziś rano w całej Oceanii odbyły się spontaniczne, masowe demonstracje, pracownicy wylegli z fabryk i biur, aby paradować po ulicach z transparentami, wyrażającymi uznanie dla Wielkiego Brata za nowe, szczęśliwe życie, które zawdzięczamy jego światłemu przywództwu. Oto niektóre liczby. Artykuły spożywcze...

Kilka razy powtórzyła się fraza „nowe, szczęśliwe życie”; Ministerstwo Dobrobytu upodobało ją sobie ostatnimi czasy. Parsons, posłuszny wezwaniu trąbki, siedział zasłuchany z poważną miną i otwartymi ustami; nudził się, ale w sposób uroczysty. Nie nadążał za liczbami, jednak rozumiał, że stanowią powód do zadowolenia. Wyciągnął ogromną, wstrętą fajkę, do połowy wypełnioną zwęglonym tytoniem. Tygodniowy przydział wynosił 100 gramów, rzadko udawało się nabić fajkę do pełna. Winston palił Papierosa Zwycięstwa, pamiętając, żeby trzymać go w poziomie. Kolejny przydział będzie dostępny dopiero jutro, a zostały mu tylko cztery sztuki. Na chwilę odciął się od głosów i gwaru, skupił się na słowach płynących z teleekranu. Wygląda na to, że demonstrowano także, żeby podziękować Wielkiemu Bratu za podniesienie racji czekolady do 20 gramów tygodniowo. A dopiero wczoraj ogłaszano zmniejszenie racji do 20 gramów tygodniowo. Naprawdę mogli przełknąć coś takiego w ciągu zaledwie doby? Oczywiście, że tak. Parsons przetykał z łatwością, był tępy jak zwierzę. Pozbawiona oczu kreatura przy sąsiednim stoliku przetykała fanatycznie, z pasją, z obłąkanym pragnieniem, żeby wytropić, zdenuncjować i ewaporować każdego, kto zasugeruje, że w zeszłym tygodniu racja wynosiła 30 gramów. Nawet Syme — w jakiś bardziej złożony sposób, wykorzystujący dwójmyślenie — łykał to. Czy zatem tylko on — on *jeden* — posiadał pamięć?

<sup>24</sup>*à propos* (fr.) — nawiasem mówiąc, przy okazji. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Berkhamstead* — miasto w Anglii, położone w zach. części hrabstwa Hertfordshire. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Amersham* — miasto w Anglii, w regionie South East England, w hrabstwie Buckinghamshire. [przypis edytorski]



Fantastyczne statystyki nadal płynęły z teleekranu. W porównaniu do zeszłego roku przybyło jedzenia, ubrań, domów, mebli, garnków, opału, statków, helikopterów, książek, dzieci — wszystkiego oprócz chorób, przestępstw i szaleństwa. Rok po roku, minuta po minucie, wszyscy i wszystko pięło się ku coraz większemu dobrobytowi. Jak Syme parę chwil wcześniej, tak teraz Winston zaczął trzonkiem łyżki grzebać w bladym sosie, próbując nadać jakiś kształt długiej odnodze brei, rozlewającej się po blacie. Z obrzydzeniem myślał o fizycznej stronie życia. Czy zawsze tak to wyglądało? Czy jedzenie zawsze tak smakowało? Rozejrzał się po stolówce. Niskie, zatłoczone pomieszczenie, o ścianach powalanych od dotyku niezliczonych ciał, sfatygowane metalowe stoły i krzesła, tak bardzo stłoczone, że siedzący stykali się łokciami, pokrzywione łyżki, powyginane tace, wszystkie powierzchnie zatłuszczone, tłuszcz w każdym zagłębieniu; do tego kwaskowaty zapach złego ginu, złej kawy, metalicznego gulaszu i brudnych ubrań. W trzewiach i w skórze stałe odczuwało się bunt, jakby intuicję, że zostało się okradzionym z czegoś, do czego człowiek ma prawo. Fakt, nie pamiętał jakiegoś radykalnie innego świata. We wszystkich jego w miarę wyraźnych wspomnieniach brakowało jedzenia, całych skarpet i bielizny; meble zawsze były poobijane i rozklekotane, pomieszczenia niedogrzone, pociągi metra zatłoczone, domy w ruinie, chleb wyłącznie ciemny. Herbata była rzadkością, kawa — obrzydliwa, papierosów nigdy nie starczało. Wszędzie drożyzna. Brakowało wszystkiego poza syntetycznym ginem. Jasne, wraz ze starzeniem się ciała wszystko zaczyna ciążyć, czy jednak opisane odczucia nie sugerowały, iż *nie* był to mimo wszystko naturalny porządek rzeczy? Skoro człowiekowi robiło się słabo — od niewygody, brudu, niedostatku, od niekończących się zim, brudnych skarpet, popsutych wind, zimnej wody, szarego mydła, rozsypujących się papierosów, jedzenia smakującego dziwnie i podle; skoro to było aż tak bardzo nieznośne, czy nie należało wnioskować o istnieniu jakiejś głębszej pamięci o świecie, w którym sprawy miały się inaczej?

Znowu rozejrzał się dokoła. Prawie wszyscy byli brzydcy. Co więcej, byliby brzydcy nawet, gdyby zdjął z nich obowiązkowe niebieskie kombinezony i ubrać w coś innego. Po drugiej stronie pomieszczenia samotny mężczyzna, uderzająco podobny do żuka, pił kawę, podejrzliwie lypiąc na boki małymi oczkami. Dopóki człowiek się nie rozejrzy, pomyślał Winston, łatwo uwierzyć, że typ fizyczności uznawany przez Partię za ideał — wysocy, muskularni młodzieńcy i dziewczęta z wyraźnym wcięciem w talii, jasnowłosi, opaleni i beztroscy — nie dość, że istnieje, to wręcz dominuje w populacji. Ale tak naprawdę, na ile mógł się zorientować, ludzie zamieszkujący Pierwszy Pas Powietrzny byli przeważnie mali, ponurzy i szpetni. Żukopodobne typy roily się w ministerstwach: niscy, przysadziści, krótkonodzy mężczyźni, poruszający się jak insekty, z wyraźną już w młodym wieku skłonnością do tycia, z tłustymi twarzami o maleńkich oczach. Ten typ zdawał się rozkwitać pod panowaniem Partii.

Ponownie rozbrzmiał dźwięk trąbki, kończący ogłoszenie Ministerstwa Dobrobytu. Zaraz potem rozległa się blaszana muzyczka. Parsons, pobudzony przez bombardowanie liczb do nieokreślonego entuzjazmu, wyjął fajkę z ust.

— Ministerstwo Dobrobytu odwalilo w tym roku dobrą robotę — powiedział, kiwając głową jak ekspert. — *À propos*, Smith, staruszku, nie miałbyś czasem pożyczyc żyłki?

— Ani jednej — powiedział Winston. — Sam od sześciu tygodni używam tej samej.

— Trudno. Wolalem spytać.

— Przykro mi — odparł Winston.

Kwaczący głos, uciszony na czas ogłoszenia ministerstwa, znów się odezwał, tak samo głośno jak wcześniej. Winston zorientował się, że z jakiegoś powodu myśli o pani Parsons, o jej cienkich włosach i kurzu w bruzdach na jej twarzy. Nie miną dwa lata, a te dzieci wydadzą ją myślopolicji. Pani Parsons zostanie ewaporowana. Syme zostanie ewaporowany. Winston zostanie ewaporowany. O'Brien zostanie ewaporowany. Za to Parsons nigdy nie zostanie ewaporowany. Bezoka, kwacząca kreatura nigdy nie zostanie ewaporowana. Żukopodobni mężczyźni, przemykający jakże zwinnie po labiryntowych korytarzach ministerstwa nigdy nie zostaną ewaporowani. Ciemnowłosa dziewczyna z Departamentu Fikcji — ona również nigdy nie zostanie ewaporowana. Wydało mu się, że instyktownie

wie, kto przeżyje, a kto zginie, choć niełatwo było stwierdzić, co konkretnie predestynowało człowieka do przetrwania.

Nagle jednak coś gwałtownie wyrwało go z zamyślenia. Kobieta przy sąsiednim stoliku zmieniła nieco pozycję i spoglądała teraz na niego. To była ta z ciemnymi włosami. Patrzyła na niego z ukosa, ale dziwnie intensywnie. Kiedy ich oczy się spotkały, odwróciła się.

Pot spłynął po plecach Winstona. Poczł uderzenie straszliwej trwogi. Zaraz przeszło, ale zostawiło po sobie przewlekły dyskomfort. Czemu mu się przyglądała? Po co go śledziła? Niestety, nie mógł sobie przypomnieć, czy już tam siedziała, kiedy on się zjawił, czy przysła później. W każdym razie poprzedniego dnia, podczas Dwóch Minut Nienawiści, usiadła tuż za nim, chociaż nie było ku temu żadnego widocznego powodu. Prawdopodobnie miała za zadanie słuchać, czy Winston dość głośno krzyczy.

Wróciła do niego wcześniejsza myśl: pewnie nie była z myślopolicji, ale z drugiej strony to właśnie szpiegów-amatorów należało obawiać się najbardziej. Nie wiedział, jak długo na niego patrzyła, może już od paru minut; w tym czasie jego mimika mogła wymknąć się nieco spod kontroli. Zamyślanie się w miejscu publicznym lub w zasięgu teleekranu było skrajnie niebezpieczne. Można było zdradzić się najdrobniejszym szczegółem. Wystarczył nerwowy tik, nieświadomy wyraz niepokoju, jakieś wymamrotane do samego siebie słowo — cokolwiek, co zawierało w sobie sugestię odstępstwa od normy, czegoś do ukrycia. W każdym razie niewłaściwy wyraz twarzy (dajmy na to, niedowierzanie, kiedy ogłaszano zwycięstwo) sam w sobie stanowił karalne przestępstwo. W nowomowie istniało nawet specjalne określenie na coś takiego: *twarozbrodnia*.

Dziewczyna znowu odwróciła się w jego stronę. Może go jednak nie śledziła, może to był przypadek, że dwa dni z rzędu siadała tak blisko niego. Zgał mu papieros, więc ułożył go uważnie na krawędzi stołu. Jeśli uda się zachować tytoń w środku, skończy go palić po pracy. Możliwe, że osoba przy sąsiednim stoliku to szpieg myślopolicji i że w ciągu trzech dni Winston wylądzuje w kazamatach<sup>27</sup> Ministerstwa Miłości. Jednak końcówki papierosa nie wolno było zmarnować. Syme zwinął swój świstek i schował do kieszeni. Parsons znowu zaczął gadać:

— A czy opowiadałem ci, staruszk — mówił, ssąc koniec fajki — jak te moje małały podpałyły spódnice jednej starej handlarce, bo zobaczyły, że zawija kielbasę w plakat z Wielkim Bratem? Zakradły się od tyłu i podpałyły ją zapalkami. Nieźle się poparzyła. To dopiero urwisy, co? Ale jakie bystre! Dobrze ich trenują w tych Szpiegach, nawet lepiej niż za moich czasów. A jak myślicie, co im ostatnio rozdawali? Trąbki do podsłuchiwania przez dziurkę od klucza! Moja mała przyniosła taką do domu parę dni temu; wypróbowała na drzwiach od naszego pokoju i doszła do wniosku, że słyszy dwa razy lepiej, niż kiedy tylko przyciska ucho do dziurki. Oczywiście to tylko zabawka, ale już ich ustawia jak trzeba, no nie?

W tym momencie z teleekranu dobiegł przenikliwy gwizd. Był to sygnał, że trzeba wracać do pracy. Wszyscy trzech mężczyźni zerwali się na równe nogi, żeby przyłączyć się do walki o miejsce w windzie. Resztką tytoniu wysypała się Winstonowi z papierosa.

## 6

Winston pisał w swoim dzienniku:

Miało to miejsce trzy lata temu. Był ciemny wieczór, znalazłem się w wąskiej bocznej uliczce, nieopodal jednej z dużych stacji kolejowych. Stała przy wejściu, pod lampą, która prawie nie dawała światła. Miała młodą twarz, bardzo mocno umalowaną. To właśnie makijaż tak na mnie podziałał, biel twarzy, kojarząca się z maską, i jej jaskrawoczerwone usta. Partyjne kobiety nigdy się nie malują. Byliśmy sami na ulicy, nie było teleekranów. Powiedziała: dwa dolary. Ja...

Chwilowo nie dał rady pisać dalej. Zamknął oczy i przycisnął do nich palce, próbując wypchnąć obraz, który go prześladował. Odczuwał prawie obezwładniającą pokusę, żeby

<sup>27</sup>kazamaty — ciężkie więzienie, zlokalizowane w podziemiu. [przypis edytorski]

Strach

Dziecko, Okrucieństwo,  
Szpieg

Kobieta, Erotyzm

wykrzyzczyć serię przekleństw, co sił w płucach. Albo żeby walić głową w ścianę, przewrócić kopniakiem stół i wyrzucić kałamarz przez okno — wykonać dowolny gwałtowny, hulaśliwy lub bolesny gest, który pomoże zagłuszyć prześladowające go wspomnienie.

Najgorszym wrogiem człowieka, stwierdził, był jego układ nerwowy. W każdym momencie wewnętrzne napięcie może przybrać formę jakichś zewnętrznych objawów. Przypomnił sobie mężczyznę, którego spotkał na ulicy parę tygodni wcześniej: wyglądał jak całkiem zwyczajny członek Partii, czterdziesto-, może czterdziestopięcioletni, raczej wysoki i szczupły, z teczka w dłoni. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów, kiedy lewą stroną twarzy tamtego mężczyzny nagle wykrzywił spazm. Powtórzyło się to w chwili, kiedy się mijali: był to tylko skurcz, dreszcz, ruch tak błyskawiczny jak migawka aparatu, ale ewidentnie nawykowy. Winston pomyślał wtedy: ten biedak już nie żyje. Przerazające było to, że najprawdopodobniej nie był niczego świadomy. Śmiertelnie niebezpieczne było także mówienie przez sen. Nie było sposobu, żeby się przed tym uchronić, w każdym razie Winston go nie znał.

Wziął głęboki oddech i pisał dalej:

Wszedłem za nią do bramy i dalej, przez podwórko, pozwoliłem poprowadzić się do kuchni w suterenie. Przy ścianie stało łóżko, na stole lampa, bardzo przyciemniona. Ona...

Zacisnął zęby. Chciało mu się splunąć. Myśląc o kobiecie z suterenu, jednocześnie wspominał swoją żonę, Katharine. Winston był żonaty — w każdym razie dawniej był żonaty, czyli chyba nadal, bo z tego, co wiedział, jego żona nie umarła. Wydawało mu się, że znowu wdycha ciepły, duszny zapach tamtej kuchni, zapach, na który składały się pluskwy, nieświeże ubrania i podłże, tanie perfumy, i który mimo wszystko był pociągający, ponieważ żadna partyjna kobieta nigdy nie używała perfum — było to wręcz niewyobrażalne. Tylko prołki się perfumowały. A więc w jego umyśle tamten zapach jednoznacznie kojarzył się z kopulacją.

Idąc wtedy z tamtą kobietą, poddawał się słabości pierwszy raz od jakichś dwóch lat. Zadawanie się z prostytutkami było, oczywiście, zakazane, ale tego rodzaju zakazy od czasu do czasu można było łamać. Wiązało się z tym, rzecz jasna, pewne ryzyko, jednak nie śmiertelne. Człowiek przyłapany z prostytutką mógł zostać skazany na pięć lat ciężkich robót, ale nie więcej, o ile nie stwierdzono innych przewin. Jeśli zachowało się ostrożność, było to też po prostu łatwe. W biedniejszych dzielnicach roiło się od kobiet gotowych sprzedawać swoje ciała. Niektóre można było kupić za butelkę ginu, którego prołom nie wolno było pić. Po cichu Partia w zasadzie sprzyjała prostytutce, bo dzięki niej instynkty, których nie udawało się całkiem wykorzenić, znajdowały ujście. Zwyczajna rozpusta nie miała większego znaczenia, o ile popełniano ją w ukryciu i bez radości, i wyłącznie z kobietami z poniższej, zienawidzonej klasy. Swoboda seksualna pośród członków Partii była natomiast niewybaczalna. Ale też trudno sobie wyobrazić, że coś takiego mogłoby się w ogóle zdarzyć, choć oskarżeni w wielkich czystkach zawsze się do tego przyznawali.

Celem Partii było coś więcej niż tylko uniemożliwienie mężczyznom i kobietom tworzenia trudnych do kontrolowania więzi. Prawdziwą, niewypowiedzianą ambicją Partii było odarcie aktu seksualnego z wszelkiej przyjemności. Nie tyle miłość była na celowniku, co erotyka, tak w małżeństwie, jak i poza nim. Wszystkie śluby między członkami Partii musiały uzyskać akceptację komisji, wyznaczonej specjalnie do tego celu, i choć tej zasady nigdy nie werbalizowano — pozwolenia nie otrzymywała para, u której dało się zaobserwować wzajemny pociąg fizyczny. Jedyną respektowaną motywacją dla małżeństwa było poczynanie dzieci w służbie Partii. Akt seksualny należało traktować jako nieco obrzydliwy, drobny zabieg, podobny do lewatywy. To także nie było nigdzie zapisane, mimo to właśnie taką postawę wpajano członkom Partii od dzieciństwa. Istniały nawet organizacje, takie jak Młodzieżowa Liga Antyseksualna, promujące całkowitą abstynencję seksualną obydwu płci. Według nich dzieci miałyby przychodzić na świat w wyniku sztucznego zapłodnienia (*sztuza* w nowomowie) i być wychowywane w instytucjach publicznych. Winston miał świadomość, że tej ostatniej propozycji nie traktuje się całkiem serio, ale pasowała do ogólnej partyjnej ideologii. Partia chciała zabić popęd seksualny, a jeśli nie dało się go zabić, to przynajmniej wypaczyć go i zohydzić. Nie wiedział po co,

Niebezpieczeństwo

Kobieta, Zapach, Erotyzm,  
Żona

Seks, Pozycja społeczna

ale wydawało się to oczywiste. W przypadku kobiet wysiłki Partii były w dużej mierze skuteczne.

Znowu pomyślał o Katharine. To już dziewięć, dziesięć, prawie jedenaście lat, odkąd się rozstali. Dziwne, jak rzadko o niej myślał. Czasem przez wiele dni z rzędu nie pamiętał, że kiedykolwiek był żonaty. Byli razem może piętnaście miesięcy. Partia nie pozwalała na rozwody, ale bezdzietne pary zachęcała do separacji.

Katharine była wysoką, jasnowłosą dziewczyną o wyprostowanej postawie i pięknych ruchach. Miała odważną, orlą twarz, którą można by było określić jako szlachetną, gdyby nie to, że absolutnie nic się za nią nie skrywało. Już na wczesnych etapach pożycia małżeńskiego Winston zrozumiał, że była najbardziej próżną, głupią i prostacką osobą, jaką kiedykolwiek spotkał; ale może po prostu z nikim innym nie był aż tak blisko. W jej głowie nie pojawiała się żadna myśl niebędąca sloganem, nie istniał absolutnie żaden idiotyzm, którego by nie przełknęła, jeśli usłyszałaby go od Partii. „Ludzka ścieżka dźwiękowa” — tak ją w myślach przezywał. Ale dałby radę z nią żyć, gdyby nie jedna rzecz — seks.

Seks, Małżeństwo

Kiedy próbował jej dotknąć, wzdrygała się i drętwiała. Gdy ją obejmował, miał wrażenie, że tuli drewnianego manekina. Co najdziwniejsze, nawet kiedy go do siebie przyciskała, wydawało się, że jednocześnie z całej siły go odpycha. Za to wrażenie odpowiadała sztywność jej ciała, gdyż kobieta leżała z zamkniętymi oczami i ani nie walczyła, ani nie uczestniczyła w zbliżeniu miłosnym, tylko *poddawala się*. Te sytuacje były żenujące, a po pewnym czasie stały się po prostu nie do zniesienia. Ale nawet to Winston jakoś by wytrzymał, gdyby Katharine zgodziła się na życie w celibacie. O dziwo jednak to ona sprzeciwiała się takiemu rozwiązaniu. Uważała, że muszą, o ile to tylko możliwe, począć dziecko. Tak więc powtarzali to samo ćwiczenie regularnie raz na tydzień, chyba że było to akurat niemożliwe. Przypominała mu o tym nawet rano, jak o sprawie, którą trzeba załatwić wieczorem i o której nie wolno zapomnieć. Posługiwała się dwoma określeniami, pierwsze to „robienie dziecka”, drugie — „wypełnianie obowiązku wobec Partii” (tak, naprawdę używała tej frazy). Wkrótce Winston z coraz większą trwogą oczekiwał wyznaczonego dnia. Na szczęście Katharine nie zaszła w ciążę i dała wreszcie za wygraną, a wkrótce potem rozstali się.

Winston cichutko westchnął. Podniósł pióro i napisał:

Rzuciła się na łóżko i natychmiast, bez żadnego wstępu, najbardziej wulgarnym, ohydny gestem, jaki można sobie wyobrazić, zadarła spódnice.  
Ja...

Ujrzał siebie, stojącego w bladym świetle lampy i wdychającego woń pluskiew i tanich perfum, ogarniętego poczuciem klęski i żalu, który nawet w tamtym momencie mieszał się ze wspomnieniem białego ciała Katharine, na zawsze zamienionego w kawałek lodu przez hipnotyczną moc Partii. Czemu za każdym razem musiało to przebiegać w ten sposób? Dlaczego nie mógł mieć swojej kobiety, zamiast tej ohydnej, powtarzającej się co parę lat szamotaniny? Ale prawdziwy romans był czymś niemal niewyobrażalnym. Wszystkie partyjne kobiety były do siebie podobne. Czystość seksualną miały we krwi, podobnie jak lojalność wobec Partii. Implementowane od wczesnego dzieciństwa precyzyjne warunkowanie — poprzez gry, zimne prysznice i bzdury wpajane im w szkole, w Szpiegach i Lidze Młodzieżowej, poprzez wykłady, parady, piosenki, skandowanie hasel i muzykę wojskową — wykorzeniało naturalne uczucia. Rozum podpowiadał mu, że musiały istnieć jakieś wyjątki, ale serce w to nie wierzyło. Wszystkie były nie do zdobycia, zgodnie z wolą Partii. Bardziej nawet niż poczuć miłość pragnęły rozbić ten pancierz cnoty, choćby tylko raz w życiu. Udany akt seksualny był buntem. Pożądanie — myślozbrodnią. Nawet rozbudzenie Katharine, gdyby się powiodło, byłoby czymś w rodzaju zakazanego romansu, choć była jego żoną.

Kobieta, Klęska

Musiał jednak dokończyć swoją relację. Pisał więc:

Podkręciłem lampę. Kiedy zobaczyłem ją w świetle...

W półmroku pomieszczenia słabe światło lampy naftowej zdawało się bardzo jaskrawe. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się tej kobiecie. Postąpił o krok naprzód i zamarł,

przepełniony jednocześnie żądzą i trwogą. Był boleśnie świadom ryzyka, które podjął, przychodząc w to miejsce. Istniało spore prawdopodobieństwo, że jakiś patrol zatrzyma go, kiedy będzie wychodził; niewykluczone, że już czekają za drzwiami. Miałby zatem wyjść bez zrobienia tego, po co przyszedł?

Musiał to napisać, musiał to wyznać. Otóż w świetle zobaczył nagle, że ta kobieta jest *stara*. Jej twarz pokrywała warstwa makijażu tak gruba, że wydawało się, iż skruszy się jak tekturowa maska. Zobaczył siwe pasma w jej włosach. Jednak najokropniejsze było to, że kiedy rozchyliła usta, odsłoniła tylko ciemną jamę. Nie miała zębów.

Zapisał szybko, byle jakim pismem:

Kiedy zobaczyłem ją w świetle, okazało się, że to stara, co najmniej pięćdziesięcioletnia kobieta. Zrobiłem to mimo wszystko.

Znów przycisnął palce do oczu. Napisał to, ale nie przyniosło mu ulgi. Terapia nie zadziałała. Dalej miał ochotę krzyknąć i kląć.

7

*Jeśli istnieje nadzieja — napisał Winston — to w prolach.*

\*

Jeśli istniała nadzieja, to *wyłącznie* w prolach; tylko z tych lekceważonych, rojnych mas, stanowiących 85% populacji Oceanii, mogła wyłonić się siła zdolna do zniszczenia Partii. Obalenie Partii od środka było niemożliwe. Jej wrogowie, o ile istnieli, nie mieli możliwości skontaktowania się ze sobą, nie mogliby się nawet rozpoznać. Nawet jeśli istniało legendarne Bractwo, czego nie dało się wykluczyć, trudno sobie wyobrazić, żeby jego członkowie spotykali się w grupach większych niż dwu- czy trzyosobowe. Wyrazem buntu było porozumiewawcze spojrzenie, intonacja głosu lub — bardzo rzadko — jakieś wyszeptane słowo. Ale prole, gdyby tylko uświadomili sobie własną siłę, nie musieliby konspirować. Wystarczyłoby, żeby podnieśli się i otrzepali, jak koń strącający muchy. Gdyby chcieli, mogliby rozsadzić Partię na kawałki już jutro. W końcu chyba musi im to przyjść do głowy. A jednak!

Pewnego razu Winston szedł zatłoczoną ulicą, gdy nagle z bocznego zaułka parę kroków dalej dobiegł go donośny gwar setek głosów — kobiecych głosów. Był to potężny i przerażający krzyk gniewu i rozpacz, głębokie, głośnie „Oooooo!”; rozbrzmiewające w powietrzu jak bicie dzwonu. Serce Winstona przyspieszyło. „Zaczyna się!”, pomyślał. „Bunt! Prole w końcu powstają!”. Kiedy jednak dotarł na miejsce, ujrzał tłum kobiet, stłoczonych wokół straganów targu ulicznego, o twarzach tak zrozpaczonych, jakby były pasażerkami tonącego statku. Wspólna wściekłość rozpadła się już na wiele pojedynczych kłótni. Okazało się, że na jednym ze straganów ktoś sprzedaje blaszane garnki, marne i zapewne nietrwałe, ale i tak pożądane, bo bardzo trudno było dostać jakiegokolwiek sprzętu kuchenne. I akurat teraz sprzedawcy skończyły się zapasy. Kobiety, którym się udało, potrącane i szarpane przez resztę, próbowały wydostać się z tłumy ze swoimi łupami, podczas gdy dziesiątki rozczarowanych atakowały stragan, oskarżając kupca o kumoterstwo i ukrywanie towaru. Znowu rozległy się wrzaski. Dwie grube baby, jedna z rozpuszczonymi włosami, złapały ten sam garnek. Każda ciągnęła w swoją stronę, aż oderwał się uchwyt. Winston obserwował to zajście z niesmakiem. A jednak przez moment ich krzyk, krzyk zaledwie kilkuset gardeł, rozbrzmiewał z przerażającą mocą! Dlaczego nigdy nie krzyczą tak, gdy chodzi o coś naprawdę ważnego?

Zapisał:

O ile nie zostaną uświadomieni, nigdy się nie zbuntują, ale dopóki się nie zbuntują, nie staną się świadomi.

Po namyśle stwierdził, że to zdanie brzmi jak przepisane z któregoś z partyjnych podręczników. Partia twierdziła oczywiście, że wyzwala proli. Przed Rewolucją byli w obrzydliwy sposób gnębieni przez kapitalistów, doświadczały głodu i chłosty, ich kobiety zmuszono do pracy w kopalniach (w istocie kobiety nadal pracowały w kopalniach), a sześci-

Kobieta, Starość, Klęska,  
Rozczarowanie

Nadzieja, Bunt

Kondycja ludzka, Pozycja  
społeczna

letnie dzieci sprzedawano do fabryk. Jednocześnie jednak, zgodnie z zasadami dwójmyślenia, Partia głosiła, że prole są z natury gorsi i wymagają podporządkowania za pomocą kilku prostych reguł — jak zwierzęta. Tak naprawdę wiedza o prolach była bardzo ograniczona. Ale nie trzeba było dużo wiedzieć. O ile pracowali i rozmnażali się, nikogo nie obchodziło, co poza tym robią. Zostawieni samym sobie, jak bydło na równinach Argentyny, powrócili do naturalnego dla nich stylu życia, odziedziczonego po przodkach. Rodzili się, dorastali w rymsztoku, w wieku dwunastu lat zaczynali pracować, przechodzili przez krótki okres rozkwitu urody i pożądania seksualnego, żenili się jako dwudziestolatekowie, a w okolicy trzydziestki osiąkali wiek średni. Umierali przeważnie koło sześćdziesiątki. Ciężka, fizyczna praca, opieka nad domem i dziećmi, małe sąsiedzkie awantury, filmy, futbol, piwo, a przede wszystkim hazard — te sprawy wyznaczały ich umysłowe horyzonty. Nietrudno było utrzymać ich w ryzach. Kręciło się między nimi paru agentów myślopolicii. Rozpuszczali fałszywe plotki, identyfikowali i usuwali jednostki, co do których podejrzewano, że mogłyby stać się niebezpieczne, jednak nie podejmowano próby zaszczepienia ideologii Partii wśród proli. Silne uczucia polityczne w tej grupie nie były pożądane. Wymagało się od nich jedynie prymitywnego patriotyzmu, do którego można się było odwołać, gdy zachodziła potrzeba wydłużenia godzin pracy lub zmniejszenia racji żywnościowych. Nawet kiedy wyrażali niezadowolnienie, co czasem się zdarzało, do niczego to nie prowadziło, bowiem nie posiadając żadnej świadomości politycznej, skupiali się na pojedynczych, nieistotnych dokuczliwościach. Ogólniejsze zło niezmiennie im umykało. Ogromna większość proli nie posiadała nawet teleekranów. Także policja obywatelska rzadko wtrącała się w ich sprawy. Przestępczość w Londynie była ogromna, istniał cały osobny półświatek złodziei, bandytów, prostytutek, handlarzy narkotyków i wszelkiej maści kombinatorów, ponieważ jednak problem ten dotyczył tylko proli, nikogo to nie obchodziło. W kwestii moralności prolom wolno było postępować zgodnie ze swoją naturą. Nie wymagano od nich partyjnego purytanizmu seksualnego. Nie karano rozwiązłości, zezwalano na rozwody. Prawdopodobnie dopuszczono by nawet praktyki religijne, gdyby wyrazili taką potrzebę lub chęć. Byli poza wszelkim podejrzeniem. Jak ujmował to jeden ze sloganów Partii: „Prole i zwierzęta są wolne”.

Winston opuścił rękę i ostrożnie podrapał się po nodze. Owrzodzenie znowu swędziało. Rozmyślając, nieuchronnie wracał do tej samej kwestii: nie dało się ustalić, jak naprawdę wyglądało życie przed Rewolucją. Wyjął z szuflady szkolny podręcznik historii, pożyczony od pani Parsons, i zaczął przepisywać fragment do dziennika:

Dawno temu, przed wielką Rewolucją, Londyn nie był tym pięknym miastem, którym jest dzisiaj. Był miejscem ponurym, brudnym i biednym. Prawie wszyscy chodzili głodni, a setki, tysiące biedaków nie miały butów ani dachu nad głową. Dzieci w waszym wieku już musiały pracować po dwa-nastu godzin dziennie dla okrutnych panów, którzy okładali je batami, jeśli pracowały zbyt wolno, a karmili wyłącznie okruchami chleba i wodą. Wśród tej straszliwej biedy stało kilka ogromnych, wspaniałych, pięknych domów, w których mieszkali bogacze, posiadający nawet trzydziestu służących. Tych bogaczy nazywano kapitalistami. Byli to tłuści, brzydzy ludzie o złych twarzach — jak ta na następnej stronie. Jak widzicie, mężczyzna ma na sobie długi czarny płaszcz (to surdut) i dziwaczny, błyszczący kapelusz, podobny do rury od pieca (to cylinder). Tak wyglądał mundur kapitalisty i nikt inny nie mógł się w ten sposób ubierać. Kapitałiści posiadali wszystko na całym świecie, a wszyscy inni ludzie byli ich niewolnikami. Posiadali całą ziemię, wszystkie domy, wszystkie fabryki, wszystkie pieniądze. Gdy ktoś im się przeciwstawiał, wtrącałi go do więzienia albo odbierali mu pracę i głodzili na śmierć. Jeśli zwykły człowiek zwracał się do kapitalisty, musiał płaszczyć się i kłaniać, zdejmować czapkę i mówić „wielmożny panie”. Szefa wszystkich kapitalistów określano mianem króla i...

Winston znał resztę tego wywodu na pamięć. Występowali w nim biskupi w szatach z batystowymi rękawami, sędziowie w gronostajach<sup>28</sup>, pręgierz<sup>29</sup>, dyby<sup>30</sup>, kieraty<sup>31</sup>, kańczugi<sup>32</sup>, a także bankiety *Lorda mayora*<sup>33</sup> i całowanie stóp papieża. Istniało też coś o nazwie *ius primae noctis*<sup>34</sup>, choć zapewne nie wspomniano o tym w podręczniku dla dzieci. Tak określano prawo zezwalające kapitaliście na przespanie się z dowolną kobietą pracującą w jego fabryce.

Skąd miał wiedzieć, co z tego było kłamstwem? *Możliwe*, że los przeciętnej istoty ludzkiej był obecnie lepszy niż przed Rewolucją. Przeczył temu tylko niemy protest własnych trzewi, instynktowna pewność, że warunki, w których się żyło, były nieznośne, wobec czego w jakimś innym momencie musiały być inne. Doszedł do wniosku, że to nie okrucieństwo czy brak poczucia bezpieczeństwa najlepiej opisują współczesne życie, a ubóstwo, bylejakość i apatia. Wystarczyło rozejrzeć się wokół siebie, żeby zobaczyć, że rzeczywistość nie tylko nie przypomina sączących się z teleekranów kłamstw, ale też jest daleka od partyjnych ideałów. Na życie składały się w dużej mierze zajęcia neutralne, apolityczne. Nawet członkowie Partii spędzali dnie, ślęcząc nad nudną pracą, tłocząc się w metrze, cerując dziurawe skarpety, oszczędzając niedopałki albo sępiąc od znajomych tabletki sacharyny. Ideał, do którego dążyła Partia, był potężny, monstrualny i olśniewający: był to świat ze stali i betonu, pełen potwornych maszyn i przerażającej broni, zaludniony przez naród wojowników i fanatyków, maszerujących naprzód w pełnej jedności, identycznie myślących i skandujących te same hasła, stale pracujących, walczących, triumfujących, tropiących zdrajców — trzysta milionów ludzi o tej samej twarzy. Tymczasem rzeczywistość tworzyły nędzne, sypiące się miasta, których ulice przemierzali niedożywieni ludzie w dziurawych butach, lokatorzy odrapanych dziewiętnastowiecznych czynszówek, cuchnących gotowaną kapustą i zatkaną ubikacją. Winston ujrzał w wyobraźni cały Londyn: ogromne, zrujnowane miasto tysiąca śmietników, a z tym obrazem zmieszał się wizerunek pani Parsons, kobiety o pobrużdżonej twarzy i cienkich włosach, bezskutecznie zmagającej się z zapchanym odpywem.

Znowu podrapał się po kostce. Dzień i noc teleekrany raniły uszy statystykami, dowodzącymi, że ludzie mieli dziś więcej jedzenia i ubrań, lepsze domy, lepsze relacje, że dłużej żyli, krócej pracowali, byli więksi, zdrowsi, silniejsi, szczęśliwsi, inteligentniejsi i lepiej wykształceni niż pięćdziesiąt lat temu. Nie dało się dowieść prawdziwości ani fałszu żadnego z tych stwierdzeń. Przykładowo: Partia twierdziła, że obecnie 40% proli umie czytać, podczas gdy przed Rewolucją liczba ta wynosiła zaledwie 15%. Partia twierdziła, że obecnie śmiertelność niemowląt stanowi 160 zgonów na tysiąc urodzeń, podczas gdy przed Rewolucją było to 300 na tysiąc — i tak dalej. Przypominało to równanie z dwiema niewiadomymi. Niewykłuczone, że cała treść podręczników do historii, włącznie z bezspornymi faktami, była czystą fantazją. Na jego rozum coś takiego jak *ius primae noctis* mogło nigdy nie istnieć, tak samo jak kreatura zwana kapitalistą czy nakrycie głowy określane mianem cylindra.

Wszystko rozplywało się we mgle. Przeszłość wymazywano, akt wymazywania szedł w zapomnienie i kłamstwo stawało się prawdą. Winstonowi tylko raz w całym jego życiu zdarzyło się mieć w rękach konkretny, niezaprzeczalny dowód fałszyfikacji — *po fakcie*, a przecież to było kluczowe. Trzymał go w palcach przez jakieś trzydzieści sekund. Musiał być rok 1973, w każdym razie miało to miejsce mniej więcej wtedy, kiedy rozstał się z Katharine. Ale naprawdę kluczowa data była o siedem lub osiem lat wcześniejsza.

Sprawa miała swoje źródła w połowie lat sześćdziesiątych, czyli w okresie wielkich czystek. Wylimitowano wtedy raz na zawsze faktycznych przywódców Rewolucji. Do 1970 nie ostał się nikt poza Wielkim Bratem, wszystkich innych zdemaskowano jako zdrajców i kontrrewolucjonistów. Goldstein uciekł i ukrywał się; nikt nie miał pojęcia

<sup>28</sup>gronostaje — futro ze skórek gronostajowych, symbol władzy. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>pręgierz — w średniowieczu słup, przy którym wystawiano na widok publiczny skazańców i karano ich. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>dyby — dawniej rodzaj kary, klody z otworami, w które zakuwano ręce i nogi skazańca. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>kierat — dawniej urządzenie poruszane przez konie lub woły, chodzące w koło; powtarzający się, monotonny obowiązek. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>kańczug — bicz z plecionego rzemienia na krótkim kij. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Lord mayora — w Wielkiej Brytanii odpowiednik burmistrza lub prezydenta miasta. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>ius primae noctis (łac.) — prawo pierwszej nocy. [przypis edytorski]



gdzie. Niektórzy zwyczajnie znikli, ale większość stracono po pokazowych procesach, na których przyznali się do popełnionych zbrodni. Pośród ostatnich ocalałych znajdowali się trzej mężczyźni o nazwiskach Jones, Aaronson i Rutheford. Zostali aresztowani chyba w 1965. Jak to często bywało, zniknęli na rok lub nieco dłużej, więc nie było wiadomo, czy żyją czy nie; potem niespodziewanie pojawili się i zgodnie z przyjętą praktyką zostali zmuszeni do złożenia zeznań, które ich samych obciążały. Przyznali się do szpiegowania na rzecz wroga (wtedy także wrogiem była Eurazja), malwersacji finansowych, morderstw różnych zaufanych członków Partii, intryg przeciwko przywództwu Wielkiego Brata, sięgających czasów na długo przed Rewolucją, a także do aktów sabotażu, prowadzących do śmierci setek tysięcy ludzi. Po tej spowiedzi ulaskawiono ich, ponownie wcielono do Partii i przydzielono im z pozoru ważne stanowiska, będące w istocie synekurami<sup>35</sup>. Wszyscy trzej opublikowali w „Timesie” długie, odrażające artykuły, w których analizowali przyczyny swojej zdrady i obiecywali zadośćuczynienie.

Wkrótce po tym, jak ich wypuszczono, Winston widział całą trójkę w kawiarni Pod Kasztanem. Przyglądał im się kątem oka z fascynacją, pomieszaną z lękiem. Byli o wiele starsi od niego, stanowili relikty starego świata. Właściwie już tylko oni pozostali po heroicznym, wczesnym dniu Partii. Nadal otaczał ich, blady już co prawda, blask bohaterów podziemia i wojny domowej. Miał jednak wrażenie — choć już wtedy fakty i daty stopniowo się rozmywały — że znał ich nazwiska o wiele wcześniej niż postać Wielkiego Brata. Jednocześnie jednak byli wyrzutkami, wrogami, pariasami; należało się spodziewać, że w ciągu roku czy dwóch z pewnością zostaną zgładzeni. Nikt, kto raz wpadnie w ręce myślopolicii, nie może uciec. Byli trupami, oczekującymi na złożenie do grobu.

Nikt nie siadał przy sąsiednich stolikach. Samo nawet przebywanie w pobliżu takich ludzi byłoby niemądre. Trwali w milczeniu ze szklankami ginu przyprawionego goździkami — specjalnością lokalu. Z całej trójki największe wrażenie robił na Winstonie Rutheford. Dawniej był słynnym karykaturzystą, jego jadowite rysunki pomagały rozbudzać świadomość mas jeszcze przed Rewolucją. Czasem nadal ukazywały się w „Timesie”, jednak te nowe prace tylko imitowały jego dawny styl, w sposób zaskakująco nieprzekonujący i pozbawiony życia. Ciągłe odgrzewały stare tematy — slumsy, głodujące dzieci, walki uliczne, kapitaliści w cylindrach — była to niekończąca się i skazana na porażkę próba powrotu do przeszłości. Rutheford był potężnym mężczyzną, z czupryną pozlepianych, siwych włosów, o nabrzmiałej, pobrużdżonej twarzy i wydatnych ustach. Dawniej musiał być niesamowicie silny; teraz jego wielkie ciało garbiło się, wiotczało, rozlewało i rozlażiło na wszystkie strony. Sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz rozpaść na kawałki, jak skała, dawniej mocna, teraz zwietrzała.

Była piętnasta, cicha godzina. Winston nie pamiętał już, dlaczego znalazł się w kawiarni o takiej porze. Lokal był prawie pusty, blaszana muzyczka sączyła się z teleekranów. Trzej mężczyźni siedzieli w swoim kącie niemal bez ruchu, nie odzywając się ani słowem. Kelner, nieproszony, przyniósł nowe szklanki ginu. Na stoliku obok stała szachownica z rozstawionymi pionkami, ale nikt nie zaczął gry. I wtedy coś dziwnego stało się z teleekranami, całe zajście trwało może pół minuty. Zmienił się utwór i ton muzyki. Dołączyła się — trudno to opisać — jakaś dziwacznie skrzecząca, fałszywa, szydercza nuta, kojarząca się Winstonowi z żółcią. Głos z teleekranu zaśpiewał:

Pod ogromnym kasztanem  
Sprzedajemy się wzajem  
I trafiamy do grobów,  
Cień kasztana dla obu.

Tamci trzej nawet nie drgnęli. Kiedy jednak Winston spojrział na zniszczoną twarz Rutheforda, zobaczył, że mężczyzna ma łzy w oczach. Dopiero wtedy zauważył — i aż się wzdrygnął, choć jeszcze nie rozumiał *dlatego* — że zarówno Aaronson, jak i Rutheford mają złamane nosy.

Wkrótce potem wszystkich trzech ponownie aresztowano. Rzekomo natychmiast po uwolnieniu ponownie zaczęli spiskować. Podczas drugiego procesu jeszcze raz przyznali

Falsz

<sup>35</sup>synekura — intratna posada niewymagająca wysiłku ani umiejętności. [przypis edytorski]

się do swoich dawnych zbrodni, dodając do nich długą listę nowych przewin. Stracano wszystkich trzech, a ich los został zapisany w partyjnej historii jako ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń. Mniej więcej pięć lat później, rozwijając rulon dokumentów, które wypadły z tuby pneumatycznej na biurko, Winston natknął się na skrawek papieru, ewidentnie celowo wetknięty pomiędzy pozostałe i tam zapomniany. Kiedy go rozprostował, od razu zrozumiał jego znaczenie. Była to połowa strony wydarta z „Timesa” — mniej więcej sprzed dekady — górna połowa, więc z datą. Zawierała zdjęcie delegacji na jakieś partyjne wydarzenie w Nowym Jorku. Prominentne miejsce w środku grupy zajmowali Jones, Aaronson i Rutheford. Nie można było pomylić ich z nikim innym, poza tym podpis pod zdjęciem zawierał ich nazwiska.

Tymczasem podczas procesu wszyscy trzej zeznali, iż tego dnia znajdowali się na terenie Eurazji. Z tajnego lotniska w Kanadzie polecili rzekomo gdzieś na Syberię<sup>36</sup>, gdzie mieli konferować z członkami Sztabu Generalnego Armii Eurazjatyckiej, którym zdradzili ważne tajemnice wojskowe. Data utkwiała Winstonowi w pamięci, bo wypadło wtedy letnie przesilenie; ale te same informacje można było pewnie znaleźć w wielu innych źródłach. Istniała tylko jedna logiczna konkluzja: mężczyźni podczas procesu kłamali.

Samo w sobie nie stanowiło to, rzecz jasna, wielkiego odkrycia. Już wtedy Winston nie wierzył, że ludzie, których pozbywano się podczas czystek, naprawdę byli winni zbrodni, o które ich oskarżano. Ale trzymać w ręku materialny dowód — to jednak co innego. Był to skrawek unicestwionej przeszłości, coś w rodzaju skamieliny, znalezionej w niewłaściwej warstwie skorupy ziemskiej i swoją tam obecnością obalającej obowiązującą teorię geologiczną. Gdyby dało się to w jakiś sposób upublicznić i wyjaśnić światu, to wystarczyłoby, aby zniszczyć Partię.

Nie przerwał pracy. Kiedy tylko zdał sobie sprawę z wagi zdjęcia, ukrył je pod inną kartką. Na szczęście, kiedy rozwijał skrawek papieru przed teleekranem, trzymał go do góry nogami.

Położył notes na kolanie i odsunął krzesło jak najdalej od teleekranu. Zachowanie neutralnego wyrazu twarzy nie było trudne, z pewnym wysiłkiem dało się także kontrolować oddech; nie dało się jednak wpłynąć na rytm serca, a teleekran był wystarczająco czuły, żeby wychwycić każde przyspieszenie. Odczekał mniej więcej dziesięć minut, zamartwiając się przez cały czas, że jakiś przypadek — choćby nagły przeciąg — zdradzi go. Następnie, nie patrząc już więcej na zdjęcie, wrzucił je do szczeliny pamięci, wraz z innymi niepotrzebnymi papierami. Po kolejnej minucie zapewne zamieniło się w popiół.

Miało to miejsce dziesięć, jedenaście lat temu. Dziś prawdopodobnie zachowałby zdjęcie. Dziwne, ale fakt, iż trzymał je w dłoniach, nawet teraz wydawał mu się istotny, choć samo zdjęcie, jak i zdarzenie, które dokumentowało, było jedynie wspomnieniem. Czy władza Partii nad przeszłością słabła pod wpływem dowodu, który co prawda został zniszczony, ale *kiedyś wcześniej* istniał?

Gdyby jakimś cudem poskładać ją z popiołów, dziś ta fotografia mogłaby już nie stanowić żadnego dowodu. Kiedy dokonał tamtego odkrycia, Oceania nie walczyła z Eurazją, a zatem konieczne było, aby zdrada trzech mężczyzn dotyczyła Azji Wschodniej. Od tamtego czasu miały miejsce kolejne zmiany, trzy albo cztery, dokładnie już nie pamiętał. Możliwe, że zeznania były przepisywane po wielokroć, aż w końcu oryginalne fakty i daty straciły jakiejkolwiek znaczenie. Przeszłość nie tylko się zmieniała, ale zmieniała się nieustannie. Winston nie rozumiał, po co dopuszczano się aż tak gigantycznego zakłamania, i to jeszcze bardziej pogrążało go w koszmarze. Natychmiastowe korzyści, płynące z fałszowania przeszłości, były zrozumiałe, jednak zasadniczy motyw pozostawał tajemnicą. Podniósł pióro i napisał:

Rozumiem JAK. Nie rozumiem PO CO.

Zastanawiał się czasem, czy nie jest szalony. Ale może szaleństwo to po prostu przynależność do jednoosobowej mniejszości. Kiedyś szaleństwem było sądzić, że Ziemia krąży wokół Słońca; dziś — że przeszłości nie da się zmienić. Być może *tylko on jeden* był tego zdania, a jeśli tak, to znaczy, że był szaleńcem. Myśl o szaleństwie nie przerażała go jednak. Przerazała go myśl, iż mógłby nie mieć racji.

<sup>36</sup>Syberia — kraina geograficzna w pln. Azji, wchodząca w skład Rosji. [przypis edytorski]

Wziął do ręki podręcznik do historii i popatrzył na portret Wielkiego Brata na frontyspisie<sup>37</sup>. Natychmiast przeszło go spojrzenie hipnotyzujących oczu. Miał wrażenie, że działa na niego potężna siła, która penetruje czaszkę, napiera na mózg i sprawia, iż gotów jest trwożnie porzucić własne poglądy, zaprzeczyć świadectwu zmysłów. W jakimś momencie Partia ogłosi, że dwa plus dwa równa się pięć i trzeba będzie w to uwierzyć. Prędzej czy później właśnie tak zrobią — tak dyktowała ich logika. Ideologia Partii pośrednio negocjowała nie tylko znaczenie doświadczenia, ale i samo istnienie obiektywnej rzeczywistości. Zdrowy rozsądek stanowił największą z herezji. Najbardziej przerażało nie to, że za odmienny pogląd można było zapłacić życiem. Największym strachem napa- wało, że mogą mieć rację. No bo skąd właściwie wiemy, że dwa i dwa to cztery? Albo że grawitacja rzeczywiście działa? Albo że nie da się zmienić przeszłości? Jeśli i przeszłość, i cały zewnętrzny świat istnieją tylko w umyśle, a umysł da się kontrolować — co wtedy?

Nie! Nagle w Winstona wstąpiła nowa odwaga. Bez żadnego wyraźnego powodu przypomniała mu się twarz O'Briena. Czuł z większą pewnością niż kiedykolwiek wcześniej, że O'Brien jest po jego stronie. Pisał swój dziennik dla O'Briena — pisał *do* O'Briena; był to niekończący się list, którego nikt nigdy nie przeczyta, który jednak ma konkretnego adresata i to nadaje mu ton.

Partia nakazywała odrzucenie świadectwa własnych oczu i uszu. Taki był podstawowy i najważniejszy rozkaz. Na myśl o potężnej sile, którą miał przeciwko sobie, ogarnął go smutek. Jeden czy drugi partyjny intelektualista z łatwością pokonałby go w dyskusji za pomocą subtelnych argumentów, których Winston nie umiałby zrozumieć, a tym bardziej nie potrafiłby na nie odpowiedzieć. Jednak to oni byli w błędzie, a Winston miał rację. Należy bronić tego, co oczywiste, ewidentne, prawdziwe. Truizmy nie kłamią — tego trzeba się trzymać! Rzeczywisty świat istnieje, a jego prawa się nie zmieniają. Kamienie są twarde, woda mokra, przedmioty, jeśli nic ich nie trzyma, spadają ku jądro Ziemi. Czując, że zwraca się do O'Briena, a jednocześnie wyraża ważny aksjomat, napisał:

Wolność to wolność stwierdzenia, że dwa plus dwa równa się cztery.  
Wystarczy, że to jest zagwarantowane, z tego wynika cała reszta.

## 8

Na ulicy czuć było zapach palonej kawy. Prawdziwej kawy, nie Kawy Zwycięstwa. Winston odruchowo przystanął. Na około dwie sekundy trafił do na wpół zapomnianego świata swojego dzieciństwa. Wtem trzasnęły jakieś drzwi, odcinając zapach, jakby to był dźwięk.

Przewędrował ulicami ładnych parę kilometrów; owrzodzona noga coraz bardziej da- wała mu się we znaki. Już drugi raz w ciągu trzech tygodni opuścił wieczór w Osiedlowym Domu Kultury. Było to nieroztropne działanie, gdyż na pewno skrupulatnie sprawdzano obecność. Członek Partii z zasady nie miał czasu wolnego, a sam bywał tylko we własnym łóżku. Oczekiwano, że jeśli nie pracuje, nie je i nie śpi, będzie uczestniczył w życiu zbiorowym swojej społeczności; robienie czegokolwiek, co świadczyło o potrzebie samotności, choćby spacerowanie w pojedynkę, było dość niebezpieczne. W nowomowie istniało specjalne słowo: *sobieżyć*, oznaczające indywidualizm i ekscentryczność. Ale tego wieczora, po wyjściu z ministerstwa, Winstona skusiło balsamiczne, kwietniowe powie- trze. Niebo pierwszy raz w tym roku przybrało odcień ciepłego błękitu i nagle długi, hałaśliwy wieczór w ODK-u — nudne, wycieńczające gry, wykłady i piskliwa, oliwiona ginem towarzyskość, wydały mu się niemożliwe do zniesienia. Niewiele myśląc, zawrócił z przystanku i zagłębił się w labirynt ulic Londynu: poszedł najpierw na południe, po- tem na wschód, następnie na północ; gubił się w nieznanym ulicach, było mu wszystko jedno, dokąd dotrze.

„Jeśli istnieje nadzieja” — napisał w dzienniku — „to w prolach”. Te słowa ciągle do niego wracały, kryjąc w sobie zarazem tajemniczą prawdę i namacalny absurd. Znaj- dowął się pośród burych slumsów, ciągnących się na północny wschód od stacji, która kiedyś nosiła nazwę Saint Pancras<sup>38</sup>. Szedł brukowaną ulicą pomiędzy małymi, dwupoi-

<sup>37</sup>*frontypis* — ozdoba strona tytułowa, zawierająca grafikę. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Saint Pancras* — tu: stacja kolejowa na północy Londynu. [przypis edytorski]

Obraz świata, Prawda

Wspomnienia, Dzieciństwo

Bieda, Obraz świata

ziomowymi domami o powyłamywanych drzwiach, wychodzących prosto na chodniki, osobiwie przypominającymi szczurze nory. Na bruku stały gdzieniegdzie kałuże brudnej wody. Przy domach i w alejkach odchodzących od ulicy kłębiły się tłumy ludzi — dziewczęta w pełnym rozkwicie o wulgarnie umalowanych ustach, uganiający się za nimi chłopcy, nabrzmiałe kobiety poruszające się jak kaczki i ilustrujące, jak będą wyglądały te dziewczęta za dziesięć lat, stare, pochylone istoty powłóczące płaskimi stopami, obdarte, bose dzieci bawiące się w kałużach, żeby zaraz umykać przed wściekłymi krzykami matek. Mniej więcej co czwarte okno było tu stłuczone i zabite deskami. Ludzie w większości nie zwracali na Winstona uwagi; tylko kilka osób przyglądało mu się z ostrożnym zaciekawieniem. Dwie ogromne kobiety w fartuchach, z ceglastymi ramionami skrzyżowanymi na piersiach, rozmawiały przy drzwiach wejściowych do jednego z domów. Zbliżając się, Winston uchwycił skrawki ich paplaniny:

— „Dobra, dobra”, mówie do niej, „gadać to łatwo”, mówie, „ale na moim miejscu zrobiłabyś to samo. Krytykować to każdy umi”, mówie, „ale nie masz tak źle jak ja”.

— No — mówi druga — i o to chodzi. O to właśnie chodzi.

Nagle ich podniesione głosy zamilkły. Kiedy Winston przechodził obok, kobiety lustrowały go we wrogiej ciszy. Choć właściwie nie była to wrogość, tylko coś w rodzaju ostrożności, chwilowe zeszytnienie, jakby przyglądały się zwierzęciu nieznanego gatunku. Niebieski kombinezon członka Partii nie był pewnie częstym widokiem na tej ulicy. W istocie, nie byłoby mądrze dać się przyłapać w takim miejscu, jeśli człowiek nie miał żadnej konkretnej sprawy do załatwienia. Gdyby wpadł na patrol, zatrzymaliby go. „Czy możemy zobaczyć wasze dokumenty, towarzyszu? Co tu robicie? O której wyszłicie z pracy? Czy tędy zwykle wracacie do domu?” — i tak dalej, i tak dalej. Nie, żeby istniało prawo zabraniające powrotu do domu nietypową drogą, ale ktoś na tym przyłapanym niechybnie zwróciłby na siebie uwagę myślopolicii.

Nagle całą ulicę ogarnęło poruszenie. Z obu stron rozległy się ostrzegawcze krzyki. Ludzie chowali się po domach jak króliki w norach. Młoda kobieta jednym susem wyprysnęła z drzwi tuż przed Winstonem, porwała bawiące się w kałuży małe dziecko, nakryła je fartuchem i czmychnęła z powrotem do domu. W tym samym momencie z bocznej alejki wyłonił się człowiek w czarnym ubraniu, które skojarzyło się Winstonowi z koncertyną<sup>39</sup>, i przebiegając obok, krzyknął, wskazując na niebo.

— Fryta! — wrzasnął. — Uwaga, szefie! Leci! Na ziemię! Padnij!

Z jakiegoś powodu prole na rakiety mówili „fryty”. Winston błyskawicznie padł na twarz. Prole prawie zawsze mieli rację, kiedy ostrzegali przed tego rodzaju zagrożeniem. Wydawało się, że posiadają swego rodzaju instynkt, podpowiadający im z kilkusekundowym wyprzedzeniem, że zbliża się rakietka, choć te podobno podróżowały prędzej od dźwięku. Winston otoczył głowę ramionami. Rozległ się ryk, od którego aż zatrzęsł się chodnik; Winston poczuł grad drobnych przedmiotów, odbijający się od jego pleców. Kiedy się podniósł, odkrył, że ma na sobie odłamki szkła z najbliższego okna.

Ruszył przed siebie. Jakies dwieście metrów dalej bomba zniszczyła kilka domów. Czarny pióropusz wisiał pionowo w powietrzu, a pod nim rozpościerała się chmura białego pyłu; dostrzegł w niej ludzi już zbierających się wokół gruzów. Dalej, na chodniku, zobaczył niedużą stertę tynku, pośrodku odcinało się od bieli coś jaskrawoczerwonego. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł, że na stercie leży oderwana ludzka dłoń. Poza krwawą raną, była tak zupełnie biała, że przypominała gipsowy odlew.

Strącił ją kopniakiem do rynsztoka; następnie, żeby uniknąć tłoku, skręcił w prawo. Po trzech czy czterech minutach wydostał się z obszaru dotkniętego eksplozją. Nędzne, tłumne życie uliczne toczyło się tu jak gdyby nigdy nic. Dochodziła dwudziesta i uczęszczane przez proli pijalnie (mówili na nie „puby”) były zapchane klientelą. Zza brudnych, wahadłowych drzwi, pozostających w ciągłym ruchu, załatywało moczem, trocinami i skisłym piwem. W zaułku, utworzonym przez wystający front jednego z domów, stali bardzo blisko siebie trzej mężczyźni. Środkowy trzymał w ręku zwiniętą gazetę, pozostali dwaj studiowali ją, zaglądając mu przez ramię. Zanim jeszcze Winston zbliżył się wystarczająco, żeby móc zobaczyć twarze, wyczuł skupienie w postawie ich ciał. Ewidentnie czytali o czymś bardzo ważnym. Kiedy znajdował się o kilka kroków od nich, rozdzielili

<sup>39</sup>koncertyna — rodzaj harmonii ręcznej z klawiaturą guzikową. [przypis edytorski]

się i dwaj spośród trójki zaczęli sprzeczać się gwałtownie. Przez moment wydawało się, że może dojść do rękoczynów.

— Nie możesz, do cholery, posłuchać, co mówię? Ci mówię, że żaden numer z siódemką na końcu nie wygrał już od czterech miesięcy co najmniej.

— A właśnie, że wygrał!

— Nic podobnego! W domu mam to wszystko zapisane na papierze. Zapisuję regularnie jak w zegarku. I ci mówię, żadnego numeru z siódemką na końcu...

— Właśnie, że siedem *wygrało!* Pamiętam ten jebany numer. Na końcu miał cztery zero siedem. To było w lutym. W drugim tygodniu lutego.

— Luty twoja stara! Mam to wszystko czarno na białym. I mówię ci, żadne takie...

— Dobra, skończcie — powiedział ten trzeci.

Rozmawiali o loterii. Winston odszedł trzydzieści metrów i obejrzał się za siebie. Nadal się kłócili, ich twarze były ożywione, pełne pasji. Loteria, co tydzień wypłacająca ogromne nagrody, była jedynym wydarzeniem publicznym, na które prole zwracali uwagę. Bardzo możliwe, że dla milionów proli stanowiła ona główny, jeśli nie jedyny, powód, żeby dalej żyć. Była ich radością, ich szaleństwem, ich środkiem znieczulającym, ich intelektualną stymulacją. Jeśli chodziło o loterię, nawet ludzie, którzy ledwo czytali i pisali, okazywali się zdolni do skomplikowanych kalkucji i zadziwiających wyczynów pamięciowych. Istniał cały klan proli, utrzymujących się ze sprzedaży systemów, prognoz i amuletów przynoszących szczęście. Winston nie miał nic wspólnego z organizacją loterii, zajmowało się tym Ministerstwo Dobrobytu, ale był świadom (w istocie, każdy członek Partii o tym wiedział), że nagrody miały charakter zasadniczo fikcyjny. Wypłacano ostatecznie tylko niewielkie sumy, główni wygrani tak naprawdę nie istnieli. Przy braku jakiegokolwiek komunikacji między poszczególnymi częściami Oceanii nie było to trudne do zaaranżowania.

A jednak, jeśli istniała nadzieja, to w prolach. Należało się tego trzymać. Kiedy potarzał w myślach powyższą frazę, brzmiała sensownie; dopiero patrząc na istoty ludzkie przechodzące obok chodnikiem, czuł, że słowa te stanowią wyłącznie akt wiary. Uliczka, w którą skręcił, schodziła w dół. Miał wrażenie, że już tu kiedyś zblądził i że niedaleko znajdowała się większa droga. Z przodu dobiegały jakieś nawoływania. Ścieżka ostro zakręciła i urwała się przed schodami wiodącymi do ukrytej alejki, gdzie kilku handlarzy sprzedawało wymęczone warzywa. W tym momencie Winston przypomniał sobie, gdzie jest. Alejka prowadziła do głównej ulicy, a za następnym zakrętem, niespełna pięć minut drogi od miejsca, gdzie się znajdował, stała rupieciarnia, w której kupił zeszyt, żeby prowadzić dziennik. Zaraz obok znajdował się sklepik papierniczy, gdzie nabył obsadkę i atrament.

Zatrzymał się na chwilę u szczytu schodów. Po drugiej stronie alejki dostrzegł lichy pubik z oknami, które wyglądały jak zamrożone, choć w istocie były po prostu pokryte kurzem. Bardzo stary mężczyzna, przygarbiony, ale energiczny, z białymi wąsami, sterzącymi jak u krewetki, pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do środka. Obserwując go, Winston doszedł do wniosku, że ten człowiek, co najmniej osiemdziesięcioletni, musiał być już całkiem dorosły, kiedy wybuchła Rewolucja. On i kilku jemu podobnych byli ostatnimi łącznikami między teraźniejszością a minionym kapitalistycznym światem. W samej Partii ludzi, których myślenie ukształtowało się jeszcze przed Rewolucją, była dosłownie garstka. Starsze pokolenie zostało niemal zupełnie wyeliminowane podczas wielkich czystek lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zaś tych, którzy przetrwali, zastraszano, zmuszając ich w ten sposób do intelektualnej podległości. Jeśli żył jeszcze ktoś, kto mógłby wiarygodnie opowiedzieć o warunkach życia panujących na początku wieku, to tylko jakiś prol. Winston przypomniał sobie naraz fragment przepisany z podręcznika do historii i poczuł nieodpartą chęć, żeby wejść do pubu, wkupić się w łaski tego starego mężczyzny i przepytac go. Poprosiłby: „Opowiedz mi, jak to było, kiedy byłeś chłopcem. Jak się w tamtych czasach żyło? Lepiej czy gorzej niż teraz?”

Ścigając się z własnym strachem, zbiegł po schodach i przeszedł na drugą stronę wąskiej ulicy. Było to oczywiście zupełne szaleństwo. Nie istniało, rzecz jasna, żadne prawo, zakazujące rozmawiania z prolami, ale było to zachowanie na tyle osobliwe, iż nie mogło pozostać niezauważone. Jeśli pojawi się patrol, Winston mógłby udawać, że zrobiło

mu się słabo, raczej mu jednak nie uwierzą. Popchnął drzwi; ohydny, serowaty zapach skisłego piwa uderzył go w nozdrza. Kiedy wszedł, gwar głosów ścichł mniej więcej o połowę. Czuł na plecach spojrzenia, niebieski uniform przyciągał wzrok. Mężczyźni grający w strzałki w głębi pomieszczenia przerwali rzucanie na dobre pół minuty. Starzec, za którym wszedł do pubu, stał przy barze, klóćąc się o coś z barmanem — dużym, przysadzistym, młodym mężczyzną o haczykowatym nosie i potężnych ramionach. Przyglądał się temu wianuszek proli ze szklankami w dłoniach.

— Grzecznie pytam, co nie? — mówił stary, prężąc się wojowniczo. — Mówisz mi, że nie masz w tej cholernej dziurze kufła na pół kwarty piwa?

— A co to, do diabła, jest pół kwarty? — spytał barman, pochylając się do przodu i opierając czubki palców na kontuarze.

— Patrzcie go! Mówi, że jest barmanem, a nie wie, co to pół kwarty! No jak to, pół kwarty to połowa kwarty, cztery kwarty to galon. Mam cię jeszcze nauczyć abecadła?

— Nigdy nie słyszałem tych słów — odparł barman krótko. — Podajemy litr i pół litra. Tu, na półce, są szklanki.

— Chcę pół kwarty — upierał się stary. — Możesz mi łatwo nalać pół kwarty. Nie mieliśmy tych zasranych litrów, kiedy byłem młody.

— Kiedy byłeś młody, żyliśmy wszyscy na drzewach — powiedział barman, zerkając na innych klientów.

Nastąpił wybuch śmiechu, napięcie wywołane pojawieniem się Winstona chyba ustąpiło. Pokryta białą szczeciną twarz starego spurpurowiała. Odwrócił się, mamrocząc coś do siebie, i wpadł na Winstona. Ten ujął go delikatnie za ramię.

— Mogę postawić kolejkę? — spytał.

— A czemu by nie? — odparł stary, znowu się prężąc. Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył niebieskiego kombinezonu Winstona. — Pół kwarty! — zawołał agresywnie do barmana. — Pół kwarty piwska!

Barman nalał dwa razy po pół litra ciemnobrązowego piwa do szklanek z grubego szkła, które uprzednio przepłukał w kuble pod kontuarem. W polskich pubach można było dostać tylko piwo. Prolom nie wolno było pić ginu, ale w praktyce łatwo mogli go zdobyć. Gra w strzałki znów się ożywiła, a wianuszek mężczyzn przy barze pogrążył się w rozmowie o loterii. Wszyscy na moment zapomnieli o Winstonie. Pod oknem stał tandetny drewniany stolik, przy którym mogli porozmawiać, nie obawiając się, że ktoś ich podsłucha. Oczywiście potwornie ryzykował, ale przynajmniej w pomieszczeniu nie było teleekranu, co sprawdził, kiedy tylko wszedł do środka.

— Mógł mi nalać pół kwarty — wymamrotał stary, kiedy zasiadł nad swoją szklanką. — Pół litra nie starczy. Człowiek się nie napije. A cały litr to za dużo. Pęcherz mnie goni. Że nie wspomnę o cenie.

— Świat chyba bardzo się zmienił, odkąd byliście dzieckiem — zagał Winston nieśmiało.

Bładoniebieskie spojrzenie starego mężczyzny przesunęło się z tarczy, do której celowano strzałkami, na bar, a z baru na drzwi do toalety, jakby to tu, w pubie, szukał oznak tych zmian.

— Piwo było lepsze — powiedział w końcu. — I tańsze! Kiedy byłem młody, lagerek<sup>40</sup>, mówiliśmy na niego „lupień”, kosztował cztery centy za pół kwarty. To było oczywiście przed wojną.

— Przed którą wojną? — spytał Winston.

— Ciągłe są jakieś wojny — odparł mgliście stary. Podniósł szklankę i znowu wyprostował ramiona. — Zdrówka i pomyślności!

Szpiczasta grdyka na chudej szyi poruszyła się gwałtownie w górę i w dół — i piwo zaraz znikło. Winston poszedł do baru i wrócił z następną kolejką. Mężczyzna najwyraźniej zapomniał o swoich oporach przed wypiciem pełnego litra.

— Jesteście o wiele starsi ode mnie — powiedział Winston. — Byliście już dorośli, zanim ja się urodziłem. Musicie pamiętać, jak to było w dawnych czasach, przed Rewolucją. Ludzie w moim wieku nic nie wiedzą o tamtych czasach. Możemy tylko czytać

Alkohol

Pamięć, Wspomnienia,  
Historia, Starość, Wiedza,  
Prawda

<sup>40</sup>lagerek — zdrobnienie od *lager* (rodzaj piwa). [przypis edytorski]

o nich w książkach, a to, co tam jest napisane, może nie być prawdą. Chciałbym tylko poznać waszą opinię o tej sprawie. Według podręczników do historii życie przed Rewolucją było zupełnie inne od dzisiejszego. Panowała okrutna przemoc, niesprawiedliwość, bieda — gorsza niż wszystko, co możemy sobie wyobrazić. Tu, w Londynie, ogromna masa ludzi głodowała od urodzenia do śmierci. Połowa chodziła boso. Pracowali po dwanaście godzin na dobę, kończyli naukę w wieku dziewięciu lat, spali po dziesięć osób w jednym pomieszczeniu. A jednocześnie istniał niewielki krąg, parę tysięcy ludzi, bogatych i wpływowych, tak zwanych kapitalistów. Posiadali wszystko, co można było posiadać. Mieszkali w ogromnych, przepięknych domach i mieli po trzydziestu służących, jeździli samochodami i czterokonnymi powozami, pili szampana, nosili cylindry...

Starzec nagle pojaśniał.

— Cylindry! — wykrzyknął. — Zabawne, że o nich mowa. Nie dalej niż wczoraj pomyślałem o tym samym, nie wiedzieć czemu. Pomyślałem, że od wieków nie widziało się cylindra. Wcięło je! Jak bonie dydy<sup>41</sup>! Ostatni raz miałem taki na sobie na pogrzebie szwagierki. A to było... daty wam nie podam, ale z pięćdziesiąt lat temu. Jasne, że tylko wypożyczyłem go na tę okazję, rozumiecie.

— Cylindry nie są aż takie ważne — powiedział Winston cierpliwie. — Chodzi o to, że ci kapitaliści, oni i jeszcze paru prawników, księży i innych, którzy się dzięki nim utrzymywali, że oni byli panami ziemi. Wszystko tylko im służyło. Wy, zwykli ludzie, robotnicy, byliście niewolnikami. Mogli z wami zrobić, co im się podobało. Mogli was wysłać do Kanady jak bydło. Mogli spać z waszymi córkami, jeśli mieli taki kaprys. Mogli was wychłostać czymś, co się nazywało batog<sup>42</sup>. Mijając takiego, musieliście zdejmować czapkę z głowy. Każdy kapitalista miał ze sobą bandę lokajów...

Starzec znowu pojaśniał.

— Lokaje! — zawołał. — Tego słowa nie słyszałem od bardzo dawna. Lokaje! To mnie normalnie cofa w czasie, tak. Pamiętam, oj, w diabły czasu temu, w niedzielne popołudnia chodziłem czasem do Hyde Parku<sup>43</sup> posłuchać, jak ci różni goście przemawiali. Armia Zbawienia<sup>44</sup>, katolicy, żydzi, hinduiści — wszelkie typy się tam widywało. Był taki jeden gość, nazwiska wam nie podam, ale miał gadane! „Po co ich słuchacie! Lokaje!”, mówił, „Lokaje burżujów! Sługusy klasy panującej! To są pasożyty!”, jeszcze tak powiedział. I hieny! Tak, tak właśnie, hieny. To oczywiście o laburzystach<sup>45</sup>, rozumiecie.

Winston miał wrażenie, że każdy z nich mówi o czymś innym.

— Tak naprawdę chciałbym się dowiedzieć — powiedział — czy czujecie, że dziś macie więcej wolności niż w tamtych czasach? Że jesteście traktowani bardziej jak człowiek? W dawnych czasach bogaci ludzie, ludzie na szczycie...

— Izba Lordów<sup>46</sup> — wtrącił tamten nostalgicznie.

— Niech będzie Izba Lordów. Pytam, czy ci ludzie mogli was traktować jak kogoś gorszego tylko dlatego, że oni byli bogaci, a wy nie? Czy naprawdę musieliście ich tytułować „najjaśniejszym państwem” i zdejmować czapkę?

Starzec sprawiał wrażenie, jakby głęboko się zamyślił. Zanim odpowiedział, wypił mniej więcej ćwierć swojego piwa.

— Tak — powiedział. — Lubili, żeby się złapać za czapkę na ich widok. To było jak gdyby okazanie szacunku. Ja się z tym nie zgadzałem, ale też tak robiłem. Często, można powiedzieć. Można powiedzieć, że nie miałem wyboru.

— A czy to było na porządku dziennym, tylko cytuję to, co przeczytałem w podręczniku do historii, czy często się zdarzało, że ci panowie i ich słudzy spychali kogoś takiego jak wy z chodnika do rynsztoka?

— Jeden mnie kiedyś zepchnął — powiedział stary. — Pamiętam, jakby to było wczoraj. To była noc wyścigów łódek. Okropnie się wtedy awanturowali, w te noce. Żem

<sup>41</sup>jak bonie dydy (gw.) — fraza wykrzyknikowa, mająca zapewnić słuchacza, że interlokutor mówi prawdę. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>batog — mocny bat. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Hyde Park — jeden z królewskich parków w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Armia Zbawienia — międzynarodowe chrześcijańskie wyznanie protestanckie oraz międzynarodowa organizacja dobroczynna. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>laburzysta a. labourzysta — członek lub zwolennik brytyjskiej Labour Party (Partii Pracy). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Izba Lordów — wyższa izba parlamentu brytyjskiego. [przypis edytorski]



wpadł na takiego młodego gościa na Shaftesbury Avenue<sup>47</sup>. Taki elegancik: koszula, cylinder, czarny płaszcz. Szedł tak jakby zygzakiem po chodniku i zem na niego wpadł. Mówi: „Patrz lepiej, jak idziesz!”. A ja na to: „A co, kupił sobie ten cholerny chodnik?”. On na to: „Ukręcę ci twój przeklęty łeb, jak się będziesz stawiać”. A ja: „Pijany jesteś, zara cię posłę do wytrzeźwialni”. No i tak, i on wtedy kładzie mi łapska na kłacie, i o tak mnie pcha, że ja prawie lecę pod koła autobusu. Ale młody był w tamtych dniach i zaraz bym mu przyłożył, tylko...

Winstona zaczęła ogarniać bezradność. Pamięć mężczyzny przypominała wysypisko rupieci. Można było pytać go cały dzień i nie uzyskać żadnych konkretnych informacji. Partyjne opowieści mogą zatem być w jakimś stopniu prawdziwe albo wręcz całkowicie prawdziwe. Spróbował ostatni raz.

— Może nie wyraziłem się dość jasno — powiedział. — Oto, co próbuję przekazać. Życie od bardzo dawna, połowa waszego życia przypada na lata przed Rewolucją. Dajmy na to, w 1925 byliście już dorośli. Z tego, co wiecie, życie było wówczas lepsze czy gorsze niż teraz? Gdybyście mieli wybrać, lepiej było żyć wtedy czy teraz?

Starzec wpatrywał się medytacyjnie w planszę do strzałek. Skończył piwo, pijąc wolniej niż wcześniej. Odezwał się wreszcie wielkodusznym, filozoficznym tonem, jakby piwo go zmiękczyło.

— Wiem, czego się spodziewacie. Oczekujecie, że powiem, że wołałbym znowu być młody. Większość ludzi by wołała. Jak człowiek jest młody, ma zdrowie i siłę. A w moim wieku to już nigdy nie jest się zdrowym. Mam jakieś cholerstwo w stopach, a pęcherz to już w ogóle. Wstaję w nocy sześć czy siedem razy. Ale, z drugiej strony, starość ma wielkie zalety. Nie ma już tych zmartwień, co kiedyś. Żadnych kłopotów z kobitami; i to jest wspaniale. Nie miałem kobity prawie trzydzieści lat, uwierzycie? A co więcej, nie chciało mi się.

Winston oparł się o parapet. Nie było sensu ciągnąć tego dalej. Zamierzał kupić więcej piwa, kiedy nagle starzec wstał i poczłapał do śmierzącego urnału w kącie pomieszczenia. Dodatkowe pół litra już zadziało. Winston siedział przez minutę czy dwie, gapiąc się na swoją pustą szklankę, i ledwie zauważył, kiedy stopy poniosły go z powrotem na ulicę. Najdalej za dwadzieścia lat nie będzie już można odpowiedzieć na to najważniejsze i zarazem najprostsze pytanie: „Czy życie przed Rewolucją było lepsze, niż jest obecnie?”. Ale, w gruncie rzeczy, już teraz nie dało się na to pytanie odpowiedzieć, skoro nieliczni i rozproszeni ocalańcy z dawnego świata nie umieli porównać jednej i drugiej epoki. Pamiętali milion bezużytecznych szczegółów — kłótnię z kolegą z pracy, poszukiwanie zaginionej pompki rowerowej, wyraz twarzy dawno zmarłej siostry, kurz wirujący o wietrznym poranku przed siedemdziesięciu laty — za to wszystkie istotne fakty im umykały. Przypominali mrówki zauważające małe przedmioty, a niedostrzegające dużych. Kiedy pamięć zawodziła, a zapisy fałszowano, nie było innego wyjścia, niż zaakceptować twierdzenie Partii, że poprawiła warunki ludzkiego życia; bo nie istniała — i nigdy już nie będzie istniała — miara, którą dałoby się to zmierzyć.

Coś przerwało ten ciąg myśli. Winston zatrzymał się i zadarł głowę. Znajdował się w wąskiej ulicy, pomiędzy domy mieszkalne tu u ówdzie powciskały się małe, ciemne sklepy. Tuż nad jego głową wisiły trzy matowe, metalowe kule, które dawniej były chyba poślacane. Zdawało mu się, że zna to miejsce. Oczywiście! Stał naprzeciwko rupieciarni, w której kupił swój zeszyt.

Przeraził się. Kupno brulionu było wystarczająco nierozsądne, obiecał sobie wtedy, że nigdy więcej nie zbliży się do tego miejsca. A jednak, kiedy tylko przestał się pilnować, nogi same go tu przyniosły. Właśnie takich samobójczych odruchów pragnął się wyzbyc, prowadząc dziennik. Jednocześnie zauważył, że choć dochodziła dwudziesta druga, sklepik nadal był otwarty. Skonstatował, że mniej będzie się rzucał w oczy wewnątrz, niż kiedy tak sterczy na chodniku, i wszedł do środka. Gdyby ktoś pytał, mógłby odpowiedzieć, że szuka żyłek.

Właściciel akurat zapalał wiszącą lampę naftową, wydzielającą ostry, ale przyjazny zapach. Był mężczyzną mniej więcej sześćdziesięcioletnim, kruchym i przygarbionym, o wydatnym, jednak ładnie uformowanym nosie i łagodnych oczach, zniekształconych

Młodość, Starość

Pamięć

<sup>47</sup> Shaftesbury Avenue — jedna z głównych ulic w centralnym Londynie. [przypis edytorski]

przez grube okulary. Włosy miał prawie białe, za to brwi krzaczaste i nadal czarne. Maszynowe soczewki, stonowane, uważne gesty oraz fakt, że miał na sobie starą marynarkę z czarnego welwetu przywodziły na myśl intelektualistę. Mógł być dawniej literatem albo muzykiem. Miał cichy, jakby wyblakły głos, akcent zaś znacznie mniej wulgarny od większości proli.

— Rozpoznałem was przez okno — powiedział od razu. — To wy przynieśliście pamiątkowy album młodej damy. Piękny papier. Kiedyś mówiło się o takim „czerpany”. Nie produkuje się go od... Och! Ośmielę się powiedzieć, że od pięćdziesięciu lat. — Popatrzył na Winstona ponad oprawkami okularów. — Czym mogę służyć? Czy tylko chcieliście się rozejrzeć?

— Przechodziłem obok — odparł Winston mgliście. — Po prostu zajrzałem. Nie szukam niczego szczególnego.

— Jeszcze lepiej — odpowiedział tamten. — Bo chyba nie umiałbym was zadowolić. — Wykonał przeproszający gest miękką dłonią. — Sami widzicie, ten sklep jest właściwie pusty. Tak między nami, handel antykami dogorywa. Nie ma już popytu, nie ma też towaru. Meble, porcelana, szkło, wszystko stopniowo uległo zniszczeniu. Metalowe przedmioty przeważnie przetopiono. Od lat nie widziałem mosiężnego świecznika.

Małe wnętrze sklepu było w istocie potwornie zagracone, jednak nie znajdowało się tam praktycznie nic, co miałyby jakąkolwiek wartość. Przestrzeń była bardzo ograniczona, bo przy ścianach piętrzyły się niezliczone zakurzone ramy do obrazów. W oknie stały tace pełne śrubek i nakrętek, zużytych dłuć, szczyrzyków z wyłamanymi ostrzami, zmatowiałych zegarków, nieudających nawet, że działają, i rozmaitych innych rupieci. Jedynie na stoliku w kącie piętrzyły się rozmaitości — jak lakierowane tabakiery czy broszki z agatem — pośród których dałoby się znaleźć coś interesującego. Kiedy Winston zbliżył się do stolika, jego wzrok padł na okrągły, gładki przedmiot, błyszczący łagodnie w świetle lampy. Wziął go do ręki.

Był to ciężki kawałek szkła, z jednej strony wypukły, z drugiej — płaski, kształtem zbliżony do półkuli. W jego kolorze i teksturze była jakaś łagodność, przywodząca na myśl kroplę deszczu. Wewnątrz tkwił, powiększony przez wypukłość, dziwny, poskręcany, różowy obiekt, przypominający różę lub ukwiał.

— Co to takiego? — spytał Winston, zafascynowany.

— To koralowiec — odpowiedział staruszek. — Pochodzi pewnie z Oceanu Indyjskiego. Dawniej oprawiali je w szkło. To ma co najmniej sto lat. Niewykluczone, że więcej.

— Piękna rzecz — powiedział Winston.

— Piękna rzecz — powtórzył drugi mężczyzna z uznaniem. — Ale mało kto tak dziś powie. — Zakaszła. — Gdybyście mieli ochotę go kupić, kosztuje cztery dolary. Pamiętam czasy, kiedy za taki przedmiot można było dostać osiem funtów, a osiem funtów — już tego nie policzę, ale to było dużo pieniędzy. Ale kogo dziś obchodzą prawdziwe antyki, nawet te nieliczne, które jeszcze zostały?

Winston szybko zapłacił cztery dolary i wsunął przedmiot do kieszeni. Tym, co najbardziej go ujęło, było nie tyle piękno, co wrażenie, że należał do zupełnie innych czasów niż obecne. Nigdy wcześniej nie widział takiego szkła, miękkiego, kojarzącego się z deszczem. Rzecz była jeszcze bardziej atrakcyjna z powodu swojej całkowitej nieprzydatności, choć Winston domyślał się, że została zaprojektowana jako przycisk do papieru. Bardzo ciążyła mu w kieszeni, na szczęście jednak nie powodowała widocznego wybrzuszenia. Było coś dziwnego, wręcz kompromitującego dla członka Partii, w posiadaniu takiego przedmiotu. Każdy stary obiekt, a właściwie każdy piękny obiekt wzbudzał podejrzenia. Staruszek wyraźnie się rozpogodził po otrzymaniu czterech dolarów. Winston zdawał sobie sprawę, że zgodziłby się na trzy, a może nawet dwa.

— Na górze jest drugi pokój, może zechcecie spojrzeć — powiedział. — Nie ma tam wielu rzeczy, zaledwie kilka sztuk. Tylko potrzebujemy światła.

Zapalił kolejną lampę i pochylając się, poprowadził Winstona po stromych, wyrobionych schodach, a następnie wzdłuż wąskiego przejścia, do pomieszczenia, które nie wychodziło na ulicę, tylko na brukowane podwórko, nad którym wznosił się las kominów. Winston zauważył, że ustawienie mebli sugerowało, iż ktoś tu mieszka. Na podłodze leżał dywan, na ścianach wisiały obrazki, niechlujny fotel przytulał się do kominka, na którym

Piękno

tykał staromodny, szklany zegar z dwunastogodzinną tarczą. Pod oknem znajdowało się ogromne, zajmujące blisko jedną czwartą pomieszczenia, łóżko z materacem.

— Mieszkaliśmy tu, zanim umarła moja żona — powiedział staruszek przepraszająco. — Po trochu wyprzedaję meble. Na przykład to jest mahoniowe, wspaniałe łóżko. To znaczy, mogłoby być, gdyby wytłuc robactwo. Pewnie jednak trochę nieporęczne dla was.

Trzymał lampę wysoko, żeby oświetlić całe pomieszczenie; w ciepłym, łagodnym blasku pokój sprawiał wrażenie bardzo przytulnego. Winstonowi przeszło przez myśl, że pewnie z łatwością mógłby wynająć go za parę dolarów tygodniowo, gdyby tylko starczyło mu odwagi. Był to szalony, niemożliwy pomysł, który należało natychmiast porzucić, a jednak pokój wzbudził w nim tak nieodpartą nostalgię, jakby wróciły jakieś pradawne wspomnienia. Miał wrażenie, że dokładnie wie, jak to jest siedzieć w takim pokoju jak ten, w fotelu przy buzującym ogniu, dotykając stopami kraty kominka, z czajnikiem na płycie — całkiem samemu, czując się bezpiecznie, wiedząc, że nie jest się śledzonym, nie słysząc niczego poza śpiewem z gwizdka i przyjaznym tykaniem zegara.

— Nie ma teleekranu! — wymamrotał pod wpływem impulsu.

— Ach — powiedział staruszek. — Nigdy go sobie nie sprawilem. To za droga sprawa dla mnie. I jakoś nigdy nie czułem takiej potrzeby. A tu, w kącie, ładny składany stół. Tylko, rzecz jasna, trzeba by było założyć nowe zawiasy, gdyby ktoś chciał korzystać z tych opuszczanych płyt.

W drugim narożniku znajdowała się mała półka z książkami i to ona bardziej zaciekała Winstona. Zawierała jednak wyłącznie śmieci. Książki tropiono i niszczone wśród proli z taką samą zajadłością jak wszędzie indziej. Małe było prawdopodobieństwo, że gdzieś w Oceanii istnieje książka napisana przed 1960 rokiem. Staruszek, nadal trzymając lampę, stanął przed obrazem w różanej ramie, wiszącym po drugiej stronie kominka, naprzeciwko okna.

— A gdyby interesowały was stare ryciny... — zaczął ostrożnie.

Winston zbliżył się, żeby przyjrzeć się obrazowi. Był to staloryt<sup>48</sup>, przedstawiający owalną budowlę z prostokątnymi oknami i wieżyczką z przodu. Budynek otaczało ogrodzenie, z tyłu zaś znajdował się posąg. Winston przyglądał się rycinie przez parę chwil. Sam obiekt wydawał mu się znajomy, nie pamiętał jednak pomnika.

— Rama jest przytwierdzona do ściany — powiedział staruszek — ale mogę ją odzwać, jeśli sobie życzyście.

— Znam ten budynek — powiedział wreszcie Winston. — Teraz jest w ruinie. Stoi pośrodku ulicy przed Pałacem Sprawiedliwości<sup>49</sup>.

— Tak jest. Przed Sądami. Został zbombardowany... ach, wiele lat temu. To był kościół. Kościół pod wezwaniem świętego Klemensa<sup>50</sup>. — Uśmiechnął się przepraszająco, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział coś lekko absurdalnego, i dodał: — „Pomarańcze i cytryny, biją dzwony...”

— Co to takiego? — spytał Winston.

— Ach, „Pomarańcze i cytryny” to taka rymowanka, którą się recytowało, kiedy byłem dzieckiem. Nie pamiętam, jak to szło dalej, mam w głowie tylko końcówkę: *To jest świeca, która świeci smutnie, oto tasak, co ci głowę utnie*. To była zabawa. Jedni wyciągali przed siebie ręce, a drudzy pod nimi przechodzili. Kiedy dochodziło się do linijki „oto tasak, co ci głowę utnie”, opuszczało się ręce, łapiąc kogoś z przechodzących. W wierszyku wspomniano wszystkie londyńskie kościoły — to znaczy te ważniejsze.

Winston zastanawiał się, z którego stulecia pochodził ten kościół. Trudno było określić wiek jakiegokolwiek budynku w Londynie. Jeśli dana budowla była duża, efektowna i w miarę nowoczesna z wyglądu, Partia twierdziła, że powstała już po Rewolucji, podczas gdy wszystko, co było w oczywisty sposób starsze, przypisywano do bliżej nieokreślonych wieków średnich. Obowiązywał pogląd, że stulecia kapitalizmu nie stworzyły niczego

<sup>48</sup>staloryt — rycina wykonana techniką, polegającą na wygrawerowaniu rysunku na płycie stalowej. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Pałac Sprawiedliwości a. *Royal Courts of Justice*, a. *Law Courts* — budynek sądowy w Westminster, w którym mieści się Sąd Najwyższy oraz Sąd Apelacyjny Anglii i Walii. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Kościół pod wezwaniem świętego Klemensa — kościół anglikański, usytuowany w pobliżu Pałacu Sprawiedliwości w Westminsterze. [przypis edytorski]

wartościowego. Z architektury nie można było dowiedzieć więcej niż z książek. Pomniki, napisy, płyty pamiątkowe, nazwy ulic — wszystko, co mogłoby rzucać jakiegokolwiek światło na przeszłość — skrupulatnie pozmieniano.

— Nie miałem pojęcia, że ten budynek był kościołem — powiedział Winston.

— Całkiem sporo ich zostało — rzekł staruszek. — Choć służą innym celom. Jak szła ta piosenka? Ach, już mam!

Pomarańcze i cytryny, biją dzwony u Marcina<sup>51</sup>.

Biją dzwony u Klemensa, że mi jesteś winien pensa.

Dalej nie pamiętam. Pens to była mała, miedziana moneta, odpowiednik centa.

— Gdzie znajdował się Marcin?

— Kościół św. Marcina, nadal stoi. Na Placu Zwycięstwa<sup>52</sup>, przy galerii obrazów. To budynek z trójkątnym portykiem, kolumnadą i szerokimi schodami.

Winston dobrze znał to miejsce. Było to muzeum, w którym urządzano rozmaite propagandowe wystawy — prezentowano tam miniaturowe modele raket i pływających fortów, wykonane z wosku scenki rodzajowe, przedstawiające okrucieństwa wrogów, i tym podobne rzeczy.

— Święty Marcin z Pól, tak na niego mówili — dodał staruszek — choć nie przypominam sobie żadnych pól w tamtej okolicy.

Winston nie kupił obrazka. Posiadanie tak dziwnego przedmiotu byłoby jeszcze bardziej niestosowne niż szklanego przycisku, a jego transport praktycznie niemożliwy, chyba żeby staloryt wyjąć z ramy. Został jednak jeszcze parę chwil, gawędząc ze staruszką, który nie nazywał się Weeks — jak można było wnioskować z szyldu — tylko Charrington. Pan Charrington, jak się okazało, był sześćdziesięcioletnim wdowcem i mieszkał w tym sklepie od trzydziestu lat. Przez cały czas zamierzał zmienić nazwisko nad witryną, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Kiedy rozmawiali, przez głowę Winstona przewijała się ta na wpół zapamiętana piosenka: *Pomarańcze i cytryny, biją dzwony u Marcina. Biją dzwony u Klemensa, że mi jesteś winien pensa*. Dziwne, ale powtarzając tę rymówkę, odnosił wrażenie, że naprawdę słyszy dzwony, dzwony utraconego Londynu, który gdzieś istnieje, choć zmieniony i zapomniany. Zdawało mu się, że słyszy bicie dzwonów z widm kościelnych wież. A przecież, o ile pamiętał, nigdy życia nie słyszał bicia dzwonów kościelnych.

Zostawił pana Charringtona na górze i zbiegł po schodach; nie chciał, żeby staruszek zobaczył, że przed wyjściem ze sklepu rozgląda się po ulicy. Już podjął decyzję, że po upływie odpowiednio długiego czasu — powiedzmy, miesiąca — zaryzykuje i wróci tu ponownie. Może wcale nie jest to bardziej niebezpieczne niż opuszczenie wieczora w Osiedlowym Domu Kultury. Karygodną głupotą był sam fakt, że nie wiedząc, czy można ufać właścicielowi, zjawiał się ponownie w tym miejscu po tym, jak kupił zeszyt. Ale!...

Tak, pomyślał jeszcze raz, wróci. I kupi kolejne piękne rupiecie. Może obrazek z kościołem świętego Klemensa. Wyjmie go z ramy i zaniesie do domu, chowając pod kombinezonem. Wyciągnie resztę tej rymowanki z pamięci pana Charringtona. Nawet szalony pomysł wynajęcia pokoju na górze przemknął mu znowu przez myśl. Uniesienie sprawiło, że przez jakieś pięć sekund poczuł się bez troski. Wyszedł na ulicę, nie wyglądając wcześniej przez okno. Zaczął nawet nucić zaimprovizowaną melodię:

Pomarańcze i cytryny, biją dzwony u Marcina.

Biją dzwony u Klemensa, że mi jesteś....

Nagle jednak serce Winstona zamarło, a żołądek ścisnął się ze strachu. Z naprzeciwna nadchodził ktoś w niebieskim kombinezonie. Postać znajdowała się nie dalej niż dziesięć metrów od niego. Była to dziewczyna z Departamentu Fikcji, ciemnowłosa. Rozpoznał ją

Strach, Szpieg

<sup>51</sup>kościół św. Marcina a. *St Martin-in-the-Fields* — anglikański kościół parafialny w Westminsterze. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Plac Zwycięstwa — sądząc po umiejscowieniu przy tym placu londyńskiego kościoła pod wezwaniem św. Marcina, jest to *Trafalgar Square*. [przypis edytorski]

bez trudu mimo słabego światła. Spojrzała mu prosto w twarz, po czym odmaszerowała, jakby go nie zauważyła.

Przez parę sekund Winston stał jak sparaliżowany, nie mogąc się poruszyć. Potem skręcił w prawo i oddalił się ciężkim krokiem, nie zauważając momentu, w którym zgubił kierunek. W każdym razie jedno się wyjaśniło. Nie było wątpliwości, że dziewczyna go śledzi. Musiała tu za nim przyjść; nie mógł uwierzyć, że przez czysty przypadek akurat tego wieczora przywędrowała w to samo ciemne miejsce w bocznej uliczce, oddalanej o całe kilometry od dzielnic, w których mieszkali członkowie Partii. To był zbyt duży zbieg okoliczności. Czy rzeczywiście była agentką myślopolicii czy tylko nadgorliwą amatorką, to było drugorzędne. Dość, że go obserwowała. Pewnie widziała też, jak wchodził do pubu.

Z trudem poruszał nogami. Kawał szkła w kieszeni obijał mu się o udo przy każdym kroku, miał ochotę wyciągnąć go stamtąd i wyrzucić. Najbardziej dawał mu się we znaki skurcz jelit. Przez parę minut Winstonowi wydawało się, że umrze, jeśli natychmiast nie znajdzie ubikacji. W tej dzielnicy nie należało się jednak spodziewać publicznych toalet. Po paru minutach spazm minął, zostawiając po sobie tępe pobołowanie.

Uliczka kończyła się ślepo. Winston zwolnił i zatrzymał się na parę sekund, zastanawiając się co dalej, następnie odwrócił się i ruszył z powrotem. W tym samym momencie przyszło mu do głowy, że dziewczyna minęła go jakieś trzy minuty wcześniej, więc gdyby biegł, pewnie by ją dogonił. Mógłby śledzić ją, aż znajdzie się w jakimś odludnym miejscu, i tam rozwalić jej czaszkę kamieniem. Kawał szkła, który miał w kieszeni, był wystarczająco ciężki, żeby załatwić sprawę. Od razu jednak porzucił ten pomysł, bo myśl o jakimkolwiek wysiłku fizycznym była nie do zniesienia. Nie był w stanie biec, nie byłby w stanie wymierzyć ciosu. Poza tym ona była młoda i krzepka — broniłaby się. Pomyślał jeszcze, że mógłby pójść do Osiedlowego Domu Kultury i zostać tam aż do zamknięcia, żeby mieć chociaż częściowe alibi na ten wieczór. Ale i to było niemożliwe. Opanowało go śmiertelne znużenie. Chciał tylko szybko wrócić do domu, usiąść i uspokoić się.

Dotarł na miejsce już po dwudziestej drugiej. Światło wyłączano w całym bloku o 23.30. Poszedł do kuchni i przełknął prawie pełną filiżankę Ginu Zwycięstwa. Potem podszedł do stołu we wnęce, usiadł i wyciągnął zeszyt. Jednak nie otworzył go od razu. Metaliczny kobiecy głos wykrzykiwał z teleekranu pieśń patriotyczną. Siedział, gapiąc się na marmurkową okładkę zeszytu i próbując bez skutku wyrzucić wrzask ze świadomości.

Przychodzili w nocy. Zawsze w nocy. Należało zabić się, zanim wpadnie się w ich ręce. Bez wątpienia nie brakowało ludzi, którzy tak robili. Niektóre zniknięcia były *de facto*<sup>53</sup> samobójstwami. Jednak w sytuacji, kiedy nie dało się zdobyć ani broni palnej, ani szybkiej i skutecznej trucizny, zabicie się wymagało desperackiej odwagi. Pomyślał z pewnym zdumieniem o biologicznej beużyteczności bólu i strachu, o zdradliwości ludzkiego ciała, zastygającego w bezwładzie akurat wtedy, kiedy konieczny był szczególny wysiłek. Mógłby uciszyć ciemnowłosą dziewczynę, gdyby tylko zadziałał wystarczająco szybko, jednak właśnie z powodu grożącego mu ogromnego niebezpieczeństwa utracił zdolność działania. Uderzyła go myśl, że w momentach szczególnie kryzysowych nie walczy się z zewnętrznym wrogiem, tylko z własnym ciałem. Nawet teraz, pomimo ginu, tępy ból brzucha uniemożliwiał mu spójne myślenie. Tak samo to wygląda, pomyślał, we wszystkich z pozoru heroicznych czy tragicznych sytuacjach. Na polu walki, w komnacie tortur, na tonącym statku — to, z czym się walczy, zawsze idzie w zapomnienie; życie to wojna, chwila po chwili, z głodem, zimnem lub bezsennością, z własnymi wnętrznościami, z bolącym zębem.

Otworzył zeszyt. Ważne, żeby coś napisać. Kobieta na teleekranie zaczęła następną piosenkę. Jej głos zdawał się wbijać w mózg Winstona jak odłamki szkła. Spróbował pomyśleć o O'Brienie, dla którego albo do którego pisany był jego dziennik; zamiast tego wyobrażał sobie jednak, co się z nim stanie, kiedy schwyta go myślopolycja. Nie martwiło go, że mogą go od razu zabić. Śmierci należało się spodziewać. Ale przedtem (nikt nie mówił o tych rzeczach, choć wszyscy o nich wiedzieli) trzeba było poddać się rytuałowi przesłuchań: czolganie się po podłodze, wołanie o litość, trzask łamanych kości, powybijane zęby i krwawe kępki wyrwanych włosów. Dlaczego trzeba było przez to

Ciało

<sup>53</sup>*de facto* (łac.) — w rzeczywistości, faktycznie. [przypis edytorski]

przechodzić, skoro wszyscy kończyli tak samo? Czemu nie można było umrzeć parę dni czy parę tygodni wcześniej? Nikt nigdy nie uniknął zdemaskowania, wszyscy przyznawali się do winy. Jeśli już człowiek dopuścił się myślozbrodni, wiadomo było, że w pewnym momencie zginie. Dlaczego więc trzeba było przechodzić przez horror, który niczego nie zmieniał?

Spróbował z nieco większym niż uprzednio powodzeniem przywołać twarz O'Briena. „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku”, powiedział tamten. Winston wiedział, co to znaczy, tak mu się w każdym razie zdawało. Miejsce pozbawione ciemności było wyobrazoną przyszłością, której żaden z nich nigdy nie zobaczy, w której jednak, przeczuwając jej nadejście, mogli mieć swój duchowy udział. Dokuczliwy głos z teleekranu uniemożliwił dalsze skupienie. Winston wetknął papierosa do ust. Połowa tytoniu natychmiast wypadła mu na język. Był to gorzki proszek, trudny do wyplucia. Twarz Wielkiego Brata wślizgnęła się do jego rozmyślań, zasłaniając O'Briena. Zrobił to samo, co parę dni wcześniej: wyciągnął z kieszeni monetę i przyjrzał się jej. Spoglądało z niej masywne, spokojne, opiekuńcze oblicze — ale jaki był uśmiech, ukryty za ciemnymi wąsami? Jak żałobne bicie dzwonu w głowie Winstona rozbrzmiały słowa:

WOJNA TO POKÓJ  
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA  
IGNORANCJA TO SIŁA

# CZĘŚĆ II

## I

Był późny ranek, kiedy Winston wyszedł ze swojego boksu, żeby udać się do toalety. Z drugiego końca długiego, rzęsiście oświetlonego korytarza nadchodziła jakaś samotna postać; była to ciemnowłosa dziewczyna, na którą natknął się cztery dni wcześniej przed sklepikiem ze starociami. Z bliska zauważył, że jej prawe ramię podtrzymuje temblak. Był tego samego koloru, co kombinezon, dlatego wcześniej go nie dostrzegł. Pewnie wybiła sobie rękę, obsługując któryś z ogromnych kalejdoskopów „szkicujących” fabuły nowych powieści. W Departamencie Fikcji często zdarzały się podobne wypadki.

Znajdowali się w odległości może czterech metrów od siebie, kiedy dziewczyna potknęła się i upadła niemal płasko na ziemię. Wyrwał się jej głośny okrzyk bólu; widocznie przygniotła sobie uszkodzoną rękę. Winston przystanął. Dziewczyna podniosła się na kolana. Jej twarz przybrała mlecznożółtą barwę, od której jeszcze wyraźniej niż zwykle odcinała się czerwień ust. Jej wzrok, utkwiony w Winstonie, wyrażał raczej strach niż fizyczne cierpienie.

Winstona ogarnęło dziwne uczucie. Oto miał przed sobą śmiertelnie niebezpiecznego wroga, ale była to także istota ludzka odczuwająca ból. Możliwe, że miała złamaną rękę. Instynktownie zbliżył się do niej, żeby pomóc. Widząc, jak upada na uszkodzone ramię, miał wrażenie, że czuje jej ból we własnym ciele.

— Mocno się potłukłaś? — spytał.

— To nic takiego. Tylko ta ręka. Zaraz przejdzie.

Nadal była roztrzęsiona. Zrobiła się naprawdę bardzo blada.

— Nic nie złamałaś?

— Nie, wszystko w porządku. Zabolalo przez chwilę, to wszystko.

Wyciągnęła ku niemu zdrowe ramię, pomogł jej wstać. Częściowo odzyskała rumieńce, wyglądała już o wiele lepiej.

— To nic takiego — powtórzyła krótko. — Tylko się uderzyłam. Dzięki, towarzyszu!

Po czym odmaszerowała tak energicznie, jakby faktycznie nic się nie stało. Całe zajście nie mogło trwać dłużej niż pół minuty. Kontrolowanie wyrazu twarzy, aby nie zdradzał emocji, było nawykiem, który przeszedł już w odruch; w dodatku scena rozgrywała się na wprost teleekranu, a mimo to Winston z trudem powstrzymał wyraz zdumienia, bo w ciągu tych dwóch czy trzech sekund, kiedy pomagał dziewczynie wstać, wetknęła mu coś do ręki. Nie miał wątpliwości, że zrobiła to celowo. Było to coś małego i płaskiego. Wchodząc do toalety, włożył przedmiot do kieszeni i obadał opuszkami palców. Rozpoznał złożony w kostkę skrawek papieru.

Stojąc nad pisuarem, zdołał samymi ruchami palców rozwinąć karteczkę. Coś tam było z pewnością napisane. Kusilo go, żeby wejść do kabiny i od razu przeczytać. Zdawał sobie jednak sprawę, że byłaby to piramidalna głupota. Gdzie jak gdzie, ale w toalecie z pewnością cały czas obserwowano obraz z teleekranu.

Wrócił do boksu, usiadł, rzucił skrawek między inne papiery, jak gdyby nigdy nic; założył okulary i przyciągnął głosopis. „Pięć minut”, powiedział sobie. „Przynajmniej pięć minut!”. Serce Winstona biło jak oszalałe. Na szczęście praca, którą akurat wykonywał, polegająca na poprawianiu długiej serii liczb, była czysto rutynowa i nie wymagała skupienia.

Był przekonany, że wiadomość zapisana na karteluszkach ma znaczenie polityczne. Brał pod uwagę dwie możliwości. Bardziej prawdopodobna to ta, że dziewczyna jest agentką myślopolicii, tak jak się wcześniej obawiał. Nie miał pojęcia, dlaczego myślopolicia zdecydowała się przekazać mu wiadomość akurat w ten sposób, zapewne jednak mieli swoje powody. List mógł zawierać groźbę, wezwanie, nakaz samobójstwa lub też stanowić jakiś rodzaj pułapki. Istniała jednak druga, bardziej szalona opcja, narzucająca się uporczywie, choć próbował ją od siebie odsuwać. Co, jeśli wiadomość wcale nie pochodzi od myślopolicii, tylko od jakiejś organizacji podziemnej? Może Bractwo istnieje? Może dziewczyna do niego należy? Była to bez wątpienia absurdalna myśl, przyszła mu jednak do głowy, kiedy tylko poczuł w dłoni skrawek papieru. Dopiero parę minut później wpadł na in-

Spotkanie

List, Miłość



ne, bardziej prawdopodobne wytłumaczenie. I nawet teraz, choć rozum przekonywał, że wiadomość zapewne oznacza śmierć, nadal do końca w to nie wierzył. Pobudzone irracjonalną nadzieją serce biło mu tak mocno, że z trudem powstrzymywał drżenie głosu, dyktując liczby do urzędnika.

Zwinął papiery ze skończoną pracą i wsunął je do tuby pneumatycznej. Minęło osiem minut. Poprawił okulary na nosie, westchnął i przysunął sobie kolejną porcję roboty — skrawek papieru leżał na samej górze. Wyglądził go. Dużym, nieporadnym pismem napisano na nim słowa:

„Kocham cię”.

Przez parę sekund był tak zszokowany, że nawet nie wrzucił kompromitującego świstka do szczyliny pamięci. Zanim to zrobił, przeczytał tekst jeszcze raz, choć dobrze wiedział, że okazując zbyt wielkie zainteresowanie, narażał się na niebezpieczeństwo. Chciał po prostu upewnić się, że te słowa naprawdę tam są.

Przez resztę poranka trudno mu było pracować. Gorsze od konieczności skupienia się na paru szczegółowych zadaniach było to, że musiał ukrywać emocje przed teleekranem. Miał wrażenie, że od środka trawi go ogień. Obiad w gorącej, zatłoczonej i hałaśliwej stołówce był prawdziwą udręką. Winston liczył, że podczas przerwy choć na moment zostanie sam, ale pech chciał, że rozsiadł się obok niego ten imbecyl Parsons, niemal wypierając słaby zapach gulaszu odorem swojego potu. Trajkotał o przygotowaniach do Tygodnia Nienawiści — jego szczególnie entuzjazm wzbudzała szeroka na dwa metry kopia głowy Wielkiego Brata z *papier mâché*,<sup>54</sup> przygotowywana na tę okazję przez zastęp Szpiegów, do którego należała jego córka. Najbardziej irytujące było to, że w ogólnym gwarze Winston prawie nie słyszał Parsonsa i co chwila musiał prosić o powtórzenie tej czy innej durnoty. Tylko raz kątem oka zerknął na dziewczynę, która siedziała z dwiema innymi młodymi kobietami po drugiej stronie stołówki. Sprawiała wrażenie, jakby go nie widziała. Nie spojrzał już więcej w jej kierunku.

Popołudnie było znośniejsze. Zaraz po obiedzie dostał trudne, delikatne zadanie, wymagające odłożenia innych spraw na kilka godzin. Musiał sfalszować serię sprawozdań produkcyjnych sprzed dwóch lat tak, aby zdyskredytować pewnego prominentnego członka Wewnętrznej Partii, nad którym obecnie zbierały się czarne chmury. Winston był w tym bardzo dobry i na jakieś dwie godziny udało mu się całkowicie wyrzucić dziewczynę z głowy. Potem jednak powróciło wspomnienie jej twarzy, a wraz z nim — palące, nieznośne pragnienie, by zostać samemu. Dopiero w samotności mógłby sobie przemyśleć całą sytuację. Jednak tamtego wieczora wypadały zajęcia w Osiedlowym Domu Kultury. Pochłonął kolejny mdły posiłek w stołówce, pobiegł do ODK-u, wziął udział w ponurej blazenadzie „grupy dyskusyjnej”, rozegrał dwie partie ping-ponga, wypił kilka szklanek ginu i przesiedział pół godziny na wykładzie pod tytułem „Angsoc a szachy”. W środku skręcał się z nudów, tym razem jednak nie kusilo go, żeby się zerwać. Na widok słów „Kocham cię” wezbrało w nim pragnienie życia, zatem podejmowanie nawet niewielkiego ryzyka nagle wydało mu się głupie. Dopiero o dwudziestą trzecią, kiedy wrócił do domu i położył się do łóżka — w ciemności, dającej schronienie przed teleekranem, o ile zachowywało się milczenie — mógł spokojnie pomyśleć.

Miał do rozwiązania nie lada problem logistyczny: jak skontaktować się z dziewczyną i zaaranżować spotkanie. Nie brał już pod uwagę możliwości, że mogłaby zastawić na niego pułapkę. Wykluczył to z powodu jej widocznego roztrzęsienia, kiedy wręczała mu liścik. Była szczerze przerażona, to jasne, miała przecież ku temu powody. Nie przeszło mu nawet przez myśl, iż mógłby odrzucić jej awanse. Chociaż zaledwie pięć dni wcześniej chciał rozwalić jej głowę kamieniem, w tej chwili to nie miało znaczenia. Wyobrażał sobie jej nagie, młode ciało, takie jakie widział we śnie. Jeszcze niedawno zakładał, że jest tak samo głupia jak cała reszta i jej głowę wypełniają kłamstwa oraz nienawiść, a w środku jest zimna. Teraz myślał rozgorączkowany, że może ją stracić, że to piękne, białe ciało może mu się wymknąć! Bardziej niż czegokolwiek innego obawiał się, że jeśli nie skontaktuje się z nią wystarczająco szybko, dziewczyna po prostu zmieni zdanie. Jednak umówienie się nastręczało ogromnych trudności, niczym zrobienie ruchu w szachach, kiedy dostało

<sup>54</sup>*papier mâché*, (fr.) — masa papierowa, używana do wyrobu opakowań i dekoracji. [przypis edytorski]

się mata. Gdzie się nie obrócić, wszędzie teleekrany. W istocie wszystkie możliwe sposoby nawiązania kontaktu przyszły mu do głowy w ciągu pierwszych pięciu minut. Teraz, mając wreszcie czas, po kolei przeglądał w myślach różne opcje, jakby rozkładał na stole zestaw dostępnych narzędzi.

Powtórne zainscenizowanie spotkania w taki sposób, jak odbyło się ono tamtego ranka, nie wchodziło, rzecz jasna, w grę. Gdyby pracowała w Departamencie Archiwów, sprawa byłaby stosunkowo łatwa. Winston nie orientował się jednak, gdzie w gmachu ministerstwa znajduje się Departament Fikcji; nie miał też żadnego pretekstu, żeby się tam zapuścić. Jeśliby tylko wiedział, gdzie mieszka i o której kończy pracę, mógłby coś wykombinować, żeby spotkać ją po drodze do domu, nie mógł jej jednak śledzić, nie byłoby to bezpieczne; kręcąc się bez wyraźnego celu przed ministerstwem, z pewnością zostałby zauważony. Wysłanie listu pocztą było wykluczone. Całą korespondencję otwierano rutynowo po drodze, nie stanowiło to zresztą tajemnicy. Właściwie mało kto pisał listy. Raz na jakiś czas wysyłało się wiadomości innym ludziom, ale do tego służyły drukowane pocztówki z długimi spisami gotowych fraz; po prostu skreślało się te, które akurat nie miały zastosowania. Tymczasem Winston nie znał nawet imienia dziewczyny, nie mówiąc o jej adresie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że najbezpieczniejszym miejscem będzie stołówka. Gdyby udało mu się zastać ją przy stole samą — gdzieś pośrodku sali, nie za blisko teleekranu — i gdyby otaczał ich wystarczająco głośny harmider rozmów, mogliby zamienić parę słów. Wystarczyłoby trzydzieści sekund.

Przez kolejny tydzień jego życie przypominało niespokojny sen. Nazajutrz dziewczyna pojawiła się w stołówce, dopiero kiedy Winston wychodził, już po gwizdku. Prawdopodobnie przydzielono jej późniejszą zmianę. Minęli się, nie patrząc na siebie. Kolejnego dnia przyszła o zwykłej godzinie, ale z trzema innymi dziewczynami i usiadła tuż pod teleekranem. Potem przez trzy straszne dni w ogóle się nie pojawiła. Ciało i umysł Winstona stały się nieznośnie nadwrażliwe, wyostrenie zmysłów sprawiało, że każdy ruch, każdy dźwięk, każdy kontakt z drugim człowiekiem, każde wypowiedziane czy usłyszane słowo stanowiło torturę. Nawet we śnie nie udawało mu się całkowicie uciec od jej obrazu. W tych dniach nie dotykał dziennika. Tylko pograżając się w pracy, znajdował chwilową ulgę. Udawało mu się czasem skupić na całe dziesięć minut. Nie miał bladego pojęcia, co mogło się z nią stać, a nie było sposobu, żeby się czegokolwiek dowiedzieć. Mogła zostać ewaporowana, mogła popełnić samobójstwo, mogli ją przenieść na drugi koniec Oceanii — a co najgorsze, mogła po prostu zmienić zdanie i zdecydować, że będzie go unikała.

Jednak następnego dnia znowu ją zobaczył. Nie miała już temblaka, tylko opaskę, przytrzymywaną przez plaster wokół nadgarstka. Ulga, którą Winston poczuł na jej widok, była tak ogromna, że uległ pokusie popatrzenia przez kilka sekund wprost na dziewczynę. Kolejnego dnia niewiele brakowało, a zagadałby do niej, bowiem gdy przyszedł na stołówkę, siedziała przy stoliku dość oddalonym od ściany, całkiem sama. Było wcześnie, pomieszczenie nie wypełniło się jeszcze ludźmi. Kolejka sunęła równo, aż Winston znalazł się prawie przy kontuarze, potem jednak zatrzymała się na dwie minuty, bo ktoś z przodu narzekał, że nie dostał sacharyny. Dziewczyna wciąż jeszcze siedziała sama, kiedy odebrał swoją tacę i ruszył w kierunku jej stolika. Szedł swobodnym krokiem, udając, że wypatruje wolnego miejsca gdzieś za jej plecami. Znajdowała się może trzy metry od niego. Jeszcze dwie sekundy i udałoby się osiągnąć cel. Ale właśnie wtedy ktoś z tyłu zawołał: „Smith!”. Początkowo udął, że nie słyszy. „Smith!” — powtórzył głos jeszcze donośniej. Winston nie miał wyjścia. Odwrócił się. Młody blondyn o głupkowatej twarzy, nazwiskiem Wilsher, którego znał bardzo słabo, zapraszał go z uśmiechem, by zajął wolne miejsce przy jego stoliku. Odmówić byłoby niebezpiecznie. Skoro ktoś zawołał go po nazwisku, nie mógł już dosiąść się do samotnej dziewczyny, byłoby to zbyt ostantacyjne. Usiadł, uśmiechając się przyjaźnie. Głupkowata twarz blondyna promieniała. Winston oczami wyobraźni widział, jak miażdży ją kilofem. Po paru chwilach ktoś usiadł obok dziewczyny.

Musiła jednak odnotować tę jego próbę i możliwe, że podchwyciła pomysł. Następnego dnia postarał się przyjść jak najwcześniej. I faktycznie, siedziała przy stoliku mniej więcej tam, gdzie poprzednio — znowu sama. Przed Winstonem czekał w kolejce mały, żukopodobny mężczyzna o prędkich ruchach, płaskiej twarzy i maleńkich, podejrzliwych oczkach. Odchodząc od kontuaru ze swoją tacą, Winston zobaczył, że tamten kieruje się

wprost do stolika dziewczyny. Znowu zaczynał tracić nadzieję. Nieco dalej za nią także było wolne miejsce, jednak wygląd tego człowieka sugerował, że jest zbyt wygodny, aby tłoczyć się przy jednym stoliku z paroma innymi osobami. Winston szedł za nim ze ściśniętym sercem. Plan nie wypali, jeśli nie zostanie sam na sam z dziewczyną. Nagle rozległ się straszliwy łomot. Mikrus wylądował na czworakach, upuszczając przy okazji tacę, po podłodze popłynęły strugi zupy i kawy. Podniósł się i jadowicie spojrzął na Winstona, najwyraźniej podejrzewając go o podstawienie nogi. Ale nic się w końcu nie stało. Pięć sekund później, z łomoczącym sercem, Winston siedział obok dziewczyny.

Nie patrzył na nią. Zestawił naczynia z tacy i natychmiast zaczął jeść. Było sprawą najwyższej wagi, żeby zacząć mówić od razu, zanim ktokolwiek się dosiadzie, nagle jednak ogarnął go potworny strach. Od jej pierwszego gestu minął już tydzień. Mogła zmienić zdanie, oczywiście, że zmieniła zdanie! Ten romans nie mógł skończyć się szczęśliwie, takie rzeczy nie zdarzały się w prawdziwym życiu. Poddalby się, gdyby nie to, że akurat w tym momencie zobaczył Ampleforth, poetę o włochatych uszach, rozglądającego się bezradnie po stolówce w poszukiwaniu wolnego miejsca. Ampleforth łgął z jakiegoś powodu do Winstona, więc gdyby go zauważył, z pewnością zechciałby się dosiąść. Winston miał może minutę. Oboje z dziewczyną w skupieniu pałaszowali posiłek. Składał się on z rzadkiego gulaszu, a raczej zupy — fasolowej. Winston odezwał się półgłosem. Żadne z nich nie podniosło wzroku i nadal rytmicznie pakowali wodnisty pokarm do ust. Po między kolejnymi porcjami bezbarwnymi, cichymi głosami wymienili parę niezbędnych słów.

— O której kończysz?

— O osiemnastej trzydzieści.

— Gdzie możemy się spotkać?

— Na Placu Zwycięstwa, obok pomnika.

— Pełno teleekranów.

— W tłumie to nie ma znaczenia.

— Jakiś sygnał?

— Nie. Nie podchodź, aż upewnisz się, że otaczają mnie ludzie. Nie patrz na mnie.

Po prostu podejź blisko.

— O której?

— O dziewiętnastej.

— W porządku.

Ampleforth nie zauważył Winstona i usiadł gdzie indziej. Dziewczyna szybko skończyła jeść i wkrótce się zmyła, Winston został jeszcze, żeby zapalić papierosa. Już się więcej nie odezwali i — na ile to było możliwe w sytuacji dwóch osób siedzących naprzeciwko siebie przy stole — unikali kontaktu wzrokowego.

Stawił się na Placu Zwycięstwa przed umówioną godziną. Okrążył ogromną, żłobioną kolumnę, na której wznosił się pomnik Wielkiego Brata, spoglądającego na południowe niebo; właśnie tam rozgromił on eurazjatyckie eskadry (kilka lat wcześniej mówiono, że wschodnioazjatyckie) w bitwie o Pierwszy Pas Powietrzny. Nieopodal na ulicy stał konny pomnik mężczyzny, który miał być Oliverem Cromwellem<sup>55</sup>. Pięć minut po umówionej godzinie dziewczyny jeszcze nie było. Znowu ogarnął Winstona potworny strach. Nie przyjdzie, zmieniła zdanie! Zniosło go powoli ku północnej ścianie placu. Odczuł pewien rodzaj nostalgicznej przyjemności, kiedy rozpoznał kościół świętego Marcina, którego dzwony wybijały, jak sobie zaraz przypomniał, „Pomarańcze i cytryny”. A potem ją zobaczył. Stała i czytała lub udawała, że czyta, plakat owijający spiralnie kolumnę. Podejść do niej teraz nie byłoby bezpiecznie, musiał zaczekać, aż zbierze się więcej ludzi. Wokół kolumny roilo się od teleekranów. Nagle z lewej strony dobiegły ludzkie wrzaski i warkot ciężkich pojazdów. Tlum ruszył na przełaj przez plac. Dziewczyna zgrabnie wyminięła lwy, zdobiące podstawę kolumny, i dołączyła do biegnących. Winston popędził za nią. Z rozproszonych, wrzaskliwych komentarzy wywnioskował, że nadjeżdża konwój z eurazjatyckimi jeńcami wojennymi.

Gęsty tłum już blokował południową stronę placu. Winston, któremu jego natura

Tlum

<sup>55</sup>*Cromwell, Oliver* (1599–1658) — polityk angielski, główna postać angielskiej wojny domowej, lord protektor Anglii, Szkocji i Irlandii w latach 1653–1658. [przypis edytorski]

zwykle nakazywała trzymanie się z dala od wszelkich awantur, teraz wciskał się, przepychał i lawirował, żeby dotrzeć w sam środek zgromadzenia. Wkrótce miał dziewczynę na wyciągnięcie ręki, rozdzielał ich jednak potężny prol; wraz z niemal równie ogromną prołką, zapewne jego żoną, tworzyli niemożliwą do pokonania ścianę ciał. Winston odwrócił się bokiem i rzucając się na nich z całej siły, zdołał wbić ramię pomiędzy te dwie istoty. Przez moment miał wrażenie, że nacisk masywnych bioder zmieli jego wnętrzności na miazgę, potem jednak udało mu przedrzeć się na drugą stronę. Nieco spocony, znalazł się wreszcie przy dziewczynie. Stali ramię w ramię, niewzruszenie patrząc przed siebie.

Ulicą przesuwawa się powoli długa kolumna ciężarówek; uzbrojeni w pistolety maszynowe strażnicy o drewnianych twarzach stali na baczność w rogach platform, zaś między nimi siedzieli w kucki drobni, żółci ludzie w lichych, zielonych mundurach. Ich smutne twarze o mongolskich rysach wyglądały przez boki pojazdów bez krzty zaciekawienia. Od czasu do czasu, gdy któryś furgon podskoczył na wyboju, rozlegał się brzęk metalu: stłoczeni więźniowie mieli skute nogi. Ciężarówka za ciężarówką przesuwały się ładunki ponurych twarzy. Winston patrzył na nich, ale dostrzegał ich tylko chwilami. Ramię dziewczyny przyciskało się do jego ramienia. Była tak blisko, że wyczuwał ciepło jej policzka. Natychmiast przejęła kontrolę nad sytuacją — jak wtedy w stolówce. Odezwawała się takim samym, bezbarwnym głosem, niemal nie poruszając ustami. Był to właściwie szepet, z łatwością tonący w ludzkim gwarze i warkocie silników.

— Słyszysz mnie?

— Tak.

— Możesz wziąć wolne w niedzielę?

— Tak.

— To słuchaj uważnie. Musisz to zapamiętać. Idź na stację Paddington<sup>56</sup>...

Z niemal żołnierską precyzją, która go zaskoczyła, wytyczyła trasę, którą miał pokonać. Pół godziny pociągiem, po wyjściu ze stacji w lewo; dwa kilometry drogą do bramy z brakującą górną zasuwą, dalej dróżką przez pole do trawiastej łąki, potem ścieżką między krzakami do martwego drzewa otulonego mchem. Zupełnie jakby miała mapę w głowie.

— Dasz radę zapamiętać? — spytała w końcu.

— Tak.

— Skręćasz w lewo, potem w prawo, potem znowu w lewo. Brama bez górnej zasuw.

— Tak. O której?

— Około piętnastej. Może będziesz musiał zaczekać. Dotrę inną drogą. Na pewno wszystko zapamiętałeś?

— Tak.

— Odejdź zatem jak najszybciej.

Nie musiała mu tego mówić. Ale nie od razu wydostali się z tłumu; ciężarówki nadal przesuwały się ulicą, nienasyceci ludzie wciąż się gapili. Na początku rozlegały się pojedyncze buczenia i syki, wydawali je jednak tylko rozproszeni w tłumie członkowie Partii, wkrótce więc ustały. Dominującym odczuciem była ciekawość. Obcokrajowcy, czy to z Eurazji czy z Azji Wschodniej, byli jak egzotyczne zwierzęta. Widywało się ich wyłącznie w roli jeńców, a nawet wtedy można ich było ujrzeć tylko przelotnie. Nikt nie wiedział, co się z nimi dzieje później. Poza nielicznymi, których wieszano jako zbrodniarzy wojennych, po prostu znikali, trafiając pewnie do obozów pracy przymusowej. Okrągłe, mongolskie twarze ustąpiły miejsca obliczom bardziej europejskim — brudnym, brodatym i wycierńczonym. Znad szczeciniastych policzków wpatrywały się w Winstona ludzkie oczy, przez chwilę wwiercały się w niego, po czym znikwały. Konwój zbliżał się do końca. Na ostatniej ciężarówce stary mężczyzna z twarzą pokrytą bujnym, siwym zarostem stał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, jakby przyzwyczajony, że są skute kajdanami. Naprawdę powinni się pożegnać. Ale w ostatnim momencie, póki jeszcze osłaniał ich tłum, jej ręka znalazła jego rękę i lekko ją ścisnęła.

Nie trwało to nawet dziesięciu sekund, a mimo to Winston miał wrażenie, że dotyka ją bardzo długo. Zdołał nauczyć się każdego szczegółu jej dłoni. Zbadał jej długie

Więzień, Kondycja ludzka

Obcy, Kondycja ludzka,  
Niewola, Żołnierz

<sup>56</sup>stacja *Paddington* — londyńska stacja kolejowa na terenie gminy Westminster, w dzielnicy Paddington. [przypis edytorski]

palce, kształtne paznokcie, wewnątrz stwardniałe od pracy, z rzędem odcisków, i gładkie ciało pod nadgarstkiem. Przynosił sobie tę dłoń tak dobrze, że rozpoznałby ją wzrokiem. Jednocześnie uzmysłowił sobie, że nie wie, jakiego koloru są oczy dziewczyny. Pewnie brązowe, choć ciemnowłose osoby także miewają niebieskie tęczaówki. Chciał odwrócić się i zerknąć na nią, ale byłaby to niewyobrażalna głupota. Ze splecionymi dłońmi, niewidocznymi w masie ciała, patrzyli prosto przed siebie, a zamiast oczu dziewczyny Winston napotkał oczy starego więźnia, spoglądające z głębokim smutkiem spomiędzy siwych strąków.

## 2

Winston wędrował dróżką wśród drzew, poprzez plamy światła i cienia; brodził w złotych kałużach, gdzie słońce przelewało się między gałęziami. Pod drzewami, po lewej, roilo się od dzwonek. Powietrze pieściło skórę. Był drugi dzień maja. Z odległego miejsca w sercu lasu dobiegało gruchanie synogarlicy.

Przyjechał nieco przed czasem. Droga okazała się łatwa, dziewczyna ewidentnie miała duże doświadczenie, przez co nie bał się aż tak bardzo, jak się spodziewał. Najwyraźniej wiedziała, jak znaleźć bezpieczne miejsce. Ogólnie rzecz biorąc, nie należało zakładać, że poza miastem jest mniej groźnie niż w Londynie. W lesie nie montowano oczywiście teleekranów, zawsze jednak istniało ryzyko natknięcia się na ukryty mikrofon, który rejestruje każde słowo i umożliwi rozpoznanie głosu; poza tym trudno było podróżować w pojedynkę bez zwracania na siebie uwagi. Wyprawa na odległość mniejszą niż 100 km nie wymagała pozwolenia w paszporcie, ale czasem wokół stacji kolejowych kręciły się patrole, zwracające szczególną uwagę na członków Partii — należało spodziewać się kontroli dokumentów i niezręcznych pytań. Na szczęście Winston nie natknął się na żaden z nich. Po drodze ze stacji upewnił się, że nikt go nie śledzi, oglądając się ostrożnie za siebie. Pociąg był napakowany prolami w wakacyjnych nastrojach z powodu letniej pogody. Wagon z drewnianymi ławkami, którym podróżował, ledwo mieścił jedną gigantyczną polską rodzinę — od bezżębnej prababki po czterotygodniowe niemowlę — podróżującą „do teściów” na wsi w odwiedziny, ale też po to, żeby zdobyć trochę masła na czarnym rynku, co wyjawili Winstonowi zupełnie bez skrępowania.

Dróżka rozszerzyła się, po chwili dotarł do ścieżki, o której mu powiedziała; był to ledwie szlak wydeptany przez zwierzęta między krzakami. Nie miał zegarka, ale zdecydowanie nie wybiła jeszcze piętnasta. Dzwonki rosły tak gęsto, że nie mógł ich nie podeptać. Ukłąkł i zaczął je zrywać, żeby zabić czas, ale także dlatego, że chciał dać bukiet dziewczynie, kiedy się spotkają. Uzbierał sporo kwiatów i wdychał ich nikły, mdławy zapach, kiedy dźwięk dobiegający zza jego pleców sprawił, że zamarł; to gałązka trzasnęła pod czyjąś stopą. Wrócił do zrywania dzwonek, to było najlepsze rozwiązanie. Mogła to być dziewczyna albo ktoś go jednak śledził. Rozglądając się, pokazałby, że czuje się winny, zrywał więc dalej kwiaty. Nagle poczuł lekki dotyk dłoni na ramieniu.

Spojrzał do góry. To była ona. Pokręciła głową. Zrozumiał, że każe mu w ten sposób zachować milczenie. Potem, rozgarniając zarośla, sprawnie poprowadziła go wąską dróżką głębiej w las. Ewidentnie знаła to miejsce, bo zupełnie odruchowo unikała podmokłych fragmentów terenu. Winston podążał za nią, ściskając swój bukiet. W pierwszej chwili odczuł ulgę, jednak obserwując mocne, szczupłe ciało prowadzącej go dziewczyny, z czerwoną szarfą przewiazaną w talii dość ciasno, żeby podkreślała jej kobiece kształty, boleśnie doświadczał swojej niższości. Obawiał się, że kiedy ona odwróci się i spojrzy na niego, jednak się wycofa. Balsamiczne powietrze i zieleń liści zniechęcały go. Już w drodze ze stacji światło słoneczne sprawiło, że Winston poczuł się brudny i zmizerniały; był stworzeniem unikającym świeżego powietrza, z czarnym jak sadza pyłem Londynu w porach skóry. Uświadomił sobie, że dziewczyna nigdy wcześniej nie widziała go na dworze, w ostrym słońcu. Dotarli właśnie do przewróconego drzewa, o którym wspominała. Przeskoczyła przez pień i rozgarnęła zarośla, choć nie było tam widać żadnego przejścia. Poszedł za nią i zaraz znaleźli się na polanie, na niewielkiej, porośniętej trawą łące, otoczonej przez wysokie, młode drzewa, zapewniające osłonę ze wszystkich stron. Dziewczyna zatrzymała się i zwróciła się ku niemu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała.

Kwiaty, Las

Stał, zwrócony do niej twarzą, w odległości kilku kroków. Nie miał jeszcze śmiałości podejść bliżej.

— Nie chciałam nic mówić po drodze — powiedziała — czasem można trafić na ukryty mikrofon. Rzadko, jednak nie da się tego wykluczyć. Zawsze jest obawa, że któraś z tych świń rozpozna twój głos. Tu jesteśmy bezpieczni.

Nadal nie miał odwagi zbliżyć się do niej.

— Jesteśmy bezpieczni? — spytał niemądrze.

— Tak. Popatrz na te drzewa. — Były to niewielkie jesiony; stare drzewa kiedyś ścięto, jednak wypuściły las młodych pędów, z których żaden nie był grubszy od nadgarstka. — Nie ma gdzie schować mikrofonu. Poza tym, byłam już tutaj.

Dotychczas tylko rozmawiali. Dopiero teraz odważył się podejść bliżej. Dziewczyna stała przed nim wyprostowana, z nieco ironicznym uśmiechem na twarzy, jakby zastanawiała się, dlaczego Winston tak się ociąga. Dzwonki opadły kaskadą na ziemię niczym obdarzone własną wolą. Wziął ją za rękę.

— Czy uwierzysz — powiedział — że aż do tego momentu nie wiedziałem, jakiego koloru są twoje oczy? — Widział, że są brązowe, jasnobrązowe, otoczone ciemnymi rzęsami. — Teraz, kiedy wiesz, jak naprawdę wyglądam, nadal możesz na mnie patrzeć bez wstępu?

— Tak, oczywiście.

— Mam trzydzieści dziewięć lat. Mam żonę, której nie mogę się pozbyć. Mam żylaki. I sztuczne zęby.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedziała dziewczyna.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale już po chwili tulił ją w ramionach. Najpierw nie czuł nic poza czystym niedowierzaniem. Jej młode ciało przeżyło się pod jego dotykiem, masa ciemnych włosów muskała mu twarz i nagle... Tak, naprawdę całował jej wydatne, czerwone usta. Objęła go ramionami i mówiła: „Kochany, najdroższy, skarbie”. Osunęli się na trawę, nie opierała się ani trochę, mógł z nią zrobić wszystko, co chciał. Ale prawda była taka, że jej dotyk nie rozpałił w nim namiętności. Czuł niedowierzanie i dumę, lecz nie fizyczne pożądanie. Sam nie wiedział dlaczego. Może działo się to zbyt szybko, może obawiał się jej młodości i urody, może za bardzo przyzwyczał się do życia bez kobiet. Dziewczyna podniosła się i wyciągnęła z włosów zgnieciony dzwonek. Usiadła obok Winstona i otoczyła go ramieniem.

— Nic nie szkodzi, kochany, nie ma pośpiechu. Mamy całe popołudnie. Czyż to nie jest wspaniała kryjówka? Znalazłam to miejsce pewnego razu, kiedy zgubiłam się podczas wycieczki grupowej. Gdyby ktoś nadchodził, usłyszelibyśmy z odległości stu metrów.

— Jak masz na imię? — spytał Winston.

— Julia. Twoje znam. Winston. Winston Smith.

— Jak się dowiedziałeś?

— Chyba jestem lepsza od ciebie w dowiadywaniu się różnych rzeczy, mój drogi. Powiedz mi, co o mnie myślałeś, zanim dałam ci liścik?

Nie kusiło go, żeby skłamać. A zresztą powiedzenie najgorszego było swego rodzaju miłosnym darem.

— Nienawidziłem cię z całego serca. Chciałam cię zgwałcić, a potem zamordować. Dwa tygodnie temu całkiem serio myślałam o roztrzaskaniu twojej czaszki kamieniem. Jeśli chcesz znać prawdę, sądziłem, że masz związku z myślöpolicją.

Dziewczyna roześmiała się radośnie, biorąc za komplement pod adresem swojego kamuflażu.

— Tylko nie myślöpolicja! Naprawdę tak sądziłeś?

— Może nie całkiem tak. Ale sądząc po twoim wyglądzie, po prostu dlatego, że jesteś taka młoda, świeża i zdrowa, rozumiesz, myślałem, że pewnie...

— Uznałeś, że jestem lojalną partyjniaczką. Czystą w słowach i uczynkach. Transparenty, procesje, slogany, gry zespołowe, wycieczki grupowe, te rzeczy. I wydawało ci się, że jeśli tylko trafi się okazja, wydam cię na śmierć jako myślöbrodniarza?

— Tak, coś w tym rodzaju. Wiesz, wiele młodych kobiet jest właśnie takich.

— To przez to cholerstwo — powiedziała, zrywając szkarłatną szarfę Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej i zarzucając ją na gałąź drzewa. Następnie, jakby dotknąwszy talii o czymś sobie przypomniała, sięgnęła do kieszeni uniformu i wyciągnęła niedużą tabliczkę

Seks

Wspomnienia

czekolady. Przełamała ją na pół i jeden z kawałków wręczyła Winstonowi. Jeszcze nie skosztował, a już poznał po zapachu, że to nie jest zwyczajna czekolada. Była ciemna, błyszcząca, owinięta w sreberko. Zwykła czekolada miała kolor matowobrazowy, kruszyła się i smakowała — żeby użyć najlepszego porównania — jak dym z palonych śmieci. Ale Winston jadł już taką czekoladę jak ta. Kiedy tylko poczuł jej zapach, wróciło do niego wspomnienie, którego nie umiał sprecyzować, które jednak było mocne i niepokojące.

— Skąd to masz? — spytał.

— Z czarnego rynku — odpowiedziała obojętnie. — Fakt, wyglądam na taką, za jaką mnie wzięłeś. Lubię sport. Byłam zastępową w Szpiegach. Trzy wieczory w tygodniu poświęcam na ochotnicze prace dla Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej. Mnóstwo godzin spędziłam, oklejając cały Londyn tym ich cholernym gównem. Podczas demonstracji zawsze trzymam transparent. Wyglądam pogodnie, nigdy się od niczego nie wykręcam. „Zawsze wrzeszczyć razem z tłumem” to moja dewiza. Tylko taka strategia zapewnia bezpieczeństwo.

Pierwszy kawałek czekolady rozpuścił się na języku Winstona. Smak był wspaniały. Towarzyszyło mu jednak tamto wspomnienie, krążące po obrzeżach świadomości — silne, ale niekonkretne jak kształt dostrzeżony jedynie kątem oka. Odsunął je od siebie, czując w głębi ducha, że chodzi o uczynek, który najchętniej cofnąłby, gdyby to było możliwe.

— Jesteś bardzo młoda — powiedział. — Dziesięć albo piętnaście lat młodsza ode mnie. Co takiego we mnie zobaczyłaś, że zwróciłaś uwagę na kogoś takiego jak ja?

— Coś w twojej twarzy. Pomyślałam, że zaryzykuję. Umiejęt rozpoznać człowieka, który gdzieś nie pasuje. Kiedy tylko cię zobaczyłam, od razu wiedziałam, że jesteś przeciwko *nim*.

Oni oznaczali Partię, a przede wszystkim Partię Wewnętrzną, o której Julia wyrażała się z otwartą, kąśliwą nienawiścią, wywołującą poczucie dyskomfortu u Winstona, chociaż wiedział, że znajdują się w wyjątkowo bezpiecznym miejscu. Zdumiewała go ordynarność jej języka. Członkom Partii nie wolno było przeklinać i sam Winston klął rzadko, a w każdym razie rzadko robił to na głos. Za to Julia nie była w stanie wspomnieć o Partii, szczególnie o Partii Wewnętrznej, bez dorzucenia wiązanek słów z rodzaju tych, które widywało się nabazgrane kredą na chodniku w tym czy innym, cuchnącym wilgocią i uryną zaułku. Właściwie mu się to podobało. Ten język był jednym z przejawów jej buntu przeciwko Partii i partyjnym metodom; wydawał się całkiem naturalny, jak prychanie konia, który poczuł zapach zgniętego siana. Opuścili polanę i znowu wędrowali w plamach światła i cienia, obejmując się w pasie, kiedy tylko ścieżka stawała się dość szeroka, by dało się iść obok siebie. Winston poczuł, o ile bardziej miękka wydawała się jej talia, kiedy nie miała już szarfy. Mówili tylko szeptem. Poza polaną, powiedziała Julia, lepiej było zachowywać się cicho. Dotarli teraz na skraj lasu. Zatrzymała go.

— Nie wychodź na otwartą przestrzeń. Ktoś może nas podejrzeć. Tu, za drzewami, jesteśmy bezpieczni.

Stali w cieniu kępy leszczyny. Słońce, choć przefiltrowane przez miliony liści, paliło ich twarze. Winston spojrzął na pole, które się przed nimi rozciągało, i ku swojemu zdumieniu odkrył, że rozpoznaje to miejsce. Już je widział. Stare, wygryzione do gołej ziemi pastwisko z biegnącą pośrodku krętą ścieżką, usiane gdzieśgdzie krecimi kopytkami. Wiązy po drugiej stronie stały w nieregularnym rzędzie, ich gałęzie kołysały się leciutko na wietrze, liście zbite w gęstą masę przywodziły na myśl kobiece włosy. Wiedział, że gdzieś w pobliżu, ale poza zasięgiem wzroku, płynie strumyk, a w jego zielonych rozlewiskach pluskają się klenie.

— Jest tu gdzieś potok? — zapytał.

— Zgadza się, jest. Płynie brzegiem następnego pola. Są w nim wspaniałe, ogromne ryby. Dryfują sobie w rozlewiskach pod wierzbami, można je tam podziwiać.

— To prawie... Złota Kraina — wymamrotał.

— Złota Kraina?

— Nic takiego. Pejzaż, który czasem widywałem w snach.

— Patrz — szepnęła Julia.

Na gałęzi, niespełna pięć metrów od nich, przysiadł drozd — niemal dokładnie na wysokości ich twarzy. Chyba ich nie zauważył. On był w słońcu, a oni w cieniu. Rozpostarł skrzydła, po czym złożył je uważnie, sklonił głowę — jakby w hołdzie słońcu —

Pozory

Las, Wspomnienia, Sen

Ptak, Śpiew, Muzyka

i popłynęły dźwięki pieśni, zaskakująco mocne w popołudniowej ciszy. Winston i Julia przytulili się, zafascynowani tym występem. Muzyka trwała i trwała, minuta za minutą, bogata w zadziwiające wariacje, bez żadnych powtórzeń, zupełnie jakby ptak celowo popisował się wirtuozerią. Czasem przerywał na chwilę, rozkładał i ponownie składał skrzydła, po czym nadymał cętkowaną pierś i pieśń buchała ponownie. Winston przyglądał się śpiewakowi z pewnego rodzaju czcią. Po co, dla kogo świergotał ten ptak? Nie było w pobliżu rywala ani samiczki. Co skłoniło go, żeby przysiąść na skraju odludnego lasu i napełnić pustkę muzyką? Winstonowi przyszło do głowy, że może jednak gdzieś w pobliżu ukryto mikrofon. On i Julia porozumiewali się tylko cichym szeptem, mikrofon nie wychwyciłby ich głosów, ale śpiew drozda — tak. Może na drugim końcu urządzenia jakiś mały, owadopodobny człowieczek nasłuchiwał w skupieniu i słyszał właśnie to. Stopniowo jednak powódź muzyki wyparła wszelkie rozważania. Winston miał wrażenie, jakby zalewało go coś płynnego, co mieszało się ze światłem słonecznym, przefiltrowanym przez liście. Przestał w ogóle myśleć i tylko odczuwał. Talia dziewczyny w zagięciu jego ramienia była miękka i ciepła. Przyciągnął ją do siebie tak, żeby mieć jej piersi przy swoich, jej ciało zdawało się topnieć w zetknięciu z jego skórą. Gdziekolwiek jej dotykał, ulegała jak woda. Ich wargi zetknęły się; teraz odczuwał to zupełnie inaczej niż tamte pierwsze, sztywne pocałunki. Kiedy ich usta oderwały się od siebie, oboje głęboko westchnęli. Ptak przestraszył się i odfrunął, łopocząc skrzydłami.

Winston zbliżył wargi do jej ucha.

— Teraz — wyszeptał.

— Nie tu — odpowiedziała. — Wróćmy do kryjówki. Tam jest bezpieczniej.

W pośpiechu wracali na polanę; od czasu do czasu rozlegał się trzask pękającej pod stopą gałązki. Gdy znaleźli się w kręgu młodych drzew, Julia zwróciła się ku niemu. Oboje oddychali ciężko, ale na jej twarzy błąkał się uśmiech. Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym odszukała suwak kombinezonu. I tak! Było prawie jak we śnie Winstona. Niemal tak zgrabnie jak w jego sennej wizji zdarła z siebie ubranie i cisnęła na bok tym wspaniałym gestem, który zdawał się unicestwiać całą cywilizację. Jej białe ciało lśniło w słońcu. Na razie nie patrzył jednak na ciało, jego wzrok przykuła łobuzersko uśmiechnięta, lekko piegowata twarz. Ukłąkł przed Julią i ujął jej dłonie.

— Robiłaś to już kiedyś?

— Oczywiście. Setki razy. No, w każdym razie wiele razy.

— Z członkami Partii?

— Tak, zawsze z członkami Partii.

— Z Partii Wewnętrznej?

— Nie, z tymi łajdakami nie. Ale jest wielu, którzy bardzo by tego *chcieli*, gdyby tylko trafiła się taka możliwość. Nie są tacy święci, jakich udają.

Serce Winstona zabiło mocniej. Robiła to wiele razy; chciałby, żeby to były setki tysięcy razy. Wszystko, co sugerowało nieprawomyślność, napełniało go dziką nadzieją. Kto wie? Może Partia jest w środku zepsuta, może cały ten kult pracowitości i samozaparcia to tylko błaga, służąca zamaskowaniu rozpasania? Gdyby mógł pozarażać ich wszystkich trądem albo syfilisem, zrobiłby to z największą przyjemnością! Wszystko, byle ich zepsuć, osłabić, podważyć! Pociągnął ją w dół; klęczeli teraz naprzeciwko siebie, twarzą w twarz.

— Słuchaj. Im więcej miałaś mężczyzn, tym bardziej cię kocham. Rozumiesz?

— Tak, rozumiem doskonale.

— Nienawidzę czystości, nienawidzę dobra. Chciałbym wypełnić wszelką cnotę. Chciałbym, żeby wszyscy byli zepsuci do szpiku kości.

— W takim razie powinnam ci pasować, mój drogi. Jestem zepsuta do szpiku kości.

— Lubisz to? Nie konkretnie ze mną, pytam po prostu, czy lubisz to robić.

— Uwielbiam.

Właśnie to chciał usłyszeć. Nie miłość do konkretnego człowieka, ale zwierzęcy instynkt, proste, nieróżnicujące pożądanie — właśnie ta siła rozerwie Partię na strzępy. Przewrócił Julię na trawę, na rozsypane dzwonki. Tym razem nie było to trudne. Po chwili falowanie ich piersi spowolniło do zwykłego tempa. Ciała, przyjemnie bezradne, oderwały się od siebie. Słońce zdawało się palić jeszcze mocniej. Oboje czuli senność. Sięgnął po porzucony kombinezon i przykrył ją nim częściowo. Prawie natychmiast zasnęli i spali przez jakiś pół godziny.

Seks, Erotyzm

Falsz

Seks, Erotyzm



Winston obudził się pierwszy. Usiadł i przyglądał się piegowatej twarzy, nadal spokojnie uśpionej, ułożonej na spodzie dłoni jak na poduszce. Właściwie tylko usta dziewczyny były piękne. Patrząc na nią z bliska, zauważył pojedyncze zmarszczki wokół oczu. Krótkie, ciemne włosy były niesamowicie gęste i miękkie. Zdał sobie sprawę, że nadal nie zna jej nazwiska ani adresu.

Młode, silne ciało, tak teraz bezbronne we śnie, obudziło w nim tkliwy instynkt opiekuńczy. Ale irracjonalna czułość, której doświadczył pod leszczyną, kiedy śpiewał drozd, nie wróciła już z taką samą siłą. Odsunął kombinezon i przez dłuższą chwilę studiował linię jej gładkiego, białego ciała. Dawniej, kiedy mężczyzna patrzył na ciało dziewczyny, czuł pożądanie i tyle. Tymczasem dziś, myślał Winston, nie ma już czystej miłości ani czystego pożądania. Nie ma żadnych czystych uczuć, każde miesza się z lękiem i nienawiścią. Ich uścisk był polem bitwy, a szczytowanie — zwycięstwem. Ciosem wymierzonym w Partię. Aktem politycznej niesubordynacji.

### 3

— Możemy tu przyjść jeszcze raz — powiedziała Julia. — Na ogół bezpiecznie jest użyć jednej kryjówki dwa razy. Teraz musimy, rzecz jasna, odczekać miesiąc lub dwa.

Natychmiast po przebudzeniu jej sposób bycia uległ zmianie. Stała się teraz czujna i konkretna. Ubrała się, zawiązała szkarlatną szarfę wokół talii i zaczęła układać szczegóły podróży powrotnej. Wydawało się zupełnie naturalne, że należy to do niej. Była obdarzona swoistym rodzajem pragmatycznej inteligencji, której brakowało Winstonowi, a dzięki niezliczonym pieszym wycieczkom, w których brała udział, dobrze знаła wiejskie okolice Londynu. Zasugerowała, żeby wracał alternatywną drogą, na inną londyńską stację. „Nigdy nie wracaj do domu tak samo, jak dotarłeś w dane miejsce”, powiedziała, jakby wyjawiała mu fundamentalną zasadę operacyjną. Zdecydowała, że wyruszy pierwsza. Winston miał odczekać pół godziny i dopiero wtedy pójść w jej ślady.

Zaproponowała miejsce, gdzie spotkają się po pracy, wieczorem za cztery dni. Była to ulica w którejś z biedniejszych dzielnic, gdzie znajdował się ogólnodostępny targ, przeważnie zatłoczony i głośny. Ona będzie spacerować między stoiskami, udając, że szuka sznurowadeł lub nici krawieckich. Jeśli uzna, że jest bezpiecznie, wysmarka nos, kiedy Winston będzie się zbliżał — w przeciwnym wypadku ma ją minąć bez słowa. Przy odrobinie szczęścia w tak tłoczonym miejscu będą mogli bezpiecznie porozmawiać przez jakiś kwadrans i zorganizować kolejną schadzkę.

— A teraz muszę już iść — powiedziała, kiedy tylko Winston opanował instrukcje. — Powinam być na miejscu przed 19.30, żeby poudzielać się przez dwie godziny w Młodzieżowej Lidze Antyseksualnej. Rozdawanie ulotek czy coś w tym rodzaju. Wkurzające, nie? Otrzep mnie, proszę. Nie mam jakichś gałązek we włosach? Na pewno nie? W takim razie do widzenia, kochany, pa!

Rzuciła się Winstonowi w ramiona, pocałowała go namiętnie, po czym ruszyła między drzewa, żeby po chwili prawie bezszelestnie zniknąć w lesie. Nadal nie znał jej nazwiska ani miejsca zamieszkania. Nie miało to jednak znaczenia, szanse na schadzki w mieszkaniu były raczej marne, nie mogli też wymieniać pisemnych wiadomości.

Nigdy więcej nie wrócili na polanę. W maju mieli jeszcze tylko jedną okazję, żeby się kochać. Zdarzyło się to w innej kryjówce, znalezionej przez Julię — dzwonnicy zrujnowanego kościoła w niemal zupełnie opustoszałej okolicy pod Londynem, zniszczonej trzydzieści lat wcześniej przez wybuch bomby atomowej. Kryjówka sama w sobie okazała się znakomita, jednak dotarcie do niej wiązało się z dużym ryzykiem. Poza tym spotykali się tylko na zewnątrz, każdego wieczora w innym miejscu, na nie więcej niż pół godziny. Na ulicy zwykle udawało się porozmawiać, choć w specyficzny sposób. Dryfując zatłoczonymi chodnikami w pewnej odległości od siebie i nigdy na siebie nie patrząc, wymieniali skrawki zdań. Ta dziwna, przerywana rozmowa to rozbłyskiwała, to przygasiała — jak światło latarni morskiej. Na widok partyjnego kombinezonu albo teleekranu natychmiast cichli. Po paru minutach po prostu podejmowali przerwany wątek, żeby ponownie zawiesić dialog, kiedy rozstawali się w uprzednio wyznaczonym miejscu. Następnego dnia ciągnęli rozmowę bez żadnych wstępów. Julia sprawiała wrażenie przyzwyczajonej do takiego sposobu komunikowania się, nazywała to „konwersacją na raty”.

Miała też zadziwiającą umiejętność mówienia bez poruszania ustami. Przez miesiąc co-wieczornych spotkań tylko raz udało im się pocałować. Szli w ciszy boczną alejką (Julia nie odzywała się, kiedy oddalali się od największych ulic), gdy rozległ się ogłuszający ryk, ziemia zadrżała, powietrze pociemniało i Winston zorientował się, że leży na boku, potłuczony i przerażony. Najwyraźniej w pobliżu spadła rakietka. Nagle uświadomił sobie, że twarz Julii znajduje się kilka centymetrów od jego twarzy, trupio blada, biała jak kreda. Nawet jej usta były zupełnie białe. Zginęła! Przycisnął ją do siebie; po chwili poczuł, że całuje ciepłe, żywe oblicze. Zdał sobie sprawę, że jakiś pył dostał mu się do ust. Twarze obojga pokrywała gruba warstwa tynku.

Zdarzało się, że po dotarciu na miejsce schadzki musieli minąć się bez żadnego znaku, bo akurat zbliżał się patrol albo helikopter wisiał nad głowami. Niebezpieczeństwo to jedno, drugim problemem był brak czasu. Winston pracował sześćdziesiąt godzin tygodniowo, Julia jeszcze więcej; dni wolne zdarzały się nieregularnie, w zależności od wymogów pracy, a ich grafiki nie zawsze się pokrywały. Na przykład Julia rzadko miewała zupełnie wolne wieczory. Spędzała mnóstwo czasu na wykładach i demonstracjach, rozprowadzając literaturę Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej, przygotowując transparenty na Tydzień Nienawiści, organizując zbiórki na kampanie oszczędnościowe i tak dalej. Twierdziła, że warto to wszystko robić dla kamuflażu. Drobiazgowo przestrzegając drugorzędnych reguł, można było łamać te zasadnicze. Nakłoniła nawet Winstona do poświęcenia jednego z wolnych wieczorów na pracę ochotniczą przy produkcji amunicji — do tego zadania zgłaszali się najzarliwsi partyjniacy. W konsekwencji raz w tygodniu, przez cztery wieczorne godziny, umierał z nudów, skręcając małe kawałki metalu, stanowiące prawdopodobnie części zapalników, w pełnej przeciągów, źle oświetlonej hali, w której ponure stukanie młotków zlewało się z muzyką płynącą z teleekranów.

Kiedy spotkali się w wieży kościelnej, mogli wreszcie kontynuować przerwana konwersację. Było upalne popołudnie. Gorące, duszne powietrze w małym, kwadratowym pomieszczeniu usytuowanym nad dzwonami cuchnęło odchodami gołębi. Rozmawiali przez długie godziny, siedząc na zakurzonej, pokrytej gałązkami podłodze; od czasu do czasu jedno z nich wstawało, żeby wyjrzeć przez któryś z wąskich otworów strzelniczych i sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi.

Julia miała dwadzieścia sześć lat. Mieszkała w hostelu z trzydziestoma innymi młodymi kobietami („Stale ten babski smród! Jak ja nie cierpię kobiet!” — mówiła). Pracowała, jak odgadł, przy maszynach do pisania powieści w Departamencie Fikcji. Lubiała swoją pracę, polegającą zasadniczo na obsłudze i serwisowaniu potężnego, ale kapryśnego silnika elektrycznego. Nie była szczególnie bystra, lubiła za to pracę fizyczną i znała się na maszynach. Była w stanie opisać cały proces powstawania powieści, począwszy od nadejścia zlecenia z Komitetu Planowania, aż po ostatnie poprawki, dokonywane przez zespół redakcyjny. Nie interesowała się produktem końcowym, mówiła, że nie przepada za czytaniem. Książki były towarem, który należało wyprodukować, tak samo jak dżem albo sznurowadła.

Najwcześniejsze wspomnienia Julii dotyczyły początku lat sześćdziesiątych, a jedyną znaną jej osobą, która często wspominała czasy sprzed Rewolucji, był jej dziadek. Znikł, kiedy miała osiem lat. W szkole została kapitanką drużyny hokejowej; dwa lata z rzędu wygrywała zawody gimnastyczne. W Szpiegach pełniła funkcję zastępowej, a w Lidze Młodzieżowej — jeszcze przed wstąpieniem do Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej — kierowniczką sekcji. Zawsze wykazywała się wyjątkowym charakterem. Wybrano ją nawet (co dowodziło jej nieskazitelnej reputacji) do pracy w Pornokomie, czyli dziale Departamentu Fikcji, zajmującym się produkowaniem taniej pornografii dla proli. Pracownicy Pornokomu mówili o nim „syfiarnia” — dorzuciła. Została tam rok, uczestnicząc w przygotowaniu szczerze zapakowanych książeczek o tytułach typu *Historia klapsa* albo *Pewnej nocy w internacie*. Były one następnie potajemnie kupowane przez chłopaków z plebsu, przekonanych, że robią coś nielegalnego.

— Jakie są te książki? — zapytał Winston z zaciekawieniem.

— Straszne szmiry. W sumie to są nudne. Używa się sześciu różnych fabuł, trochę się tylko tasuje elementy. Ja pracowałam wyłącznie przy kalejdoskopach, nigdy nie należałam do zespołu redakcyjnego. Nie mam żadnych zdolności literackich, nawet do pisania czegoś takiego.

Pozory

Ku swojemu zaskoczeniu Winston dowiedział się, że — poza szefem sekcji — w Pornokomie pracowały same dziewczyny. Uzasadnienie było takie, że mężczyźni byłiby bardziej od kobiet narażeni na zepsucie w wyniku kontaktu z ohydnyimi treściami; ich popęd seksualny rzekomo trudniej poddawał się kontroli.

— Wolą też nie mieć w ekipie mężatek — dodała. — Bo uważa się, że dziewczęta niezamężne to te czyste. Cóż, tu w każdym razie siedzi jeden wyjątek.

Pierwszy romans miała w wieku szesnastu lat, z członkiem Partii, który następnie popełnił samobójstwo, żeby uniknąć aresztowania.

— I dobrze zrobił — dodała Julia. — Inaczej podczas przesłuchania wydobyliby z niego moje nazwisko.

Potem było wielu innych. Uważała, że życie jest całkiem proste. Ty chcesz dobrze się bawić, „oni”, czyli Partia, chcą ci to uniemożliwić; toteż łamiesz reguły tak pomysłowo, jak potrafisz. To, że „oni” muszą człowiekowi odbierać przyjemność z życia, było dla niej czymś tak samo oczywistym jak fakt, że człowiek będzie unikał przyłapania. Nienawidziła Partii i wyrażała tę nienawiść w ostrych słowach, ale nie dokonywała żadnej ogólniejszej krytyki. Nie interesowała jej partyjna doktryna — poza sytuacjami, kiedy dotyczyła jej własnego życia. Winston zauważył, że nie używa nowomowy, z wyjątkiem paru słów, które weszły już do języka potocznego. Nigdy wcześniej nie słyszała o Bractwie i nie uwierzyła w jego istnienie. Jakakolwiek próbę zorganizowanej rewolty przeciwko Partii uważała za skazaną na porażkę, a zatem — za głupotę. Najrozsądniej było łamać reguły, a mimo wszystko utrzymywać się przy życiu. Zastanawiał się, jak liczny był w młodszym pokoleniu ten typ ludzi — ludzi, którzy wyrosli w świecie po Rewolucji, nie znali nic prócz zastanej rzeczywistości i akceptowali Partię jako niezmienny fakt (jak woda i powietrze), w związku z czym nie buntowali się przeciwko jej władzy, tylko ją przechytrzali, tak jak królik potrafi zgubić pościg psa.

Nie brali pod uwagę ślubu. Szansa na to była zbyt nikła, żeby ją w ogóle rozważać. Żaden komitet nie usankcjonowałby takiego związku, gdyby nawet jakimś cudem udało się pozbyć Katharine, żony Winstona. Nie było sensu nawet o tym marzyć.

— Jaka była twoja żona? — spytała Julia.

— Była... Wiesz, co w nowomowie znaczy *dobromyślny*? To słowo opisuje kogoś z natury ortodoksyjnego, niezdolnego do pomyślenia choćby jednej niewłaściwej rzeczy.

— Słowa nie znałam, ale bardzo dobrze znam takich ludzi.

Zaczął opowiadać o swoim małżeństwie, o dziwo jednak Julia wiedziała już całkiem sporo na ten temat. Opisała, zupełnie jakby sama to widziała lub czuła, sztywnienie ciała Katharine pod wpływem jego dotyku i to, że wydawała się z całej siły odpychać go nawet wtedy, gdy leżał w jej objęciach. Rozmawiając z Julią o tych sprawach, Winston nie czuł się zakłopotany; tak czy inaczej wspomnienie Katharine już dawno przestało być bolesne, teraz powodowało tylko niesmak.

— Wytrzymałbym, gdyby nie jedna rzecz — rzekł Winston. Opowiedział jej o drętwiej ceremonii, do której Katharine przymuszała go tydzień po tygodniu w wyznaczony wieczór. — Nienawidziła tego, ale nic nie zmusiłoby jej do porzucenia owego zwyczaju. Mówiła na to... Nie zgadniesz.

— Nasz obowiązek wobec Partii — powiedziała Julia.

— Skąd wiesz?

— Ja też chodziłam do szkoły, mój drogi. Począwszy od szesnastolatka, wszystkie dziewczyny raz w miesiącu wysłuchują pogadanek o seksie. W Lidze Młodzieżowej tak samo. Wtłaczają nam te rzeczy do głów latami. Śmiem twierdzić, że w wielu przypadkach to działa. Choć nie można mieć pewności, ludzie są strasznymi hipokrytami.

Następnie rozwinęła tę kwestię. Seksualność była dla Julii najważniejszą sprawą. Kiedy tylko rozmowa schodziła na ten temat, wykazywała się niezwykłą bystrością. W przeciwieństwie do Winstona dobrze rozumiała ukryte znaczenie partyjnego purytanizmu seksualnego. Seks stwarzał swój świat; ponieważ Partia nie mogła go kontrolować, w miarę możliwości oczywiście starała się go zniszczyć. Ale jeszcze ważniejsze było to, że deprivacja seksualna prowadziła do hysterii, ta zaś była pożądana, bowiem dawała się przekuć w gorączkę wojenną i uwielbienie dla wodza. Julia ujęła to tak:

Kondycja ludzka

Żona, Małżeństwo, Seks

Seks, Polityka, Rodzina

— Kiedy się kochasz, zużywasz energię; jesteś potem szczęśliwy i masz wszystko gdzieś. Nie mogą pozwolić, żebyś tak się czuł. Chcą, żebyś przez cały czas kipiał energią. Całe to maszerowanie, wiwatowanie i wymachiwanie flagami to tylko wyraz frustracji seksualnej. Jeśli w środku czujesz się zaspokojony, czemu miałbyś ekscytować się Wielkim Bratem, Planami Trzyletnimi, Dwoma Minutami Nienawiści i całą cholerną resztą?

Winston pomyślał, że to ma sens. Istniał bezpośredni i ścisły związek pomiędzy wstrzemięźliwością seksualną a polityczną ortodoksją. Strach, nienawiść i tę łatwowierność obłąkańców, jakiej Partia wymagała od swoich członków, dawało się utrzymać na odpowiednim poziomie tylko dzięki okiełznaniu potężnego instynktu, który następnie wykorzystywano jako siłę napędową. Popęd seksualny był w oczach Partii niebezpieczny, ale obróciła to na swoją korzyść. Podobnej manipulacji poddano instynkt rodzicielski. Nie dało się całkowicie obalić rodziny; właściwie zachęcano ludzi, by troszczyli się o dzieci w niemal tradycyjny sposób. Natomiast dzieci systemowo nastawiano przeciwko rodzicom. Uczono je szpiegować ich i meldować wszelkie odstępstwa od ortodoksji. W efekcie rodzina stała się przedłużeniem myślopolicii. Była narzędziem umożliwiającym otoczenie człowieka, w dzień i w nocy, informatorami znającymi jego najintymniejsze zwyczaje.

Nagle myśli Winstona powędrowały do Katharine. Katharine bez wątpienia wydałaby go myślopolicii, gdyby tylko nie była zbyt głupia, żeby móc odkryć nieprawomyślność jego przekonań. Jednak przypomniał sobie o niej z powodu duszącego, popołudniowego skwaru, który sprawił, że pot wystąpił mu na czoło. Zaczął opowiadać Julii o czymś, co się stało albo raczej — co się nie stało — innego upalnego popołudnia, przed jedenastu laty.

Miało to miejsce trzy czy cztery miesiące po ich ślubie. Zgubili się podczas pieszej wycieczki gdzieś w hrabstwie Kent. Zostali dosłownie parę minut w tyle za resztą grupy, ale skręcili ze szlaku w niewłaściwą ścieżkę, która doprowadziła ich na skraj starej kopalni kredy. Było to głębokie na dziesięć lub dwadzieścia metrów urwisko z dnem pokrytym głazami. Nie mieli kogo zapytać o drogę. Kiedy tylko Katharine zrozumiała, że się zgubili, stała się bardzo niespokojna. Oddzielenie się od hałaśliwego towarzystwa wycieczkowiczów postrzegala jako wykroczenie. Chciała jak najszybciej zawrócić i szukać ich po drugiej stronie szlaku. Ale Winston zauważył, że w szczelinach skał w dole rosną kępki krwawnicy<sup>57</sup>. Jedna z nich była dwukolorowa, kwiaty w barwach fuksji i ceglastej czerwieni zdawały się wyrastać z tego samego korzenia. Nigdy wcześniej nie widział podobnego zjawiska, zawołał więc Katharine, żeby jej to pokazać.

— Spójrz, Katharine! Spójrz na te kwiaty. Tamta kępka, prawie na samym dole. Widzisz, że jest dwukolorowa?

Katharine zdążyła już ruszyć w drogę powrotną, zawróciła jednak na moment, choć była bardzo spięta. Przechyliła się nawet lekko nad urwiskiem, żeby zobaczyć, co Winston tam pokazuje. Stał tuż za nią; objął ją w talii, żeby poczuła się pewniej. I właśnie wtedy dotarło do niego z całą mocą, że są zupełnie sami. Nie było w pobliżu żadnej istoty ludzkiej, nie poruszał się żaden liść, nie śpiewał żaden ptak. Ryzyko, że w takim miejscu znajduje się mikrofon, było minimalne, a nawet jeśli — wychwyciłby tylko dźwięki. Trwała najgorętsza, najbardziej senna, popołudniowa godzina. Słońce oblewało ich swoim żarem, kropelki potu laskotały twarz Winstona. Przyszło mu do głowy...

— Czemu jej, u licha, nie zepchnąłeś? — spytała Julia. — Ja bym to zrobiła.

— Tak, moja droga, ty byś to zrobiła. I ja bym to zrobił, gdybym wtedy był tym człowiekiem, którym jestem dzisiaj. Albo... Nie jestem pewien.

— Żałujesz, że tego nie zrobiłeś?

— Tak, w sumie żałuję.

Siedzieli jedno obok drugiego na zakurzonej podłodze. Przyciągnął ją do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu, przyjemny zapach jej włosów wygrywał z odorem gołębic odchodów. Pomyślał, że jest bardzo młoda, nadal jeszcze oczekuje czegoś od życia, nie rozumie, że zepchnięcie niepożądanego osoby ze skały nie jest żadnym rozwiązaniem.

— Właściwie to by niczego nie zmieniło — powiedział.

— Więc dlaczego żałujesz?

<sup>57</sup>krwawnica (łac. *Lythrum salicaria*) — roślina z rodziny krwawnicowatych, szeroko rozprzestrzeniona na świecie na terenach podmokłych. [przypis edytorski]

— Tylko dlatego, że wolę „tak” od „nie”. W grze, w którą gramy, nie ma zwycięzców. Pewne formy klęski są lepsze od innych, to wszystko.

Poczuł drgnięcie jej ramion — jakby w geście sprzeciwu. Klóciła się z nim, kiedy mówił podobne rzeczy. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że wszyscy muszą ponieść porażkę. Niby zdawała sobie sprawę, że sama też jest zgubiona, że prędzej czy później myślopolicja złapie ją i zabije, ale w zakamarkach jej umysłu tliła się wiara, że da się zbudować sekretny świat, że możliwe jest życie w zgodzie z własnymi pragnieniami. Potrzeba tylko przychylności losu, sprytu i odwagi. Nie rozumiała, że szczęście nie istnieje, że zwycięstwo można sobie wyobrazić tylko w odległej przyszłości, kiedy od dawna będą już martwi, że od momentu wypowiedzenia wojny Partii lepiej uważać się za trupa.

— Wszyscy jesteśmy martwi — powiedział.

— W tej chwili jeszcze nie jesteśmy martwi — odparła Julia prozaicznie.

— Fizycznie — nie. Fizycznie będziemy żywi przez następne sześć miesięcy, rok, może nawet pięć lat. Boję się śmierci. Jesteś młoda, więc przypuszczalnie boisz się bardziej niż ja. Oczywiście, że będziemy odsuwać ten moment tak długo, jak się da. Ale to nie robi większej różnicy. Dopóki ludzie są ludźmi, życie i śmierć są tym samym.

— Bzdury! Wolalbyś przespać się ze mną czy z kościotrupem? Czy życie nie sprawia ci przyjemności? Nie lubisz czuć: to ja, to moja dłoń, to moja noga. Jestem rzeczywisty, jestem ciałem, jestem żywy! Nie lubisz *tego*?

Odwróciła się i przyłgnęła do niego całym ciałem. Wyczuwał przez kombinezon kształt jej piersi, dojrzałych, ale jeszcze jędrnych. Miał wrażenie, że udziela mu się odrobina jej młodości i wigoru.

— Tak, lubię.

— Więc nie mów już o umieraniu. Słuchaj, kochany, musimy dograć szczegóły następnego spotkania. W sumie możemy wrócić do kryjówki w lesie. Oczekaliśmy wystarczająco długo. Ale tym razem musisz tam dotrzeć inną drogą. Mam to wszystko zaplanowane. Wsiadasz w pociąg... Zaraz, narysuję ci to.

Praktyczna, jak to ona, patykami wyciągniętym z gołębiego gniazda zaczęła kreślić mapę na zakurzonej podłodze.

## 4

Winston rozejrzał się po lichym pokoiku nad sklepem pana Charringtona. Ogromne łóżko pod oknem było zaścienione wystrzępionymi kocami, na których przewracał się zagłówek bez pokrowca. Na kominku cykał staromodny zegar z dwunastogodzinną tarczą. W rogu, na składanym stoliku, łagodnie lśnił w półmroku szklany przycisk do papieru, zakupiony podczas poprzedniej wizyty.

We wnęce znajdowała się zdezelowana blaszana kuchenka, rondel i dwa kubki, przyniesione przez pana Charringtona. Winston postawił na palniku garnek z wodą, żeby ją zagotować. Przyniósł ze sobą saszetkę, do której nasypał Kawy Zwycięstwa, i kilka pastylek sacharyny. Zegar wskazywał siódmą dwadzieścia, w istocie była dziewiętnasta dwadzieścia. Julia powinna przyjść za dziesięć minut.

Głupota, co za głupota — powtarzał w myślach — świadoma, bezsensowna, samobójcza głupota! Spośród wszystkich możliwych przewin, jakich mógł dopuścić się członek Partii, ta była najtrudniejsza do ukrycia. Najpierw zamajaczyła mu wizja szklanego przycisku, odbijającego się od blatu stolika — tak zrodził się ten pomysł. Tak jak się spodziewał, pan Charrington nie robił żadnego problemu z wynajęciem pokoju. Ewidentnie cieszył się z paru dolarów, które dzięki temu zarobi. Nie wydawał się zszokowany ani też nie stał się obraźliwie poufały, kiedy wyjaśniło się, że Winston potrzebuje lokum, bo ma romans. Unikał kontaktu wzrokowego i posługiwał się ogólnikami. Gdyby mógł, z uprzejmości stałby się niewidzialny. Prywatność, mówił, jest niezwykle cenna. Każdy potrzebuje miejsca, gdzie może od czasu do czasu pobyć w samotności. A kiedy człowiek znajdzie już takie miejsce, wtajemniczeni powinni zatrzymać tę wiedzę dla siebie — to kwestia zwykłej grzeczności. Dodał nawet, wymazując niemal przy tym własne istnienie, że dom ma dwa wejścia. Drugie, do którego trafia się przez ogródek, wychodzi na boczną uliczkę.

Ktoś zaczął śpiewać pod oknem. Winston wyjrzał dyskretnie, chowając się za muśli-

nową firanką. Czerwcowe słońce nadal tkwiło wysoko na niebie, zaś w dole, na zalanym światłem podwórku, uwijała się między balią a sznurkiem monstrualna kobieta o ciemnoczerwonych ramionach. Opasana fartuchem uszytym z jakiegoś worka, przypominała potężną normandzką kolumnę. Wieszala na sznurku kwadratowe kawałki białej tkaniny. Winston poznał, że to pieluchy. Gdy tylko nie trzymała w ustach klipsów do prania, śpiewała mocnym kontraltem:

To był tylko sen,  
I przeminął jak kwietniowy dzień,  
Ale ten wzrok i te słowa  
Wciąż w moim sercu chowam!

Ta melodia rozbrzmiewała w całym Londynie od wielu tygodni. Była to jedna z niezliczonych tego typu piosenek, wypuszczanych na użytek proli przez odpowiednią sekcję Departamentu Muzyki. Teksty podobnych utworów generowało urządzenie zwane wersyfikatorem, bez udziału człowieka. Kobieta śpiewała jednak tak ładnie, głosem tak dźwięcznym, że zdołała zamienić tę szmirę w prawdziwą rozkosz dla uszu. Winston słyszał śpiew prołki i szuranie jej butów o bruk, z zewnątrz docierały głosy dzieci, bawiących się na dworze, a z oddali dochodził szum ruchu ulicznego, jednak pokój wydawał się niezwykle cichy, ponieważ nie było w nim teleekranu.

„Co za głupota!”, pomyślał znowu. Bez wątplenia najwyżej w ciągu paru tygodni zostaną przyłapani. Mimo tej pewności, pokusa posiadania kryjówki, własnego miejsca — pod dachem i blisko — była dla nich niemożliwa do przezwyciężenia. Po randce w dzwonnicy przez pewien czas w ogóle nie udawało im się spotkać. Przed Tygodniem Nienawiści godziny pracy zostały drastycznie wydłużone. Został jeszcze miesiąc, ale prowadzone na gigantyczną skalę skomplikowane przygotowania wymagały od wszystkich dodatkowego wysiłku. Wreszcie obojgu udało się wziąć wolne tego samego popołudnia. Uzgodnili, że wrócą na polanę w lesie. W wieczór poprzedzający planowaną schadznię spotkali się przelotnie na ulicy. Jak zwykle, Winston prawie nie patrzył na Julię; kiedy dryfowali ku sobie w tłumie przechodniów, kątem oka zauważył jednak, że jest blebsza niż zwykle.

— Nic z tego — wyszeptła, kiedy tylko uznała, że może mówić. — Mam na myśli jutro.

— Co takiego?

— Jutro nie mogę.

— Dlaczego?

— Z prostej przyczyny. Zaczął mi się wcześniej.

Przez moment czuł wściekłość. W ciągu miesiąca, który upłynął od ich spotkania, natura jego pożądania ewoluowała. Ich pierwsze zbliżenie było aktem woli, z początku mało było w nim zmysłowości. Ale po drugim razie wszystko się zmieniło. Zapach jej włosów, smak ust, dotyk skóry zdawały się wypełniać powietrze, którym Winston oddychał. Była mu niezbędnie potrzebna. Pragnął jej, a ponadto czuł, że ma do niej prawo. Kiedy napierający tłum popchnął go ku niej. Ich dłonie zetknęły się przypadkowo, wtedy ona lekko ścisnęła koniuszki jego palców gestem, który wzbudzał nie tyle pożądanie, co czułość. Dotarło do niego, że kiedy żyje się z kobietą, akurat ten rodzaj rozczarowania jest czymś zwyczajnym i powtarzalnym; wypełniła go tkliwość, jakiej nigdy wcześniej w stosunku do niej nie odczuwał. Fantazjował, że są małżeństwem z dziesięcioletnim stażem. Chciałby iść z nią ulicą tak, jak to właśnie robili, ale otwarcie i bez strachu, rozmawiając o głupstwach i kupując jakieś drobiazgi do domu. Jednak ponad wszystko marzył, by mieli jakieś miejsce, gdzie mogą przebywać sami, nie czując, że za każdym razem zmuszeni są uprawiać seks. Może jeszcze nie wtedy, ale w jakimś momencie następnego dnia przyszedł mu do głowy pomysł wynajęcia pokoju od pana Charringtona. Kiedy zasugerował to Julii, zgodziła się nad wyraz chętnie. Oboje wiedzieli, że to szaleństwo. Zupełnie, jakby świadomie postąpili o krok bliżej ku własnym grobom. I oto Winston siedział na skraju łóżka, czekając na nią i i rozmyślając o kazamatach Ministerstwa Miłości. Dziwne, jak ten nieuchronny koszmar na przemian to pojawiał się, to znikał z jego umysłu.

Miłość, Śmierć

Stanowił część przyszłości, poprzedzającą śmierć w sposób równie nieunikniony, w jaki liczba 99 poprzedza liczbę 100. Nie dało się go uniknąć, co najwyżej można go było odsunąć w czasie, a jednak zamiast tego raz po raz, z pełną świadomością robili coś, co tę przyszłość przybliżało.

Szybkie kroki na schodach. I Julia wpadła do pokoju. Miała ze sobą torbę na narzędzia z grubego, brązowego płótna; czasem nosiła taką, biegając po ministerstwie. Podszedł i przytulił ją, ale wyzwoliła się szybko z jego objęć, ściskając torbę.

— Sekunda — powiedziała. — Tylko coś ci pokażę. Przyniosłeś tę okropną Kawę Zwycięstwa, prawda? Tak właśnie myślałam. Możesz to świństwo wyrzucić, nie przyda się. Patrz.

Opadła na kolana, otworzyła torbę i wysypała znajdujące się na wierzchu śrubokręty i klucze. Pod spodem ukazały się eleganckie, papierowe paczuszki. Podała mu jedną — poczuł coś dziwnego, a jednak znajomego. Pakunek wypełniała ciężka, ziarnista zawartość, ustępująca pod dotykiem.

— Cukier? — zapytał.

— Prawdziwy cukier. Nie sacharyna, cukier. A tu mam bochenek chleba. To prawdziwy, biały chleb, nie nasze zwykłe świństwo. I słoiczek dżemu. Mam też puszkę mleka... Ale zobacz! Z tego jestem naprawdę dumna. Musiałam ją owinąć kawałkiem szmaty, bo...

Nie musiała mu tłumaczyć dlaczego. Zapach już wypełniał pokój — bogaty, ciepły zapach, zdający się emanować z jakichś wczesnodziecinnych wspomnień, który jednak czuło się od czasu do czasu nawet teraz, w tej czy innej alejce, zanim zatrzasnęły się te czy inne drzwi; czasem też na zatłoczonej ulicy, gdzie rozprzestrzenił się tajemniczo, po czym ginął.

— Kawa — wyszeptał. — Prawdziwa kawa.

— Taka, jaką pije Partia Wewnętrzna. Mam cały kilogram — powiedziała.

— Jak ci się udało zdobyć te wszystkie rzeczy?

— To jest rzeczywistość Partii Wewnętrznej. Te świny mają dosłownie wszystko. Rzecz jasna, kelnerzy i służący podkradają im frykasy. I zobacz, mam też paczuszkę herbaty.

Winston przykucnął obok Julii. Rozerwał róg opakowania.

— Prawdziwa herbata, nie jeżynowe liście.

— Ostatnio pojawiło się dużo herbaty. Chyba podbili Indie albo coś w tym rodzaju. Ale, kochany, odwróć się na trzy minuty. Usiądź sobie po drugiej stronie łóżka. Nie podchodź do okna. I nie odwracaj się, póki ci nie powiem.

Winston gapił się bezmyślnie w przesłoniętą firanką szybę. W dole kobieta o purpurowych ramionach nadal krzątała się między balią a sznurem do wieszania bielizny. Wyjęła z ust jeszcze dwie klamerki i zaśpiewała z przejęciem:

Mówią, że czas wszystko leczy,  
Że wszystko przyjdzie zapomnieć,  
Lecz lata uśmiechów i łez  
W mych uszach będą trwać wiecznie!

Najwyraźniej całą tę szmirowatą piosenkę znała na pamięć. Jej głos unosił się wraz z balsamicznym, letnim powietrzem, bardzo dźwięczny, naładowany jakąś pogodną melancholią. Miało się wrażenie, że mogłaby wieszać to swoje pranie przez następne tysiąc lat, że byłaby szczęśliwa, przypinając do sznura kolejne pieluchy i wyśpiewując głupoty, gdyby tylko ten czerwcowy wieczór chciał trwać i trwać. Winstona uderzyła myśl, że nigdy nie słyszał członka Partii śpiewającego spontanicznie, w pojedynkę. Byłoby to wręcz niepoprawne, stanowiłoby przejaw niebezpiecznego dziwactwa, jak mówienie do samego siebie. Może tylko skrajnie ubodzy ludzie odczuwali potrzebę śpiewu.

— Już możesz patrzeć — powiedziała Julia.

Spojrzał na nią, ale przez moment prawie jej nie poznał. Spodziewał się, że zobaczy ją rozebraną, jednak nie była naga. Przemiana, która w niej zaszła, była o wiele bardziej uderzająca: umalowała się.

Widocznie wślizgnęła się do jakiegoś sklepiku w polskiej dzielnicy i kupiła sobie kosmetyki do makijażu. Jej usta były ciemnoczerwone, policzki podkreślone różem, nos

Zapach, Wspomnienia,  
Dzieciństwo

Śpiew, Szczęście

Kobieta, Piękno, Zapach,  
Przemiana

upudrowany. Podmalowała też oczy, przez co stały się bardziej lśniące. Nie był to perfekcyjnie wykonany wizaż, ale też oczekiwania Winstona w tej kwestii były minimalne. Nigdy dotąd nie widział — ani nawet nie wyobrażał sobie — umalowanej kobiety z Partii. Wygląd Julii spektakularnie się poprawił. Wystarczyło trochę koloru tu i tam, a stała się nie tylko piękniejsza, ale przede wszystkim bardziej kobieca. Krótkie włosy i chłopięcy kombinezon dodatkowo podkreślały ten efekt. Kiedy wziął ją w ramiona, poczuł syntetyczną woń fiołków. Przypomnił sobie półmrok sutereny i pustą jamę ust tamtej kobiety. Julia użyła dokładnie tego samego zapachu, ale w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia.

— Nawet perfumy! — powiedział.

— Owszem, najdroższy, nawet perfumy. A wiesz, co jeszcze zrobię? Zdobędę prawdziwy kobiecy szlafroczek i będę go zakładała zamiast tych przeklętych portek. Będę nosić jedwabne pończochy i pantofle na wysokich obcasach! W tym pokoju nie będę towarzyszką z Partii. Będę tu kobietą.

Zrzucili ubrania i wspięli się na ogromne, mahoniowe łożo. Pierwszy raz widziała go zupełnie nago. Wcześniej wstydził się swojego bladego i mizernego ciała, żyłaków znaczących łydki i brązowej plamy nad kostką. Nie mieli prześcieradła, ale koc, na którym leżeli, był cienki i gładki, zaś rozmiar i sprężystość łożka zaskoczyły ich oboje. „Pełno w nim pewnie robactwa, ale co z tego?”, powiedziała Julia. Nie widywało się już podwójnych łożek, poza domami proli. Winston sypiał czasem na takim w dzieciństwie; Julia, o ile pamięć jej nie myliła, nigdy w życiu nie leżała w tak ogromnym łożu.

Wkrótce zmorzył ich sen. Po przebudzeniu Winston zobaczył, że wskazówki zegara zbliżają się do godziny dziewiętej. Nie poruszył się, bo Julia spała z głową w zgięciu jego ramienia. Makijaż starł się prawie zupełnie, pozostawiając ślady na twarzy Winstona i na zagłótku, wciąż jednak resztką różu podkreślała urodę jej kości policzkowych. Promień zachodzącego słońca przeciął skraj łożka i oświetlił kominiek, na którym w garnku gotowała się woda. Kobieta na dole zamilkła, z ulicy dobiegały jeszcze stłumione pokrzykiwania dzieci. Zastanawiał się, czy w dawnych, zapomnianych czasach takie doświadczenie było czymś powszednim, czy kobiety i mężczyźni zwykli leżeć razem nago, w chłodzie letniego wieczora i kochać się, kiedy przyszła im na to ochota; czy gawędzili, o czym tylko chcieli, nie martwiąc się, że zaraz trzeba będzie wstać; czy nasłuchiwali stłumionych odgłosów ulicy? Coś takiego nigdy przecież nie mogło uchodzić za zwyczajne. Julia obudziła się, przetrąła oczy i opierając się na łokciu, popatrzyła na kuchenkę.

— Połowa wody już się wygotowała — powiedziała. — Wstanę i zrobię kawę. Mamy jeszcze godzinę. O której gaszą światła w twoim bloku?

— O 23.30.

— U mnie o 23.00. Ale muszę wrócić wcześniej, bo... Hej, zmiataj stąd, wstręciuchu!

Gwałtownie przekręciła się na łożku, żeby podnieść z podłogi but; następnie cisnęła nim z całej siły w kąt pokoju z tym samym chłopięcym rozmachem, z jakim rzuciła niegdyś słownikiem w Goldsteina podczas Dwóch Minut Nienawiści.

— Co to było? — spytał zaskoczony.

— Szczur. Wytknął swój obrzydliwy nos zza listwy. Widocznie jest tam dziura. Przy najmniej go wystraszyłam!

-- Szczury! — szepnął Winston. — W tym pokoju!

— Wszędzie ich pełno — powiedziała Julia obojętnie, opadając na łożko. — Mamy je nawet w kuchni naszego hostelu. Niektóre dzielnice Londynu po prostu roją się od nich. Wiesz, że atakują dzieci? A i owszem. Są takie ulice, gdzie kobieta nie może zostawić dziecka samego nawet na chwilę. Najstraszniejsze są te ogromne i brązowe. Najgorsze, że te parszywce...

— *Przestań* — poprosił Winston z przymkniętymi oczami.

— Najdroższy! Bardzo zbladłeś. Co się stało? Brzydzą cię?

— Spośród wszystkich okropieństw świata szczury są najokropniejsze!

Julia przytuliła się do Winstona i oplotła go ramionami, jakby próbowała ciepłem swojego ciała dodać mu otuchy. Nie od razu otworzył oczy. Przez parę chwil miał wrażenie, że znalazł się wewnątrz koszmarnego snu, który nawiedzał go od czasu do czasu przez całe życie. Zawsze wyglądało to mniej więcej tak samo. Winston stał naprzeciwko ściany mroku, zaś po drugiej stronie czaiło się coś tak niewyobrażalnie potwornego, że

Strach

Sen



bał się nawet spojrzeć. Miał w tym śnie świadomość, że sam siebie oszukuje, w istocie bowiem wiedział, co znajduje się po drugiej stronie muru ciemności. Dokonując potwornego wysiłku, tak brutalnego, jakby miał wyrwać sobie kawałek mózgu, mógłby tę rzecz wyciągnąć na światło. Budził się zawsze, zanim do tego doszło, a mimo to czuł, że ten sen wiąże się z tym, o czym mówiła Julia, zanim jej przerwał.

— Przepraszam — powiedział. — To nic takiego. Po prostu nie lubię szczurów.

— Nie martw się, najdroższy, nie będzie tu tych parszywców. Zanim wyjdziemy, zatkam dziurę kawałkiem worka. Następnym razem przyniosę gips i porządnie ją zalepię.

Winston już prawie zapomniał o ataku mrocznej paniki. Trochę się go wstydząc, usiadł i oparł się o wezglowie. Julia wstała, naciągnęła kombinezon i zaparzyła kawę. Unoszący się z garnka zapach był tak silny i wspaniały, że zamknęli okno, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Kawa miała cudowny smak, ale jeszcze rozkoszniejsza była jedwabistość, jaką nadawał jej cukier — coś, czego Winston po latach używania sacharyny prawie nie pamiętał. Z jedną ręką w kieszeni, a w drugiej trzymając pajdę chleba z dżemem, Julia lustrowała pokój. Rzuciła obojętne spojrzenie półce z książkami, wyjaśniła, jak najlepiej naprawić rozkładany stół, opadła na sfatygowany fotel, żeby sprawdzić, czy jest wygodny, i z pewnym rozbawieniem przyjrzała się absurdalnemu zegarowi z dwunastogodzinną tarczą. Przyniosła szklany przycisk do łóżka, żeby zobaczyć go w lepszym świetle. Winston wyjął go z jej rąk, jak zawsze zauroczony miękkiem wyglądem szkła, przywodzącym na myśl deszcz.

— Jak myślisz, do czego to służy? — zapytała Julia.

— Do niczego. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek go używano. To mi się właśnie podoba. Okruch historii, o którym zapomnieli. Wiadomość sprzed stu lat, gdybyśmy tylko umieli ją odczytać!

— A ten obrazek — wskazała głową rycinę na przeciwległej ścianie — też jest taki stary?

— Starszy. Myślę, że może mieć dwieście lat. Ale nie mam pewności, dziś nie da się tego sprawdzić.

Podeszła, żeby przyjrzeć mu się z bliska.

— O, tutaj bestia wystawiła nos. — powiedziała, kopiąc w listwę dokładnie pod obrazkiem. — Co to za miejsce? Już to gdzieś widziałam.

— To kościół, w każdym razie dawniej ten budynek był kościołem. Kościół świętego Klemensa. — Przypomniał mu się fragment wierszyka, którego nauczył go pan Charrington. Dodał nieco nostalgicznie: *Biją dzwony u Klemensa, że mi jesteś winien pensa.*

Ku jego zaskoczeniu, Julia podchwyciła:

Pomarańcze i cytryny, biją dzwony u Marcina.

Biją dzwony u Klemensa, że mi jesteś winien pensa.

Grożą dzwony Baileya<sup>58</sup>, dłużnikowi przyleję!

— Nie pamiętam, jak to dalej idzie, ale przypominam sobie końcówkę: *To jest świeca, która świeci smutnie, oto tasak, co ci głowę utnie.* Zupełnie jak hasło i odzew. Ale po „Baileyu” na pewno był jeszcze jeden wers. Może dałoby się go wydobyć z pamięci pana Charringtona, gdyby go odpowiednio zachęcić.

— Kto cię tego nauczył? — zapytał.

— Dziadek. Recytował mi ten wierszyk, kiedy byłam dzieckiem. Ewaporowano go, gdy miałam osiem lat, a w każdym razie wtedy przepadł. Ciekawe, co to cytryny — dodała, zmieniając temat. — Pomarańcze widziałam. To takie okrągłe, ciemnożółte owoce z grubą skórką.

— Pamiętam cytryny — powiedział Winston. — W latach pięćdziesiątych było ich pod dostatkiem. Były tak kwaśne, że zęby bolały od samego patrzenia.

— Założę się, że za tym obrazkiem jest pełno robactwa — powiedziała Julia. — Któregoś dnia zdejmę go i zrobię tam porządek. Chyba powinniśmy już iść. Muszę zmyć ten makijaż. Ależ to upierdliwe. Potem wytrę szminkę z twojej twarzy.

Winston nie wstawał jeszcze przez kilka minut. W pokoju robiło się coraz ciemniej.

Obraz świata

<sup>58</sup>Bailey — tu: właśc. *Holy Sepulchre* a. *Saint Sepulchre-without-Newgate*, największy anglikański kościół parafialny w londyńskim City; znajduje się w pobliżu historycznego sądu Old Bailey. [przypis edytorski]

Odwrócił się w stronę światła i wpatrzył w szklany przycisk do papieru. To nie fragment koralowca tak go nieskończenie interesował, a samo wnętrze szkła. Miało w sobie głębię, a jednak było przejrzyste jak powietrze. Zupełnie jakby szklana powierzchnia stanowiła sklepienie niebieskie, otaczające małe świat z własną atmosferą. Wydawało mu się, że mógłby dostać się do środka — w istocie, że znajduje się w środku — wraz z mahoniowym łóżem i składanym stołem, zegarem, ryciną, a także z samym przyciskiem. Ten przedmiot był pomieszczeniem, w którym Winston przebywał, a koralowiec to jego życie z Julią, utrwalone w swoistej wieczności serca kryształowej kuli.

5

Syme zniknął. Pewnego ranka nie pojawił się w pracy; kilka nierozważnych osób skomentowało jego nieobecność, ale następnego dnia nikt już nic nie mówił. Trzeciego dnia Winston postanowił zerknąć na tablicę ogłoszeń, znajdującą się przy wejściu do Departamentu Archiwów. Wisiała tam między innymi lista członków Komitetu Szachowego, w skład którego wchodził Syme. Wyglądała dokładnie tak samo, jak wcześniej — nie było na niej żadnego skreślenia — została po prostu skrócona o jedno nazwisko. I tyle. Syme przestał istnieć. Nigdy nie istniał.

Zrobiło się upalnie. W pozbawionych okien, klimatyzowanych pomieszczeniach ministerstwa temperatura była stale taka sama, ale na zewnątrz chodniki parzyły w stopy, a w metrze w godzinach szczytu czuć było przeraźliwy smród. Przygotowania do Tygodnia Nienawiści szły pełną parą, urzędnicy wszystkich ministerstw zostawali w pracy po godzinach. Trzeba było przygotować procesje, spotkania, parady wojskowe, wykłady, wystawy figur woskowych, pokazy filmów, programy do wyemitowania przez teleekrany; należało ustawić trybuny, wykonać kukły wrogów, stworzyć nowe hasła, napisać piosenki, rozpuścić plotki i sfabrykować zdjęcia. Sekcja, w której pracowała Julia w Departamencie Fikcji, musiała zawiesić produkcję powieści, a zamiast tego szykowała w błyskawicznym tempie serię broszur o zbrodniach popełnionych przez wrogów Oceanii. Winston, poza swoimi zwykłymi obowiązkami, każdego dnia spędzał długie godziny na przeglądaniu dawnych wydań „Timesa”, w których modyfikował i ubarwiał artykuły, przeznaczone do zacytowania w przemówieniach. Późnym wieczorem, kiedy wylegali na ulice hałaśliwi prole, czuło się, że miasto ogarnęła swoista gorączka. Rakiety spadały częściej niż zwykle; czasem w oddali widziało się ogromne eksplozje, których nikt nie umiał wyjaśnić, toteż krążyły o nich dziwaczne pogłoski.

Skomponowano już nową melodię, która miała stać się hymnem Tygodnia Nienawiści (nazywaną *Pieśnią Nienawiści*) i bez przerwy nadawano ją przez teleekrany. Dziki, wyszczekany rytm nie kojarzył się z muzyką, co najwyżej z biciem werbli. Kiedy wydobywała się z setek gardeł, wrzeszczących w rytm maszerujących stóp, budziła przerażenie. Spodobała się prolom i o północy skutecznie konkurowała na ulicach z przebojem *To był tylko sen*, nadal popularnym. Dzieciaki Parsonsów dzień i noc wygrywały ją na grzebieniu i kawałku papieru toaletowego, nie dało się tego wytrzymać. Wieczory Winston miał teraz ciągle zajęte. Zorganizowane przez Parsonsów grupy ochotników przygotowały ulicę do Tygodnia Nienawiści, szyjąc transparenty, malując plakaty, montując na dachach maszty do wywieszania flag i rozciągając w poprzek ulicy druty do zaczepienia serpentyn, co wiązało się z ryzykiem wypadku. Parsons chwalił się, że sama tylko Rezydencja Zwycięstwa zużyje na dekorację czterysta metrów płótna. Był w swoim żywiole — jak ryba w wodzie. Upalna pogoda i praca fizyczna dostarczały mu pretekstu, by wieczorami nosić szorty i rozpiętą koszulę. Wszędzie było go pełno — a to coś przesuwiał, a to ciągnął, piłował, wbijał gwoździe, wpadał na nowe pomysły i przyjacielskimi okrzykami dopingował kolegów; z każdego fałdu skóry tryskał niewyczerpanym strumieniem cuchnącego, kwaśnego potu.

W całym Londynie pojawił się nagle nowy plakat. Nie miał żadnego podpisu i przedstawiał jedynie monstrualną, wysoką na trzy lub cztery metry postać maszerującego eurazjatyckiego żołnierza, o pozbawionej wyrazu mongolskiej twarzy, w ogromnych butach, z pistoletem maszynowym wspartym na biodrze. Skąd by się nie patrzyło, lufa, powiększona przez skrót perspektywiczny, celowała człowiekowi prosto w twarz. Porozlepiano te plakaty dosłownie wszędzie, gdzie tylko zostało trochę miejsca, były nawet liczniej-

sze od portretów Wielkiego Brata. Próbowano rozniecić w prolach, zwykle obojętnych na kwestię wojny, świeży płomień patriotycznej gorączki. Nienawistny nastrój podsycaly także spadające na miasto rakiety, których eksplozje powodowały większą niż zwykle liczbę ofiar. Jedna uderzyła w zatłoczone kino w Stepney<sup>59</sup>, grzebiąc pod gruzami kilkaset osób. W wielogodzinnym pogrzebie zabitych, który przerodził się w gniewną demonstrację, uczestniczyła cała dzielnica. Eksplozja innej rakiety nad nieużytkiem, na którym urządzono plac zabaw, rozerwała na strzępy kilkadziesiąt dzieci. Odbyły się kolejne, pełne wściekłości, demonstracje; palono kukły Goldsteina, darto i wrzucano w ogień setki plakatów z eurazjatyckim żołnierzem, pładując przy okazji kilka sklepów. Następnie pojawiły się plotki, że to szpiedzy sterowali raketami za pomocą fal radiowych. W konsekwencji podpalono dom starego małżeństwa, które podejrzewano o obce pochodzenie. Oboje zmarli z powodu zaccadzenia.

Kiedy udawało im się dotrzeć do pokoju nad sklepem pana Charringtona, Julia i Winston zrzucali ubrania i kładli się obok siebie na łóżku, niczym się nawet nie okrywając — tak bardzo pragnęli chłodu. Szczur już więcej się nie pojawił, za to w upale okropnie rozpleniły się pluskwy. Dla Julii i Winstona nie miało to większego znaczenia. Czysty czy brudny, ten pokój był ich rajem. Gdy tylko tam docierali, posypywali wszystko kupionym na czarnym rynku pieprzem, zdierali z siebie ubrania i kochali się. Zasypiali spoceni, a kiedy się budzili, odkrywali nowe armie robactwa gotowe do kontrofensywy.

W czerwcu spotkali się — cztery, pięć, sześć — może siedem razy. Winston porzucił zwyczaj popijania ginu o każdej porze dnia. Już tego nie potrzebował. Przytył nieco, owrzodzenie nad kostką znikło, pozostawiając tylko brązowe odbarwienie, ustąpiły też poranne ataki kaszlu. Życie i wszystkie związane z nim czynności przestały być nieznośne, Winston nie odczuwał więcej pokusy, żeby robić głupie miny do teleekranu ani żeby na cały głos wykrzykiwać przekleństwa. Teraz, kiedy mieli bezpieczną kryjówkę, prawie dom, nie ciążył mu nawet fakt, że przebywali w nim rzadko i za każdym razem najwyżej przez parę godzin. Ważne było, że pokój nad sklepem z rupieciami istnieje. Wiedzieć, że mają do niego dostęp tylko oni, nikt inny — to prawie jakby w nim przebywać. Pokój był światem, niszą, w której przetrwała przeszłość i dawno wymarłe gatunki. Pan Charrington zapewne należał do jednego z nich. Po drodze na górę Winston zwykle zatrzymywał się, żeby zamienić z nim parę słów. Staruszek chyba nigdy nie opuszczał rupieciarni, choć prawie nie miał klientów. Egzystował jak duch, przemykając między małutkim, ciemnym sklepem i jeszcze mniejszą kuchnią na tyłach domu, gdzie przygotowywał sobie posiłki. Znajdował się tam między innymi niewiarygodnie stary gramofon z olbrzymią tubą. Pan Charrington chyba cieszył się, że może z kimś pogadać. Kręcąc się pośród bezwartościowych przedmiotów, w okularach z grubymi szklami zatkniętymi na długim nosie, w aksamitnej marynarce na przygarbionych ramionach, sprawiał wrażenie raczej kolekcjonera niż handlarza. Z pewnego rodzaju wyblakłym entuzjazmem brał do ręki coraz to inny rupieć — porcelanowy korek do butelki, malowane wieczko popsutego pudełka na tabakę, tombakowy<sup>60</sup> wisiorek z zamkniętym w środku pasmem włosów jakiegoś dawno nieżyjącego dziecka — nigdy nie namawiając Winstona do zakupu, a jedynie do podziwiania. Rozmowa z nim przypominała słuchanie uszkodzonej pozytywki. Wyciągał z zakamarków pamięci coraz to nowe fragmenty zapomnianych wierszy. Jeden był o dwudziestu czterech kosach, inny o krowie z zakręconym rogiem, a jeszcze inny o śmierci nieszczęsnego rudzika<sup>61</sup>. „Pomyślałem sobie, że to może was zainteresować”, mówił, uśmiechając się nieśmiało, po czym przytaczał jakiś nowy kawałek. Ale nigdy nie pamiętał więcej niż parę linijek danego wiersza.

Oboje wiedzieli — w jakimś sensie ta myśl nigdy ich nie opuszczała — że ich obecna sytuacja nie może trwać w nieskończoność. Niekiedy czuli nadchodzącą, rychłą śmierć tak samo namacalnie jak łóżko, na którym leżeli, a wtedy lgnęli do siebie z rozpaczliwą namiętnością, jak potępione dusze, rzucające się na ostatni ochłap rozkoszy tuż przed wybiciem ich godziny. W innych chwilach ulegali złudzeniu, że są bezpieczni, a nawet, że ich szczęście jest trwałe. Czuli, że dopóki znajdują się w tym pokoju, nie grozi im

Miłość, Przemiana

Niebezpieczeństwo,  
Marzenie

<sup>59</sup>Stepney — dzielnica Londynu, położona w gminie London Borough of Tower Hamlets. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>tombakowy — zrobiony z tombaku, stopu miedzi z cynkiem przypominającego złoto. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>rudzik — gatunek ptaka. W oryginale *Cock Robin* (ang.), ptasi bohater ludowej piosenki angielskiej, pochodzącej z połowy XVIII wieku, który zginął zraniony strzałą. [przypis edytorski]

nic złego. Droga prowadząca do kryjówki była trudna i niebezpieczna, ale sam pokój — święty. To właśnie zobaczył Winston, wpatrując się w serce szklanego przycisku do papieru i wyobrażając sobie, że tam, wewnątrz, czas się zatrzymał. Często fantazjowali o ucieczce. Marzyli, że ich szczęście nigdy się nie skończy i będą mogli być razem do późnej starości. Albo że Katharine umrze i dzięki sprytnym manewrom Winston i Julia zdołają się pobrać. Lub że razem popełnią samobójstwo. Że znikną, zmienią się nie do poznania, nauczą się mówić z prolskim akcentem, znajdą zatrudnienie w fabryce i będą sobie żyli, anonimowi, w którejś z małych uliczek na uboczu. Oboje zdawali sobie sprawę, że te mrzonki nie mają najmniejszego sensu. W rzeczywistości nie dało się uciec. Nie mieli zamiaru zrealizować nawet tego jedyne go planu, który faktycznie dałoby się przeprowadzić, czyli samobójstwa. Trwać dzień po dniu i tydzień po tygodniu, w teraźniejszości pozbawionej jakiegokolwiek przyszłości — tak nakazywał im instynkt równie silny jak ten, który sprawia, że człowiek, póki ma dostęp do powietrza, łapie kolejny oddech.

Czasami rozważali aktywne zaangażowanie się w ruch opozycyjny, jednak nie mieli pojęcia, jak zrobić pierwszy krok. Nawet jeśli legendarne Bractwo naprawdę istniało, pozostawała kwestia nawiązania kontaktu. Winston opowiedział Julii o dziwnej zażyłości, która wytworzyła się — lub tylko tak mu się zdawało — pomiędzy nim a O'Brienem, i o pokusie, którą niekiedy odczuwał, żeby po prostu podejść do niego, oznajmić, że jest wrogiem Partii i poprosić o pomoc. O dziwo, ten pomysł nie wydał jej się wcale absurdalny. Miała wprawę w ocenianiu ludzi po wyrazie twarzy. Fakt, że Winston gotów jest zaufać O'Brienowi na podstawie jednego błysku w oczach, uznała za całkiem naturalny. Co więcej, była przekonana, że każdy albo prawie każdy nienawidził Partii i łamałby jej reguły, gdyby uważał to za bezpieczne. Nie wierzyła jednak w istnienie ani nawet w możliwość istnienia masowej, zorganizowanej opozycji. Opowieści o Goldsteinie i jego podziemnej armii były, jej zdaniem, wymysłami, sfabrykowanymi przez Partię dla własnych celów, a wszyscy musieli udawać, że w nie wierzą. Na niezliczonych wiecach partyjnych, krzycząc co sił w płucach, domagała się egzekucji osób, których nazwisk nigdy wcześniej nie słyszała, za rzekome przewiny, w których prawdziwość ani trochę nie wierzyła. Kiedy odbywały się procesy pokazowe, przyłączała się do szeregów Ligi Młodzieżowej, otaczających sądy od rana do nocy, i wykrzykiwała wraz z innymi: „Śmierć zdrajcom!”. Podczas Dwóch Minut Nienawiści zacieklej niż inni mieszała z błotem Goldsteina. Ale miała tylko mgliste pojęcie o tym, kim jest Goldstein i jakie rzekomo reprezentuje poglądy. Dorastała już po Rewolucji, a więc była za młoda, żeby pamiętać ideologiczne spory lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Istnienie niezależnego ruchu politycznego nie mieściło jej się w głowie; zresztą tak czy inaczej Partia była niepokonana. Zawsze będzie istniała i zawsze będzie taka sama. Można się było buntować jedynie poprzez ukradkową niesubordynację, w najlepszym razie poprzez pojedyncze akty przemocy, takie jak zabicie kogoś lub wysadzenie w powietrze jakiegoś obiektu.

W jakimś sensie Julia była bystrzejsza od Winstona i o wiele mniej podatna na partyjną propagandę. Któregoś razu, kiedy w pewnym kontekście wspomniał o wojnie przeciw Eurazji, wprawiła go w osłupienie stwierdzeniem, że jej zdaniem nie toczy się żadna wojna. Rakiety, spadające każdego dnia na Londyn, są prawdopodobnie wystrzeliwane przez rząd Oceanii, „po prostu żeby ludzi zastraszyć”. Coś takiego nigdy wcześniej nawet nie zamajaczyło mu w głowie. Poza tym Julia wzbudziła jego zazdrość, wyznając, że podczas Dwóch Minut Nienawiści odczuwa potężną pokusę, żeby gruchnąć śmiechem. Nie kwestionowała jednak partyjnej doktryny, o ile nie dotyczyła w jakiś sposób jej samej. Często akceptowała oficjalną narrację tylko dlatego, że różnica między fikcją a prawdą niezbyt ją interesowała. Na przykład wierzyła, jak uczono w szkole, że to Partia wynalazła samoloty. (W późnych latach pięćdziesiątych, kiedy Winston chodził do szkoły, przypisywano Partii jedynie wynalezienie helikoptera; kilkanaście lat później, w szkolnych czasach Julii, poszerzono partyjną innowacyjność o samolot, w kolejnym pokoleniu pewnie dodadzą silnik spalinowy). Kiedy powiedział jej, że samoloty istniały już przed jego urodzeniem, na długo przed Rewolucją, uznała ten fakt za zupełnie nieinteresujący. W końcu kogo to obchodziło, kto i kiedy wynalazł samolot? Bardziej go jednak zszokowało, gdy dzięki jakiejś rzuconej przez Julię uwadze zorientował się, że nie pamięta ona, iż cztery lata wcze-

śniej Oceania walczyła z Azją Wschodnią i była w stanie pokoju z Eurazją. To prawda, całą tę wojnę uważała za mistyfikację, dziwiło go jednak, że nie zauważyła, kiedy zmieniła się tożsamość wroga. „Myślałam, że zawsze walczyliśmy z Eurazją”, powiedziała niepewnie. Trochę go to przestraszyło. Wynalezienie samolotów dotyczyło okresu na długo przed jego narodzinami, ale zwrot w stosunkach militarnych miał miejsce zaledwie cztery lata temu, Julia była już wtedy zupełnie dorosła. Klócili się o to może przez kwadrans. Ostatecznie udało mu się pobudzić jej pamięć na tyle, że zamajaczyło w niej wspomnienie czasów, kiedy to Azja Wschodnia, a nie Eurazja, była wrogiem. Jednak i tak nie uznawała tego za istotne.

— Kogo to obchodzi? — zapytała zniecierpliwiona. — Zawsze toczy się jakaś wojna, a przecież jest jasne, że wiadomości to same kłamstwa.

Czasem opowiadał Julii o bezczelnym fałszerstwach, jakich dopuszczał się, pracując dla Departamentu Archiwów. Raczej jej to nie szokowało. Otchłań nie otwierała się pod jej stopami na myśl o kłamstwach, które stają się prawdą. Opisał jej sprawę Jonesa, Aronsona i Rutheforda i powiedział o niezwykle ważnym skrawku papieru, który zdarzyło mu się trzymać w ręku. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Z początku w ogóle nie rozumiała sedna opowieści.

— To byli twoi kumple? — zapytała.

— Nie, nie znałem ich, co najwyżej z widzenia. Należeli do Partii Wewnętrznej. No i byli o wiele starsi ode mnie. Stanowili częstkę dawnych czasów, jeszcze sprzed Rewolucji.

— Więc czemu się tak przejąłeś? Przecież codziennie zabijają ludzi.

Starał się wytłumaczyć:

— Ta sprawa była wyjątkowa. Nie chodzi tylko o to, że kogoś zabili. Zdajesz sobie sprawę, że przeszłość, cała historia, poczynając od wczoraj, została unicestwiona? Jeśli coś z niej ocalało, to tylko pojedyncze przedmioty, z którymi nie wiążą się żadne znaczenia, jak ten kawałek szkła. Już prawie nic nie wiemy o Rewolucji czy latach, które ją poprzedzały. Zniszczono bądź sfalszowano każdy dokument, przepisano każdą książkę, przemalowano każdy obraz, każdą rzeźbę, każdą ulicę i każdy budynek przemianowano, każdą datę zmieniono. Ten proces trwa dzień po dniu, minuta po minucie. Historia została zatrzymana. Nie ma nic poza niekończącą się teraźniejszością, w której Partia ma zawsze rację. *Wiem oczywiście, że przeszłość została zakłamana, ale nigdy nie mógłbym tego dowiedzieć, nawet w tych przypadkach, kiedy osobiście popełniałem fałszerstwo. Nie zostają po tym żadne ślady. Jedyne świadectwo jest w mojej głowie, a nie mam pewności, czy ktokolwiek podziela moje wspomnienia. Tylko w tym jednym przypadku, raz w życiu, miałem w ręku materialny dowód fałszerstwa po tym, jak go dokonano, wiele lat po fakcie.*

— I co z tego wynikło?

— Nic, bo wyrzuciłem go parę minut później. Gdyby to się stało dziś, zachowałbym ten skrawek.

— A ja nie — powiedziała Julia. — Jestem gotowa ryzykować, jeśli gra jest warta świeczki, ale nie dla kawałka starej gazety. Co byś z nim zrobił, gdybyś go zachował?

— Pewnie niewiele. Ale to był dowód. Mógłby tu i ówdzie zasiać wątpliwości, gdybym ośmielił się go komuś pokazać. Nie sądzę, żeby dało się zmienić cokolwiek za naszego życia. Ale można sobie wyobrazić opór kielkujący to tu, to tam; małe z początku grupki jednoczących się ludzi, które z czasem stają się coraz liczniejsze i może nawet zostawiają po sobie jakies ślady, żeby następne pokolenie podjęło działania tam, gdzie my je przetrwaliśmy.

— Nie obchodzi mnie następne pokolenie, mój drogi. Dbam o *nas*.

— Buntujesz się tylko od pasa w dół — powiedział.

Julia uznała ten komentarz za błyskotliwie zabawny i objęła go, śmiejąc się. Nuansy partyjnej doktryny nie interesowały jej w najmniejszym stopniu. Kiedy Winston zaczynał snuć rozważania, dotyczące angoscu, dwójmyślenia, zmieniania przeszłości, kiedy mówił o zaprzeczaniu rzeczywistości lub używał nowomowy, czuła się zagubiona. Nudziło ją to, nie zwracała uwagi na takie sprawy. Przecież wiadomo, że to same głupstwa, po co sobie nimi zaprzętać głowę? Wiedziała, kiedy należy wiwatować, a kiedy gwizdać — i to wystarczyło. Miała irytujący zwyczaj zasypiania, kiedy upierał się, żeby ciągnąć któryś z tych

Historia, Prawda, Fałsz

tematów. Należała do osób, które mogą zasnąć o każdej porze i w każdej pozycji. Rozmawiając z nią, zaczynał rozumieć, jak łatwo jest udawać wierność doktrynie, jeśli nie ma się bladego pojęcia o jej znaczeniu. Partyjną ideologię najprościej było narzucić ludziom niezdolnym do tego, żeby naprawdę ją zrozumieć. Gotowi byli zaakceptować najbardziej ostentacyjne pogwałcenie zasad rzeczywistości, bo nie docierało do nich, jakich potworności oczekuje od nich Partia, i nie interesowali się życiem publicznym wystarczająco, żeby zauważyć, co się dzieje. Dzięki temu, że nic nie rozumieli, nie wariowali. Po prostu łkali każde kłamstwo, a to, co łkali, nie szkodziło im, bo nie zostawiało po sobie żadnego śladu — jak ziarno kukurydzy przechodzi bez szwanku przez ciało ptaka.

## 6

Wreszcie zdarzyło się to, na co Winston czekał od dawna — nadeszła oczekiwana wiadomość. Wydawało mu się teraz, że czekał na to przez całe życie.

Szedł długim korytarzem w budynku ministerstwa. Prawie dokładnie w tym miejscu, gdzie Julia wsunęła mu do ręki liścik, zorientował się, że tuż za nim idzie ktoś większy od niego. Ta osoba, kimkolwiek była, odchrząknęła, co ewidentnie zapowiadało, że zaraz się odezwie. Winston zatrzymał się raptownie i spojrzął do tyłu. Za nim znajdował się O'Brien.

Nareszcie stanęli twarzą w twarz i pierwszym impulsem Winstona była ucieczka. Serce waliło mu jak szalone. Nie byłby w stanie wydusić z siebie ani słowa. Tymczasem O'Brien szedł dalej; nie zmieniając tempa, zrównał się z Winstonem i położył przyjaźnie dłoń na jego ramieniu. Przez moment szli w ten sposób obok siebie. W końcu O'Brien odezwał się grzecznym, poważnym tonem, odróżniającym go od większości członków Partii Wewnętrznej.

— Miałem nadzieję, że uda nam się porozmawiać — powiedział. — Parę dni temu czytałem w „Timesie” wasz tekst w nowomowie. Chyba zajmujecie się naukowo tym zagadnieniem?

Winston odzyskał panowanie nad sobą.

— Niezbyt naukowo — odparł. — Jestem tylko amatorem. Nowomowa to nie moja działka. Nigdy nie miałem nic wspólnego z tworzeniem tego języka.

— Ale posługujecie się nim bardzo stylowo — powiedział O'Brien. — To nie tylko moje zdanie. Rozmawiałem niedawno z waszym znajomym, który z pewnością jest ekspertem. Nie pamiętam w tej chwili jego nazwiska.

Serce znów podeszło Winstonowi do gardła. To musiała być aluzja do Syme'a. A Syme nie tylko był martwy — całe jego istnienie zostało unicestwione. Był *niesobą*. Wspominając o kimś tego pokroju w tak czytelny sposób, człowiek narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Zatem uwaga rzucona przez O'Briena musiała stanowić zamierzony sygnał — była hasłem. Dzieląc się tym niepozornym aktem myślozbrodni, sprawił, iż stali się współwinni. Szli dalej wolno korytarzem, gdy nagle O'Brien przystanął. Poprawił okulary swoim charakterystycznym, emanującym życzliwością gestem, po czym kontynuował rozpoczęty wątek:

— W istocie, chciałem powiedzieć, że zauważyłem w waszym artykule dwa słowa, które stały się nieaktualne, ale dopiero ostatnio. Czy już widzieliście dziesiąte wydanie *Słownika nowomowy*?

— Nie — odparł Winston. — Chyba jeszcze nie został wydany. W Departamencie Archiwów nadal używamy dziewiątego wydania.

— Z tego, co mi wiadomo, dziesiąte wydanie ukaże się dopiero za kilka miesięcy, ale krążą już egzemplarze sygnałne. Mam jeden z nich. Może chcielibyście rzucić okiem?

— Tak, bardzo — powiedział Winston, już rozumiejąc, dokąd sprawy zmierzają.

— Niektóre nowe propozycje są naprawdę pomysłowe. Redukcja liczby czasowników, myślę, że ten punkt przypadnie wam do gustu. Pomyślmy, jak to zrobić. Czy podać słownik przez posłańca? Ale takie rzeczy zawsze wylatują mi z głowy. Może moglibyście wpaść do mnie w jakimś dogodnym momencie, żeby go odebrać? Chwileczkę, już daję adres.

Stali naprzeciwko teleekranu. O'Brien z pewnym roztargnieniem sprawdził kieszenie i wydobyl mały, oprawiony w skórę notes oraz złoty długopis. Tuż pod teleekranem —

Spotkanie

w takiej pozycji, że każdy, kto go oglądał po drugiej stronie, mógłby przeczytać, co pisze — nabazgrał adres, wyrwał kartkę i wręczył ją Winstonowi.

— Wieczorami zwykle jestem w domu — powiedział. — Ale gdyby mnie akurat nie było, służący wyda wam słownik.

I poszedł, zostawiając Winstona ze skrawkiem papieru. Winston tym razem nie musiał niczego ukrywać, mimo to skrupulatnie nauczył się adresu na pamięć i parę godzin później wrzucił papier do szczeliny pamięci razem z całym plikiem innych.

Rozmowa trwała najwyżej dwie minuty. Całe zdarzenie mogło mieć tylko jeden cel: chodziło o to, żeby przekazać Winstonowi adres O'Briena. Było to konieczne, bo nie dało się ustalić, gdzie ktoś mieszka w inny sposób, niż pytając go o to. Nie istniały żadne książki adresowe. Sens przekazanej przez O'Briena wiadomości był taki: „Jeśli kiedykolwiek zechcesz porozmawiać, czekam”. Może w słowniku Winston znajdzie list. Jedno było w każdym razie pewne — podziemie, o którym śnił, istniało i właśnie dotarł na jego obrzeża.

Było jasne, że prędzej czy później Winston stawi się na wezwanie O'Briena. Może jutro, może dopiero za jakiś czas — tego nie był pewien. Oto nadciągała kulminacja zainicjowanego wiele lat wcześniej procesu. Pierwszym jego aktem była ukryta, mimowolna refleksja, drugim — założenie dziennika. Najpierw przeszedł od myśli do zapisanych słów, teraz zmierzał od słów do czynów. Ostatni akt rozegra się w Ministerstwie Miłości. Winston już się z tym pogodził. Koniec zawierał się w początku. Było to mimo wszystko przerażające albo inaczej — dawało przedsmak śmierci, jakby już w tym momencie po trochu umierał. Jeszcze podczas rozmowy z O'Brienem, kiedy dotarło do niego, co tamten mówi, zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Miał wrażenie, że zapada się w wilgotny grób. Od dawna wiedział, że ten grób na niego czeka, ale to nie ułatwiało sprawy.

## 7

Winston obudził się zalany łzami. Zaspana Julia odwróciła się do niego, mrucząc niewyraźnie:

— Co się stało?

— Śniło mi się... — zaczął, po czym przerwał. Nie umiał ująć tego w słowa. Oprócz samego snu było jeszcze związane z nim wspomnienie, które nawiedziło go parę sekund po przebudzeniu.

Leżał z zamkniętymi oczami, pogrążony w półśnie. Był to wspaniały, świetlisty sen, w którym przed Winstonom roztaczało się całe życie, niczym pejzaż w letni wieczór po deszczu. Wszystko działo się wewnątrz szklanej kuli, lecz powierzchnia szkła stanowiła jednocześnie sklepienie nieba, wewnątrz wypełniało zaś miękkie światło, zapewniające znakomitą widoczność nawet na znaczną odległość. Ważnym motywem w tym śnie, jeśli nie najważniejszym, był zapamiętany gest matki. Ujrzał go ponownie trzydzieści lat później podczas kroniki filmowej, kiedy żydowska kobieta próbowała ochronić ramionami swojego synka na chwilę przed tym, jak ostrzał z helikoptera rozerwał oboje na strzępy.

— Wiesz, do tej pory wierzyłem, że zamordowałem matkę.

— Dlaczego ją zamordowałeś? — zapytała Julia przez sen.

— Nie dosłownie. Nie fizycznie.

Sen przypomniał mu ostatni raz, kiedy widział matkę, a w ciągu kilku chwil po przebudzeniu wróciła do niego cała konstelacja drobnych zdarzeń, towarzyszących tamtej chwili. Musiał wypierać je ze świadomości przez wiele lat. Nie miał pewności, sądził jednak, że musiał mieć wtedy co najmniej dziesięć lat, może dwanaście.

Ojciec zniknął wcześniej, o ile wcześniej — nie pamiętał. Przypominał sobie jednak całkiem dobrze niepewność i trudy tamtych lat: panikę podczas nalotów, ukrywanie się na stacjach metra, piętrzące się wszędzie sterty gruzu, rozlepiane na rogach ulic niezrozumiałe manifesty, bandy młodzieży poubieranej w identyczne koszule, ogromne kolejki do piekarń, przerywany ogień karabinów maszynowych w oddali, a przede wszystkim to, że nigdy nie starczało jedzenia. Pamiętał długie popołudnia, spędzane wraz z innymi chłopcami na pładrowaniu koszy z odpadkami i wysypisk (gdzie znajdowali czasem twarde części kapuścianych liści, ziemniaczane obierki, a nawet chleba, które dokładnie czyścili z popiołu), a także na oczekiwaniu na przejazd ciężarówek trans-

Sen, Wspomnienia, Matka

Wspomnienia, Głód, Bieda

portujących paszę dla zwierząt, bo kiedy podskakiwały na wybojach, niekiedy wypadają z nich trochę makuchów<sup>62</sup>.

Po zniknięciu ojca matka nie okazywała zaskoczenia ani nie szalała z rozpaczy, uległa jednak nagłej przemianie. Bardzo podupadła na duchu. Nawet Winston rozumiał, że czekała na coś, co musi się wydarzyć. Robiła wszystko, co do niej należało — gotowała, prała, cerowała ubrania, ścieliła łóżko, zamiatła podłogę, odkurzała kominek — zawsze bardzo powoli, unikając zbędnych ruchów, jak poruszający się samodzielnie manekin. Po czym jej duże, kształtne ciało naturalnie powracało do stanu odrętwienia. Potrafiła godzinami siedzieć bez ruchu na łóżku, tuląc w ramionach jego młodszą siostrę — chorowite, cichutkie dziecko, dwu- lub trzyletnie, z twarzą tak wychudzoną, że przypominała mordkę małpki. Czasem, choć bardzo rzadko, matka brała w ramiona także Winstona i długo go do siebie przyciskała, nie wypowiadając ani słowa. Choć był po dziecinnemu samolubny, rozumiał, że ma to związek z tym, o czym nie mówiła, a co miało jednak wkrótce się wydarzyć.

Pokój, w którym mieszkali, był ciemny i duszny. Niemal połowę przestrzeni zajmowało łóżko, przykryte białą kapą. W kominku stał palnik gazowy, jedzenie trzymali na półce, a na zewnątrz, na klatce schodowej, znajdował się brązowy, kamionkowy zlew, z którego korzystali mieszkańcy kilku izb. Pamiętał posągowe ciało matki, kiedy pochylała się nad palnikiem, żeby zamieszać coś w garnku. Ale przede wszystkim pamiętał ciągle głód i zajadłe, prymitywne klótnie podczas posiłków. Ciągłe natrętnie pytał matkę, dlaczego nie mają więcej jedzenia, krzyczał i awanturował się (pamiętał nawet ton swojego głosu, który grzmiał czasem z niespodziewaną mocą, gdyż Winston przedwcześnie przechodził mutację) albo próbował wzbudzić litość, żeby tylko dostać większą porcję. Matka gotowa była dawać mu więcej jedzenia. Było dla niej oczywiste, że on, „chłopiec”, powinien otrzymać najobfitszą porcję; ile by mu jednak nie nałożyła, i tak żądał więcej. Podczas każdego posiłku prosiła go, żeby nie był taki samolubny i pamiętał, że jego siostrzyczka jest chora — ona również potrzebowała jedzenia; to jednak do niczego nie prowadziło. Kiedy przestawała napełniać jego miszkę, darł się jak opętany, próbował wyrwać jej z rąk garnek i chochlę, zabierał kawałki z talerza siostry. Miał świadomość, że obie przez niego głodują, ale nie mógł nic na to poradzić; w jakimś sensie czuł nawet, że ma do tego prawo. Dokuczliwy głód w brzuchu usprawiedliwiał go. Pomiędzy posiłkami, jeśli tylko matka nie patrzyła, plądrował liche zapasy na półce.

Któregoś dnia rozdano przydziały czekolady, pierwszy raz od tygodni albo nawet miesięcy. Bardzo dobrze pamiętał tamten bezcenny, maleńki kawałek czekolady — dwie uncje<sup>63</sup> (wtedy jeszcze posługiwali się uncjami) na ich troje. Logiczne byłoby podzielenie jej na trzy równe części. Nagle jednak Winston usłyszał samego siebie — zupełnie jakby to mówił ktoś inny — grzmiącym głosem domagającego się całej tabliczki. Matka upomniała go, żeby nie był zachłanny. Nastąpiła długa, przykra kłótnia, podczas której Winston krzyczał, płakał, protestował i targował się, w kółko wracając do punktu wyjścia. Jego maleńka siostra, trzymając się matki obiema rączkami zupełnie jak małpiątko, patrzyła na niego znad jej ramienia dużymi, załzawionymi oczami. W końcu matka odłamała trzy czwarte tabliczki i wręczyła Winstonowi, resztę dała jego siostrze. Dziewczynka wzięła swoją część i gapiła się na nią tępo; chyba nie wiedziała, co to takiego. Winston przyglądał się jej przez moment bez ruchu, po czym wyrwał kawałek czekolady z rąk siostry i czmychnął w kierunku drzwi.

— Winston! Winston! — wołała matka. — Wracaj! Oddaj siostrze czekoladę!

Zatrzymał się, ale nie wrócił. Niespokojne oczy matki wpatrywały się w jego twarz. Jednak nawet w tamtym momencie myślała o tym, co musi się wydarzyć. Winston to widział, ale nie wiedział, o co chodzi. Jego siostra, zrozumiałwszy, że coś jej odebrano, zaniósł się cichym płaczem. Matka otoczyła dziewczynkę ramieniem i przycisnęła jej twarz do swojej piersi. Coś w tym geście zdradzało, że siostrzyczka umiera. Winston odwrócił się i uciekł na schody, czekolada zaczynała kleić mu się do palców.

Nigdy więcej nie zobaczył matki. Kiedy pożarł czekoladę, poczuł się trochę winny, dlatego przez parę godzin włóczył się ulicami, aż głód przyznał go z powrotem do domu.

Wspomnienia,  
Dzieciństwo, Sen, Matka,  
Siostra, Głód, Bieda,  
Jedzenie, Rodzina

<sup>62</sup>makuch — pasza dla zwierząt z wyciśniętych nasion roślin oleistych. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>uncja — jednostka masy używana w krajach anglosaskich, ok. 30 g. [przypis edytorski]



Jednak gdy wrócił, matka już znikła. W tamtych czasach tak po prostu było. W pokoju nie brakowało niczego — poza matką i siostrą. Nie zabrali żadnych ubrań, nawet płaszcz matki. Do dzisiejszego dnia nie mógł mieć pewności, że ona nie żyje. Całkiem możliwe, że zesłano ją do obozu pracy przymusowej. Co do siostry, mogła zostać umieszczona, jak to zrobiono z Winstonem, w którejś z kolonii dla bezdomnych dzieci (zwanych ośrodkami odzysku), powstałych po wojnie domowej; ewentualnie wywieziono ją do obozu razem z matką lub pozostawiono gdziekolwiek na śmierć.

Senne obrazy nadal były żywe w jego umyśle, zwłaszcza ten otaczający, opiekuńczy gest ramienia, w którym zawierał się cały sens wspomnienia. Przypomnił sobie inny sen, sprzed dwóch miesięcy. Gdzieś w przepastnej otchłani pod Winstonem, na tonącym statku siedziała matka — dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej wcześniej widział ją na zasłanym białą kapą łóżku — z tulącym się do niej dzieckiem. Opadała wciąż głębiej i głębiej na dno, nadal jednak patrząc na niego przez ciemniejącą wodę.

Opowiedział Julii historię zniknięcia matki. Nie otwierając oczu, obróciła się, żeby się wygodniej ułożyć.

— Założę się, że byłeś małym potworem — powiedziała obojętnie. — Wszystkie dzieci to potwory.

— Tak, ale w tej historii chodzi o coś innego...

Po jej oddechu poznał, że znowu zasypia. Chciałby dalej rozmawiać o swojej matce. Z tego, co pamiętał, nie była w żadnym wypadku kobietą niezwykłą ani tym bardziej szczególnie inteligentną, cechował ją jednak pewien rodzaj szlachetności i czystości — po prostu dlatego, że dochowywała wierności swoim wartościom. To, co czuła, było szczere, nie podlegało zewnętrznym wpływom. Nie przychodziło jej do głowy, że nieefektywność jakiegoś działania automatycznie odziera je z wszelkiego znaczenia. Jeśli się kogoś kochało, to się kochało, jeśli nie miało się niczego innego do zaoferowania, nadal można było dać miłość. Kiedy cała czekolada została zjedzona, matka otuliła dziecko ramionami. To niczego nie zmieniło, niczemu nie służyło, nie przybyło od tego czekolady. Jej gest nie mógł ochronić przed śmiercią ani dziecka, ani jej samej. Był to jednak jej naturalny odruch. Dokładnie tak samo uchodźczyni na łodzi otoczyła chłopca ramionami, co było równie skuteczną ochroną przed pociskami jak kartka papieru. Partia robiła coś okropnego — wmawiała ludziom, że ich zwykłe uczucia i instynkty nie mają żadnej wartości, jednocześnie odbierając im wszelką władzę nad światem materialnym. Kiedy wpadło się w łapska Partii, nie miało żadnego znaczenia, co człowiek czuje, a czego nie czuje, co robi, a przed czym się powstrzymuje. Niezależnie od wszystkiego, taka osoba znikła i nikt nie słyszał więcej ani o niej, ani o żadnych jej uczynkach. Usuwano ją z nurtu historii, upewniając się, że nie pozostawiła po sobie żadnego śladu. A jednak zaledwie dwa pokolenia wcześniej ludzie nie myśleli w ten sposób, nie zależało im na zmienianiu przeszłości. Kierowali się indywidualnymi wartościami, których nie kwestionowali. Liczyły się osobiste więzi, bezbronne gesty, objęcia, lzy, słowo wypowiedziane do umierającego. Te rzeczy miały charakter autoteliczny. Nagle dotarło do Winstona, że prole wciąż trwali w tym stanie. Nie byli lojalni wobec Partii ani wobec idei, ale wobec siebie nawzajem. Pierwszy raz w życiu nie gardził prolami, zrozumiał, że nie byli tylko tępą siłą, która pewnego dnia eksploduje i doprowadzi do odnowy świata. Prole pozostali ludźmi. Nie stwardnieli od środka. Nadal kierowali się prostymi uczuciami, których on musiał świadomie uczyć się od nowa. Myśląc o tym, przypomniał sobie, pozornie bez związku, oderwaną ludzką dłoń, którą kopniakiem strącił z chodnika do rynsztoka, jakby to był liść kapusty.

— Prole są ludźmi — powiedział na głos. — My ludźmi nie jesteśmy.

— Dlaczego nie? — spytała Julia, która znów się przebudziła.

Winston zastanawiał się przez chwilę.

— Przyszło ci kiedyś do głowy — powiedział — że najlepiej dla nas byłoby po prostu wyjść stąd, zanim zrobi się za późno, i już nigdy się nie spotkać?

— Tak, kochany, przyszło mi do głowy parę razy. Jednak mimo wszystko nie zamierzam tego zrobić.

— Mamy szczęście — powiedział — ale ono już długo nie potrwa. Jesteś młoda. Wyglądasz zwyczajnie, niewinnie. Jeśli będziesz trzymała się z daleka od ludzi takich jak ja, możesz żyć przez kolejne pięćdziesiąt lat.

Sen, Wspomnienia, Matka

Matka, Kondycja ludzka,  
Miłość, Wierność

— Nie. Wszystko przemyślałam. Zrobię to samo, co ty. Nie bądź takim pesymistą. Umieć przetrwać, jestem w tym dobra.

— Będziemy razem przez kolejne pół roku, może rok, nie wiadomo. Na końcu na pewno nas rozdzieli. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo będziemy samotni? Kiedy nas złapią, nie będziemy mogli nic zrobić dla siebie nawzajem, dosłownie nic. Jeśli się przyznam, zastrzelą cię; jeśli się nie przyznam, i tak cię zastrzelą. Nie będzie takiej rzeczy, którą mógłbym uczynić lub powiedzieć albo której mógłbym nie powiedzieć, żeby opóźnić twoją śmierć choćby o pięć minut. Żadne z nas nie będzie wiedziało, czy to drugie jeszcze żyje. Będziemy całkowicie bezsilni. Ważne jest tylko to, żebyśmy się wzajemnie nie zdradzili, choć i to nie zrobi żadnej różnicy.

Zdrada

— Jeśli chodzi o przyznanie się do winy — powiedziała — zrobimy to, oczywiście. Każdy się przyznaje. Nie ma na to rady. Będą cię torturować.

— Nie, nie o to mi chodziło. Przyznanie się do winy nie oznacza zdrady. To, co powiemy, nie będzie miało znaczenia; liczy się tylko to, co czujemy. Jeśli sprawią, że przestanę cię kochać, to będzie prawdziwa zdrada.

Zastanowiła się.

— Nie mogą tego zrobić — powiedziała w końcu. — To jedyne, czego nie mogą nam zrobić. Mogą zmusić cię do powiedzenia *czegokolwiek*, ale nie zdołają przekonać cię, żebyś w to uwierzył. Nie mogą znaleźć się wewnątrz twojej głowy.

— Nie — powiedział nieco pogodniej — to prawda, nie mogą. Jeśli *czujesz*, że zachowanie człowieczeństwa stanowi wartość samą w sobie, nawet jeśli nie przynosi żadnych praktycznych korzyści, to znaczy, że ich pokonałaś.

Pomyślał o teleekranie, którego uszy nigdy nie zasypiały. Mogli szpiegować każdego w dzień i w nocy, ale zachowując jasność umysłu, dało się ich przechytryć. Przy całym swoim sprycie nadal nie umieli odgadnąć, co ludzie myślą. Być może udawało im się to, kiedy już dostali człowieka w swoje ręce. Nikt nie wiedział, co dzieje się w Ministerstwie Miłości, można się było jednak domyślać: tortury, otumanianie różnymi substancjami, czuły sprzęt rejestrujący reakcje układu nerwowego, stopniowe niszczenie człowieka przez bezsenność, izolację i niekończące się przesłuchania. Z całą pewnością nikt nie był w stanie ukryć żadnych faktów. Fakty da się ustalić poprzez dochodzenie albo wycisnąć z człowieka torturami. Jeśli jednak stawka nie sprowadza się do przeżycia, tylko do zachowania człowieczeństwa, co z tego wynika? Przecież nie mogą zmienić ludzkich uczuć. Co więcej, nikt sam nie może zmienić własnych uczuć, nawet gdyby tego chciał. Mogą odsłonić najdrobniejsze szczegóły wszystkiego, co się zrobiło, powiedziało lub pomyślało, ale tego, co rozgrywa się w głębi ludzkiego serca — i co dla nas samych jest tajemnicą — tego dosięgnąć nie mogą.

Kondycja ludzka

## 8

Wreszcie, wreszcie to zrobili!

Znajdowali się w podłużnym pomieszczeniu, pełnym łagodnego światła. Przyciszony teleekran wydawał stłumiony szept, granatowy dywan był tak miękki, że miało się wrażenie stąpania po aksamicie. O'Brien siedział przy stole, umieszczonym na przeciwległym krańcu pokoju; stała na nim lampa z zielonym abażurem, po której obu stronach piętrzyły się papiery. Nie podniósł nawet głowy, kiedy służący wprowadził Julię i Winstona.

Serce Winstona waliło tak mocno, że wątpił, czy da radę wydobyć z siebie głos. Zrobili to, wreszcie to zrobili — nic innego nie umiał pomyśleć. Nierozsądnie było tu przychodzić, a przybycie we dwoje stanowiło akt czystej głupoty, choć każde dotarło na miejsce inną drogą i spotkali się dopiero na progu mieszkania O'Briena. Już samo pojawienie się w takim miejscu wymagało sporej odwagi. Zwykli ludzie rzadko zapuszczali się w tę część miasta, gdzie mieszkali członkowie Partii Wewnętrznej, nie mówiąc już o zaglądaniu do ich mieszkań. Atmosfera wielkiego, przestronnego bloku — ociekającego luksusem i wypełnionego zapachami dobrego jedzenia oraz tytoniu, z cichymi, szybkimi windami, kursującymi w górę i w dół, ze służącymi w białych kurtkach, przemykającymi to tu, to tam — działała oneśmielająco. Chociaż Winston miał solidny pretekst, żeby się tu znaleźć, na każdym kroku prześladowała go obawa, że zza rogu wyłoni się strażnik w czarnym kombinezonie, zażąda papierów i każe mu się wynosić. Jednak służący O'Briena wpuścił

Odwaga

Pozycja społeczna

oboje bez żadnych obiekcji. Był niskim, ciemnowłosym mężczyzną, odzianym w białą kurtkę, o pozbawionej wyrazu twarzy w kształcie diamentu, która mogłaby być twarzą Chińczyka. Poprowadził ich korytarzem wyłożonym miękkimi dywanami, między ścianami wykończonymi kremową tapetą i białą boazerią. Wszystko było idealnie czyste i to także onieśmiało. Winston nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej szedł korytarzem, którego ściany nie byłyby zatluszczone wskutek kontaktu z ludzkimi ciałami.

O'Brien trzymał w palcach jakąś kartkę i studiował ją w skupieniu. Jego kwadratowa twarz, pochylona tak, że widać było linię nosa, sprawiała wrażenie jednocześnie groźnej i inteligentnej. Przez jakieś dwadzieścia sekund siedział zupełnie nieruchomo, następnie sięgnął po głosopis i podyktował wiadomość w dziwnym żargonie, którym posługiwano się w ministerstwach: „Punkty jeden koma pięć koma siedem zatwierdzone całościowo stop sugestia w punkcie szóstym plusplusabsurdalna na granicy myślozbrodni usunąć stop antykontynuować doprzeduzyskania pluspełnego kosztorysu stop koniec notatki”.

Podniósł się powoli i podszedł do nich, stąpając bezgłośnie po dywanie. Kiedy skończył dyktować, atmosfera stała się nieco mniej oficjalna, jednak wyraz jego twarzy był poważniejszy niż zazwyczaj, jakby nie podobało mu się, że ktoś go rozprasza. Do strachu, którym Winston był przepełniony, doszło teraz zwykle zażenowanie. Naraz wydało mu się całkiem prawdopodobne, że po prostu popełnił głupi błąd. Jakie miał w istocie dowody, że O'Brien brał udział w jakiejś konspiracji? Żadnych, poza błyskiem w oku i jedną dwuznaczną wypowiedzią; opierał się jedynie na swoich sekretnych fantazjach, wywiezionych ze snu. Nie mógł nawet posłużyć się pretekstem, że wstąpił, żeby pożyczyć słownik, bo jak w takim razie wytłumaczyć obecność Julii? Mijając teleekran, O'Brien nagle jakby o czymś sobie przypomniał. Zatrzymał się, obrócił się do ściany i wcisnął przycisk. Rozległ się głośny trzask. Głos zamilkł.

Julia pisnęła cichutko ze zdumienia. Pomimo odczuwanej trwogi, Winston nie zdołał utrzymać języka na wodzy.

— Możecie wyłączyć teleekran!

— Tak — powiedział O'Brien — możemy. Mamy taki przywilej.

Stał teraz naprzeciwko Winstona i Julii. Jego mocna sylwetka górowała nad nimi, nadal miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Wpatrywał się w Winstona raczej surowo, jakby czekał, aż ten zacznie mówić; ale o czym? Teraz wydawało się całkiem możliwe, że O'Brien był po prostu bardzo zajęтым człowiekiem, którego zirytował fakt, że przerwało mu pracę. Wszyscy milczeli. Po wyłączeniu teleekranu w pokoju zrobił się cicho jak w grobie. Sekundy wlokły się niemiłosiernie. Winston z trudem wytrzymywał spojrzenie O'Briena. Nagle na ponurej twarzy pojawiło się coś, co można było uznać za zapowiedź uśmiechu. O'Brien poprawił okulary swoim charakterystycznym gestem.

— Ja mam to powiedzieć czy ktoś z was się odezwie?

— Ja powiem — odparł Winston bez wahania. — To naprawdę jest wyłączone?

— Tak, wszystko jest wyłączone. Jesteśmy sami.

— Przyszliśmy tu, bo...

Przerwał, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo niejasną kierował się motywacją. Nie wiedział, jakiego rodzaju pomocy oczekuje od O'Briena, toteż niełatwo mu było wyartykułować, po co przyszedł. Zdając sobie sprawę, że jego słowa muszą brzmieć nieprzekonywająco i pretensjonalnie, ciągnął dalej:

— Wierzmy, że istnieje jakaś konspiracja, jakaś organizacja podziemna działająca przeciwko Partii i że jesteście z nią powiązani. Chcemy się przyłączyć i pracować dla was. Jesteśmy wrogami Partii. Nie wierzymy w zasady angosocu. Jesteśmy myślozbrodnierzami. Jesteśmy również cudzołóżnikami. Mówię o tym, bo chcemy zdać się na waszą łaskę. Jeśli zechcecie, żebyśmy popełnili kolejne wykroczenia, jesteśmy do dyspozycji.

Przerwał i spojrzął za siebie, bo zdawało mu się, że słyszy hałas otwieranych drzwi. I rzeczywiście, mały służący o żółtej twarzy wszedł bez pukania. Dźwigał tacę, na której stały karafka i kieliszki.

— Martin jest jednym z nas — oznajmił O'Brien. — Przynies tacę tutaj, Martinie, postaw ją na tym okrągłym stole. Czy wszyscy mamy krzesła? W takim razie usiądźmy wygodnie i porozmawiajmy. Ty też weź krzesło, Martinie. Jest sprawa. Przez następne dziesięć minut nie jesteś służącym.

Bunt

Przemiana, Maski

Mały człowieczek usiadł dość swobodnie, choć nadal roztaczał po trosze aurę kamerdynera; wciąż był poddanym, któremu pozwolono zakosztować przywileju. Winston spoglądał na niego kątem oka. Pomyślał, że całe życie tego człowieka jest udawaniem, zatem zrzucenie maski choćby na chwilę musi wydawać mu się zbyt niebezpieczne. O'Brien ujął karafkę za szyjkę i napełnił kieliszki ciemnoczerwonym płynem. Wzbudziło to w umyśle Winstona mgliste wspomnienie czegoś, co dawno temu widział na murze lub słupie — ogromnej butli, uformowanej z migoczących światełek, które wyglądały, jakby wlewały się do kielicha. Oglądane z góry, wino zdawało się prawie całkiem czarne, ale w karafce lśniło jak rubin. Wydzielało słodko-kwaśny zapach. Julia podniosła swój kieliszek i powąchała z nieskrywaną ciekawością.

— To wino — powiedział O'Brien, uśmiechając się lekko. — Pewnie czytaliście o nim w książkach. Obawiam się, że nieczęsto trafia na stoły członków Partii Zewnętrznej. — Znowu spowaźniał i uniósł kieliszek. — Wypada chyba zacząć od wzniesienia toastu. Za naszego przywódcę: za Emmanuela Goldsteina.

Winston skwapliwie chwycił kieliszek. Czytał o winie i marzył o nim. Podobnie jak szklany przycisk do papieru czy zapamiętane przez pana Charringtona urywki starych wierszyków, należało do minionej, romantycznej przeszłości, o której Winston lubił skrycie myśleć „dawne, szczęśliwe czasy”. Z jakiegoś powodu wyobrażał sobie zawsze, że wino jest intensywnie słodkie — jak dżem jeżynowy — i od razu idzie do głowy. Próbując go teraz, w istocie bardzo się rozczarował. Po latach picia ginu prawie nie czuł smaku. Odstawił pusty kieliszek.

— A zatem istnieje ktoś taki jak Goldstein?

— Owszem, istnieje. Jest cały i zdrow. Gdzie, tego nie wiem.

— A konspiracja, organizacja podziemna, czy to też prawda? Nie jest wymysłem myślopolicii?

— Nie, naprawdę istnieje. Bractwo, tak o niej mówimy. Nie dowiesz się wiele więcej prócz tego, że Bractwo istnieje i że do niego należysz. Jeszcze do tego wróć. — Popatrzył na zegarek. — Nawet członkowie Partii Wewnętrznej nie powinni wyłączać teleekranu na dłużej niż pół godziny. Nieroztropnie było przyjść tu razem, będziecie musieli wyjść oddzielnie. Wy, towarzyszeko — zwrócił się do Julii — wyjdziecie pierwsza. Mamy do dyspozycji jakieś dwadzieścia minut. Rozumiecie, że muszę zacząć od zadania wam pewnych pytań. Najogólniej rzecz biorąc, na co jesteście gotowi?

— Na wszystko, co leży w naszej mocy — odparł Winston.

O'Brien obrócił się nieco na krześle, żeby mieć Winstona naprzeciwko. Prawie ignorował Julię, zakładając, że Winston będzie mówił za nich dwoje. Na moment zmrużył oczy. Zaczął zadawać pytania cichym, pozbawionym wyrazu głosem, jakby to była wielokrotnie przećwiczona rutyna, rytualne pytania i odpowiedzi, z których większość znał z góry.

— Czy jesteście gotowi oddać życie?

— Tak.

— Mordować?

— Tak.

— Dokonywać aktów sabotażu, które mogą spowodować śmierć setek niewinnych ludzi?

— Tak.

— Zdradzić swój kraj dla obcego mocarstwa?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi oszukiwać, fałszować, szantażować, zatrucić dziecięce umysły, kolportować substancje psychoaktywne, zachęcać do prostytucji, rozsiewać choroby weneryczne, innymi słowy: robić wszystko, co może przyczynić się do demoralizacji i osłabienia władzy Partii?

— Tak.

— Jeśli, na przykład, dla dobra sprawy, przyjdzie oblać dziecięcą twarz kwasem siarkowym, czy jesteście gotowi to zrobić?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi zmienić swoją tożsamość i spędzić resztę życia jako kelnerka lub doker?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi popełnić samobójstwo, jeśli i kiedy rozkażemy wam to zrobić?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi rozstać się i nigdy więcej się nie spotkać?

— Nie! — wtrąciła się Julia.

Winston czuł, że mija czas, a on wciąż się zastanawia. Przez chwilę sądził nawet, że odebrało mu mowę. Język pracował bezdźwięcznie, formułując sylaby na przemian to jednego, to drugiego słowa. Dopiero kiedy je wyartykułował, zorientował się, którą odpowiedź wybrał.

— Nie — wydusił z siebie w końcu.

— Dobrze, że mi powiedzieliście — rzekł O'Brien. — Musimy wiedzieć wszystko.

Obrócił się do Julii i dodał tonem, w którym było nieco więcej uczucia:

— Czy rozumiecie, że nawet jeśli on przeżyje, może stać się inną osobą? Prawdopodobnie będziemy musieli dać mu nową tożsamość. Twarz, ruchy, kształt dłoni, kolor włosów... Nawet jego głos ulegnie zmianie. Także i wy możecie stać się inną osobą. Nasi chirurdzy potrafią zmienić wygląd ludzi tak, że nie da się ich rozpoznać. Czasem to jest konieczne. Bywa, że trzeba amputować kończynę.

Winston nie mógł się powstrzymać od ukradkowego spojrzenia na azjatycką twarz Martina. Nie dostrzegwał żadnych blizn. Julia zbladła nieco, przez co uwydatniły się piegi na jej twarzy, ale dzielnie patrzyła w twarz O'Briena. Mruknęła coś cicho, chyba na znak zgody.

— W porządku. Zatem to jest załatwione.

Na stole leżała srebrna papierośnica. O'Brien roztargnionym gestem popchnął ją w ich stronę, sam też się poczęstował, a potem podniósł się i zaczął chodzić powoli po pokoju w tę i z powrotem, jakby lepiej myślało mu się na stojąco. To były doskonałe papierosy, grube, solidnie nabite w niespotykane jedwabistą bibułkę. O'Brien znowu spojrzał na zegarek.

— Lepiej wróć już do siebie, Martinie — powiedział. — Włączę teleekran za piętnaście minut. Zanim wyjdiesz, przyjrzyj się dobrze twarzom tych towarzyszy. Pewnie jeszcze ich spotkasz. Możliwe, że ja już nie.

Ciemne oczy małego człowieczka przesunęły się po ich twarzach dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wpuszczał ich do budynku. W jego wzroku nie było nawet szczypty serdeczności. Zapamiętywał ich wygląd, ale nie interesowali go, w każdym razie nie okazywał ciekawości. Winston pomyślał, że pewnie sztuczna twarz nie może zmienić wyrazu. Nic nie mówiąc i nie żegnając się w żaden sposób, Martin wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. O'Brien nadal chodził po pokoju, z jedną ręką w kieszeni, a w drugiej trzymając papierosa.

— Zdajecie sobie sprawę — powiedział — że będziecie walczyć na oślep. Nigdy nie będziecie dokładnie informowani. Dostaniecie rozkazy i będziecie musieli je wykonać, ale nikt wam nie powie dlaczego. Potem przekażę wam książkę, z której dowiecie się, jak naprawdę działa urządzenie, w którym żyjemy, i jaką przyjęliśmy strategię, żeby go zniszczyć. Po jej przeczytaniu staniecie się pełnoprawnymi członkami Bractwa. Jednak poza ogólnymi celami, o które walczymy, i poszczególnymi zadaniami do wykonania w danej chwili, nie będziecie wiedzieć nic więcej. Zdradziłem wam, że Bractwo istnieje, nie mogę wam jednak powiedzieć, czy liczy stu czy dziesięć milionów członków. Na podstawie własnego doświadczenia nie będziecie mogli potwierdzić istnienia nawet tuzina. Będziecie mieli kontakt z trzema lub czterema wymieniającymi się osobami: ktoś zniknie, a na jego miejsce pojawi się ktoś nowy. Najpierw nawiązaliście kontakt ze mną, więc niech tak już zostanie, wasze rozkazy będą pochodziły ode mnie. Jeśli uznamy za słuszne, żeby coś wam zakomunikować, zrobimy to przez Martina. Kiedy was w końcu złapią, przyznacie się. Tego nie da się uniknąć. Jednak, poza zdradzeniem własnych działań, nie będziecie mieli wiele do wyznania. Będziecie mogli wydać jedynie garstkę mało znaczących osób. Pewnie nawet mnie nie wydacie. Do tego momentu umrę albo stanę się inną osobą, o innej twarzy.

O'Brien nadal wędrował w tę i w tę po miękkim dywanie. Pomimo masywnej postury poruszał się z pewnego rodzaju wdziękiem. Elegancja ujawniała się nawet w sposobie, w jaki trzymał rękę w kieszeni czy zapalał papierosa. Sprawiał wrażenie człowieka nie

Przemiana

Bunt

tyle silnego, co pewnego siebie i obdarzonego nieco ironiczną inteligencją. Choć sprawy, o których rozmawiali, traktował poważnie, pozostawał wolny od fanatycznego zacieźnienia. Nawet kiedy mówił o mordowaniu, samobójstwie, chorobach wenerycznych, amputowaniu członków i zmianie wyglądu twarzy, w jego głosie pobrzmiwały nieco kpiące tony. „To nieuchronne, właśnie tak musimy postępować — bez wahania”, zdawał się mówić. „Ale nie tak będziemy żyli, kiedy znowu warto będzie żyć”. Winstona ogarnął podziw, niemal uwielbienie dla O'Briena. Na moment zapomniał o zagadkowej postaci Goldsteina. Patrząc na potężne ramiona O'Briena, na jego grubo ciosaną twarz — brzydką, a jednocześnie tak świątłą — nie dało się uwierzyć, że mógłby ponieść klęskę. Nie było takiego podstępu, którego ten człowiek by nie przejrzał, nie było niebezpieczeństwa, którego by nie przewidział. Nawet Julia wydawała się być pod wrażeniem. Pozwoliła, żeby zgasł jej papieros, i słuchała z uwagą. O'Brien tymczasem ciągnął:

— Z pewnością słyszeliście pogłoski o Bractwie. Niewątpliwie macie swoje własne wyobrażenia na ten temat. Wyimaginowaliście sobie pewnie ogromne podziemie spiskowców, którzy potajemnie spotykają się w piwnicach, wypisują wiadomości na murach, identyfikują się wzajemnie po słowach-haśłach lub specjalnych gestach. Nic podobnego nie istnieje. Nie ma możliwości, żeby członkowie Bractwa rozpoznawali się nawzajem, żaden nie zna tożsamości więcej niż kilku innych osób. Sam Goldstein, gdyby wpadł w ręce myślopolicii, nie mógłby przekazać kompletnej listy członków ani żadnej informacji, która doprowadziłaby kogoś do takiego spisu. Tego rodzaju lista nie istnieje. Nie da się zlikwidować Bractwa, bo nie jest organizacją w zwykłym sensie tego słowa. Nie spaja go nic poza ideą, a ta jest niezniszczalna. Nic poza nią nigdy nie będzie was podtrzymywać na duchu. Nie będzie towarzyszy broni, nic na zachętę. Kiedy was w końcu złapią, nikt wam nie pomoże. Nigdy nie wspieramy naszych członków. Czasem, jeśli istnieje konieczność, żeby kogoś uciszyć, udaje nam się co najwyżej przemycić do celi żyłkę. Będziecie musieli przyzwyczaić się do życia, w którym efekty waszego zaangażowania są niewidoczne, życia pozbawionego jakiegokolwiek nadziei. Podziałacie przez jakiś czas, zostaniecie złapani, przyznacie się, a potem umrzecie. To są jedyne skutki, jakich doświadczycie. Nie ma szans, żeby za naszego życia zaszła jakakolwiek widoczna zmiana. Jesteśmy martwi. Jedyne prawdziwe istnienie należy do przyszłości. Weźmiemy w niej udział jako proch, jako rozsypujące się kości. Jak odległa jest ta przyszłość — tego nikt nie wie. Może nadejdzie za tysiąc lat. W tej chwili jedyne, co da się zrobić, to walczyć o poszerzenie pola świadomości, skrawek po skrawku. Nie możemy działać razem. Wiedzę rozpowszechniamy jedynie poprzez jednostki, które ją przekazują kolejnym ludziom, pokolenie za pokoleniem. W obliczu poczynań myślopolicii nie ma innego sposobu.

Przerwał i trzeci raz spojrzął na zegarek.

— Musicie się powoli zbierać, towarzyszeko — powiedział do Julii. — Nie, zaczekajcie. Karafka wciąż do połowy pełna.

Napełnił kieliszki, swój uniósł w górę, trzymając go za nóżkę.

— Za co tym razem? — zapytał z tym samym, lekko ironicznym wyrazem twarzy. — Za zmylenie myślopolicii? Za śmierć Wielkiego Brata? Za ludzkość? Za przyszłość?

— Za przeszłość — odparł Winston.

— Przeszłość jest ważniejsza — potwierdził O'Brien z powagą. Opróżnili kieliszki, moment później Julia podniosła się, żeby wyjść. O'Brien sięgnął po stojące na biurku pudełeczko i wręczył jej małą, białą tabliczkę. Kazał jej położyć ją na języku. To ważne, powiedział, żeby nie było od niej czuć wina — windziarze uważnie wszystkich obserwują.

Kiedy tylko za Julią zamknęły się drzwi, zaczął zachowywać się tak, jakby zupełnie zapomniał o jej istnieniu. Zrobił jeszcze parę kroków w tę i z powrotem, a potem zatrzymał się.

— Trzeba ustalić parę szczegółów — powiedział. — Zakładam, że macie jakąś kryjówkę?

Winston opowiedział mu o pomieszczeniu nad sklepem pana Charringtona.

— Na razie to wystarczy. Potem zorganizujemy coś innego. Trzeba często zmieniać kryjówki. W międzyczasie pošlę wam egzemplarz *książki* — Winston zauważył, że nawet O'Brien wypowiada to słowo tak, jakby było pisane kursywą — książki Goldsteina. Zrobię to najszybciej, jak się da. Zanim jakiś dostanę, może minąć parę dni. Jak możecie się domyślić, nie istnieje zbyt wiele kopii. Myślopolycja poluje na nie i eliminuje je prawie tak

Bunt, Walka, Samotność,  
Wiedza

Książka

szybko, jak my je produkujemy. Nie robi to wielkiej różnicy. Książka jest niezniszczalna. Nawet gdyby unicestwili ostatni egzemplarz, odtworzylibyśmy ją co do słowa. Czy idąc do pracy, macie przy sobie teczkę? — spytał.

— Zwykle tak.

— Jak wygląda?

— Jest czarna, bardzo zniszczona. Z dwoma paskami.

— Czarna, dwa paski, bardzo zniszczona; dobrze. Pewnego dnia w niedalekiej przyszłości, nie mogę podać dokładnej daty, jedna z wiadomości dotyczących waszej porannej pracy będzie zawierała słowo z błędem i będziecie musieli poprosić o powtórzenie. Następnego dnia pójdziecie do pracy bez teczki. W pewnym momencie zbliży się do was na ulicy jakiś człowiek, dotknie waszego ramienia i powie: „Chyba upuściliście teczkę”. Ta, którą wam wręczy, będzie zawierała książkę Goldsteina. Zwróćcie ją w ciągu czternastu dni.

Milczeli przez chwilę.

— Za parę minut musicie odejść — powiedział O'Brien. — Spotkamy się znowu, o ile się spotkamy...

Winston popatrzył na niego i dokończył z wahaniem:

— Tam, gdzie nie ma mroku?

O'Brien pokiwał głową. Nie okazał zaskoczenia.

— Tam, gdzie nie ma mroku — powiedział takim tonem, jakby rozpoznawał aluzję.

— Tymczasem chcecie coś jeszcze powiedzieć, zanim odejdziecie? Podzielić się czymś? O coś zapytać?

Winston zamyślił się. Nie miał już żadnych pytań, nie chciał też wypowiadać górnotłonych ogólników. Przyszło mu do głowy coś niepowiązanego bezpośrednio z O'Brienem czy Bractwem — ujrzał w myślach ciemną sypialnię, w której jego matka spędziła swoje ostatnie dni, i pokój nad sklepem pana Charringtona, i szklany przycisk do papieru, i staloryt w ramie z różanego drewna. Ni z tego, ni z owego powiedział:

— Słyszeliście kiedyś ten stary wierszyk, który zaczyna się od słów: „Pomarańcze i cytryny, biją dzwony u Marcina...”?

O'Brien ponownie pokiwał głową, a następnie poważnym, uprzejmym głosem dokończył:

Pomarańcze i cytryny, biją dzwony u Marcina.

Biją dzwony u Klemensa, że mi jesteś winien pensa.

Grożą dzwony Baileya, dłużnikowi przyleję!

Krzyczą dzwony Shoreditch<sup>64</sup> — i ty także krzycz!

— Znacie ostatni wers! — zauważył Winston.

— Owszem, znam. Obawiam się jednak, że na was już czas. Jeszcze sekundę. Proszę wziąć tę drażetkę.

Kiedy Winston podniósł się z miejsca, O'Brien wyciągnął do niego rękę. Mocny uścisk zdawał się miażdżyć kości dłoni Winstona. Ten spojrział jeszcze za siebie spod drzwi, ale O'Brien sprawiał wrażenie, jakby już wymazywał go z pamięci. Czekał z dłońią na włączniku teleekranu. Z tyłu Winston widział biurko z lampą o zielonym abażurze, głosopis i druciane kosze, wyladowane papierami. Sprawa została zamknięta. Dotarło do niego, że w ciągu trzydziestu sekund O'Brien powróci do przerwanej, ważnej pracy dla Partii.

## 9

Winston czuł się galaretowaty ze zmęczenia. „Galaretowaty” to właściwe słowo — przyszło mu do głowy całkiem spontanicznie. Jego ciało miało właśnie taką konsystencję, do tego wydawało mu się przezroczyste. Miał wrażenie, że kiedy podniesie rękę, zobaczy prześwitujące przez nią światło. Morderczy wysiłek wyssał z niego całą krew i limfę, pozostawiając jedynie kruchą strukturę nerwów, kości i skóry. Odbierał każde doznanie

<sup>64</sup>*Shoreditch* — właśc. *St Leonard's, Shoreditch*, kościół parafialny w Shoreditch, w londyńskiej dzielnicy Hackney. [przypis edytorski]

ze zdwojoną siłą. Kombinezon uwierał go w ramiona, chodnik drażnił stopy, zaciśnięcie pięści wymagało wysiłku, od którego trzeszczały stawy.

W ciągu pięciu dni przepracował ponad dziewięćdziesiąt godzin, podobnie jak wszyscy inni w ministerstwie. Teraz wszystko się skończyło i nie miał zupełnie nic do roboty, żadnej pracy dla Partii aż do jutra rana. Mógł spędzić sześć godzin w kryjówce i kolejne dziewięć we własnym łóżku. W łagodnym, popołudniowym słońcu szedł powoli w stronę sklepu pana Charringtona, rozglądając się, czy nie widać patroli, jednocześnie jednak irracjonalnie wierzył, iż tego popołudnia nie ma ryzyka, żeby ktoś mu przeszkodził. Ciężka teczka, którą miał przy sobie, przy każdym kroku obijała mu kolana, wywołując mrowienie na całej długości nogi. W środku znajdowała się *ta książka*. Miał ją od sześciu dni, ale jeszcze jej nie otworzył, jeszcze nawet na nią nie spojrział.

W szóstym dniu Tygodnia Nienawiści, po demonstracjach, przemówieniach, po wznowieniu okrzyków, po pieśniach, transparentach, plakatach, filmach, figurach woskowych, po dudnieniu werbli i zawodzeniu trąbek, po tupocie maszerujących stóp, warkocie czołgów, ryku samolotów, po hukach wystrzałów — po sześciu dniach orgii, kiedy wielki zbiorowy orgazm zbliżał się do szczytu, a powszechna nienawiść do Eurazji osiągnęła tak deliryczny poziom, że gdyby tłum dopadł dwa tysiące eurazjatyckich zbrodniarzy wojennych, których ostatniego dnia obchodów czekało publiczne powieszenie, z pewnością rozszarpałby ich na kawałki — właśnie wtedy ogłoszono, że Oceania nie prowadzi jednak wojny z Eurazją. Oceania walczy z Azją Wschodnią. Eurazja jest sojusznikiem.

Nie padło oczywiście ani jedno słowo na temat tego, że zaszła jakakolwiek zmiana. Po prostu całkiem nagle, wszędzie i w tym samym momencie, ludzie dowiedzieli się, że to Azja Wschodnia, a nie Eurazja, jest wrogiem. Kiedy to się stało, Winston brał udział w demonstracji na jednym z placów w centrum Londynu. Była noc, białe twarze i krwistoczerwone flagi lśniły upiornie w świetle reflektorów. Kilka tysięcy osób tłoczyło się na placu, w tym może tysięczny oddział dzieci w mundurkach Szpiegów. Na obitej szkarlatnym sukniem platformie perorował przed zebraniem tłumem członek Partii Wewnętrznej — niski, szczupły mężczyzna o nieproporcjonalnie długich ramionach i ogromnej czaszce, hysej, z wyjątkiem paru wyrastających tu i ówdzie lichych kosmyków. Ten Rumpelsztyk<sup>65</sup> o wykrzywionej nienawiścią twarzy w jednej ręce mocno ścisnął mikrofon, drugą zaś wyrzucał w górę, a wielka koścista dłoń zdawała się kasać powietrze. Jego głos, któremu mikrofon nadawał metaliczne brzmienie, grzmiał, recytując niekończący się katalog zbrodni wroga, do których zaliczały się masakry, deportacje, grabieże, gwałty, torturowanie jeńców, bombardowania cywili, wroga propaganda, niesprowokowane napaści i łamanie traktatów. Każdego to przekonywało, każdy musiał w końcu poczuć wściekłość. Co parę chwil furia zgromadzonych narastała do tego stopnia, że wydobywający się z tysięcy gardel pierwotny, zwierzęcy, niepohamowany ryk zagłuszał słowa mówcy. Najdłuższe wrzaski wydawały dzieci. Przemówienie trwało od jakichś dwudziestu minut, kiedy na scenę wbiegł posłaniec i przekazał oratorowi kartkę. Ten rozwinął ją i przeczytał wiadomość, nie przerywając monologu. Nie zmieniło się ani jego zachowanie, ani ton głosu, ani treść diatryby<sup>66</sup>, tyle że nazwę jednego mocarstwa zastąpiło miano tego drugiego. Nie padło ani jedno słowo wyjaśnienia, ale dla tłumy już po chwili wszystko stało się jasne. Oceania walczy z Azją Wschodnią! Zaraz podniósł się rwetes. Wszystkie transparenty i plakaty, którymi udekorowano plac, były błędne! Połowa przedstawiała niewłaściwe twarze. To akt sabotażu! To sprawa agentów Goldsteina! W zamęcie zerwano ze ścian plakaty, a transparenty podarto i podeptano. Dzieci z oddziału Szpiegów dokonywały cudów zręczności, wdrapując się na dachy i zrywając łopoczące na kominach flagi. Po jakichś dwóch czy trzech minutach wszystko minęło. Mówca, wciąż ścisnąwszy w jednej ręce mikrofon, a drugą wymachując nad głową, dalej perorował, wychylając się ku publiczności. Po chwili tłum znowu wydawał dzikie okrzyki wściekłości. Nienawiść trwała, dokładnie tak jak wcześniej, zmienił się tylko jej obiekt.

Kiedy Winston przypominał sobie tamtą chwilę, był pod wrażeniem mówcy, który dokonał rozszarpania sojuszników i wrogów dosłownie w połowie zdania — nie dość, że nie

<sup>65</sup>Rumpelsztyk a. (niem.) *Rumpelstiltskin* — tytuł baśni braci Grimm: Wilhelma Karla Grimma (1786–1859) i Jacoba Ludwiga Karla Grimma (1785–1863), opublikowanej po raz pierwszy w 1812 r., a także imię jej głównego bohatera, podstępnego krasnoluda, który szantażuje zrozpaczoną dziewczynę. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>diatryba — przemowa lub utwór literacki, wyrażający sprzeciw albo krytykę. [przypis edytorski]



przerywając przemowy, to nawet nie zmieniając składni. Wtedy jednak zajmowało go coś innego. W tym chaotycznym momencie, kiedy zrywano plakaty ze ścian, jakiś mężczyzna, którego twarzy nie udało się Winstonowi zobaczyć, poklepał go po ramieniu, mówiąc: „Przepraszam, chyba upuściliście teczkę”. Winston wziął aktówkę odruchowo, nie odzywając się słowem. Wiedział, że minie kilka dni, zanim będzie miał okazję zajrzeć do środka. Zaraz po demonstracji, choć była już dwudziesta trzecia, poszedł do Ministerstwa Prawdy. Wszyscy urzędnicy zrobili to samo. Rozbrzmiewające z teleekranów wezwania, aby stawić się na stanowiskach pracy, były w zasadzie niepotrzebne.

Oceania była w stanie wojny z Azją Wschodnią. Oceania zawsze była w stanie wojny z Azją Wschodnią. Spora część literatury politycznej ostatnich pięciu lat straciła ważność. Raporty i zapiski wszelkiego rodzaju, gazety, książki, pamflety, filmy, ścieżki dźwiękowe, zdjęcia — wszystko musiało błyskawicznie zostać poprawione. Nie padł żaden rozkaz, a mimo to wszyscy wiedzieli, że szefowie departamentu życzą sobie, aby w ciągu tygodnia znikły wszelkie wzmianki o wojnie z Eurazją i przymierzu z Azją Wschodnią. Była to przytłaczająca praca, tym bardziej, że nie wolno było nazywać jej po imieniu. Każdy urzędnik Departamentu Archiwów pracował osiemnaście godzin na dobę, śpiąc dwa razy po trzy godziny. Z piwnic przyniesiono materace i wyłożono nimi korytarze; posiłki składały się z kanapek i Kawy Zwycięstwa, rozwożonej wózkami przez obsługę stołówek. Odrywając się od biurka na trzygodzinną drzemkę, Winston za każdym razem starał się kończyć wszystkie zadania, a kiedy wracał, zaspany i obolały, okazywało się, że w międzyczasie na biurku wylądowała kolejna lawina papierowych cylindrów, grzebiąc głośno i rozsypując się na podłogę tak, że jego pierwszym zadaniem było staranne poukładanie kartek, żeby w ogóle miał miejsce do pracy. Najgorzej, że nie była to robota czysto mechaniczna. Czasem wystarczyło jedynie zamienić nazwy mocarstw, ale poprawianie bardziej szczegółowych relacji wymagało pieczołowitości i wyobraźni. Żeby przenieść wojnę z jednej części świata do innej, trzeba było na przykład wykazać się sporą znajomością geografii.

Trzeciego dnia oczy bolały Winstona nieznośnie, a okulary wymagały przecierania dosłownie co parę minut. Miał wrażenie, że wykonuje jakąś potwornie ciężką, fizyczną pracę, którą miałby prawo przerwać, gdyby nie to, że czuł neurotyczny przymus, aby ją dokończyć. O ile sobie przypominał, nie niepokoił go fakt, że każde słowo, jakie wypowiadał do głośnopisu, i każde, które zapisał, było celowym kłamstwem. Jak wszyscy w departamencie chciał tylko, żeby fałszerstwo okazało się doskonałe. Rano szóstego dnia tempo wyskakiwania papierów zmalało. Przez jakieś pół godziny nic nie wypadło z tuby, potem jeszcze jeden rulon i znowu nic. Mniej więcej w tym samym czasie intensywność pracy zmalała na wszystkich stanowiskach. Cały departament ukradkiem odetchnął głęboko. Dokonano niezwykłego czynu, o którym nigdy nie będzie można nawet wspomnieć. Żaden człowiek nie będzie mógł odtąd udokumentować faktu, że kiedykolwiek toczono wojnę z Eurazją. W południe niespodziewanie ogłoszono, że wszyscy pracownicy ministerstwa mają wolne aż do następnego ranka. Winston, wciąż mając przy sobie teczkę z tą książką — w czasie pracy trzymał ją między nogami, a podczas snu pod głową — poszedł do domu, ogolił się i prawie zasnął w wannie, choć woda była tylko letnia.

Trzeszczenie w stawach przy każdym stawianym kroku było właściwie rozkoszne, kiedy wspinał się po schodach do pokoju nad sklepem pana Charringtona. Był zmęczony, ale nie czuł już senności. Otworzył drzwi, zapalił ogień na małej, brudnej kuchence i nastawił wodę na kawę. Wkrótce przyjdzie Julia, tymczasem ma książkę. Usiadł w sfatygowanym fotelu i rozpiął teczkę.

Ciężki tom, amatorsko oprawiony w czarną okładkę, bez nazwiska autora i tytułu. Nawet druk był nieco nieregularny. Kartki, wytarte na brzegach, łatwo wypadły — dowód, że książka przeszła przez wiele rąk. Na stronie tytułowej widniał napis:

Emmanuel Goldstein

TEORIA I PRAKTYKA OLIGARCHICZNEGO KOLEKTYWIZMU

(Winston zaczął czytać).

Praca, Fałsz

Książka

## ROZDZIAŁ I. IGNORANCJA TO SIŁA

Od początku czasów historycznych, a prawdopodobnie już od końca neolitu, żyły na świecie trzy warstwy ludzi: wyższa, średnia i niższa<sup>67</sup>. Dzielono je na podgrupy, którym nadawano najrozmaitsze nazwy. Zarówno proporcje ilościowe, jak i stosunki pomiędzy warstwami, zmieniały się na przestrzeni kolejnych epok, jednak zasadnicza struktura społeczeństwa pozostawała taka sama. Z najpotężniejszych wstrząsów i na pozór nieodwracalnych zmian wyłaniał się w końcu — zawsze ten sam — podstawowy porządek, podobnie jak żyroskop<sup>68</sup> stale wraca do swojego pierwotnego położenia, niezależnie od tego, jak bardzo wychylił się w jedną czy drugą stronę.

Cele poszczególnych warstw są całkowicie rozbieżne...

Winston przerwał czytanie, głównie po to, żeby docenić fakt, iż *właśnie oddaje się lekturze* w komfortowych i bezpiecznych okolicznościach. Był sam; nie musiał obawiać się teleekranu, nikt nie podsłuchiwał przez dziurkę od klucza, nie pojawiał się impuls, żeby nerwowo zerkać przez ramię czy zasłaniać czytaną stronicę dłonią. Łagodny, letni wiatr muskał jego policzek. Z daleka dobiegały stłumione głosy dzieci. W pokoju, poza owadźmi cykaniem zegara, było zupełnie cicho. Winston rozsiadł się wygodniej w fotelu i oparł stopy o kratę przed kominkiem. To była rozkosz, prawdziwy raj. W pewnej chwili — jak to się czasem zdarza podczas czytania książki, o której wiemy, iż przestudujemy ją od deski do deski — otworzył tom w innym miejscu, trafiając na rozdział trzeci. Czytał dalej:

## ROZDZIAŁ 3. WOJNA TO POKÓJ

Podział świata na trzy wielkie supermocarstwa był procesem, który dało się przewidzieć i który w istocie przewidziano jeszcze w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Po wchłonięciu Europy przez Rosję i Wielką Brytanię przez Stany Zjednoczone wyłoniły się dwie spośród trzech aktualnie istniejących potęg: Eurazja i Oceania. Trzecia, czyli Azja Wschodnia, pojawiła się jako oddzielny byt po kolejnej dekadzie chaotycznych walk. Granice pomiędzy trzema superpaństwami są w niektórych miejscach arbitralne, w innych zaś przesuwają się w zależności od sytuacji wojennej, w sumie jednak pozostają w zgodzie z geografiami. Eurazja obejmuje północną część Europy i Azji — od Portugalii po cieśninę Beringa<sup>69</sup>. Oceanie tworzą obie Ameryki, wyspy Oceanu Atlantyckiego, włączając w to Wielką Brytanię, Australię i Oceania oraz południową część Afryki. Azja Wschodnia, mniejsza od pozostałych dwóch, ze słabiej wytyczoną granicą na zachodzie, obejmuje Chiny i państwa położone dalej na południe, wyspy Japonii, jak również zmiennej wielkości obszar na terytorium Mandżurii<sup>70</sup>, Mongolii i Tybetu<sup>71</sup>.

Zmieniają się sojusze, ale te trzy superpaństwa pozostają w stanie wojny nieprzerwanie od dwudziestu pięciu lat. Jednakże wojna nie jest już tożsama z desperacką, wyniszczającą walką, jak w pierwszych dekadach dwudziestego wieku. To działanie nastawione na ograniczone cele; żadna ze stron nie jest w stanie unicestwić pozostałych, nie ma żadnego istotnego uzasadnienia dla prowadzonych działań, nie istnieją też głębsze różnice ideologiczne pomiędzy walczącymi. Nie znaczy to, że sposób prowadzenia wojny albo dominujące postawy stały się mniej okrutne czy bardziej honorowe. Przeciwnie, histeria wojenna jest stałym i uniwersalnym zjawiskiem we wszystkich

Obraz świata

Wojna

<sup>67</sup> wyższa, średnia i niższa — w oryginale *wysoka, średnia i niska*. Nazewnictwo *wyższa, średnia i niższa*, zaproponowane przez Williama Lloyda Warnera (1898–1970) w odniesieniu do klas społecznych, upowszechniło się w socjologii mniej więcej w tym samym czasie, kiedy George Orwell pisał *Rok 1984*. Wprowadzamy je w tłumaczeniu dla ułatwienia lektury Czytelnikowi oswojonemu ze współczesną terminologią naukową (sam Orwell w dalszych partiach tekstu posługuje się formami w stopniu wyższym). [przypis edytorski]

<sup>68</sup> żyroskop — urządzenie służące do pomiaru lub utrzymywania orientacji przestrzennej. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> cieśnina Beringa — cieśnina pomiędzy Azją a Ameryką Północną. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> Mandżuria — kraina historyczna w półn.-wsch. części dzisiejszych Chin. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> Tybet — kraina historyczna w Azji, obecnie znajdująca się w większości w granicach Chin. [przypis edytorski]

trzech mocarstwach. Gwałty, grabieże, mordowanie dzieci, traktowanie całych narodów jak niewolników, torturowanie jeńców, włączając w to takie akty okrucieństwa jak grzebanie czy gotowanie żywcem, stały się zwykłym sposobem działania, a jeśli dopuszczają się go własne wojska, a nie armia przeciwnika, działaniem uznawanym za chwalebne. Fizycznie wojna angażuje bardzo niewielki procent ludzi — głównie wysoko wykwalifikowanych specjalistów — i pociąga za sobą stosunkowo niewiele ofiar. O ile toczą się jakieś walki, dzieje się to na rubieżach, o których położeniu przeciętny człowiek ma tylko nikłe pojęcie, albo wokół pływających fortec, strzegących strategicznych punktów na morzach i oceanach. W głównych ośrodkach cywilizacji wojna oznacza jedynie permanentny brak dóbr konsumpcyjnych i, z rzadka, ataki raketowe, w których ginie może kilkadziesiąt osób. W istocie wojna zmieniła swój charakter. Ściślej rzecz biorąc, zmieniły się priorytety walczących stron. Motywy, które już w ograniczonym stopniu występowały podczas konfliktów zbrojnych pierwszej połowy dwudziestego wieku, stały się dominujące, zostały rozpoznane i są obecnie świadomie wykorzystywane.

Żeby pojąć naturę współczesnej wojny — pomimo następującej co parę lat zmiany sojuszków jest to stale ten sam konflikt zbrojny — trzeba przede wszystkim zrozumieć, że nie może w niej dojść do radykalnych rozstrzygnięć. Żadne z trzech supermocarstw nie może zostać ostatecznie podbite, nawet przez połączone armie dwóch pozostałych. Rozkład sił jest zrównoważony, ponadto każde z państw posiada potężne, naturalne bariery ochronne. Eurazję zabezpiecza jej ogromna przestrzeń, Oceanię — rozległość Pacyfiku i Atlantyku, Azję Wschodnią — liczebność i pracowitość jej mieszkańców. Co więcej, nie istnieje żaden materialny przedmiot konfliktu. Wraz z ustanowieniem samowystarczalnych systemów ekonomicznych, gdzie o podaży decyduje lokalny popyt, pozyskiwanie nowych rynków zbytu — stanowiące siłę napędową dawnych wojen — nie jest już konieczne. Rywalizowanie o zasoby naturalne również przestało być sprawą życia i śmierci. Każde z trzech supermocarstw zajmuje tak ogromny obszar, że właściwie wszystko, czego potrzebuje, może zdobyć na własnym terytorium. Jedynym ekonomicznym uzasadnieniem wojny jest walka o siłę roboczą. Pomiędzy superpaństwami rozciąga się bowiem, nienależący do żadnego z nich, nieregularny czworobok z rogami w Tangerang<sup>72</sup>, Brazzaville<sup>73</sup>, Darwin<sup>74</sup> i Hongkongu<sup>75</sup>; żyje tam mniej więcej jedna piąta populacji całego globu. To właśnie o panowanie nad tą gęsto zaludnioną częścią świata oraz nad okolicami bieguna północnego toczą się ciągle batalie między trzema mocarstwami. W praktyce żadna z sił nigdy nie sprawuje wyłącznej kontroli nad całym tym terytorium. Niektóre obszary ustawicznie przechodzą z rąk do rąk, zaś możliwość uszczknięcia kolejnego fragmentu dzięki ekspresowej, zdradzieckiej akcji jest motywem dyktującym ciągłe rozszady w sojuszach.

Na wszystkich terenach spornych znajdują się cenne minerały, a obszary zlokalizowane w niektórych strefach klimatycznych dostarczają ważnych produktów roślinnych, pozwalających wytwarzać w naturalny sposób kosztowne towary — takie jak na przykład kauczuk, którego syntetyczna produkcja jest dość droga. Przede wszystkim jednak terytorium to stanowi niewyczerpany rezerwuuar taniej siły roboczej. Mocarstwo kontrolujące Afrykę równikową, Bliski Wschód, południe Indii czy wyspy Indonezji, dysponuje setkami milionów źle opłacanych, ciężko pracujących wyrobników. Mieszkańcy tych obszarów, na których bardziej lub mniej jawnie przywrócono niewolnictwo, ustawicznie przechodzą z rąk do rąk kolejnych zwycięskich najeźdźców, przez których są traktowani podobnie jak węgiel czy ropa, potrzebne do wyprodukowania większej ilości broni, żeby można było podbić

<sup>72</sup>Tanger — miasto w płn. Maroku. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Brazzaville — największe miasto i stolica administracyjna oraz finansowa Konga. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Darwin — miasto w Australii, leżące na jej płn. wybrzeżu. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Hongkong — miasto i specjalny region administracyjny Chińskiej Republiki Ludowej. [przypis edytorski]

więcej terytoriów, aby pozyskać więcej siły roboczej, dzięki której wyprodukuje się więcej broni, żeby podbić kolejne terytoria, i tak bez końca. Warto odnotować, że walki nigdy nie wychodzą poza linie demarkacyjne terenów spornych. Granica Eurazji przemieszcza się od dorzecza Konga<sup>76</sup> po północne brzegi Morza Śródziemnego; wyspy leżące na Oceanie Indyjskim i Pacyfiku przypadają to Oceanii, to Azji Wschodniej; przebiegająca przez Mongolię linia podziału między Eurazją a Azją Wschodnią nieustannie przesuwają się raz w jedną, raz w drugą stronę. Wszystkie mocarstwa roszczą sobie prawa do znacznych obszarów Arktyki, te jednak są w przeważającym stopniu niezamieszkałe i niezbadane. *De facto* równowaga sił pozostaje zatem niemal niezachwiana, a terenów leżących w głębi mocarstw wojna zasadniczo nie dotyczy. Co więcej, praca wyzyskiwanej ludności, zasiedlającej okolice równika, z punktu widzenia światowej ekonomii jest właściwie zbędna. Nie pomnaża bogactwa ludzkości, bo wszystko, co zostanie wyprodukowane, wykorzystuje się do celów wojennych, a celem wojny jest zawsze uzyskanie lepszej pozycji do prowadzenia kolejnych działań wojennych w przyszłości. Ciągła praca zniewolonych populacji przekłada się na zwiększenie tempa aktywności zbrojnej. Gdyby jednak nie istniały, struktura społeczeństwa i procesy, dzięki którym się utrzymuje, pozostałyby właściwie takie same.

Podstawowym celem współczesnej wojny (zgodnie z zasadami *dwójmyślenia* naczelne mózgi Partii Wewnętrznej jednocześnie są i nie są tego świadome) jest spożytkowanie produktów industrializacji, bez jednoczesnego podnoszenia poziomu życia ludzi. Od końca XIX wieku w funkcjonowaniu społeczeństwa uprzemysłowionego wpisany był problem nadmiaru dóbr konsumpcyjnych. Obecnie, wzięwszy pod uwagę, że tylko nieliczne jednostki mają pod dostatkiem jedzenia, kwestia ta ewidentnie nie jest paląca i być może nie stałaby się istotna, nawet gdyby nie wdrożono sztucznych procesów niszczenia. Dzisiejszy świat jest ogołoconym, głodnym, wyniszczonym miejscem, radykalnie innym od świata, który istniał przed 1914 rokiem, i jeszcze bardziej różnym od tego, jaki miał nadejść w wyobrażonej przyszłości, budzącej w żyjących wówczas ludziach wielkie nadzieje. Na początku XX wieku wizja przyszłego społeczeństwa, niewiarygodnie zamożnego, bezpiecznego, wydajnego i zapewniającego wygodne życie swoim członkom — obraz lśniącego, aseptycznego świata ze szkła, stali i śnieżnobiałego betonu — pojawiała się w umyśle niemal każdej wykształconej osoby. Nauka i technologia rozwijały się w niesłychanym tempie i wydawało się logiczne, że proces ten będzie postępował dalej. Tak się nie stało, częściowo za sprawą zubożenia, będącego skutkiem licznych wojen i rewolucji, częściowo dlatego, że postęp naukowy i techniczny był pochodną swobody empirycznego myślenia, która w ściśle kontrolowanym środowisku nie miała szansy przetrwać. Ogólnie rzecz ujmując, cały świat jest dziś bardziej prymitywny niż pięćdziesiąt lat temu. W niektórych zacofanych obszarach dokonano postępu, wdrożono pewne nowe rozwiązania — o zastosowaniu wojennym lub policyjnym — ale eksperyment i wynalazczość właściwie przestały istnieć, a zniszczeń po wybuchach bom atomowych z lat pięćdziesiątych nigdy nie naprawiono. Niemniej jednak, niebezpieczeństwo wynikające z uprzemysłowienia nadal jest aktualne. Odkąd pojawiły się pierwsze maszyny, wszyscy myślący ludzie zrozumieli, że oto następuje koniec człowieczego znoju, a co za tym idzie, w znacznej mierze także nierówności między ludźmi. Gdyby rozmyślnie użyto maszyn do tego celu, w ciągu kilku pokoleń dałoby się wyeliminować głód, pracę ponad siły, brud, analfabetyzm i choroby. I choć taki zamysł nie powstał, to jednak na zasadzie automatycznie zachodzącego procesu, w wyniku produkcji bogactwa, którego dystrybucji nie dało się powstrzymać, stopa życiowa przeciętnego człowieka uległa znacznej popra-

Obraz świata, Nadzieja,  
Upadek

<sup>76</sup>Kongo — rzeka w Afryce Równikowej, uchodząca do Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

wie w ciągu pięćdziesięciu lat na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Stało się jednak jasne, że ogólna poprawa warunków życia zagraża hierarchicznemu porządkowi społecznemu; w istocie, w jakimś sensie po prostu go niweczy. W świecie, w którym wszyscy pracują krótko, mają pod dostatkiem jedzenia, mieszkają w domach wyposażonych w łazienki i lodówki, posiadają samochody czy nawet samoloty, najoczywistsza i podstawowa nierówność znika. Powszechność zamożności prowadzi do zatarcia różnic. Można oczywiście wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym bogactwo, to znaczy dostęp do dóbr osobistych i luksusów, jest sprawiedliwie dystrybuowane, a mimo to *władza* spoczywa w rękach małej, uprzywilejowanej kasty. W praktyce jednak takie społeczeństwo nie byłoby stabilne. Bowiem gdyby wszyscy w równym stopniu cieszyli się czasem wolnym i dostatkiem, ogromna masa ludzi, dotychczas oghupionych nędzą, zdobyłaby wykształcenie i nauczyła się samodzielnie myśleć, w wyniku czego prędzej czy później zrozumiałaby, że uprzywilejowana mniejszość nie pełni żadnej pożytecznej funkcji, i usunęłaby ją. Na dłuższą metę porządek hierarchiczny może funkcjonować tylko w warunkach biedy i ignorancji. Powrót do gospodarki opartej na rolnictwie, o którym marzyli niektórzy myśliciele na początku dwudziestego wieku, w ogóle nie wchodził już w grę. Niemal cały świat opanowała niejako instynktowna tendencja do coraz większej mechanizacji, a kraje technologicznie zacofane stawały się bezbronne w sensie militarnym i skazane na podbicie, bezpośrednio lub pośrednio, przez bardziej uprzemysłowionych rywali.

Zmuszenie mas do życia w biedzie — poprzez ograniczenie podaży dóbr — także nie stanowiło dobrego rozwiązania. W dużej mierze właśnie to miało miejsce w ostatniej fazie kapitalizmu, w latach 1920–1940. W wielu krajach pozwolono ekonomii popaść w stagnację, nie uprawiano ziemi, nie inwestowano w nowe środki produkcji, ogromną część ludności pozbawiono pracy i skazano na wegetację na rządowych zasiłkach. Jednak taka polityka prowadziła do osłabienia militarnego, a wynikającej z niej nędzy absolutnie nic nie uzasadniało, pojawił się więc opór. Wyzwanie polegało na tym, by utrzymać w ciągłym ruchu maszynę przemysłu, nie doprowadzając do zwiększenia rzeczywistej zamożności świata. Trzeba było produkować towary, nie mogły one jednak trafiać do ludzi. W praktyce jedynym rozwiązaniem tego problemu była ustawiczna wojna.

Istotą wojny jest niszczenie — nie tylko ludzi, lecz także efektów ich pracy. Wojna to sposób na obracanie w pył, wysadzanie w powietrze lub zatapianie na dnie morza materiałów i produktów, które w przeciwnym wypadku mogłyby zostać wykorzystane do zapewnienia społeczeństwu wygodnego życia, co w dłuższej perspektywie przełożyłoby się na wzrost świadomości jego członków. Produkcja broni, nawet jeśli nie ulegnie ona zniszczeniu w trakcie działań wojennych, jest znakomitym sposobem na spożytkowanie siły roboczej bez konieczności wytworzenia czegoś, co nadawałoby się do skonsumowania. Przykładowo, każda pływająca forteca wymaga nakładu pracy, który wystarczyłby do zbudowania kilkuset statków towarowych. Fortecę, która nie przynosi nikomu żadnego materialnego pożytku, niszczy się z czasem jako przestarzałą, następnie jeszcze większym nakładem sił i środków buduje się nową. Co do zasady, wysiłek wojenny planuje się zawsze w taki sposób, aby zużyć każdą nadwyżkę, która mogłaby pozostać po zaspokojeniu podstawowych potrzeb życiowych populacji. W praktyce potrzeby te są zawsze zaniżane, przez co utrzymuje się stały niedobór połowy niezbędnych artykułów, jednak uznaje się taki stan za pożądany. Zmuszanie nawet uprzywilejowanych grup do funkcjonowania na granicy niedostatku jest wynikiem świadomej polityki, bo powszechna bieda zwiększa znacznie drobnych przywilejów, podkreślając różnice między grupami. Według standardów z początku dwudziestego wieku, nawet życie członków Partii

Wojna, Polityka

Wewnętrznej jest surowe i pracowite. Niemniej jednak luksusy, do których mają prawo — duże, dobrze urządzone mieszkania, ubrania uszyte z porządnych materiałów, lepszej jakości żywność, napoje i tytoń, dwaj lub trzej służący, prywatny samochód czy helikopter — oddzielają ich świat od świata członków Partii Zewnętrznej, którzy z kolei żyją w rzeczywistości niedostępnej dla ciemniejszych mas, nazywanych przez nas „prołami”. Nastroje społeczne przywodzą na myśl życie w oblężonym mieście, gdzie kawałek koniny decyduje o różnicy między bogactwem i biedą. Jednocześnie świadomość trwającej wojny i związanego z nią zagrożenia sprawia, że powierzenie całej władzy ograniczonej kaście zdaje się być naturalnym i nieuniknionym warunkiem przetrwania społeczności.

Wojna, jak wykazemy w dalszych partiach tekstu, nie tylko umożliwia niezbędną destrukcję, ale też dokonuje jej w sposób psychologicznie akceptowalny. Teoretycznie nadwyżkę dóbr dałoby się łatwo spożytkować, budując świątynie czy piramidy, kopiąc doły i ponownie je zasypując albo masowo paląc wyprodukowane towary. To jednak zapewniłoby jedynie ekonomiczną, a nie emocjonalną podstawę funkcjonowania społeczeństwa hierarchicznego. Nie chodzi o morale zwykłych ludzi, których poglądami nie trzeba się przejmować, dopóki pozostają zajęci pracą, lecz o stan ducha samej Partii. Nawet szeregowy członek Partii musi być kompetentny, pracowity, a wręcz inteligentny w pewnym ograniczonym zakresie, zarazem jednak pozostając łatwowiernym i niczego nieświadomym fanatykiem, którego emocje i nastroje sprowadzają się do strachu, nienawiści, poddańczego uwielbienia oraz orgiastycznej pychy. Innymi słowy, jego mentalność musi być dostosowana do warunków. Nieważne, czy wojna rzeczywiście trwa, a skoro ostateczne rozstrzygnięcie konfliktu nie wchodzi w grę, to nieważne też, czy wojna toczy się pomyślnie. Konieczne jest jedynie, aby trwała. Rozdwojenie świadomości, którego Partia wymaga od swoich członków i które łatwiej osiągnąć w sytuacji konfliktu zbrojnego, jest obecnie niemal uniwersalne, ale zaznacza się tym mocniej, im wyżej sięgniemy w strukturach władzy. To właśnie w Partii Wewnętrznej histeria wojenna i nienawiść do wroga są najsilniejsze. Wykonujący funkcje administracyjne członkowie Partii Wewnętrznej muszą mieć świadomość, że ta czy inna wiadomość z frontu nie jest prawdziwa, mogą też rozumieć, że wojna jako taka jest zbędna — i albo w ogóle się nie toczy, albo toczy się z zupełnie innych powodów niż deklarowane — jednak wiedzę tę skutecznie neutralizuje się za pomocą *dwójmyślenia*. Dzięki niemu mistyczna wiara członków Partii Wewnętrznej w realność wojny i pewność zwycięstwa pozostaje niezachwiana; nikt nie wątpi nawet przez moment, że Oceania jest niekwestionowanym władcą całego świata.

Dla wszystkich członków Partii Wewnętrznej nadchodzący podbój świata jest przedmiotem religijnego *credo*. Dokona się on albo poprzez stopniowe zajmowanie kolejnych terytoriów, za którym pójdzie budowanie bezkonkurencyjnej siły, albo przez odkrycie nowej, niezwykłej broni. Bez ustanku poszukuje się innowacyjnych narzędzi walki; jest to jedna z niewielu dziedzin, w których twórczy czy spekulatywny umysł może się jeszcze wykazać. Obecnie w Oceanii nauka, w dawnym sensie tego słowa, już nie istnieje. W nowomowie nie ma słowa oznaczającego „naukę”. Myśl empiryczna, na której w przeszłości wyrosły odkrycia naukowe, jest sprzeczna z podstawowymi zasadami angso-cu. Rozwój technologii postępuje tylko w takim zakresie, w jakim służy dalszemu ograniczaniu ludzkiej wolności. We wszystkich dyscyplinach nauk stosowanych panuje stagnacja lub regres. W rolnictwie używa się bron ciągniętych przez konie, podczas gdy maszyna pisze książki. Natomiast w dziedzinach najbardziej kluczowych — czyli w wojskowości i policji — wspiera się, a w każdym razie toleruje, podejście empiryczne. Dwa cele Partii to podbicie całej Ziemi i absolutne zniszczenie niezależnego myślenia. Partia musi zatem rozwiązać dwa poważne problemy. Po pierwsze, jak wbrew woli człowieka uzyskać dostęp do jego myśli, a po drugie,

Nauka

w jaki sposób błyskawicznie i bez ostrzeżenia zabić paręset milionów ludzi. Jeśli w ogóle prowadzi się jeszcze badania naukowe, dotyczą one właśnie tych kwestii. Dzisiejszy naukowiec jest albo połączeniem psychologa i inkwizytora, badającym szczegóły ludzkiej mimiki, gestów i tonu głosu, analizującym wpływ substancji psychoaktywnych, terapii szokowej, hipnozy i tortur na prawdomówność, albo chemikiem, fizykiem lub biologiem, zainteresowanym tylko tymi działaniami danej dyscypliny, które mogą przyczynić się do sprawniejszego odbierania życia. W ogromnych laboratoriach Ministerstwa Pokoju, w stacjach badawczych ukrytych w brazylijskiej dżungli, na pustyniach Australii czy odludnych wyspach Antarktyki niestrudzenie pracują zespoły ekspertów. Niektórzy planują jedynie logistykę przyszłych wojen, inni opracowują coraz większe pociski raketowe, coraz potężniejsze materiały wybuchowe i jeszcze skuteczniejsze opancerzenie, kolejni — nowe, bardziej zabójcze gazy czy też rozpuszczalne trucizny, które dałoby się wyprodukować w takiej ilości, żeby zniszczyć roślinność całego kontynentu, lub odmiany mikroorganizmów chorobotwórczych odpornych na wszelkie możliwe leki; jeszcze inni pracują nad pojazdem, który mógłby poruszać się pod ziemią, jak łódź podwodna porusza się w głębinach morza, albo samolotem tak niezależnym od bazy jak żaglowiec; są wreszcie i tacy, którzy badają jeszcze bardziej odległe możliwości, jak skupienie wiązki promieni słonecznych w soczewce zawieszanej tysiące kilometrów nad ziemią lub sztuczne wywoływanie trzęsień ziemi i potężnych pływów poprzez wykorzystanie wysokich temperatur panujących wewnątrz Ziemi.

Jednak żaden z tych projektów nie jest nigdy bliski ukończenia, żadne z trzech superpaństw nie uzyskuje znaczącej przewagi. Należy odnotować, że wszystkie mają już bombę atomową, czyli broń o wiele potężniejszą od tej, którą mogliby w istniejących warunkach wynaleźć współcześni naukowcy. Choć Partia, zgodnie ze swoim zwyczajem, przypisuje sobie to odkrycie, pierwsze bomby atomowe pojawiły się już w latach czterdziestych. Mniej więcej dekadę później użyto ich na masową skalę. Zrzucano wtedy setki takich bomb na centra przemysłowe, głównie w europejskiej części Rosji, Europie Zachodniej i Ameryce Północnej. W efekcie elity sprawujące władzę na całym świecie doszły do wniosku, że następne bomby będą oznaczały koniec jakiegokolwiek organizacji społecznej, a zatem także kres ich rządów. Nie podpisano żadnego formalnego porozumienia, ale kolejne bomby już nie spadły. Wszystkie trzy superpaństwa dalej produkują broń atomową i składują ją w oczekiwaniu na decydujący moment, który, jak wszyscy wierzą, prędzej czy później nadejdzie. Tymczasem sztuka wojenna nie posunęła się właściwie naprzód od trzech czy czterech dekad. Częściej używa się helikopterów, bombowce zastąpiono pociskami samosterującymi, szybkie, lecz łatwe do wyeliminowania okręty ustąpiły miejsca niemal niezniszczalnym pływającym fortecom — poza tym jednak nie widać znaczącego progresu. Czołgi, łodzie podwodne, torpedy, karabiny maszynowe, jak również sztuczery i granaty ręczne nadal pozostają w użyciu. Choć prasa i teleekrany donoszą o niekończących się rzeziach, desperackie walki, charakteryzujące dawne konflikty zbrojne, w których w ciągu paru tygodni ginęły setki tysięcy czy nawet miliony ludzi, nie powtórzyły się więcej.

Żadne z trzech supermocarstw nie ryzykuje nigdy posunięcia, które mogłoby zakończyć się dla niego poważną klęską; jedyne większe operacje wojenne to podstępne ataki na siły przeciwnika. Wszystkie trzy stosują tę samą strategię albo udają, że ją stosują. Plan działania polega na tym, żeby za pomocą walk, pertraktacji i naglej zdrady otoczyć własnymi bazami jednego z rywali, a następnie podpisać z nim pakt o nieagresji i przestrzegać go dostatecznie długo, żeby uspić czujność drugiej strony. W tym czasie we wszystkich strategicznych punktach należy zgromadzić rakiety z głowicami atomowymi, żeby dało się je odpalić, powodując zniszczenia tak ogromne, iż żaden odwet nie będzie możliwy. Wtedy należy podpisać pakt o nieagresji

z trzecim z supermocarstw i rozpocząć przygotowania do kolejnego ataku. Nie trzeba nawet wyjaśniać, iż plan ten jest czystą fantazją, niemożliwą do zrealizowania. Walki nie toczą się nigdy poza terenami spornymi (w okolicach równika i bieguna północnego), nigdy nie następuje zatem faktyczne zajęcie terytoriów wroga. To wyjaśnia, dlaczego w niektórych miejscach granice między supermocarstwami są całkowicie arbitralne. Na przykład Eurazja z łatwością mogłaby podbić Wyspy Brytyjskie, geograficznie przynależące do Europy; z kolei Oceania mogłaby przesunąć swoje granice aż do linii Renu<sup>77</sup> czy Wisły<sup>78</sup>. To by jednak pogwałciło niepisana, ale przestrzegana przez wszystkie strony, zasadę integralności kulturowej. Gdyby Oceania podbiła tereny znane niegdyś jako Francja czy Niemcy, musiałaby albo eksterminować mieszkańców, co nastęrcza dużych trudności natury pragmatycznej, albo doprowadzić do asymilacji jakichś stu milionów ludzi, pod względem rozwoju technicznego pozostających mniej więcej na poziomie Oceanii. Każde z trzech supermocarstw napotyka podobne problemy. Trwałość ich struktur wymaga unikania wszelkich kontaktów z cudzoziemcami, poza jeńcami wojennymi i ciemnoskórymi niewolnikami. Nawet na aktualnego sojusznika spogląda się z najwyższą podejrzliwością. Wyluczając jeńców wojennych, przeciętny mieszkaniec Oceanii nigdy nie spotka mieszkańca Eurazji czy Azji Wschodniej, zabroniona jest nauka i używanie języków obcych. Gdyby zezwolono na kontakt z obcokrajowcami, ludzie mogliby odkryć, iż w istocie są oni istotami bardzo podobnymi do nich samych i że większość z tego, co się o nich mówi, to kłamstwa. Izolacja, w której żyją, zostałaby przerwana, strach, nienawiść i poczucie wyższości, na których buduje się wojenne morale, mogłyby zniknąć w jednej chwili. Wszystkie strony zdają sobie zatem sprawę, że niezależnie od tego, ile razy Persja<sup>79</sup>, Egipt, Jawa<sup>80</sup> czy Cejlon<sup>81</sup> przejdą z rąk do rąk, tylko bombom wolno przekraczać najważniejsze granice.

Stoi za tym również inny fakt, o którym nigdy nie mówi się otwarcie, choć wszyscy milcząco zdają sobie z niego sprawę: warunki życia we wszystkich trzech superpaństwach są bardzo zbliżone. Dominująca w Oceanii filozofia nosi nazwę angosocu, w Eurazji — neo-bolszewizmu, zaś w Azji Wschodniej używa się chińskiego wyrażenia, tłumaczonego przeważnie jako „kult śmierci”, choć oznacza ono raczej unicestwienie własnej jaźni. Obywatele Oceanii nie mogą nic wiedzieć o przesłankach dwóch pozostałych systemów, uczy się ich jednak potępiać je jako barbarzyńskie, niemoralne i urągające zdrowemu rozsądkowi. W istocie wszystkie trzy ideologie są prawie niemożliwe do rozróżnienia, a bazujące na nich systemy społeczne — wręcz identyczne. Wszędzie panuje taka sama piramidalna struktura, ten sam kult nieomal boskiego władcy, identyczna ekonomia — w służbie niekończącej się wojny i na niej się opierająca. W efekcie żadne z trzech supermocarstw nie tylko nie może podbić drugiego, ale też niczego by w ten sposób nie zyskało. Przeciwnie, dopóki pozostają w konflikcie, wspierają się jak trzy snopki kukurydzy. W tej kwestii również elity polityczne wszystkich trzech mocarstw zarazem są i nie są świadome tego, co robią. Poświęcają życie idei podboju świata, jednocześnie jednak wiedzą, że wojna musi ciągnąć się w nieskończoność, bez ostatecznego zwycięstwa. Fakt, że nie istnieje ryzyko definitywnej aneksji, umożliwia ciągle wypieranie rzeczywistości, co stanowi sedno zarówno angosocu, jak i dwóch pozostałych systemów filozoficznych. Trzeba tu powtórzyć coś, co zostało już powiedziane, a mianowicie, że wojna — stając się przedsięwzięciem bezkresnym — zmieniła swój charakter.

<sup>77</sup>Ren — jedna z najdłuższych rzek w Europie, tworząca granicę między Francją a Niemcami. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Wisła — najdłuższa polska rzeka (1047 km). [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Persja — obecnie Iran, państwo na Bliskim Wschodzie. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Jawa — wyspa w pld.-wsch. Azji. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Cejlon — wyspa na Oceanie Indyjskim. [przypis edytorski]



W dawnych czasach wojna, niejako z definicji, wcześniej lub później kończyła się definitywnym zwycięstwem lub porażką jednej ze stron. Była też dla ludzkich społeczeństw sposobem na zakotwiczenie się w rzeczywistości. Wszyscy władcy w różnych epokach usiłowali narzucić swoim poddanym fałszywy obraz świata, jednak nie mogli sobie pozwolić na ugruntowanie w ludziach iluzji, która obniżyłaby ich skuteczność bojową. Kiedy przegrana oznacza utratę suwerenności lub inny rezultat powszechnie uznawany za niepożądany, trzeba na poważnie i z zaangażowaniem walczyć o zwycięstwo. Nie da się ignorować rzeczywistości. W filozofii, w religii, etyce czy polityce dwa plus dwa może równać się pięć, kiedy jednak projektuje się pistolet albo samolot, dwa plus dwa musi równać się cztery. Narody, którym brakło skuteczności, wcześniej lub później upadły, a walka o przetrwanie nie idzie w parze z podtrzymywaniem iluzorycznego obrazu świata. Skuteczność oznacza ponadto umiejętność wyciągania wniosków z przeszłości, co jest możliwe tylko wtedy, kiedy w społeczeństwie istnieje względnie wierny obraz historii. Prasa i książki historyczne nigdy nie były, rzecz jasna, wolne od stronniczości, ale fałszowanie historii na taką skalę, na jaką ma ono miejsce dzisiaj, dawniej było niemożliwe. Ryzyko wojny stało na straży zdrowego rozsądku — z punktu widzenia klasy rządzącej był to czynnik najważniejszy. Dopóki wojna kończyła się zwycięstwem lub klęską, rządzący nie byli całkowicie bezkarni.

Kiedy jednak konflikt zbrojny zamienia się w proces ciągły, przestaje stanowić zagrożenie. Gdy wojna toczy się nieprzerwanie, nie działa coś takiego jak wyższa konieczność bojowa. Postęp techniczny może się zatrzymać, najoczywistsze fakty można przekręcić lub zignorować. Jak już powiedzieliśmy, w przemyśle zbrojeniowym nadal prowadzi się badania, które określilibyśmy mianem naukowych, sprowadzają się one jednak do fantazjowania, a brakiem konkretnych wyników nikt się nie przejmuje. Skuteczność, nawet militarna, nie jest już potrzebna. W Oceanii skuteczna jest tylko myślopolityka. Ponieważ żadnemu z trzech mocarstw nie grozi podbój, każde z nich jest oddzielnym kosmosem, w obrębie którego można wprowadzać dowolnie absurdalne koncepcje. Rzeczywistość upomina się o swoje prawa tylko wtedy, gdy w grę wchodzi podstawowe potrzeby życiowe — ludzie muszą coś jeść i pić, mieć dach nad głową i odzież, unikać trucizn, nie wypaść z okna więźowca i tak dalej. Nadal istnieje rozróżnienie między życiem i śmiercią czy przyjemnością i bólem — i to wszystko. Odcięty od wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym i z przeszłością, obywatel Oceanii jest jak człowiek zagubiony w przestrzeni kosmicznej — nie ma pojęcia, gdzie góra, gdzie dół. Rządzący takim państwem mają władzę absolutną, potężniejszą niż niegdyś faraonowie czy cesarze. Muszą jedynie dbać, aby ich poddani nie umierali z głodu tak licznie, że stałoby się to niewygodne; powinni też pozostawać na podobnie niskim poziomie zaawansowania militarne go jak rywale. Jednak poza tym minimum mogą dowolnie manipulować rzeczywistością.

Tak więc obecna wojna, jeśli mierzyć ją standardami dawnych konfliktów zbrojnych, jest po prostu fikcją. Przypomina walki toczone przez samce niektórych przeżuwaczy, których rogi wyrastają pod takim kątem, że zwierzęta nie mogą wyrządzić sobie żadnej krzywdy. Choć nierzeczywista, wojna nie jest jednak pozbawiona znaczenia. Pochłania nadwyżkę dóbr konsumpcyjnych i pomaga konserwować typ mentalności, niezbędny do funkcjonowania społeczeństwa hierarchicznego. Wojna, jak zobaczymy, jest obecnie wyłącznie sprawą wewnętrzną danego państwa. W przeszłości rządzący poszczególnymi krajami naprawdę walczyli przeciwko innym narodom, a zwycięzca łupił pokonanego, choć świadomość wspólnoty interesów kazała mu ograniczać rozmiary wyrządzanych zniszczeń. Dziś państwa nie wojują między sobą. Klasy rządzące toczą wojnę z własnymi poddanymi, a jej celem nie jest zdobywanie nowych terytoriów lub ochrona starych, tylko zachowanie struktury społecznej w niezminionej formie. Słowo „wojna” stało się zatem

Wojna, Walka klas

mylące. Należałoby zauważyć, że wojna, odkąd zamieniła się w proces ciągły, przestała istnieć. Ten rodzaj presji, który zagrożenie konfliktem zbrojnym wywierało na ludzi od neolitu po wczesny wiek dwudziesty, przestał istnieć i został zastąpiony czymś zupełnie innym. Gdyby trzy supermocarstwa, zamiast walczyć ze sobą, zdecydowały żyć w wiecznym pokoju, nie naruszając wzajemnie swoich granic, efekt byłby taki sam. Bowiem i wtedy każde z nich stanowiłoby samowystarczalny wszechświat, na zawsze uwolniony od zewnętrznego niebezpieczeństwa. Trwały pokój niczym by się nie różnił od ciągłej wojny. Właśnie taki jest ukryty sens sloganu, który ogromna większość członków Partii rozumie tylko powierzchownie: WOJNA TO POKÓJ.

Winston przerwał na moment lekturę. W oddali rozległ się huk eksplodującej rakiety. Fakt samotnego przebywania z zakazaną książką w pomieszczeniu bez teleekranu nadal sprawiał mu błogą przyjemność. Odosobnienie i poczucie bezpieczeństwa były wręcz fizycznymi doznaniem, powiązany w jakiś sposób ze zmęczeniem, miękkością fotela i pieszczotą wpadającego przez okno wiatru na policzku. Był zafascynowany książką, potwierdzała jego przypuszczenia. W pewnym sensie nie dowiedział się z niej niczego nowego, ale właśnie na tym polegała jej atrakcyjność. Sam mógłby napisać to, co czytał, gdyby tylko miał szansę uporządkować chaotyczne myśli. Wywód wypływał z umysłu podobnego do umysłu Winstona, tyle że o wiele potężniejszego, bardziej usystematyzowanego, mniej zaleźnionego. Najlepsze książki, pomyślał, to te, które ujmują w słowa to, o czym już w głębi ducha wiesz. Otworzył ponownie na rozdziale pierwszym, ale usłyszał kroki Julii na schodach i podniósł się z krzesła, żeby ją przywitać. Rzuciła na podłogę swoją brązową torbę na narzędzia i padła w jego objęcia. Nie widzieli się od ponad tydzień.

Książka

— Mam *książkę* — powiedział, kiedy tylko wyswobodziła się z jego ramion.

— Ach tak? To świetnie — odparła, nieszczerze zainteresowana, po czym przyklękła przy kuchence, żeby zaparzyć kawę.

Wrócili do tego wątku dopiero po pół godzinie spędzonej w łóżku. Zrobiło się akurat na tyle chłodno, żeby przykryć się kapą. Z dołu dochodził znajomy śpiew i szuranie butów o bruk. Krzepka kobieta o czerwonych ramionach, którą Winston zobaczył podczas swojej pierwszej wizyty, stanowiła niezmienny element scenografii podwórka. Nie było chyba takiej godziny w ciągu dnia, żeby nie kursowała między balią a sznurem, z ustami na zmianę pełnymi kłamek do bielizny i zmysłowej piosenki. Julia ułożyła się na boku i zdawało się, że zaraz zaśnie. Winston sięgnął po leżącą na podłodze książkę i wsparł się o wezglowie.

— Musimy ją przeczytać — powiedział. — Ty też. Wszyscy członkowie Bractwa są do tego zobligowani.

— Ty przeczytaj — odparła z zamkniętymi oczami. — Przeczytaj mi na głos, tak będzie najlepiej. Możesz po drodze wyjaśniać mi różne kwestie.

Zegar wskazywał szóstą, była więc osiemnasta. Mieli przed sobą trzy lub cztery godziny. Oparł książkę o kolana i zaczął czytać:

## ROZDZIAŁ I. IGNORANCJA TO SIŁA

Od początku czasów historycznych, a prawdopodobnie już od końca neolitu, żyły na świecie trzy warstwy ludzi: wyższa, średnia i niższa. Dzielono je na podgrupy, którym nadawano najrozmaitsze nazwy. Zarówno proporcje ilościowe, jak i stosunki pomiędzy warstwami, zmieniały się na przestrzeni kolejnych epok, jednak zasadnicza struktura społeczeństwa pozostawała taka sama. Z najpotężniejszych wstrząsów i na pozór nieodwracalnych zmian wyłaniał się w końcu — zawsze ten sam — podstawowy porządek, podobnie jak żyroskop stale wraca do swojego pierwotnego położenia, niezależnie od tego, jak bardzo wychylił się w jedną czy drugą stronę.

Walka klas, Obraz świata

— Nie śpisz, Julio? — spytał Winston.

— Nie, kochany, słucham. Czytaj dalej. To wspaniałe.

Kontynuował lekturę:

Cele poszczególnych warstw są całkowicie rozbieżne. Najwyższa dąży do utrzymania swojej pozycji. Środkowa zmierza do zamiany miejscami z najwyższą. Zamiarem niższej — o ile w ogóle go ma, bo jej przedstawiciele są tak przygnieceny nędzą, że tylko chwilami obejmują świadomością cokolwiek poza podstawowymi sprawami bytowymi — jest obalenie wszelkich różnic klasowych i stworzenie społeczeństwa, w którym wszyscy będą równi. Na przestrzeni dziejów wciąż toczą się walki, w zarysach przebiegające zawsze tak samo. Przez długie okresy wydaje się, że pozycja najwyższej warstwy jest zabezpieczona, pręcej czy później przychodzi jednak moment, kiedy jej reprezentanci tracą wiarę w siebie lub umiejętność skutecznego rządzenia — albo obie te rzeczy. Zostają wtedy obaleni przez przedstawicieli warstwy średniej, która mobilizuje do pomocy niższą, oszukując ją, że idzie o zaprowadzenie powszechnej sprawiedliwości i wolności. Kiedy tylko zdobędą władzę, członkowie warstwy średniej podporządkowują sobie warstwę niższą, a sami przechodzą na pozycję wyższą. Z jednej lub obydwu pozostałych grup wyłania się nowa warstwa średnia i walka zaczyna się od nowa. Spośród trzech grup tylko tej najniższej nigdy nie udaje się choćby na chwilę zrealizować swoich celów. Powiedzieć, że w perspektywie historycznej nie dokonał się żaden materialny postęp, byłoby przesadą. Nawet dziś, w okresie zapaści gospodarczej, standard życia przeciętnego człowieka jest wyższy niż parę wieków wcześniej. Jednak żadne wzbogacenie się, żaden progres cywilizacyjny, żadna reforma czy rewolucja nie zbliżyła nigdy ludzi do pełnej równości. Z punktu widzenia warstwy najniższej wszelkie przełomy historyczne sprowadzały się do zmiany nazwy panów.

Pod koniec dziewiętnastego wieku wielu obserwatorów dostrzegło powtarzalność tego wzoru. Wyłoniły się nurty, interpretujące historię jako proces cykliczny i próbujące dowodzić, iż nierówności stanowią nieusuwalny element ludzkiej egzystencji. Rzecz jasna, zawsze obecni byli w społeczeństwie wyznawcy takiej doktryny, teraz jednak formułowano ją bardziej dobitnie. Dawniej to warstwa wyższa postulowała konieczność istnienia hierarchicznej struktury społecznej. Na taką potrzebę wskazywali królowie i arystokraci, a także kapłani, prawnicy i podobne pasożyty z otoczenia grup rządzących; ziemską nierówność łagodzona była przeważnie obietnicą nagrody w wyobrażonej rzeczywistości pozagrobowej. Warstwa średnia, która walczyła o władzę, chętnie sięgała po takie idee jak wolność, sprawiedliwość i braterstwo. Obecnie jednak pojęcie braterstwa zostało zaatakowane przez ludzi nieznajdujących się jeszcze na pozycji władzy, a jedynie mających nadzieję, że ją zdobędą. W przeszłości warstwa średnia przeprowadzała rewolucje pod sztandarem równości, żeby ustanowić własną tyranie, kiedy tylko uda się obalić poprzednią. Nowi przedstawiciele tej grupy przejawiali skłonność do dyktatury jeszcze przed rewoltą. Socjalizm, teoria, która pojawiła się na początku dziewiętnastego wieku i stanowiła ostatnie ogniwo w łańcuchu sięgającym rebelii niewolników w czasach starożytnych, pozostawał pod przemożnym wpływem dawnego myślenia utopijnego. Ale warianty socjalizmu, tworzone po 1900 roku, coraz bardziej otwarcie odżegnywały się od idei wolności i równości. Nowe ruchy, które powstały w połowie stulecia — angsoc w Oceanii, neo-bolszewizm w Eurazji, a w Azji Wschodniej prąd zwany powszechnie „kultem śmierci” — świadomie zmierzały do umocnienia niewoli i silnie zhierarchizowanej struktury społecznej. Te nowe ideologie wyrosły, rzecz jasna, na glebie dawnych nurtów myślowych; uznawały się za ich spadkobierców i powoływały na ich system wartości, ale celem obecnych ruchów było zatrzymanie postępu i zamrożenie procesów historycznych w wybranym momencie. Znajome wahadło miało wychylić się jeszcze tylko raz, a następnie znieruchomieć. Jak zwykle, warstwa najwyższa została obalona przez średnią, która w wyniku tego przewrotu zajęłaby jej

miejsce. Jednak tym razem, dzięki świadomej strategii, nowi władcy mieli panować już na zawsze.

Do wyłonienia się nowych doktryn przyczyniło się nagromadzenie wiedzy historycznej i wyostrenie zmysłu historycznego, który do dziewiętnastego wieku właściwie nie istniał. Zaczęto dostrzegać cykliczną powtarzalność procesów dziejowych, a skoro stała się ona czytelna, oznaczało to, że można było mieć na nią wpływ. Jednak podstawowym, choć ukrytym źródłem nowych zjawisk był fakt, że na początku dwudziestego wieku równość między ludźmi stała się teoretycznie możliwa. Nadal różnili się oni pod względem wrodzonych zdolności, a zatem ich role społeczne musiały być zdywersyfikowane — w sposób faworyzujący niektóre jednostki — jednak rozbieżności między klasami społecznymi czy przepaść między bogatymi a biednymi nie miały już uzasadnienia. Dawniej podziały klasowe były nie tylko nieuniknione, ale wręcz pożądane. Nierówności były ceną postępu cywilizacyjnego. Jednak wraz z rozwojem produkcji przemysłowej wszystko się zmieniło. Ludzie nadal musieli wykonywać różne rodzaje pracy, ale społeczne czy ekonomiczne różnice w poziomie życia przestały być zjawiskiem nieuchronnym. Toteż z punktu widzenia grup, które miały przejąć władzę, równość nie była już priorytetem, o który należało walczyć, tylko zagrożeniem, którego powinno się wystrzegać. W bardziej prymitywnych czasach, kiedy społeczeństwo oparte na idei pokoju i sprawiedliwości nie miało racji bytu, ludzie chętniej skłonni byli wierzyć w ideał równości. Myśl o ziemskim raj, gdzie wszyscy żyją jak bracia, a prawo i wyzysk nie istnieją, nawiedzała zbiorową wyobraźnię od tysiącleci. Wizja ta była do pewnego stopnia atrakcyjna nawet dla grup, które w istocie korzystały na poszczególnych przemianach historycznych. Spadkobiercy francuskiej, angielskiej i amerykańskiej rewolucji wierzyli do jakiegoś stopnia w głoszone przez siebie idee praw człowieka, wolności słowa, równości wobec prawa i tym podobne; hasła te w pewnej mierze kształtowały ich postępowanie. Ale już na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku cała myśl polityczna stała się autorytarna. Ideę raj na ziemi zdyskredytowano akurat wtedy, gdy stała się możliwa do zrealizowania. Każda nowa teoria polityczna, jakkolwiek brzmiałaby jej nazwa, prowadziła do hierarchiczności i terroru. Powszechny konserwatyzm poglądów, charakterystyczny dla tego okresu, sprawił, iż powrócono do dawnych, porzuconych przed wiekami praktyk, jak przetrzymywanie więźniów bez procesu, zmuszanie jeńców wojennych do niewolniczej pracy, publiczne egzekucje, wymuszanie zeznań torturami, porywanie zakładników oraz deportacje całych populacji; działania te nie tylko stały się powszechne, ale były również tolerowane przez ludzi uważających się za światłych i postępowych.

Dopiero po dekadzie wojen narodowych, wojen domowych, rewolucji i kontrrewolucji na całym świecie angsoc i pozostałe ideologie wyłoniły się jako gotowe teorie polityczne. Ich zapowiedzią były wcześniejsze systemy, zwykle określane jako totalitarne, które pojawiły się na początku wieku; zarysy świata, który stopniowo wyłaniał się z ogólnego chaosu, od dawna dało się przewidzieć. Dało się też przewidzieć, kto będzie takim światem rządzić. Na nową arystokrację składali się głównie biurokraci, naukowcy, technicy, etatowi działacze związków zawodowych, eksperci od wizerunku, socjologowie, dziennikarze i zawodowi politycy. Ludzi tych, wywodzących się z pracującej inteligencji i górnych warstw klasy robotniczej, ukształtowała i zbliżyła bezlitosna rzeczywistość zmonopolizowanego przemysłu i scentralizowana struktura władzy. W zestawieniu z dawną arystokracją byli mniej zachłanni w odniesieniu do dóbr materialnych, za to bardziej pragnęli władzy; stali się też bardziej świadomi własnych czynów i okrutniejsi wobec opozycji. Ta ostatnia różnica jest fundamentalna. W porównaniu z panującą obecnie tyranią wszystkie poprzednie totalitaryzmy sprawiają wrażenie nieudolnych, amatorskich prób. Dawne grupy rządzące były zawsze do pewnego stopnia

skażone liberalizmem. Chętnie zostawiały ludziom pewien zakres swobody, skupiając się na postępowaniu swoich poddanych — bez wnikania w to, co myślą. Nawet średniowieczny Kościół katolicki należałoby, według dzisiejszych standardów, określić jako tolerancyjny. Było tak po części dlatego, że w przeszłości żaden rząd nie miał wystarczającej władzy, żeby sprawować stałą kontrolę nad swoimi poddanymi. Wynalazek druku sprawił, że manipulowanie opinią publiczną stało się łatwiejsze, a radio i film pchnęły ten proces jeszcze dalej. Wraz z wymyśleniem telewizora i rozwojem technologii, pozwalającej na jednoczesne transmitowanie i odbieranie treści przez to samo urządzenie, skończyła się prywatność. Każdy obywatel, a w każdym razie każdy obywatel wart podglądania, mógł być obserwowany przez policję i bombardowany oficjalną propagandą przez 24 godziny na dobę, przy całkowitym odcięciu wszystkich innych kanałów komunikacji. Pierwszy raz państwo miało możliwość wymusić nie tylko absolutne posłuszeństwo wobec własnej woli, ale też całkowitą jednomyślność we wszystkich sprawach.

Po rewolucyjnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ponownie wyłoniły się trzy warstwy społeczne: wyższa, średnia i niższa. Jednak nowa warstwa wyższa, inaczej niż poprzednie, nie działała już instynktownie, ponieważ dobrze wiedziała, co należy zrobić, żeby zabezpieczyć swoją pozycję. Dawno już zrozumiano, że jedyną pewną podstawą dla oligarchii jest kolektywizm. Bogactwa i przywileju najłatwiej bronić, kiedy należą do całej grupy. Tak zwane „obalenie własności prywatnej”, które miało miejsce w połowie wieku, w istocie oznaczało większą niż wcześniej jej koncentrację, z tą różnicą, że nowa klasa posiadająca stanowiła zwartą grupę, a nie zbiór jednostek. Jako jednostka żaden członek Partii nie posiada na własność niczego poza osobistymi drobiazgami. Kolektywnie Partia jest właścicielką całego majątku Oceanii, ponieważ kontroluje wszystkie dobra i dysponuje nimi zgodnie z własną wolą. W okresie następującym po Rewolucji Partia przejęła władzę, nie napotykając właściwie żadnego oporu, cały proces przedstawiono bowiem jako kolektywizację. Od zawsze istniało założenie, że po wywłaszczeniu kapitalistów nastąpi socjalizm; nie da się zaprzeczyć, iż kapitaliści faktycznie zostali pozbawieni posiadanych majątków. Fabryki, kopalnie, ziemia, domy, środki transportu — odebrano im wszystko. A skoro owe rzeczy nie stanowiły już własności prywatnej, oznaczało to, że stały się dobrami publicznymi. Angsoc, który wyrósł z wcześniejszego ruchu socjalistycznego i odziedziczył jego frazeologię, wprowadził w życie główny punkt programu socjalistów, z takim jednak — w pełni zamierzonym — skutkiem, że nierówności ekonomiczne zostały utrwalone na dobre.

Utrwalenie hierarchicznej struktury społecznej jest jednak bardziej skomplikowane. Grupa sprawująca władzę może stracić przywództwo tylko na cztery sposoby. Albo zostanie pokonana z zewnątrz; albo rządzi tak nieudolnie, że sprowokuje masy do rewolty; albo pozwoli na wyłonienie się silnej i niezadowolonej warstwy średniej; albo wreszcie straci pewność siebie i wolę rządzenia. Przyczyny te nie działają rozdzielnie, przeważnie wszystkie cztery są w jakimś stopniu współobecne. Klasa rządząca, zabezpieczona przed tymi wszystkimi wariantami utraty władzy, mogłaby sprawować ją bez końca. Czynnikiem decydującym jest ostatecznie mentalność przedstawicieli tej grupy.

W szóstej dekadzie obecnego wieku pierwsze z tych niebezpieczeństw właściwie przestało istnieć. Każde z trzech supermocarstw, panujących obecnie nad światem, jest w istocie niepokonane; ten stan rzeczy mógłby ulec zmianie jedynie na skutek powolnych transformacji demograficznych, którym rząd o wystarczająco rozległej władzy z łatwością może zapobiec. Również drugie niebezpieczeństwo istnieje tylko w teorii. Masy nigdy nie buntują się z własnej inicjatywy i nie stawiają oporu jedynie z powodu doświadczanego ucisku. W istocie, dopóki nie mają skali porównawczej, nie zdają sobie sprawy, że są ciemiężone. Kryzysów ekonomicznych, stale powracają-

Walka klas, Rewolucja,  
Pozycja społeczna, Władza,  
Własność

Władza

cych w dawnych czasach, można było uniknąć i dziś nie pozwala się już, żeby zaistniały, a inne, równie poważne zaburzenia, choć zdarzają się od czasu do czasu, nie mają skutków politycznych, ponieważ warunki nie pozwalają, aby ludzie stali się świadomi własnego niezadowolenia. Jeśli chodzi o problem nadprodukcji, wpisany w ekonomię naszego społeczeństwa od czasu wynalezienia maszyn, rozwiązuje się go za pomocą techniki permanentnej wojny (zob. Rozdział 3), wspomagającej także utrzymywanie odpowiednich nastrojów społecznych. Z punktu widzenia naszych aktualnych władców jedynym niebezpieczeństwem byłoby wyodrębnienie się nowej grupy zdolnych, niedowartościowanych, żądnych władzy ludzi lub pojawienie się liberalizmu albo sceptycyzmu we własnych szeregach. Innymi słowy, problem dotyczy sfery edukacji. Polega na konieczności ciągłego kształtowania świadomości tak grupy rządzącej, jak i liczniejszej grupy wykonawczej, znajdującej się tuż pod tą pierwszą. Na świadomość mas wystarczy wpływać jedynie za pomocą bodźców negatywnych.

Rozumiejąc ten kontekst, każdy, kto jeszcze nie poznał struktury społecznej Oceanii, mógłby samodzielnie wydedukować jej kształt. Na szczycie piramidy zasiada Wielki Brat, który jest nieomylny i wszechmocny. Każdy sukces, każde osiągnięcie, każde zwycięstwo, każde odkrycie naukowe, wszelka wiedza, wszelka mądrość, wszelkie szczęście i cnota wypływają wprost z jego inspiracji i stanowią konsekwencje jego przywództwa. Nikt nigdy nie widział Wielkiego Brata — jest twarzą na billboardach, głosem płynącym z teleekranów. Z dużą dozą pewności możemy założyć, że nigdy nie umrze; już teraz istnieją poważne wątpliwości co do daty jego narodzin. Wielki Brat to maska, którą Partia zakłada, żeby zaprezentować się światu. Jego rola polega na ogniskowaniu miłości, strachu i czci — emocji łatwiej odczuwalnych w stosunku do jednostki niż wobec organizacji. Bezpośrednio pod Wielkim Bratem znajduje się Partia Wewnętrzna, licząca sześć milionów członków, czyli nieco mniej niż dwa procent mieszkańców Oceanii. Kolejny poziom stanowi Partia Zewnętrzna. Jeśli Partię Wewnętrzną porównamy do mózgu państwa, to Partia Zewnętrzna byłaby jego dłońmi. Jeszcze niżej umiejscowieni zostali zwykli ludzie, których zwyczajowo określamy mianem „proli”. Stanowią oni mniej więcej 85% całej populacji. Nawiązując do zaproponowanej wcześniej klasyfikacji, prole tworzą warstwę najniższą, jako że zniewolone populacje okolic równika, ciągle przechodzące z rąk do rąk, nie stanowią stałego czy koniecznego elementu całej struktury.

W zasadzie przynależność do danej grupy nie jest dziedziczna. Dziecko dwojga rodziców, należących do Partii Wewnętrznej, nie staje się automatycznie jej członkiem. Obie gałęzie Partii przyjmują nowych działaczy na podstawie egzaminu, do którego przystępuje się w wieku szesnastu lat. Nie istnieje ani dyskryminacja rasowa, ani wyraźna przewaga jednej prowincji nad pozostałymi. Żydzi, Afrykanie czy stu procentowo rdzenni mieszkańcy Ameryki Południowej pełnią najwyższe partyjne funkcje, przy czym administratorzy poszczególnych obszarów zawsze rekrutują się spośród miejscowej ludności. W żadnej części Oceanii jej obywatele nie mogą czuć się jak mieszkańcy kolonii, zarządzanej z odległego centrum. Oceania nie posiada stolicy, a miejsca pobytu oficjalnego przywódcy nikt nie zna. Poza tym, że powszechnie używanym językiem jest angielski, zaś językiem oficjalnym nowomowa, nie występuje zjawisko centralizacji. Władców Oceanii nie łączą więzy krwi, a jedynie wierność doktrynie. Faktem jest sztywny podział naszego społeczeństwa na warstwy, co sprawia, że na pierwszy rzut oka wydaje się, iż przynależność do każdej z nich jest dziedziczna. Mobilność jednostek pomiędzy warstwami jest o wiele mniejsza niż w kapitalizmie czy nawet w epoce przedindustrialnej. Zachodzi, co prawda, wymiana członków pomiędzy obiema gałęziami Partii, ale jej jedynym celem jest wydalenie zbyt słabych jednostek z szeregów Partii Wewnętrznej i zneutralizowanie ewentualnych protestów ambitniejszych członków Partii Zewnętrznej poprzez stworzenie

Przywódca, Maska

im możliwości awansu. Dla przedstawicieli proletariatu wstęp w szeregi Partii jest *ex definitione*<sup>82</sup> niemożliwy. Najzdolniejsi, tacy, którzy potencjalnie mogą stać się zaczynem buntu, są po prostu identyfikowani przez myślopolicię i eliminowani. Jednak ten stan rzeczy nie musi trwać w niezmiennej formie i nie bazuje na ideologii. Partia nie stanowi klasy w dawnym rozumieniu tego słowa. Jej członkowie nie pragną przekazać przywództwa swoim dzieciom i gdyby nie dało się w inny sposób umieścić najzdolniejszych jednostek na szczycie piramidy władzy, Partia byłaby gotowa rekrutować nowe pokolenie członków z szeregów proletariatu. W kluczowym momencie fakt, że przynależność do Partii nie jest dziedziczna, pomógł zneutralizować opór. Socjaliści starego typu, przyzwyczajeni do zwalczania „przywileju klasowego”, zakładali, że co nie jest dziedziczne, nie może być trwałe. Nie rozumieli, że ciągłość oligarchii nie musi wynikać z więzów krwi, nie przychodziło im do głowy, że arystokracje rodowe przeważnie krótko sprawowały władzę, podczas gdy organizacje takie jak Kościół katolicki były w stanie przetrwać setki czy tysiące lat. Sednem oligarchii nie jest przekazywanie władzy z ojca na syna, lecz trwałość pewnego światopoglądu i sposobu życia, narzuconego żywym przez umarłych. Grupa sprawująca władzę egzekwuje ją wtedy, gdy może wyznaczyć swoich następców. Partii nie interesuje dziedzictwo krwi, lecz przetrwanie jej struktur. Nieważne, *kto* sprawuje władzę, o ile sama architektonika hierarchii pozostaje niezmienniona.

Wszystkie poglądy, upodobania, zwyczaje, emocje i mentalność, typowa dla naszych czasów, w istocie służą podtrzymaniu niemal nadprzyrodzonej władzy Partii i zaciemnieniu prawdziwego obrazu współczesnego społeczeństwa. Fizyczny bunt czy też jakiegokolwiek działania doń zmierzające nie jest dziś możliwe. Partia nie musi obawiać się proletariatu. Pozostawieni samym sobie, pokolenie za pokoleniem, stulecie po stuleciu, prole będą pracować, rozmnażać się i umierać, nie dość, że nie odczuwając żadnego impulsu do buntu, to nawet nie uświadamiając sobie, że życie mogłoby wyglądać inaczej. Staliby się niebezpieczni tylko wtedy, gdyby rozwój uprzemysłowienia wymusił podniesienie jakości ich edukacji; skoro jednak rywalizacja militarna i handlowa nie ma już znaczenia, ogólny poziom wykształcenia ulega sukcesywnemu pogorszeniu. Opinie mas ludzkich nie mają znaczenia. Proli można obdarzyć pełną wolnością intelektualną, ponieważ brak im intelektu. Za to opinie członków Partii muszą podlegać ścisłej kontroli, nie wolno tolerować odstępstwa nawet w najbardziej banalnych kwestiach.

Członek Partii od urodzenia aż do śmierci żyje pod okiem myślopolicii. Nawet w odosobnieniu nie może być pewien, że naprawdę jest sam. Gdziekolwiek się znajduje — śpi czy czuwa, pracuje czy odpoczywa, w wannie czy w łóżku — może zostać poddany kontroli bez ostrzeżenia, nie wiedząc, iż jest kontrolowany. Nic, co robi, nie jest neutralne. Jego przyjaźnie, rozrywki, zachowanie wobec żony i dzieci, wyraz twarzy, kiedy jest sam, słowa wypowiedzane przez sen, a nawet jego sposób poruszania się podlegają skrupulatnej obserwacji. Nie tylko faktyczne wykroczenia, ale każde ekscentryczne zachowanie, nawet najdrobniejsze — każda zmiana nawyku, każdy tik nerwowy, mogący świadczyć o walce wewnętrznej, z całą pewnością zostanie odnotowany. Nie ma wolności wyboru w absolutnie żadnej sprawie. A jednocześnie nie funkcjonuje żaden czytelny kodeks, żadne pisane prawa, regulujące zachowanie członka Partii. W Oceanii nie istnieje coś takiego jak prawo. Myśli i czyny, które, jeśli zostaną wykryte, oznaczają pewną śmierć, nie są prawnie zabronione, a niekończące się czystki, aresztowania, tortury, więzienie i ewaporacje nie stanowią kary za faktycznie popełnione zbrodnie; są sposobem na usunięcie osób, które mogłyby w jakimś momencie w przyszłości popełnić zbrodnię. Od członka Partii wymaga się nie tylko poprawnych opinii, ale też prawidłowych odruchów. Wymaganych poglą-

Kondycja ludzka

Elita, Pozycja społeczna,  
Kondycja ludzka, Niewola

Prawo

<sup>82</sup>*ex definitione* (łac.) — z definicji. [przypis edytorski]

dów czy postaw przeważnie nie nazywa się po imieniu, bo to wiązałoby się z ujawnieniem niespójności, wpisanych w naturę angsocu. Jeśli ktoś jest osobą z natury ortodoksyjną (w nowomowie — *dobromyślny*), zawsze będzie wiedział, bez zastanowienia, jaki pogląd jest słuszny w danej sytuacji, jaka emocja wydaje się właściwa. Dzięki odbytemu w dzieciństwie wyrafinowanemu treningowi, bazującemu na słowach zaczerpniętych z nowomowy — takich jak *zbrodniostop*, *czarnobieli*, *dwójmyślenie* — człowiek nie jest zdolny do głębszej refleksji na żaden temat i nie ma na nią nawet ochoty.

Członek Partii nie może mieć żadnych osobistych emocji, musi natomiast stale tryskać entuzjazmem. Powinien bez ustanku ziać nienawiścią do wrogów zewnętrznych i wewnętrznych zdrajców, świętować zwycięstwa i kajać się przed siłą i mądrością Partii. Frustrację, wynikającą z nędznej, bezcelowej egzystencji, specjalnie kieruje się na zewnątrz, aby znalazła ujście podczas takich praktyk jak Dwie Minuty Nienawiści; rozważania, mogące wywołać wątpliwości czy bunt, uniemożliwia wpajana od wczesnych lat dyscyplina wewnętrzna. Pierwszy i podstawowy punkt, od którego rozpoczyna się dyscyplinowanie nawet najmłodszych dzieci, to *zbrodniostop*. *Zbrodniostop* oznacza umiejętność instynktownego zatrzymania się na progu niebezpiecznej myśli. W pojęciu tym zawiera się zdolność do niezauważania oczywistych analogii czy błędów logicznych oraz niezrozumienia najprostszej argumentacji, jeśli kłóci się ona z angsocem, a ponadto — do odczuwania braku zainteresowania lub wstrętu w stosunku do każdej myśli, mogącej potencjalnie prowadzić poza ortodoksję. W skrócie, *zbrodniostop* oznacza samozachowawczą głupotę. Ale głupota nie wystarczy. Przeciwnie, doskonała ortodoksja wymaga większej kontroli nad własnym umysłem, niż ta, jaką akrobata ma nad swoim ciałem. Społeczeństwo Oceanii ostatecznie zasadza się na wierze, iż Wielki Brat jest wszechmocny, a Partia — nieomylna. Ponieważ jednak w rzeczywistości Wielki Brat nie jest wszechmocny, a Partia nie jest nieomylna, konieczne staje się, praktykowane bez wytchnienia, elastyczne podejście do faktów. Tu klucz stanowi słowo *czarnobieli*. Jak wiele innych pojęć w nowomowie, to także posiada dwa przeciwstawne znaczenia. W odniesieniu do przeciwnika wskazuje na nawyk bezwstydnego twierdzenia, że czarne jest białe — wbrew oczywistym faktom. W przypadku członka Partii ten sam termin oznacza jednak lojalną gotowość, by utrzymywać, że czarne jest białe, jeśli wymaga tego partyjna dyscyplina. Oznacza to także zdolność *uwierzenia*, że czarne jest białe, a nawet więcej — *wiedzę*, iż czarne jest białe. Należy umieć zapomnieć, iż kiedykolwiek sądziło się inaczej. Wymaga to ciągłego modyfikowania przeszłości, co jest możliwe dzięki porządkowi myślowemu, obejmującemu w istocie całą resztę rzeczywistości, a w nowomowie określanemu jako *dwójmyślenie*.

Przeszłość wymaga modyfikacji z dwóch powodów, z których jeden posiada charakter podrzędny i, by tak rzec, przewencyjny. Otóż członkowie Partii, podobnie jak przedstawiciele proletariatu, tolerują obecne warunki życia po części dlatego, że nie mają skali porównawczej. A zatem konieczne jest nie tylko całkowite odcięcie ich od obcokrajowców, ale też od przeszłości. Tylko w warunkach takiej izolacji można wierzyć, że standard życia jest dzisiaj lepszy niż dawniej i że stale się poprawia. Jednak o wiele ważniejszy powód, dla którego zmienia się przeszłość, stanowi konieczność podtrzymania wiary w nieomylność Partii. Nie chodzi tylko o to, że wszelkie przemówienia, statystyki i dokumenty historyczne trzeba stale uaktualniać, żeby pokazać, iż przewidywania Partii zawsze się sprawdzają. Najważniejsze, by nigdy nie przyznawać się do żadnej modyfikacji w doktrynie czy korekty sojuszu politycznego. Zmiana zdania czy polityki oznacza przecież przyznanie się do słabości. Jeśli, dajmy na to, Eurazja lub Azja Wschodnia (nieważne która) jest dzisiaj wrogiem, to znaczy, że zawsze nim była. Jeśli fakty świadczą o czymś innym, to znaczy, że trzeba je zmodyfikować. Dlatego historię należy bez ustanku przepisywać. Falsyfikacja przeszłości, przeprowadzana dzień

Falsz, Polityka



po dniu przez Ministerstwo Prawdy, jest tak samo niezbędna dla stabilności reżimu jak represje i szpiegowanie w wykonaniu aparatu Ministerstwa Miłości.

Zmienność przeszłości to podstawowy dogmat angsocu. Utrzymuje się, że dawne wydarzenia nie mają obiektywnego bytu, a trwają jedynie w dokumentach i w ludzkiej pamięci. O kształcie przeszłości decyduje zatem treść archiwalnych materiałów i wspomnień. A skoro Partia w pełni kontroluje treść wszystkich dokumentów, a także zawartość umysłów swoich członków, oznacza to, że przeszłość jest taka, jaką chce ją widzieć Partia. Co więcej, choć przeszłość pozostaje zmienna, nie da się wskazać żadnego przykładu dokonanej modyfikacji, bo kiedy historia zostanie odtworzona w takim kształcie, jaki jest aktualnie pożądanym, ta nowa wersja po prostu *staje się* przeszłością — żadna inna przeszłość nie mogła nigdy istnieć. Zasada ta działa nawet wtedy, kiedy — jak często się zdarza — ten sam fakt podlega całkowitej przeróbce kilka razy w roku. Partia ma zawsze dostęp do prawdy absolutnej, a ta nie mogła przecież dawniej być inna niż obecnie. Jak wykazemy, kontrola przeszłości polega przede wszystkim na treningu pamięci. Dopilnowanie, żeby wszystkie dokumenty zgadzały się z obowiązującą ortodoksyjną wersją, jest zadaniem ściśle mechanicznym; dodatkowo jednak trzeba *pamiętać*, że zdarzenia przebiegały w taki, a nie inny sposób. Kiedy konieczne jest manipulowanie wspomnieniami czy fałszowanie dokumentów, potrzebna staje się także umiejętność *zapominania*, iż coś takiego miało miejsce. Można tę sztuczkę opanować jak każdą inną technikę mentalną. Większość członków Partii *w istocie ją opanowuje*, z pewnością zaś ci, którzy są zarazem inteligentni i ortodoksyjni. W staromowie nazwalibyśmy ten proces po prostu „kontrolowaniem rzeczywistości”; w nowomowie opisaną tu strategię określa się mianem *dwójmyślenia*, choć w tym pojęciu mieści się o wiele więcej.

*Dwójmyślenie* oznacza zdolność wyznawania dwóch sprzecznych ze sobą poglądów i wierzenia w oba jednocześnie. Partyjny intelektualista wie, kiedy musi zmodyfikować wspomnienia, zdaje sobie zatem sprawę, że przekręca rzeczywistość, jednak ćwicząc *dwójmyślenie*, wmawia sobie, że wszystkie fakty się zgadzają. Ten proces musi odbywać się świadomie, w przeciwnym wypadku brakowałoby mu precyzji, zarazem jednak musi być nieświadomy, inaczej powodowałby poczucie fałszu, a zatem i winy. *Dwójmyślenie* stanowi samo sedno angsocu, ponieważ działanie Partii polega zasadniczo na fałszowaniu rzeczywistości z takim zapałem i pewnością siebie, jakie zwykle cechują postępowanie kryształowo uczciwe. Kłamać z premedytacją, jednocześnie wierząc we własne kłamstwa, wyrzucać z pamięci wszelkie fakty, które stały się niewygodne, a następnie, kiedy pojawi się taka konieczność, wyciągać je z powrotem z zapomnienia na tak długo, jak potrzeba, zaprzeczać istnieniu obiektywnej rzeczywistości, a jednocześnie kierować się nią — to niezbędne umiejętności. Nawet używając słowa *dwójmyślenie*, trzeba stosować *dwójmyślenie*. Bowiem używając tego pojęcia, człowiek przyznaje się do manipulowania faktami, jednocześnie jednak, dzięki *dwójmyśleniu*, wypiera tę wiedzę, i tak bez końca; kłamstwo zawsze o krok wyprzedza prawdę. W gruncie rzeczy, to właśnie dzięki *dwójmyśleniu* Partii udało się zatrzymać bieg historii. Kto wie, czy nie na tysiąclecia.

Wszystkie dawne oligarchie straciły władzę dlatego, że stały się zbyt skostniałe, lub w następstwie przesadnej liberalizacji reżimu. Głupota i arogancja rządzących prowadziła niekiedy do utraty kontaktu ze zmieniającą się rzeczywistością, co skutkowało buntem poddanych; z kolei kiedy władcy stawali się miękcy i tchórzliwi, zaczynali ustępować w sytuacjach, w których należało użyć siły. W obu przypadkach kończyło się to ich obaleniem. Można zatem powiedzieć, że tracili władzę przez nadmiar świadomości albo przez jej brak. Wielkim sukcesem Partii jest stworzenie systemu myślowego, w którym oba te stany mogą istnieć jednocześnie. Żadna inna podstawa intelektualna nie zapewniłaby Partii trwałych rządów. Ktoś, kto ma rządzić

Historia, Pamięć,  
Wspomnienia

Falsz, Prawda, Kondycja  
ludzka

wiecznie, musi być zdolny do przesuwania znaczeń w obrębie rzeczywistości, postrzeganej przez jego poddanych. Sekret władzy polega bowiem na połączeniu wiary we własną nieomylność z umiejętnością uczenia się na błędach.

Nie trzeba wyjaśniać, że najsubtelniej posługują się *dwójmyśleniem* ci, którzy je wymyślili i wiedzą, iż jest to w istocie potężny system intelektualnego oszustwa. W naszym społeczeństwie ludzie, którzy najlepiej zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje, są zarazem najdalsi od postrzegania świata takim, jaki jest. Z reguły im większe wtajemniczenie, tym większe ośmieszenie, im ktoś jest inteligentniejszy, tym bardziej obłąkany. Najlepszy tego dowód stanowi fakt, że natężenie hysterii wojennej wzrasta wraz z pozycją zajmowaną w hierarchii społecznej. Najbardziej racjonalnie traktują wojnę mieszkańcy terytoriów spornych. Dla nich jest ona po prostu niekończącym się kataklizmem, przetaczającym się przez ich życie jak tsunami. Jest im kompletnie wszystko jedno, kto wygrywa. Zdają sobie sprawę, że zmiana panujących będzie oznaczała po prostu dalsze wykonywanie tej samej pracy dla nowych panów, przez których będą traktowani tak samo jak przez poprzednich. Robotnicy, znajdujący się w nieco lepszym położeniu, zwani przez nas „prołami”, tylko chwilami pamiętają, że toczy się wojna. W razie konieczności da się wywołać u nich wybuchy strachu czy nienawiści, ale pozostawieni samym sobie na długi czas zapominają o prowadzonych walkach. To w szeregach Partii, a w szczególności Partii Wewnętrznej, można natknąć się na prawdziwy wojenny entuzjazm. Ci, którzy wiedzą, że podbój świata jest niemożliwy, najbardziej weni wierzą. To szczególne połączenie przeciwieństw — wiedzy z ignorancją, cynizmu z fanatyzmem — stanowi jeden z najważniejszych wyróżników społeczeństwa Oceanii. Oficjalna ideologia zawiera mnóstwo sprzeczności, w tym takich, które nie mają żadnego uzasadnienia. I tak, Partia odrzuca i szkaluje wszystkie pierwotne idee ruchu socjalistycznego, ale robi to pod sztandarem socjalizmu. Głosi niespotykaną od wieków pogardę dla klasy robotniczej, a jednocześnie każe swoim członkom przywdziewać uniformy, wzorowane na dawnym ubiorze pracowników fizycznych. Systemowo podkopuje solidarność rodziny, a zarazem określa swojego przywódcę za pomocą terminu, odwołującego się do sentymentu rodzinnej lojalności. Również nazwy czterech ministerstw, które nami rządzą, odzwierciedlają bezczelność, z jaką celowo przekręca się fakty. Ministerstwo Pokoju zajmuje się wojną, Ministerstwo Prawdy — kłamstwem, Ministerstwo Miłości — torturami, Ministerstwo Dobrobytu — głodem. Sprzeczności te nie są przypadkowe, nie wynikają też ze zwykłej hipokryzji: stanowią świadome zastosowanie *dwójmyślenia*. Władzę da się trwale utrzymać tylko godząc te antynomie. W żaden inny sposób nie dałoby się przerwać prastarego cyklu historii. Jeśli warstwa, którą określiliśmy jako wyższą, ma zachować swoją pozycję na zawsze — jeśli możliwość równości między ludźmi ma zostać na dobre wykluczona — konieczne jest podtrzymywanie stanu kontrolowanego szaleństwa w całym społeczeństwie.

Pozostaje kwestia, którą dotąd właściwie ignorowaliśmy: *dłaczego* nie można pozwolić, aby ludzie stali się równi? Jeśli nasz opis całego mechanizmu jest zgodny z prawdą, to jaki jest cel tego potężnego, precyzyjnie rozplanowanego wysiłku, zmierzającego do zatrzymania historii?

Docieramy teraz do kluczowej tajemnicy. Jak zobaczyliśmy, siła oddziaływania Partii, a w szczególności Partii Wewnętrznej, opiera się na *dwójmyśleniu*. Ale źródłowa motywacja, ten nigdy niezakwestionowany instykt, który doprowadził najpierw do przejścia władzy, a potem do wynalezienia *dwójmyślenia*, utworzenia myślopolicii i wszystkich innych rekwizytów społecznych, leży głębiej. Podstawowa przyczyna...

Winston odnotował ciszę, jakby to był nowy dźwięk. Zdał sobie sprawę, że Julia nie poruszyła się od dłuższego czasu. Leżała na boku, naga od pasa w górę, z policzkiem

złożonym na dłoni i ciemnym kosmykiem włosów zsuwającym się na oczy. Jej piersi unosiły się i opadały powoli i rytmicznie.

— Julio?

Brak odpowiedzi.

— Julio, czy ty śpisz?

Brak odpowiedzi. Spała. Zamknął książkę, odłożył ją ostrożnie na podłogę, opadł na łóżko i naciągnął kapę na siebie i dziewczynę.

Pomyślał, że nadal nie rozwikłał zasadniczej zagadki. Rozumiał *jak*, ale nie rozumiał *dłaczego*. Ani z rozdziału trzeciego, ani z pierwszego nie dowiedział się niczego, czego by sobie nie uzmysławiał wcześniej; usystematyzował jedynie posiadaną wiedzę. Po tej lekturze miał jednak większą niż wcześniej pewność, że nie oszalał. Bycie w mniejszości, gdyby nawet miała się ona składać z jednej osoby, nie implikowało, że jest się paranoikiem. Istniały prawda i kłamstwo; trzymanie się obiektywnej rzeczywistości, choćby na przekór całemu światu, nie było szaleństwem. Żółty promień zachodzącego słońca wpadł do środka, ukośnie przecinając poduszkę. Winston przymknął oczy. Słońce na twarzy i bliskość gładkiego ciała Julii napęliły go silnym, sennym spokojem. Jest bezpiecznie, wszystko w porządku. Zasnął, mamrocąc: „Jasność umysłu nie jest kwestią statystyki” i czując, że to spostrzeżenie zawiera w sobie głęboką mądrość.

## IO

Kiedy się obudził, miał wrażenie, że spał bardzo długo, ale rzut oka na staroświecki zegar wystarczył, żeby stwierdzić, że jest dopiero dwudziesta trzydzieści. Drzemał jeszcze przez chwilę, dopóki z podwórka nie dobiegł znajomy, głośny śpiew:

To był tylko sen  
I przeminął jak kwietniowy dzień,  
Ale ten wzrok i te słowa  
Wciąż w mym sercu chowam!

Najwyraźniej kiczowaty przebój nadal cieszył się popularnością. Słyszało się go w całym mieście, wygrał nawet z *Pieśnią Nienawiści*. Śpiew obudził Julię. Przeciągnęła się zmysłowo i wstała z łóżka.

— Jestem głodna — powiedziała. — Zróbmy więcej kawy. Cholera! Zgasło pod kuchenką i woda ostygła. — Podniosła ją i potrząsnęła. — Zabrakło nafty.

— Możemy chyba pożyczyć od pana Charringtona.

— Dziwne, sprawdzałam i wydawało mi się, że jest pełna. Ubiorę się — dodała — ochłodziło się chyba.

Winston także wstał i włożył uniform. Niestrudzony głos śpiewał dalej:

Mówią, że czas wszystko leczy,  
Że wszystko przyjdzie zapomnieć,  
Lecz lata uśmiechów i łez  
W mych uszach będą trwać wiecznie!

Zapinając pasek kombinezonu, podszedł do okna. Słońce skryło się za budynkami, nie oświetlało już podwórka. Bruk był mokry, jakby dopiero co polany wodą, a Winston miał wrażenie, że również niebo zostało umyte, tak jasny i czysty zdawał się błękit między kominami. Kobieta niestrudzenie kursowała tam i z powrotem, wieszając na sznurze stertę mokrych pieluch i wybuchając śpiewem, kiedy tylko jej usta nie były zatkane klamkami. Winston zastanawiał się, czy pranie stanowiło jej pracę zarobkową czy tylko obsługiwała, jak niewolnica, dwadzieścioro lub trzydzieścioro wnucząt. Julia podeszła do niego i razem, z dziwnym zafascynowaniem, spoglądali na krzepką postać w dole. Kiedy kobieta przybrała swoją typową pozę, wyciągając grube ramiona w górę do sznura i wypinając potężne jak u klaczy pośladki, Winston po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest piękna. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że ciało pięćdziesięcioletniej kobiety, rozdęte do monstrualnych rozmiarów przez macierzyństwo, a następnie stwardniałe

Kobieta, Kondycja ludzka,  
Piękno

i zgrubiałe od ciężkiej pracy, kostropate jak przejrzała rzepa, może być piękne. Ale takie było — niby dlaczego nie? Masywny, bezkształtny korpus, przypominający kawał granitu, o chropowatej, czerwonej skórze tak się miał do dziewczęcego ciała jak owoc dzikiej róży do jej kwiatu. Czemu owoc miałby być gorszy?

— Jest piękna — wyszeptał.

— Ma tyłek jak szafa — powiedziała Julia.

— Taki jej urok.

Objął ramieniem szczupłą talię dziewczyny. Jej biodro i udo przylegały do jego boku. Ich ciała nie spłodzą nigdy dziecka. Nie ma takiej możliwości. Swój sekret mogli przekazać dalej tylko za pomocą słów, z umysłu do umysłu. Kobieta w dole nie myślała, miała za to silne ramiona, gorące serce i płodne ciało. Zastanawiał się, ile urodziła dzieci. Z piętnastoro? Kwitła pewnie krótko, może rok, jak dzika róża, po czym szybko spuchła niczym zapłodniony owoc, stwardniała, poczerwieniała, stała się szorstka, a jej życie polegało odtąd na praniu, szorowaniu, cerowaniu, gotowaniu, zamiataniu, polerowaniu, naprawianiu, jeszcze raz szorowaniu i praniu — najpierw dla dzieci, potem dla wnuków, i tak przez trzydzieści lat. A mimo to nadal śpiewała. Niemal mistyczny podziw, który wobec niej odczuwał, mieszał się z obrazem osobliwie bladego, bezchmurnego nieba, rozciągającego się ponad kominami w nieskończoność. Ze zdziwieniem pomyślał, że niebo jest wspólne dla wszystkich — w Eurazji, Azji Wschodniej i tu. I ludzie pod tym niebem wszędzie do siebie podobni, na całym globie, setki tysięcy milionów ludzi. Tak samo nieświadomi nawzajem swojego istnienia, porozdzielani murami, nienawiścią, kłamstwami; wszyscy byli niemal identyczni, nie nauczyli się myśleć, ale w sercach, trzewiach i mięśniach magazynowali siłę, która pewnego dnia wstrząśnie światem. Jeśli istniała nadzieja, to w prolach! Choć nie przeczytał jeszcze *książki* do końca, spodziewał się, że takie musi być ostateczne przesłanie Goldsteina. Przyszłość należała do proli. Czy mógł jednak oczekiwać, że kiedy nadejdzie ich kolej, świat, który stworzą, będzie jemu, Winstonowi Smithowi, bliższy niż świat Partii? Tak, bo przynajmniej nie będzie to świat obłąkany. Tam, gdzie panuje równość, możliwy jest również trzeźwy ogląd rzeczywistości. Prędzej czy później to się wydarzy. Siła przerodzi się w świadomość. Prole byli nieśmiertelni, nie można było mieć co do tego wątpliwości, patrząc na tę dzielną postać w dole na podwórku. Ich przebudzenie w końcu nadejdzie. A do tego momentu, choćby miał nastąpić za tysiąc lat, wbrew wszelkim przeciwnościom losu pozostaną żywi jak ptaki, przekazując z ciała do ciała witalność, której Partia nie posiadała i której nie mogła zabić.

-- Pamiętasz — zapytał — tego drozda, który śpiewał dla nas tamtego pierwszego dnia na skraju lasu?

— Nie śpiewał dla nas — powiedziała Julia. — Śpiewał dla własnej przyjemności. Nie, to też nie. Po prostu śpiewał.

Ptaki śpiewały, prole śpiewali, Partia nie śpiewała. Jak świat długi i szeroki, w Londynie i w Nowym Jorku, w Afryce i w Brazylii, a także w tajemniczych, zakazanych krainach za granicami, na ulicach Paryża i Berlina, w wioskach na bezkresnych rosyjskich równinach, na chińskich i japońskich bazarach — wszędzie trwała ta sama masywna, niepokonana postać, wyniszczona przez pracę i porody, przez całe życie harująca bez wytchnienia, a mimo to rozśpiewana. Pewnego dnia z jej potężnych łędźwi narodzi się nowe, świadome pokolenie. Winston czuł, że zalicza się do umarłych, przyszłość należała do potomstwa tej kobiety. Ale czuł także, że on i Julia będą mieli swój udział w tej przyszłości — o ile przekażą dalej tajemną doktrynę, że dwa plus dwa równa się cztery.

— Jesteśmy martwi — powiedział Winston.

— Jesteśmy martwi — powtórzyła Julia posłusznie.

— Jesteście martwi — oznajmił żelazny głos za nimi.

Odskoczyli od siebie. Winston poczuł dojmujący chłód w trzewiach. Dostrzegł białka przerażonych oczu Julii. Jej twarz zrobiła się mlecznożółta. Resztki różu odcinały się od policzków, jakby kolor oddzielił się od skóry.

— Jesteście martwi — powtórzył żelazny głos.

— Dochodzi zza obrazu — wyszeptała Julia.

— Dochodzi zza obrazu — powtórzył głos. — Pozostańcie na swoich miejscach. Żadnych ruchów bez rozkazu.

Bunt, Nadzieja

Śpiew, Przemiana

Strach, Klęska, Zdrada,  
Szpieg

Zaczynało się, to się już zaczynało! Nic nie mogli zrobić, tylko stać w miejscu i patrzeć sobie w oczy. Uciekać, wybiec z domu, zanim będzie za późno — podobne myśli nawet nie przychodziły im do głowy. Nie posłuchać żelaznego głosu ze ściany — to było nie do pomyślenia. Rozległ się trzask, jakby coś odczepiano, a następnie brzęk tłuczonego szkła. Obraz spadł na podłogę, ukazując ukryty za nim teleekran.

— Teraz mogą nas widzieć — powiedziała Julia.

— Teraz możemy was widzieć — powtórzył głos. — Stańcie na środku pomieszczenia. Plecami do siebie. Ręce za głowę. Nie dotykać się.

Nie dotykali się, a mimo to Winston czuł, że ciało Julii dygocze. A może to on się trząsł. Udawało mu się powstrzymać szczykowanie zębów, nie miał jednak kontroli nad kolanami. W dole rozległo się tupanie buciorów, w środku i na zewnątrz. Na podwórku roilo się od ludzi. Ciągnięto coś po bruku. Śpiew kobiety urwał się raptownie. Rozległ się głośny, wibrujący brzęk, jakby balią rzucono o bruk, potem jakies gniewne wrzaski i wreszcie głośny krzyk bólu.

— Budynek jest otoczony — powiedział Winston.

— Budynek jest otoczony — powtórzył głos.

Usłyszał, jak Julia szczyka zębami.

— Przypuszczam, że możemy się pożegnać — powiedziała.

— Możecie się pożegnać — powtórzyło echo z teleekranu. A potem zupełnie inny głos, wysoki i kulturalny, który wydał się Winstonowi znajomy, dodał:

— A skoro już przy tym jesteśmy: „*To jest świeca, która świeci smutnie, oto tasak, co ci głowę utnie*”.

Za plecami Winstona coś spadło na łóżko. To drabina, wetknięta przez okno, wyważyła ramę. Ktoś się po niej wdrapywał. Tupot nóg na schodach. Pokój zapełnił się olbrzymimi, uzbrojonymi w pałki mężczyznami w czarnych uniformach i buciorach podkutych żelazem.

Winston przestał dygotać. Nie poruszał nawet oczami. Liczyło się tylko jedno: nie drgnąć, nie dać im pretekstu do bicia! Mężczyzna o gładkiej twarzy zawodowego zapalnika, w której usta były tylko cienką kreską, zatrzymał się naprzeciwko Winstona, z namysłem dzierżąc pałkę między kciukiem a palcem wskazującym. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Trzymając dłonie za głowę, z twarzą i ciałem odsłoniętym na ciosy, Winston czuł się potwornie bezbronny. Mężczyzna wystawił czubek białego języka, obliżał nieistniejące wargi i odszedł. Rozległ się kolejny huk. Ktoś podniósł ze stolika szklany przycisk do papieru i roztrzaskał go o płytę kominka.

Fragment koralowca — mały, różowy, pofałdowany — podobny do cukrowej różyczki z tortu, poturlał się po dywanie. Jaki maleńki, pomyślał Winston, jaki był zawsze maleńki! Usłyszał zza pleców głośne westchnięcie i łoskot, po czym coś uderzyło go w kostkę tak mocno, że omal nie stracił równowagi. Jeden z mężczyzn wymierzył Julii cios pięścią wprost w splot słoneczny; złożyła się jak suwmiarka i padła na ziemię. Wiła się po podłodze, walcząc o oddech. Winston nie ośmielił się ruszyć głową nawet o milimetr, lecz momentami kątem oka widział bladą twarz Julii i jej otwarte usta. Choć paraliżował go strach, czuł jej ból we własnym ciele, straszny ból, ale nie tak straszny jak potrzeba zaczerpnięcia powietrza. Wiedział, jak to jest — potworne cierpienie, przez cały czas obecne, którego się jednak na razie nie doświadcza, bo najpierw trzeba móc oddychać. Następnie dwóch mężczyzn złapało ją ręce i nogi i wyniosło z pomieszczenia jak worek. Winston zarejestrował jej odwróconą twarz, żółtą, wykrzywioną, o zamkniętych oczach, wciąż jeszcze ze śladami różu na policzkach; widział ją wtedy ostatni raz.

Stał zupełnie nieruchomo. Nikt go jeszcze nie uderzył. Przepływały mu przez głowę różne myśli, niekoniecznie ważne. Zadawał sobie pytanie, czy dorwali pana Charringtona. Zastanawiał się, co zrobili z prolką z podwórka. Zdał sobie sprawę, że pilnie potrzebuje oddać mocz, co go zaskoczyło, bo zrobił to dwie czy trzy godziny wcześniej. Zauważył, że zegar na kominku wskazuje dziewiątą, czyli dwudziestą pierwszą. Ale było zbyt jasno. Czy w sierpniowy wieczór o dwudziestej pierwszej nie powinno się ściemniać? Przyszło mu do głowy, że może pomylili z Julią godziny, może przespali całą noc i wydawało im się, że jest dwudziesta trzydzieści, podczas gdy naprawdę była ósma trzydzieści rano. Nie analizował tego dalej. Nie miało to żadnego znaczenia.

Rozpacz, Rozstanie,  
Cierpienie

Z korytarza dobiegły inne, nieco lżejsze kroki, po czym w pokoju zmaterializował się pan Charrington. Zachowanie mężczyzn w czarnych uniformach raptownie stało się bardziej uniżone. Coś zmieniło się także w wyglądzie pana Charringtona. Jego wzrok padł na fragmenty potłuczonego przycisku.

— Pozbierać to — powiedział ostro.

Jeden z osiłków pochylał się, żeby to zrobić. Znikł charakterystyczny akcent, a Winston zdał sobie sprawę, czyj głos usłyszał parę chwil wcześniej z teleekranu. Pan Charrington nadal miał na sobie starą, aksamitną marynarkę, ale jego włosy, wcześniej całkiem siwe, były teraz czarne. Nie nosił też okularów. Rzucił Winstonowi pojedyncze spojrzenie, jakby sprawdzał jego tożsamość, potem już nie zwracał na niego uwagi. Dało się w nim rozpoznać starego sklepikarza, w sumie jednak był zupełnie innym człowiekiem, wyprostowanym i jakby wyższym. Na twarzy uwidoczniły się tylko drobne zmiany, które jednak składały się na całkowite przeobrażenie. Czarne brwi nie były już krzaczaste, znikły zmarszczki, rysy uległy metamorfozie, nos sprawiał wrażenie krótszego. Była to czujna, lodowata twarz mężczyzny mniej więcej trzydziestopięcioletniego. Do Winstona dotarło, że oto pierwszy raz świadomie spogląda w twarz agenta myślopolicii.

Szpieg, Maska

# CZĘŚĆ III

## I

Winston nie wiedział, gdzie jest. Przypuszczalnie znajdował się w Ministerstwie Miłości, jednak nie było sposobu, żeby to sprawdzić.

Zamknięto go w pozbawionej okien celi o ścianach pokrytych błyszczącą, białą glazurą. Ukryte lampy zalewały pomieszczenie zimnym światłem. Do jego uszu nieprzerwanie dobiegał cichy szum, zapewne wydawany przez urządzenia pompujące powietrze. W pomieszczeniu były dwie pary drzwi, a naprzeciwko nich pozbawiony deski klozet; wzdłuż muru biegła ławka czy też półka — tak wąska, że ledwo dało się na niej usiąść. Z każdej ściany wyzierał teleekran.

Od momentu, kiedy zapakowano go na ciężarówkę i wywieziono, Winstonowi towarzyszył tępy ból brzucha. Mimo to odczuwał potworny, dręczący głód. Minęły 24 godziny, może nawet 36, odkąd ostatni raz coś zjadł. Nadal nie wiedział i przypuszczał, że już się nie dowie, czy do aresztowania doszło rano czy wieczorem; od tamtej pory nie dostał nic do jedzenia.

Siedział na wąskiej ławce tak nieruchomo, jak tylko się dało, z dłońmi skrzyżowanymi na kolanie. Nauczył się już, że każdy gwałtowniejszy ruch prowokował wrzask teleekranów. Jednak głód stawał się coraz silniejszy. Marzył o kromce chleba. Pomyślał, że w kieszeniach kombinezonu mogły zostać jakieś okruchy. A nawet — przyszło mu to do głowy, bo od czasu do czasu coś łaskotało go w udo — większy kawałek skórki. Pokusa, żeby to sprawdzić, stała się w końcu silniejsza od lęku; wsunął rękę do kieszeni.

— Smith! — wrzasnął głos z teleekranu. — 6079 Smith W! W celi nie wolno wkładać rąk do kieszeni!

Winston usiadł, ponownie składając dłonie na kolanie. Zanim trafił w to miejsce, najpierw zawieziono go gdzie indziej; było to chyba zwykle więzienie lub może areszt tymczasowy. Nie wiedział, jak długo tam przebywał — zapewne parę godzin. Ponieważ w pomieszczeniu nie było zegara i nie docierało doń światło z zewnątrz, oszacowanie upływu czasu nastęrczało trudności. Było to wypełnione zgiełkiem, potwornie śmierdzące miejsce. Cella przypominała tę, w której znajdował się obecnie, tylko było tam bardzo brudno i przez cały czas w środku tłoczyła się dziesiątka czy piętnastka ludzi. W większości byli to drobni przestępcy, ale zauważył także kilku więźniów politycznych. Winston siedział w milczeniu, oparty o ścianę, szturchany raz po raz przez brudne ciała, zbyt pochłonięty strachem i bólem brzucha, żeby zwracać szczególną uwagę na otoczenie. Mimo to uderzyła go różnica między zachowaniem członków Partii i innych więźniów. Ci pierwsi byli cisi i przerażeni, podczas gdy zwykli przestępcy sprawiali wrażenie, jakby nikogo się nie bali. Łżyli strażników, szamotali się zaciekle, kiedy odbierano im dobytek, wypisywali wulgarne słowa na podłodze, jedli przemycone jedzenie, które wyjmowali z najrozmaitszych zakamarków odzieży, a nawet przekrzykiwali głos z teleekranu, kiedy ten próbował zaprowadzić dyscyplinę. Niektórzy najwyraźniej pozostawali w dobrych stosunkach ze strażnikami — zwracali się do nich poufale i próbowali wyłudzać papierosy przez judasza. Z kolei strażnicy okazywali zwykłym więźniom sporą cierpliwość, nawet wtedy, gdy musieli używać siły. Rozmowy najczęściej dotyczyły obozów pracy przymusowej, do których większość osadzonych spodziewała się trafić. Jak wynioskował, życie w takim obozie mogło być całkiem „znośne”, o ile człowiek miał znajomości i potrafił sobie radzić. Trzeba było dawać łapówki, umieć wkupić się w łaski odpowiednich osób i kombinować. Kwitła prostytutka i homoseksualizm, dostępny był także nielegalny alkohol, robiony z ziemniaków. Tylko zwykli przestępcy, zwłaszcza gangsterzy i mordercy, pełnili uprzywilejowane funkcje w obozach — stanowili tam coś w rodzaju arystokracji. Najcięższe prace przypadały więźniom politycznym.

Przez celę przewijały się dziesiątki zatrzymanych rozmaitego autoramentu. Byli wśród nich handlarze narkotyków, złodzieje, bandyci, kombinatorzy z szarej strefy, prostytutki i pijacy. Ci ostatni bywali tak agresywni, że pozostali więźniowie musieli łączyć siły, żeby ich okiełznać. W pewnym momencie wprowadzono otyłą, wyniszczoną kobietę koło sześćdziesiątki, z ogromnymi, obwisłymi piersiami i gęstą, siwą czupryną, rozczochra-

Więzień, Więzienie, Głód

Więzień, Więzienie

na podczas szarpaniny z czterema strażnikami, przytrzymującymi ją ze wszystkich stron. Ściągnęli jej buciory, bo wrzeszcząc jednocześnie próbowała ich skopać, i pchnęli ją Winstonowi na kolana, co niemal doprowadziło do zmiżdżenia jego kości udowych. Kobieta wyprostowała się i krzyknęła im jeszcze na pożegnanie, że są „p... sukinsynami”. Potem zorientowała się, że siedzi na jakimś nierównym podłożu i ześlizgnęła się z kolan Winstona na ławkę.

— Wybacz, skarbie — powiedziała. — Nie usiadłabym na tobie, tylko te lachudry tak mnie urządziły. Nie wiedzą, jak obchodzić się z damą, co nie? — Urwała, poklepała się po piersi i beknęła. — Wybacz. Ale coś żem nieswoja.

Pochyliła się i obficie zwymiotowała na podłogę.

— Już lepiej — powiedziała, opierając się o ścianę z przymkniętymi oczami. — Zawsze mówię, że po co ma się kisić. Wyrzucić z żołądka póki świeże, co nie?

Odżyła, odwróciła się do Winstona, żeby mu się lepiej przyjrzeć, i chyba jej się spodobał. Objęła go ogromnym ramieniem i przyciągnęła do siebie, zionąc prosto w twarz piwem i wymiocinami.

— Jak cię zwa, skarbie?

— Smith — odpowiedział.

— Smith? — zdziwiła się. — A to dopiero. Ja też jestem Smith. No proszę — dodała melancholijnie — mogłabym być twoją matką.

Istotnie, pomyślał Winston, mogłaby być jego matką. Wiek się zgadzał, typ budowy także, poza tym dwadzieścia lat w obozie pracy pewnie zmieniało człowieka.

Nikt inny nie odezwał się do niego. Dziwiło go, że inni więźniowie tak zupełnie ignorowali politycznych. Z pogardliwą obojętnością nazywali ich „policichami”. Za to polityczni byli naprawdę przerażeni. Nie rozmawiali z nikim, a już z pewnością nie pomiędzy sobą. Tylko raz, kiedy w wyniku panującego ścisku dwie kobiety z Partii przyłgnęły do siebie na ławce, Winston zdołał usłyszeć kilka pospiesznie wyszeptanych słów. Zwrócił uwagę na wzmiankę o pokoju „sto jeden”, której sensu nie zrozumiał.

Przywieźli go tu dwie czy trzy godziny temu. Tępy ból brzucha nie opuszczał Winstona ani na chwilę, ale na przemian stawał się to mniej, to bardziej dokuczliwy; odpowiednio do tego rytmu raz kurczył się, a raz poszerzał zakres jego myśli. W gorszych momentach miał w głowie tylko ból i głód. W lepszych zaczynał panikować. Chwilami tak realistycznie wyobrażał sobie, co go czeka, że serce zaczynało łomotać mu w piersi, aż tracił oddech. Czuł uderzenia pałek na łokciach i kopniaki podkutych żelazem buciorów na łydkach. Widział samego siebie, jak wije się po podłodze, błagając o litość przez wybite zęby. Prawie nie myślał o Julii. Nie mógł się na niej skupić. Kochał ją, wiedział, że jej nie zdradzi, ale to były tylko fakty abstrakcyjne jak reguły arytmetyki. Nie czuł miłości, nie zastanawiał się, co się teraz dzieje z Julią. Częściej myślał o O'Brienie — z przeblyskami nadziei. O'Brien z pewnością wie, że Winston został zatrzymany. Co prawda mówił, że Bractwo nigdy nie próbuje ratować swoich członków, ale Winston liczył na żyletkę. Przysła ją, jeśli tylko zdołają. Winston będzie miał może pięć sekund, zanim strażnicy wtargną do celi. Wyobraził sobie palący chłód ostrza, kiedy wnika głęboko w mięśnie i rozcina je do kości, raniąc także zaciśnięte na nim palce. Wszystko sprowadzało się do jego nędznego ciała, kurczącego się z drżeniem na myśl o najlżejszym bólu. I w końcu nie był pewien, czy zdoła użyć żyletki, nawet jeśli dostanie taką szansę. Bardziej naturalnie przychodziło mu trwanie — chwila po chwili — i chwytanie kolejnych dziesięciu minut życia mimo świadomości, że na końcu czekają go tortury.

Chwilami próbował liczyć płytki na ścianach celi. To powinno być łatwe, ale za każdym razem tracił w końcu rachubę. Przez większość czasu próbował odgadnąć, gdzie się znajduje i jaka to pora dnia. Raz wydawało mu się, że świeci słońce, ale już za chwilę dałby głowę, że na zewnątrz jest zupełnie ciemno. Instynktownie czuł, że światła w celi nigdy nie są wyłączane. Było to miejsce pozbawione mroku; teraz już wiedział, dlaczego O'Brien sprawiał wrażenie, jakby rozumiał tamtą aluzję. W Ministerstwie Miłości nie było okien. Cella Winstona równie dobrze mogła znajdować się w środku budynku, jak i przy jednej z jego zewnętrznych ścian, dziesięć pięter pod ziemią lub trzydzieści nad nią. Przemieszczał się w myślach z miejsca na miejsce, próbując na podstawie doznań



cielesnych określić, czy znajduje się wysoko w powietrzu czy głęboko pod powierzchnią ziemi.

Na zewnątrz rozległ się stukot maszerujących buciorów. Szczęknęły stalowe drzwi. Dziarskim krokiem wszedł do celi młody oficer o bladej, nijakiej twarzy, przywodzącej na myśl woskową maskę. Miał na sobie nieskazitelny, czarny mundur, który lśnił, jakby uszyto go z lakierowanej skóry. Skinieniem głowy nakazał eskortie strażników wprowadzenie nowego więźnia. Powłócząc nogami, do celi wszedł poeta Ampleforth. Ponownie dało się słyszeć nieprzyjemne szczęknięcie.

Ampleforth wykonał kilka zdezorientowanych ruchów, jakby szukał drugich drzwi, przez które mógłby wyjść, następnie zaczął chodzić w tę i z powrotem po celi, nie zauważając Winstona. Jego zmartwione oczy ślizgały się po ścianie mniej więcej metr nad głową współwięźnia. Był boso; duże, brudne paluchy wystawały przez dziury w skarpetkach. Ewidentnie nie golił się od paru dni. Szczeciniasty zarost pokrywał twarz aż po kości policzkowe, co przydawało mu łobuzerskiego charakteru, kontrastującego z dużym, ale słabym ciałem i nerwowymi ruchami.

Winston poniekąd wybudził się z letargu. Musi odezwać się do Amplefortha, nawet ryzykując, że sprowokuje to wrzask teleekranu. Niewykluczone, że Ampleforth przyniósł żyłkę.

— Ampleforth — powiedział.

Teleekran nie zareagował. Ampleforth przystanął, nieco zdziwiony. Jego wzrok powoli przesunął się na Winstona.

— O, Smith — powiedział. — Ty też!

— Za co cię zamknęli?

— Prawdę mówiąc... — Usiadł niezgrabnie na ławce naprzeciwko Winstona. — Jest tylko jedna zbrodnia, nieprawdaż?

— I popełniłeś ją?

— Najwyraźniej tak.

Położył sobie dłoń na czole i przez chwilę uciskał skronie, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

— To może się zdarzyć każdemu — zaczął niepewnie. — Odgrzebałem w pamięci sytuację, o którą może chodzić. Z pewnością postąpiłem wtedy bardzo nierozważnie. Przygotowywaliśmy ostateczne wydanie wierszy Kiplinga<sup>83</sup>. Pozwoliłem, żeby na końcu wersu zostało słowo „Bóg”. Nie miałem innego wyjścia! — dodał prawie oburzonym tonem, podnosząc wzrok na Winstona. — Nie mogłem tego zmienić, bo wersy musiały się rymować. Wybierałem spośród zaledwie kilkunastu możliwości, jakie dawał mi język. Tygodniami wysilałem mózg, ale nic innego nie miało sensu.

Wyraz twarzy poety od razu uległ zmianie. Złość znikła i przez moment sprawiał wrażenie niemal radosnego. Mimo brudu i zarostu biło od niego jakieś intelektualne ciepło — zadowolenie pedanta, który dokonał nikomu niepotrzebnego odkrycia.

— Przyszło ci kiedyś do głowy — spytał — że na historię poezji angielskiej wpłynęła ograniczona liczba rymów w tym języku?

Nie, akurat ta myśl nigdy nie zaświtała w głowie Winstona. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, nie wydała mu się też szczególnie ważna czy ciekawa.

— Wiesz może, która godzina?

Ampleforth ponownie wyglądał na zaskoczonego.

— Prawie o tym nie myślałem. Zgarnęli mnie może dwa dni temu... Albo trzy. — Jego wzrok ślizgał się po ścianach, jakby miał nadzieję, że wypatrzy okno. — Tu nie da się rozróżnić dnia i nocy. Nie mam pojęcia, jak mielibyśmy mierzyć czas.

Przez kilka minut prowadzili urywaną rozmowę, następnie, bez wyraźnej przyczyny, z jednego z teleekranów wrzasnął głos, nakazujący im zachowanie milczenia. Winston siedział spokojnie ze skrzyżowanymi rękami. Ampleforth był za duży, żeby przyjąć wygodną pozycję na wąskiej ławce, toteż kręcił się, obejmując długimi ramionami to jedno, to drugie kolano. Teleekran szczęknął na niego, zabraniając poruszania się. Czas płynął. Minęło dwadzieścia minut albo godzina — nie potrafili tego ocenić. Z zewnątrz ponownie dobiegł odgłos ciężkich kroków. Winston poczuł, jak wszystko się w nim skręca.

<sup>83</sup>Kipling, Rudyard (1865–1936) — angielski prozaik i poeta. [przypis edytorski]

Niedługo, bardzo niedługo, może za pięć minut, może już teraz, tupanie będzie oznaczało jego kolej.

Drzwi otworzyły się. Wszedł młody oficer o zimnej twarzy. Zniecierpliwionym gestem dłoni skinął na Amplefortha.

— Pokój 101 — powiedział.

Ampleforth wymaszerował niezdarne pomiędzy strażnikami. Jego twarz wyrażała niepokój, ale przede wszystkim brak zrozumienia.

Winston miał wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu. Ból brzucha nasilił się. Jego myśli kręciły się w kółko po jednym torze jak bile, wpadające raz po raz do tych samych otworów. Zajmowało go tylko sześć kwestii: ból brzucha, kawałek chleba, krew i krzyki, O'Brien, Julia oraz żyletka. Kolejny raz poczuł skurcz żołądka, z zewnątrz ponownie dobiegło stukanie buciorów. Kiedy drzwi się otworzyły, wywołany ich ruchem powiew powietrza przyniósł silny odór zimnego potu. Do celi wszedł Parsons. Miał na sobie szorty w kolorze khaki i sportową koszulkę.

Winston był tak zszokowany, że na moment zapomniał o sobie.

— Ty tutaj?

Parsons rzucił Winstonowi spojrzenie, w którym nie było ani ciekawości, ani zaskoczenia — jedynie cierpienie. Maszerował nerwowo po celi, ewidentnie nie mogąc usiedzieć w miejscu. Za każdym razem, kiedy prostował swoje grube kolana, było widać, że drżą. Szeroko otwarte oczy sprawiały wrażenie, jakby wpatrywał się w jakiś umiarkowanie oddalony przedmiot.

— Za co cię zgnęli? — spytał Winston.

— Za myślozbrodnię — odpowiedział Parsons, prawie łkając. Ton jego głosu wyrażał jednocześnie całkowite przyznanie się do winy i pełne niedowierzania przerażenie, że to słowo może odnosić się do niego. Przystanął naprzeciwko Winstona i zaczął gorączkowo zadawać pytania: — Nie rozstrzelają mnie, co, stary? Nie rozstrzeliwują, jeśli nic się w sumie nie zrobiło. To tylko myśli, na które nic przecież nie poradzisz. Wiem, że mnie wysłuchają i potraktują sprawiedliwie. Ufam im całkowicie! Będą przecież mieli moją teczkę, prawda? Ty wiesz, jaki ze mnie człowiek, wiesz, że jestem w porządku; to prawda, niezbyt bystry, ale wierny. Staram się, jak mogę, ty to wiesz, tak? Może wlepią mi pięć lat, jak myślisz? Albo dziesięć? Mógłbym się przydać w obozie pracy. Przecież nie rozstrzelają mnie za jeden błąd?

— Jesteś winny? — zapytał Winston.

— Oczywiście, że jestem winny! — zawołał Parsons, zerkając uniżenie w stronę teleekranu. — Chyba nie sądzisz, że Partia aresztowałaby niewinnego człowieka? — Jego żabia twarz uspokoiła się, a nawet przyjęła nieco nabożny wyraz. — Myślozbrodnia to potworna rzecz, staruszkę — wygłosił sentencjonalnie. — Bardzo podstępna. Może cię dopaść bez twojej wiedzy. Wiesz, jak mnie dopadła? We śnie! Taka jest prawda. Uczciwie pracowałem, starałem się mieć swój wkład, nie przyszło mi do głowy, że mógłbym mieć jakieś złe treści w umyśle. Aż zacząłem gadać przez sen. Wiesz, co powiedziałem?

Ściszył głos jak ktoś, kto ze względów medycznych musi użyć brzydkiego słowa.

— „Precz z Wielkim Bratem!”. Tak, powiedziałem to! Podobno powtórzyłem to wiele razy. Między nami, cieszę się, że mnie dopadli, zanim to poszło dalej. Wiesz, co im powiem, kiedy stanę przed trybunałem? Powiem: „Dziękuję, dziękuję, że mnie uratowaliście, zanim było za późno”.

— Kto na ciebie doniósł? — zapytał Winston.

— Moja mała — powiedział Parsons z bolesną dumą. — Podsluchiwała przez dziurkę od klucza. Usłyszała, co mówię, i następnego dnia popędziła na policję. Siedmiolatka, a popatrz jaka bystra! Nie mam żalu. Przeciwnie, jestem z niej dumny. Widać, że wychowałem ją jak trzeba.

Trochę się jeszcze pokręcił po celi, kilka razy spoglądając tęsknie na klozet. Nagle spuścił szorty.

— Wybacz, stary — powiedział. — Nie wytrzymuję tego czekania.

Usadowił swój pulchny tyłek na desce. Winston zasłonił twarz dłońmi.

— Smith! — wrzasnął głos z teleekranu. — 6079 Smith W! Odsłonić twarz. W celi nie wolno zasłaniać twarzy.

Wina, Zdrada, Dziecko,  
Szpieg, Sen, Duma

Ciało

Winston odkrył oblicze. Parsons skorzystał z klozetu hałaśliwie i obficie. Okazało się, że spłuczka nie działa, w celi okropnie później śmierdziało przez długie godziny.

Parsonsa wyprowadzono. Pojawiali się coraz to nowi więźniowie, którzy potem znikali, zabierani nie wiadomo dokąd. Pewną kobietę wysłano do pokoju 101, Winston zauważył, że słysząc ten werdykt, jakby skurczyła się i zbladła. Czas mijał. Jeśli trafił tu rano, nastąpiło popołudnie, jeśli po południu — północ. W celi znajdowała się szóstka więźniów obojga płci. Wszyscy siedzieli nieruchomo. Naprzeciwko Winstona tkwił tłusty mężczyzna o dużych zębach, przypominający jakiegoś sporego, nieszkodliwego gryzonia. Jego obfite, pokryte plamami policzki były tak pękate, jakby zgromadził tam zapasy jedzenia. Bładoszare oczy lekko przesuwają się po twarzach pozostałych aresztantów; kiedy napotkał czyjeś spojrzenie, szybko odwracał wzrok.

Otworzyły się drzwi i wprowadzono kolejnego więźnia; jego wygląd na moment zmroził Winstona. Był to zwykły człowiek o prostackim wręcz wyglądzie — pewnie jakiś inżynier czy technik. Uderzało jednak wychudzenie jego twarzy, która przypominała czaszkę. Z powodu tego wycieńczenia oczy i usta zdawały się nieproporcjonalnie duże, w dodatku w jego ogromnych ślepiach czaiła się mordercza, nienasycona nienawiść.

Mężczyzna przysiadł na ławce obok Winstona. Ten ostatni nie spojrzał już na niego, ale widział tę udręczoną, trupa twarz, zupełnie jakby miał ją przed oczami. Nagle zrozumiał — mężczyzna umierał z głodu. Wszyscy więźniowie w jednej chwili pomyśleli o tym samym. Na całej długości ławki dało się odczuć lekkie poruszenie. Tłuszcioch na przemian to zerkał na mężczyznę z trupa głową, to odwracał wzrok z wyrazem poczucia winy, malującym się na twarzy. Ewidentnie widok kościotrupa przyciągał jego spojrzenie. Nagle zaczął wiercić się na swoim miejscu. W końcu wstał, przeszedł się kaczym chodem przez celę, sięgnął do kieszeni kombinezону i nieśmiało podał tamtemu kawałek chleba.

Wściekły, ogłuszający ryk wylał się z teleekranu. Gruby podskoczył. Kościotrup szybko schował ręce za plecami, jakby chciał pokazać całemu światu, że nie przyjął podarunku. — Bumstead! — grzmiał głos. — 2712 Bumstead J! Puść ten kawałek chleba.

Gruby mężczyzna rzucił chleb na podłogę.

— Pozostań na swoim miejscu — powiedział głos. — Patrz na drzwi. Nie ruszaj się.

Mężczyzna usłuchał. Duże, pękate policzki drżały niepohamowanie. Drzwi otworzyły się ze szczyknięciem. Wszedł młody oficer, po czym usunął się na bok; wtedy wyłonił się zza niego niski, ale barczysty strażnik. Zajął pozycję naprzeciwko grubasa, a następnie, na sygnał oficera, z całej siły uderzył go w twarz. Cios zwałił grubego z nóg. Przeleciał przez celę i wylądował przy klozecie. Przez moment leżał jak ogłuszony, z ust i nosa ciekła mu ciemna krew. Wydał z siebie, chyba nieświadomie, cichy jęk czy pisk. Przekręcił się na brzuch, a następnie unióś się niepewnie na ręce i kolana. Wraz ze strumieniem śliny i krwi wypadły mu z ust dwie połówki protezy dentystycznej.

Pozostali więźniowie siedzieli całkowicie nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na kolanach. Tłuszcioch wdrapał się z powrotem na swoje miejsce. Twarz pociemniała mu z jednej strony. Usta spuchły — były teraz bezkształtną, wiśniową masą z ciemnym otworem pośrodku. Krew kapała powoli na przód jego kombinezону. Oczy nadal ślizgały się po twarzach, z jeszcze większą niepewnością, jakby próbował ocenić, jak bardzo inni gardzili nim z powodu upokorzenia, którego właśnie doznał.

Drzwi znowu się otworzyły. Ledwo dostrzegalnym gestem oficer wskazał kościotrupa.

— Pokój 101 — powiedział.

Obok Winstona rozległ się szloch, po czym nastąpiło poruszenie. Mężczyzna padł na kolana i złożył dłonie.

— Towarzyszu! Oficerze! — zawołał. — Nie musicie zabierać mnie w to miejsce! Wszystko już przecież powiedziałem! Co jeszcze chcecie wiedzieć? Wyznam wszystko, wszystko! Powiedźcie tylko, do czego mam się przyznać, a natychmiast to zrobię! Napiszcie na kartce, ja się podpiszę. Pod wszystkim! Tylko nie pokój 101!

— Pokój 101 — powiedział oficer.

Winston nie sądził, że ludzka twarz może przybrać taki kolor, jaki miała w tym momencie twarz chuderlaka. Już przedtem był bardzo blady, a teraz dosłownie pozieleniał.

— Zróbcie ze mną, co chcecie! — krzyczał. — Głodzicie mnie od tygodni. Dokończcie dzieła i pozwólcie mi umrzeć. Zastrzelcie mnie. Powieście. Skażcie na dwadzieścia pięć

Głód, Ciało

Strach

Kondycja ludzka

lat. Czy mam jeszcze kogoś wydać? Powiedzcie kogo, zeznam, co tylko chcecie. Wszystko mi jedno, kto to będzie i co z nim zrobicie. Mam żonę i troje dzieci. Najstarsze nie ma jeszcze sześciu lat. Przywieźcie tu wszystkich troje, poderżnijcie im gardła na moich oczach, będę się przyglądał. Tylko nie 101!

— Pokój 101 — powtórzył oficer.

Mężczyzna rozpaczliwie rozglądał się po współwięźniach, jakby miał nadzieję, że straszny los może jednak przypaść w udziale komuś innemu. Zatrzymał wzrok na rozkwaszonej twarzy tłusciocha. Wskazał go chudą ręką.

— Jego powinniście zabrać, nie mnie! — krzyczał. — Nie słyszeliście, co powiedział zaraz po tym, jak dostał w twarz. Dajcie mi szansę, a powtórzę każde jego słowo. To *on* jest wrogiem Partii, nie ja. — Strażnicy postąpili o krok naprzód, a wtedy głos mężczyzny przeszedł w piskliwy wrzask. — Nie słyszeliście! — powtórzył. — Coś się popsuło w teleekranie. To o *niego* wam chodzi. Jego weźcie, nie mnie!

Dwóch potężnych strażników pochyliło się, żeby schwycić go za ramiona. Chuderlak padł się na podłogę celi i złapał żelazny wspornik, mocujący ławkę do podłogi, wyjąc przy tym jak zwierzę. Strażnicy zaczęli go szarpać, ale trzymał się z tak zadziwiającą siłą, że nie mogli go oderwać. Trwało to ze dwadzieścia sekund. Współwięźniowie siedzieli w milczeniu z dłońmi skrzyżowanymi na kolanach, patrząc prosto przed siebie. Wycie ucichło, mężczyźni najwyraźniej brakowało tchu, mimo to nie dawał za wygraną. Nagle zaskowyczał. Jeden ze strażników kopniakiem zmiażdżył mu dłoń. Podnieśli chudzielca z podłogi.

— Pokój 101 — powiedział oficer.

Mężczyznę wyprowadzono. Szedł chwiejnym krokiem z pochyloną głową, ściskając pogruchotane palce. Uszła z niego wola walki.

Minęło sporo czasu. Jeśli kościotrupa wyprowadzono o północy, nastał już rano, jeśli zabrano go rano, minęło południe. Winston od kilku godzin był w celi sam — tak obolały od siedzenia na wąskiej ławce, że chwilami wstawał i chodził. Teleekran nie reagował. Kawalek chleba nadal leżał tam, gdzie upuścił go tłuscioch. Z początku Winston musiał bardzo się wysilać, żeby na niego nie patrzeć, z czasem jednak głód ustąpił miejsca pragnieniu. Czuł obrzydliwą lepkość w ustach. Niezmiennie, białe światło w połączeniu z miarowym szumem męczyły go, w głowie miał kompletną pustkę. Ból kości stawał się nie do wytrzymania, więc wstawał, po czym od razu z powrotem opadał na ławkę, bo zaczynało mu się kręcić w głowie. Kiedy tylko doznania fizyczne stawały się nieco znośniejsze, opanowywała go trwoga. Od czasu do czasu z przygasającą nadzieją przypominał sobie o O'Brienie i żyletce. Może zostanie ona dostarczona w jedzeniu, o ile kiedykolwiek zdecydują się go nakarmić. Bardziej mgliście myślał o Julii. W jakimś nieznanym mu miejscu ona też cierpi — może jeszcze gorsze męki. Może akurat teraz krzyczy z bólu. Zastanawiał się: „Gdybym mógł ocalić Julię, pomnażając własne cierpienie, zrobiłbym to? Tak, z pewnością bym to zrobił”. Ale była to decyzja ściśle intelektualna; tak zdecydował, bo wiedział, że tak właśnie należy postąpić. Nie wynikało to z uczucia. Tu, gdzie się znalazł, nie dało się odczuwać niczego poza bólem i strachem przed bólem. Poza tym, kiedy naprawdę się cierpi, czy można — z jakiegokolwiek powodu — pragnąć jeszcze większego cierpienia? Na razie nie znał odpowiedzi.

Znów rozległy się kroki. Ponownie otworzyły się drzwi. Do celi wszedł O'Brien.

Winston zerwał się na równe nogi. Był w takim szoku, że zupełnie stracił czujność. Pierwszy raz od wielu lat zapomniał o obecności teleekranu.

— Was też dopadli! — wykrzyknął.

— Dopadli mnie dawno temu — odparł O'Brien z łagodną, niemal smutną ironią. Odsunął się na bok. Do celi wszedł masywnie zbudowany strażnik z czarną pałką w rękę.

— Wiedziałeś o tym, Winstonie — powiedział O'Brien. — Nie oszukuj się. Wiedziałeś, od samego początku.

Owszem, teraz dotarło do niego, że wiedział od początku. Ale nie miał czasu, żeby się nad tym w tej chwili zastanawiać. Jego myśli zaprzętała wyłącznie pałka w dłoni strażnika. Cios może dosięgnąć każdej części ciała. Czubka głowy, ucha, ramienia, łokcia...

Łokieć! Upadł na kolana jak sparaliżowany, drugą ręką ściskając eksplodującą bólem kość. Zrobiło mu się białe przed oczami. Niewiarygodne, że jeden cios może wywołać taki ból! Biel rozproszyła się, widział teraz patrzących na niego z góry dwóch mężczyzn.

Strach, Głód, Poświęcenie,  
Cierpienie

Przyjaźń, Zdrada,  
Spotkanie, Ironia

Cierpienie, Okrucieństwo

Strażnika bawiło cierpienie więźnia. Jedno przynajmniej stało się jasne. Nigdy, z żadnego powodu nie da się pragnąć jeszcze większego cierpienia. Wobec bólu można mieć tylko jedno pragnienie — żeby ustał. Nic na świecie nie jest tak straszne jak ból fizyczny. W jego obliczu nikt nie jest bohaterem. Nikt nie jest bohaterem, powtarzał sobie, wijąc się na podłodze i nadaremnie przyciskając do tułowia rozbite lewe ramię.

## 2

Leżał na czymś w rodzaju pryczy — z tym że znacznie wyższym; w dodatku był do niej przymocowany w taki sposób, że nie mógł się poruszyć. Lampa świeciła mu w twarz jeszcze mocniej niż zwykle. Obok, wpatrując się intensywnie w Winstona, stał O'Brien. Po drugiej stronie znajdował się mężczyzna w białym fartuchu ze strzykawką w ręku.

Choć Winston zdołał już otworzyć oczy, powoli przyswajał szczegóły otoczenia. Wydawało mu się, że wpłynął do tego pomieszczenia z jakiegoś innego, podwodnego świata, znajdującego się gdzieś bardzo głęboko. Nie miał pojęcia, jak długo tam przebywał. Od momentu aresztowania nie zarejestrował ani mroku, ani światła dziennego. Poza tym miał luki w pamięci. W niektórych momentach świadomość — nawet tak ograniczona, jaką zachowuje się we śnie — urywała się zupełnie, żeby następnie powrócić po interwale pustki. Ale czy te przerwy trwały dni, tygodnie czy sekundy, tego nie wiedział.

Koszmar zaczął się od pierwszego uderzenia w łokieć. Dopiero później Winston zdał sobie sprawę, że wszystko, co działo się przedtem, było zaledwie wstępem, rutynowym przesłuchaniem, jakiemu poddawano prawie wszystkich więźniów. Istniało szerokie spektrum zbrodni — szpiegostwo, sabotaż i tym podobne — do których wszyscy obowiązkowo musieli się przyznać. Stanowiło to czystą formalność, choć tortury były jak najbardziej rzeczywiste. Nie pamiętał, ile razy był bity ani jak długo to trwało. Przez cały czas pastwiło się nad nim jednocześnie pięciu lub sześciu strażników w czarnych uniformach. Bito go pięściami, pałkami, stalowymi prętami, kopano ciężkimi buciorami. Chwilami pełzał po podłodze, nie odczuwając już nawet wstydu, jak zwierzę, wykręcając ciało w bezcelowej, raz po raz podejmowanej próbie uniknięcia ciosów, czym prowokował kolejne — w żebra, brzuch, łokcie, łydki, pachwiny, jądra, kość ogonową. Czasami bicie ciągnęło się tak długo, że najbardziej okrutne, niegodziwe, niewybaczalne wydawało mu się nie to, że strażnicy nie przestawali go torturować, lecz fakt, iż nie umiał stracić przytomności. Zdarzało się, że kompletnie zawodziły go nerwy i zaczynał błagać o litość, zanim jeszcze bicie się rozpoczęło; wystarczył widok zaciśniętej pięści, a wylewał się z niego potok rzeczywistych i fikcyjnych przewin. Kiedy indziej postanawiał nie przyznawać się do niczego, wówczas każde słowo musieli wydobywać z niego pomiędzy krzykami bólu. Czasem decydował się na nieśmiały kompromis i mówił sobie: „Przyznam się, ale jeszcze nie teraz. Muszę wytrzymać, aż ból stanie się nieznośny. Jeszcze trzy kopniaki, jeszcze dwa, wtedy powiem wszystko, co tylko chcą”. Bywało, że bili go, aż nie mógł ustać na nogach, a wtedy rzucali niczym worek ziemniaków na kamienną podłogę celi i zostawiali na parę godzin, żeby doszedł do siebie. Następnie tortury zaczynały się od nowa. Zdarzały się także dłuższe przerwy. Pamiętał je jak przez mgłę, bo w tych momentach przeważnie zasypiał lub popadał w odrętwienie. Przypominał sobie celę, wyposażoną w pryczę z desek — coś w rodzaju sterczącej ze ściany półki — i blaszaną umywalkę, a także posiłki, składające się z gorącej zupy, chleba, czasem nawet kawy. Pamiętał gburowatego fryzjera, zeskrobującego mu zarost i przycinającego włosy, oraz służbistych, niesympatycznych mężczyzn w białych fartuchach, którzy sprawdzali jego puls i odruchy, zaglądali pod powieki, szorstkimi dłońmi obmacywali całe ciało w poszukiwaniu połamanych kości, wreszcie wbijali igłę w ramię, żeby podać środek nasenny.

Z czasem tortury stały się rzadsze, działały raczej na zasadzie groźby, stale wiszącej nad głową. W każdej chwili Winston mógł zostać odesłany z powrotem do piekła; wystarczyło, że udzielił niezadowolającej odpowiedzi. Nie przesłuchiwali go już drągałe w czarnych uniformach, tylko partyjne wykształciuchy, niscy, pękaci mężczyźni o szybkich ruchach i oczach uzbrojonych w połyskujące okulary. Męczyli go na zmianę, każdy dyżur trwał — jak to Winston oceniał, bo nie mógł mieć pewności — od dziesięciu do dwunastu godzin. Ci nowi oprawcy stawiali sobie za cel, żeby stale odczuwał umiarkowany ból, ale to nie on był ich podstawowym narzędziem. Bili go po twarzy, wykręcali uszy, wry-

Więzień, Czas

Więzień, Cierpienie,  
Kondycja ludzka, Ciało

Kondycja ludzka,  
Cierpienie, Wina

wali włosy, kazali stać na jednej nodze, nie pozwalali oddać moczu, świecili oślepiającym światłem w oczy, aż zaczynały łzawić; celem tych wszystkich zabiegów było upokorzenie go i zniszczenie jego zdolności do argumentowania oraz rozumowania. Ich prawdziwą bronią były bezlitosne, ciągnące się godzinami przesłuchania. Próbowali przyłapać go na sprzecznych zeznaniach, zastawiali pułapki, przekręcali wszystko, co powiedział, na każdym kroku oskarżając o kłamstwa i niespójność, aż zaczynał łkać ze wstydu i wyczerpania nerwowego. Zdarzało mu się płakać kilka razy podczas jednej sesji. Przez większość czasu wrzeszczeli obelgi pod jego adresem, grożąc przy najmniejszym zawahaniu, że ponownie przekażą go strażnikom; jednak od czasu do czasu niespodziewanie zmieniali ton, a wtedy nazywali go towarzyszem i apelowali do jego lojalności wobec angosocu oraz Wielkiego Brata, pytając ze smutkiem, dlaczego nadal nie chce naprawić zła, które wyrządził. Kiedy po wielogodzinnym maglowaniu Winston miał nerwy w strzępach, ten apel wystarczał, aby się kompletnie rozkleił. Ostatecznie dokuczliwe głosy łamały go skuteczniej niż pięści czy buciory strażników. Był już wyłącznie ustami, które wypowiadały, co im nakazano, i dłońmi, gotową do podpisania się pod czymkolwiek. Koncentrował się tylko na próbach odgadnięcia, czego od niego chcą, do czego ma się przyznać, po czym natychmiast to robił, licząc na uniknięcie kolejnej rundy tortur. Przyznał się do zamachów na ważnych członków Partii, kolportowania obrazoburczych ulotek, malwersowania publicznych pieniędzy, zdrady tajemnic wojskowych i do różnego rodzaju działań sabotażowych. Wyznał, że od 1968 roku był szpiegiem, opłacanym przez rząd Azji Wschodniej. Potwierdził, że wierzy w Boga, podziwia kapitalizm i jest dewiantem seksualnym. Przyznał się do zamordowania żony, chociaż wiedział — i przesłuchujący także musieli to wiedzieć — że jego żona żyje. Poświadczył, że od lat utrzymuje osobiste kontakty z Goldsteinem i że jest członkiem organizacji podziemnej, do której należeli także prawie wszyscy ludzie, których kiedykolwiek spotkał. Łatwiej było przyznać się do wszystkiego i obciążyć wszystkich. W jakimś sensie było to zresztą prawdą. Rzeczywiście był wrogiem Partii, a w oczach Partii nie było różnicy między myślą a uczynkiem.

Miał jeszcze inne wspomnienia. Wyświetlały się w jego umyśle bez żadnego kontekstu, jako luźne obrazy poprzedzielane mrokiem.

Winston znajdował się w celi, w której mogło być ciemno lub jasno; nie wiedział tego, bo nie widział niczego poza parą oczu. Zaraz obok, powoli i miarowo, tykało jakieś urządzenie. Ślepa stawały się coraz większe i bardziej lśniące. Uniósł się raptownie z miejsca, w którym siedział, zatopił się w tych oczach i został przez nie pochłonięty.

Siedział na krześle, przywiązany do niego pasami, otoczony przez tarcze różnych przyrządów, w strumieniu oślepiającego światła. Mężczyzna w białym fartuchu odczytywał wskazania instrumentów. Na zewnątrz rozległo się tupanie ciężkich buciorów. Szczęknięty otwierane drzwi. Wszedł oficer o woskowej twarzy, a za nim dwaj strażnicy.

— Pokój 101 — powiedział oficer.

Człowiek w białym fartuchu nie odwrócił się w stronę głosu. Nie patrzył też na więźnia, tylko na przyrządy.

Winston turlał się po ogromnym korytarzu, szerokim na kilometr, zalanym cudownym, złotym światłem. Rycząc ze śmiechu, co sił w płucach wykrzykiwał zeznania. Przyznawał się do wszystkiego, nawet do rzeczy, które zdołał przemilczeć, kiedy go torturowano. Opowiadał całe swoje życie publiczności, która już je na wylot znała. Byli z nim strażnicy, oficerowie, ludzie w białych fartuchach, O'Brien, Julia, pan Charrington — i wszyscy razem turlali się po korytarzu, płacząc ze śmiechu. Udało mu się uniknąć jakiejś straszliwej rzeczy, uprzednio nieuchronnie wpisanej w jego przyszłość. Nie wydarzyła się. Teraz już wszystko będzie w porządku, żadnego więcej bólu, każdy szczegół jego biografii został ujawniony, zrozumiany, przebaczony.

Spróbował podnieść się z łóżka, był niemal pewien, że słyszy głos O'Briena. Przez cały czas trwania przesłuchania czuł, że O'Brien znajduje się tuż obok, tylko poza jego polem widzenia. To O'Brien wszystkim kierował. To on przysyłał strażników do Winstona i on powstrzymywał ich przed zabiciem go. To on decydował, kiedy Winston będzie krzyczał z bólu, a kiedy odczuje ulgę, kiedy zostanie nakarmiony, kiedy będzie spał, kiedy podadzą mu środki odurzające. To on zadawał pytania i sugerował odpowiedzi. Był dręczycielem i opiekunem, inkwizytorem i przyjacielem. Raz — Winston nie przypominał sobie, czy

Szaleństwo, Śmiech

Przyjaźń, Kat

miało to miejsce podczas normalnego czy narkotycznego snu albo wręcz na jawie — jakiś głos wyszeptał mu do ucha: „Nie martw się, Winstonie, czuwam nad wszystkim. Obserwuję cię od siedmiu lat. Właśnie nadszedł punkt zwrotny. Teraz cię uratuję, uczynię doskonałym”. Nie był pewien, czy słowa ta wymówił O'Brien, ale był to ten sam głos, który siedem lat wcześniej w jego śnie powiedział: „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku”.

Nie pamiętał zakończenia przesłuchań. Zupełnie urwał mu się film, aż do momentu, kiedy to pomieszczenie czy może raczej cela, w której się aktualnie znajdował, stopniowo wyłoniła się z niebytu. Leżał prawie całkiem płasko na plecach i nie mógł się poruszyć. Jego ciało w różnych punktach krępowały pasy. Nawet jego głowa była w jakiś sposób przytwierdzona do łóżka. O'Brien patrzył na niego poważnie i z wyraźnym smutkiem. Widziana od dołu, jego twarz wyglądała na zmęczoną i wyniszczoną. Miał worki pod oczami i głębokie bruzdy, ciągnące się od nosa do brody. Był starszy, niż Winston zakładał — mógł mieć czterdzieści osiem lub pięćdziesiąt lat. Trzymał dłoń na przełączniku urządzenia, na którego tarczy widniały jakieś liczby.

— Powiedziałem ci — odezwał się O'Brien — że jeśli się znowu spotkamy, to tutaj.

— Tak — odrzekł Winston.

Bez żadnego ostrzeżenia fala bólu, wywołana jedynie drobnym poruszeniem dłoni O'Briena, zalała ciało Winstona. Był to przerażające doznanie, bowiem Winston nie widział, co się dzieje, i był przekonany, że oto nadchodzi jego koniec. Nie wiedział, czy to rzeczywistość czy tylko wrażenie, wywołane przez prąd, czuł jednak, jakby jego ciało traciło swój kształt, jakby coś rozrywało mu wszystkie stawy. Ból sprawił, że na czoło Winstona wystąpiły krople potu, ale najgorszy ze wszystkiego był strach, że zaraz trzasnie mu kręgosłup. Zaciśnął zęby i oddychał ciężko przez nos, próbując jak najdłużej powstrzymać się od krzyku.

— Boisz się — stwierdził O'Brien, wpatrując się w jego twarz — że za moment coś ci pęknie. A najbardziej boisz się o kręgosłup. Masz przed oczami plastyczny obraz tego, jak rozdzielają się kręgi i wycieka spomiędzy nich płyn rdzeniowo-kręgowy. O tym myślisz, prawda, Winstonie?

Winston nie odpowiedział. O'Brien ponownie dotknął przełącznika. Fala bólu ustąpiła tak szybko, jak nadeszła.

— To było czterdzieści. Jak widzisz, podziałka na tym urządzeniu kończy się na setce. W każdej chwili mogę zadać ci ból tak silny, jak tylko będę chciał; miej to, proszę, w pamięci podczas naszej rozmowy. Jeśli skłamiesz, jeśli spróbujesz kręcić albo choćby zejdziesz poniżej normalnego poziomu twojej inteligencji, krzykniesz z bólu. Natychmiast. Rozumiesz?

— Tak — powiedział Winston.

Zachowanie O'Briena stało się mniej obcesowe. Bezwiednie poprawił okulary i zrobił kilka kroków tam i z powrotem. Ton jego głosu był teraz łagodny i cierpliwy. Sprawiał wrażenie lekarza, nauczyciela czy może nawet kapłana, któremu zależy raczej na wyjaśnieniu prawdy i na perswazji niż na ukaraniu winnego.

— Męczę się z tobą, Winstonie — powiedział — bo jesteś tego wart. Dobrze wiesz, co jest z tobą nie tak. Wiesz to od lat, choć walczyłeś z tą wiedzą. Jesteś zaburzony psychicznie. Twoja pamięć jest uszkodzona. Nie pamiętasz prawdziwych zdarzeń, za to wmawiasz sobie, że pamiętasz takie, które w rzeczywistości nie miały miejsca. Na szczęście to się da wyleczyć. Tobie się nie udało wydobrzeć, bo wybrałeś inną drogę. Potrzebny był niewielki wysiłek, którego jednak nigdy nie podjąłeś. Zdaję sobie sprawę, że nawet teraz trzymasz się choroby, przekonany, iż jest twoją cnotą. Na przykład: z kim w tej chwili walczy Oceania?

— W chwili mojego aresztowania Oceania walczyła z Azją Wschodnią.

— Tak, z Azją Wschodnią. Oceania zawsze walczyła z Azją Wschodnią, czyż nie?

Winston nabrał powietrza. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, w końcu jednak nie padło z nich żadne słowo. Nie mógł oderwać oczu od podziałki.

— Prawda, Winstonie. Powiedz mi prawdę. *Twoją* prawdę. Co pamiętasz?

— Pamiętam, że jeszcze tydzień przed moim aresztowaniem wcale nie walczyliśmy z Azją Wschodnią. Byli naszym sojusznikiem. Toczyliśmy wojnę z Eurazją. Ta wojna trwała od lat. Wcześniej...

O'Brien powstrzymał go ruchem dłoni.

— Inny przykład — powiedział. — Jakiś czas temu miałeś naprawdę poważne urojenia. Uwierzyłeś, że trzech mężczyzn dawniej należący do Partii, o nazwiskach Jones, Aaronson i Rutheford, mężczyźni, których po absolutnie wyczerpujących zeznaniach stracono za zdradę i sabotaż, byli w istocie niewinni. Wydawało ci się, że widziałeś niezaprzeczalny dowód tego, iż ich zeznania zostały sfalszowane. Przywidziało ci się zdjęcie. Byłeś przekonany, że naprawdę trzymasz je w ręku. Wyglądało mniej więcej tak.

Między palcami O'Briena pojawił się podłużny skrawek gazety. Winston miał go w polu widzenia przez jakieś pięć sekund. Było to zdjęcie i Winston nie miał żadnych wątpliwości — jakie. O'Brien trzymał w ręku *to samo* zdjęcie, na które Winston trafił przypadkiem przed jedenastu laty i które od razu zniszczył; fotografia przedstawiała Jonesa, Aaronsona i Rutheforda podczas delegacji partyjnej w Nowym Jorku. Miał ją przed oczami przez moment, potem znikła. Ale widział ją, niezaprzeczalnie ją widział! Z rozpaczliwym, bolesnym wysiłkiem Winston szarpnął górną połowę ciała, żeby się uwolnić. Nie mógł jednak poruszyć się ani o centymetr w żadnym kierunku. Na chwilę zapomniał nawet o podziałce. Chciał tylko ponownie trzymać w ręku tamto zdjęcie albo przynajmniej je zobaczyć.

— Ono istnieje! — krzyknął.

— Nie — odparł O'Brien.

Odszedł na drugi koniec pomieszczenia. W ścianie znajdowała się szczelina pamięci. O'Brien uniósł kratkę. Wątki skrawek papieru, porwany przez ciepły strumień powietrza, znikł po chwili w płomieniach, niezauważony przez nikogo. O'Brien odwrócił się.

— Popiół — powiedział. — Nie da się nawet rozpoznać, co spłonęło. Proch. Zdjęcie nie istnieje. Nigdy nie istniało.

— Ależ istniało! Istnieje! Istnieje w pamięci. Ja pamiętam. Wy też pamiętacie.

— Ja nie pamiętam — odparł O'Brien.

Winstona ogarnęła rozpacz. Oto dwójmyślenie w działaniu. Czuł się całkowicie bezradny. Gdyby miał pewność, że O'Brien kłamie, byłoby to łatwiejsze do zniesienia. Nie można było jednak wykluczyć, że O'Brien rzeczywiście zapomniał już o zdjęciu. A jeśli tak, to zapomniał także, że zaprzeczał, iż je pamięta, i zapomniał również sam proces zapomnienia. Skąd mieć pewność, że to tylko sztuczki? Może w ludzkim umyśle naprawdę mogło wydarzyć się takie obłąkane przesunięcie — ta myśl go dobiła.

O'Brien przyglądał się Winstonowi uważnie. Teraz jeszcze bardziej przypominał nauczyciela, który podejmuje wysiłek, żeby przekonać upartego, ale obiecującego ucznia.

— Istnieje slogan partyjny, mówiący o kontrolowaniu przeszłości — powiedział. — Przytocz go, proszę.

— Kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość, kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość — wyrecytował Winston posłusznie.

— Kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość — powtórzył O'Brien, kiwając powoli głową z aprobatą. — Czy według ciebie przeszłość istnieje w sposób niezależny?

Winstona ponownie ogarnęła rozpacz. Zerknął na podziałkę. Nie dość, że nie wiedział, która z odpowiedzi — „tak” czy „nie” — uchroni go przed bólem, to nie miał nawet pewności, w którą z nich wierzy.

O'Brien uśmiechnął się nieznacznie.

— Żaden z ciebie metafizyk, Winstonie — powiedział. — Do tego momentu nigdy nie zastanawiałeś się nad naturą istnienia. Ujmę to bardziej precyzyjnie. Czy przeszłość istnieje w sposób konkretny, w przestrzeni? Może istnieje jakieś inne miejsce, jakiś przedmiotowy świat, w którym nadal wydarza się przeszłość?

— Nie.

— Gdzie zatem istnieje przeszłość, jeśli w ogóle istnieje?

— W dokumentach. Jest zapisana.

— W dokumentach. Gdzie jeszcze?

— W umyśle. W ludzkich wspomnieniach.

— We wspomnieniach. No dobrze. My, Partia, kontrolujemy wszystkie dokumenty i wszystkie wspomnienia. A zatem decydujemy o kształcie przeszłości, tak czy nie?

— A niby jakim cudem moglibyście powstrzymać ludzi przed pamiętaniem przeszłości? — zawołał Winston, znów na moment zapominając o przełączniku. — To proces

Pamięć



mimowolny, niepodlegający decyzjom. Jak niby kontrolujecie pamięć? Mojej nie kontrolujecie!

O'Brien znów stał się surowy. Położył rękę na przełączniku.

— Odwrotnie — powiedział. — To *ty* jej nie kontrolujesz. Dlatego tu się znalazłeś. Zabrakło ci i pokory, i dyscypliny. Nie poddałeś się woli Partii, a właśnie taka jest cena dobrostanu psychicznego. Woląłeś zostać szaleńcem, jednoosobową mniejszością. Tylko umysł zdyscyplinowany postrzega fakty, Winstonie. Wierzysz, że rzeczywistość jest obiektywna, zewnętrzna, że istnieje w sposób niezależny. Wierzysz także, że jej natura jest oczywista. Kiedy wmawiasz sobie, że coś widzisz, zakładasz, że wszyscy widzą to samo co ty. A ja ci mówię, Winstonie, że rzeczywistość nie jest czymś zewnętrznym. Rzeczywistość istnieje w ludzkim umyśle, nigdzie indziej. Nie w pojedynczym umyśle, który jest bardzo omylny i szybko przemija, tylko w umyśle Partii, kolektywnym i nieśmiertelnym. Jeśli Partia uznaje coś za prawdę, to jest prawdą. Nie da się postrzegać rzeczywistości inaczej niż oczami Partii. Tego musisz nauczyć się od nowa, Winstonie. Wymaga to aktu autodestrukcji, wysiłku woli. Musisz ukorzyć się przed Partią, dopiero wtedy wyzdrowiejesz.

Przerwał na chwilę, jakby chciał, żeby to, co powiedział, w pełni dotarło do Winstona.

— Pamiętasz — ciągnął — jak napisałeś w swoim dzienniku, że wolność oznacza możliwość powiedzenia, iż dwa plus dwa to cztery?

— Tak.

O'Brien podniósł lewą rękę, zwracając ją wierzchem dłoni do Winstona i chowając kciuk za pozostałymi czterema palcami.

— Ile to palców?

— Cztery.

— A jeśli Partia powie, że nie cztery, tylko pięć: wtedy ile ich będzie?

— Cztery.

Ostatnie słowo przeszło w krzyk bólu. Wskaźnik na podziałce podskoczył do poziomu 55. Pot oblał całe ciało Winstona. Powietrze wdarło się do jego płuc — wydychał je z głośnym jękiem, niemożliwym do powstrzymania mimo zaciśniętych zębów. O'Brien obserwował go, nadal pokazując cztery palce. Znowu przesunął dzwignię. Tym razem ból tylko trochę zelżał.

— Ile to palców, Winstonie?

— Cztery.

Wskaźnik podskoczył do 60.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery! Cztery! Co innego mógłbym powiedzieć? Cztery!

Wskaźnik chyba ponownie poszedł w górę, ale Winston nie patrzył w jego kierunku. W polu widzenia miał tylko ciężką, surową twarz i cztery wyciągnięte palce, które tkwiły przed jego oczami niczym kolumny. Ogromne, niewyraźne, jakby rozwibrowane — były to jednak niezaprzeczalnie cztery palce.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery! Przestańcie, przestańcie! Jak można dalej to ciągnąć? Cztery! Cztery!

— Ile palców, Winstonie?

— Pięć! Pięć! Pięć!

— Nie, Winstonie, to na nic. Kłamiesz. Wciąż myślisz, że to cztery palce. Ile palców, powiedz, proszę!

— Cztery! Pięć! Cztery! Ile chcecie! Tylko przestańcie, przerwijcie ten ból!

I nagle siedział, a O'Brien otaczał go ramieniem. Winston na kilka sekund chyba stracił przytomność. Pasy, przytrzymujące jego ciało, zostały poluzowane. Było mu bardzo zimno, dygotał, szcząkał zębami, łzy spływały mu po policzkach. Na moment przyłgął do O'Briena jak dziecko, znajdując jakiś rodzaj ukojenia w podtrzymującym go silnym ramieniu. Wydawało mu się, że O'Brien go chroni, że ból przyszedł z zewnątrz, z jakiegoś innego źródła, i że to właśnie O'Brien mógłby go przed nim ocalić.

— Niezbyt bystry z ciebie uczeń, Winstonie — powiedział O'Brien łagodnie.

— Cóż mogę na to poradzić? — wyszlochał Winston. — Jak mogę nie widzieć czegoś, co mam przed oczami? Dwa i dwa to cztery.

— Czasem tak, Winstonie. Ale czasem dwa i dwa to pięć. Albo trzy. Kiedy indziej wszystkie te odpowiedzi są prawdziwe jednocześnie. Musisz bardziej się postarać. Nie tak łatwo jest wyzdrowieć.

Położył Winstona na łóżku. Pasy zacisnęły się ponownie na jego kończynach, ale ból odpłynął, a dygot ustąpił. Winston czuł się osłabiony i było mu zimno. O'Brien skinieniem głowy przywołał mężczyznę w białym fartuchu, który przez cały czas stał nieruchomo z boku. Człowiek ów schylił się i zajrzał z bliska w oczy Winstona, zbadał puls, przyłożył ucho do piersi, postukał tu i tam; w końcu pokiwał głową, dając sygnał O'Brienowi.

— Jeszcze raz — powiedział O'Brien.

Ból przeszył ciało Winstona. Wskazówka musiała pokazywać siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt pięć. Tym razem zamknął oczy. Zdawał sobie sprawę, że O'Brien nadal pokazuje palce — z całą pewnością *cztery*. Liczyło się tylko to, żeby jakimś cudem przetrwać spazm bólu. Przestał już zauważać, czy krzyczy czy nie. Ponownie ból zelżał. Otworzył oczy. O'Brien opuścił dźwignię.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery. Sądzę, że cztery. Zobaczyłbym pięć, gdybym tylko mógł. Próbuję zobaczyć pięć.

— Co jest twoją intencją: przekonać mnie, że widzisz pięć, czy naprawdę zobaczyć pięć?

— Naprawdę zobaczyć.

— Jeszcze raz — powiedział O'Brien.

Wskazówka mogła tym razem dojść do osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu. Winston chwilami zapominał, dlaczego czuje ten ból. Pod zaciśniętymi powiekami cały las palców kołysał się w jakimś niesamowitym tańcu — poszczególne z nich to łączyły się, to rozdzielały, jeden chował się za drugim, by za chwilę znów się wyłonić. Próbował je liczyć, ale nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego to robi. Wiedział tylko, że nie da się ich policzyć i że ma to jakiś związek z tajemniczą tożsamością liczb cztery i pięć. Ból ponownie zelżał. Kiedy otworzył oczy, zorientował się, że nadal widzi to samo. Niezliczone palce, podobne do rozkołysanych drzew, dalej tańczyły mu przed oczami, poruszając się w różnych kierunkach, nachodząc na siebie, a następnie rozdzielając się. Ponownie zamknął oczy.

— Ile to palców, Winstonie?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem. Jeśli to będzie trwało, zabijecie mnie. Cztery, pięć, sześć... Szczerze mówię, nie wiem.

— Już lepiej — powiedział O'Brien.

Igła wbiła się w ramię Winstona. Niemal w tym samym momencie całe jego ciało ogarnęła fala rozkosznego, kojącego ciepła. Już prawie nie pamiętał bólu. Otworzył oczy i spojrzał na O'Briena z wdzięcznością. Na widok masywnej, pomarszczonej twarzy, tak brzydkiej, a jednocześnie tak inteligentnej, jego nastrój gwałtownie się zmienił i poczuł, że gdyby tylko był w stanie wyciągnąć rękę, położyłby ją ochoczo na ramieniu O'Briena. Jeszcze nigdy nie kochał go tak bardzo jak w tym momencie — nie tylko dlatego, że O'Brien uwolnił go od bólu. Wróciło dawne wrażenie, że w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy O'Brien jest przyjacielem czy wrogiem. Da się z nim rozmawiać. Być może człowiek najbardziej pragnie nie miłości, lecz zrozumienia. O'Brien poddał go torturom, które niemal doprowadziły Winstona do postradania zmysłów, i z pewnością wkrótce skaze go na śmierć. Ale to nie ma znaczenia. Łączy ich bowiem więź jeszcze głębsza od przyjaźni, bardziej intymna. Zapewne nigdy do tego nie dojdzie, jednak gdyby spotkali się we właściwym miejscu, potrafiliby się porozumieć. O'Brien patrzył na Winstona z wyrazem twarzy sugerującym, iż może myśleć tak samo. Po chwili odezwał się zrelaksowanym tonem, jakby gawędzili sobie niezobowiązująco.

— Czy wiesz, gdzie jesteś, Winstonie?

— Nie wiem. Mogę się domyślać. W Ministerstwie Miłości.

— Wiesz, jak długo już tu jesteś?

— Nie. Dni, tygodnie, miesiące... Pewnie od paru miesięcy.

— Jak sądzisz, dlaczego zamykamy tu ludzi?

— Żeby ich nakłonić do wyznania win.

— Nie, nie po to. Spróbuj jeszcze raz.

Cierpienie, Szaleństwo

— Żeby ich ukarać.

— Nie! — wykrzyknął O'Brien. Ton jego głosu zmienił się całkowicie, a twarz stężała i zastygła w gniewnym grymasie. — Nie! Nie tylko po to, żeby wyciągnąć zeznania, nie po to, żeby was karać. Mam ci powiedzieć, dlaczego cię tu trzymamy? Żeby cię wyleczyć! Żebyś oprzytomniał! Zrozum wreszcie, Winstonie, że nikt, kto tu trafił, nie opuszcza tego miejsca, póki nie wyzdrowieje. Nie obchodzą nas twoje śmieszne zbrodnie. Partii nie zajmują zewnętrzne działania, interesują nas wyłącznie myśli. Nie niszczymy naszych wrogów, my ich zmieniamy. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Pochylił się nad Winstonem. Z tak bliskiej odległości i oglądana od dołu, jego twarz zdawała się ogromna i potwornie brzydka. Malował się na niej ponadto jakiś rodzaj egzaltacji — obłąkańcze ożywienie. Winstonowi ponownie serce podeszło do gardła. Gdyby tylko mógł, skuliłby się jeszcze bardziej na łóżku. Był pewien, że O'Brien przesunie zaraz przełącznik z czystej złośliwości. Ale O'Brien odwrócił się i zrobił parę kroków tam i z powrotem. Następnie odezwał się nieco mniej gwałtownym tonem:

— Po pierwsze, musisz zrozumieć, że nie ma tu żadnych męczenników. Czytałeś o religijnych prześladowaniach w dawnych czasach. W średniowieczu istniała inkwizycja. Poniosła klęskę. Jej celem było wykorzenienie herezji, tymczasem osiągnęła skutek odwrotny do zamierzonego. W miejsce każdego spalonego na stosie heretyka pojawiały się setki innych. Dlaczego tak się działo? Ponieważ inkwizycja mordowała swoich wrogów na oczach ludzi, publicznie; zabijała ich, zanim okazali skruchę, a ściślej rzecz biorąc dlatego, że jej nie okazywali. Umierali, bo odmawiali wyrzeczenia się swoich szczerych przekonań. Rzecz jasna, chwała sphywała w takiej sytuacji na ofiarę, a wstyd na wykonującego wyrok inkwizytora. Potem, w dwudziestym wieku, pojawiły się tak zwane totalitaryzmy, niemieccy nazisci i rosyjscy komuniści. W tropieniu herezji Rosjanie byli o wiele bardziej brutalni niż inkwizycja. Sądzieli, że nauczyli się czegoś na błędach przeszłości. Zrozumieli, że nie należy produkować męczenników, toteż przed wystawieniem swoich ofiar na widok publiczny z rozmysłem pozbawiali je godności. Wroga niszczyli torturami i izolacją, aż zamieniał się w godną pogardy, kulącą się ze strachu kreaturę, gotową przyznać się do wszystkiego, co się jej podsunie, lżąc siebie i oskarżając innych, błagając o litość. A jednak po paru latach historia powtórzyła się. Pomordowani stali się męczennikami, a o ich upodleniu zapomniano. Dlaczego tak się stało? Po pierwsze, zeznania były w oczywisty sposób wymuszone i nieszczerze. My nie popełniamy takich błędów. Wszelkie oświadczenia złożone w tym miejscu są wiarygodne i dobrowolne. A przede wszystkim nie pozwalamy, aby umarli zwracali się przeciwko nam. Musisz porzucić złudzenie, że przyszłość się o ciebie upomni, Winstonie. Przyszłość nigdy o tobie nie usłyszy. Zostaniesz usunięty bez śladu z nurtu historii. Zamienimy cię w gaz i rozpuścimy w stratosferze. Nic po tobie nie zostanie: twoje nazwisko zostanie wymazane z dokumentów, a pamięć o tobie zniknie z ludzkich umysłów. Zostaniesz unicestwiony tak w przeszłości, jak i w przyszłości, jakbyś nigdy nie istniał.

„To po co trzecie się torturami?” — pomyślał z nagłą goryczą Winston. O'Brien zatrzymał się, zupełnie jakby ta myśl została wypowiedziana na głos. Jego duża, brzydka twarz znów przybliżyła się. Zmrużył nieco oczy.

— Myślisz sobie — powiedział — że skoro zamierzamy kompletnie cię zniszczyć, żadne twoje słowa czy działania nie robią najmniejszej różnicy, a w takim razie po co zawracamy sobie głowę, przesłuchując cię. O tym myślałeś, prawda?

— Tak — przyznał Winston.

Na twarzy O'Briena pojawił się leciutki uśmiech.

— Jesteś błędem w obowiązującym porządku, Winstonie. Plamą, którą trzeba zerzeć. Czyż nie powiedziałem ci przed momentem, że różnimy się od prześladowców z przeszłości? Nie zadowala nas negatywne posłuszeństwo ani nawet najbardziej uniżona uległość. Kiedy się w końcu poddasz, zrobisz to z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie niszczymy heretyka dlatego, że się nam sprzeciwia; dopóki stawia opór, nie unicestwiamy go. Musimy go najpierw nawrócić, opanować jego umysł i na nowo go ukształtować. Wypalamy z jego świadomości całe zło, usuwamy wszelkie urojenia, sprawiamy, że przechodzi na naszą stronę, nie tylko pozornie, ale naprawdę, szczerze, w głębi serca. Zanim go zabijemy, musi stać się jednym z nas. W żadnym miejscu na świecie nie tolerujemy istnienia opacznej myśli, choćby tylko ukrytej i niegroźnej. Nie zezwalamy na herezję

nawet w chwili śmierci. W dawnych czasach heretyk wchodził na stos, pozostając odstępca w stanie płomiennej egzaltacji, nadal siejąc herezję. Nawet ofiary czystki stalinowskiej, prowadzone na miejsce rozstrzelania, mogły nieść swój bunt do końca zamknięty w czaszce. My sprawiamy, że ukryty dotąd przed światem umysł staje się doskonały, dopiero wtedy czaszkę roztrzaskuje kula. Przykazanie dawnych despotów brzmiało: „Nie będziesz robić tego i tego”. Władcy totalitarni nakazywali: „Będziesz robić to i to”. My mówimy: „*Robisz to i to*”. Nikt, kto tu trafia, nigdy więcej nie zwraca się przeciwko nam. Wszystkich daje się oczyścić. Nawet tamtych trzech nieszczęsnych zdrajców, w których niewinność kiedyś wierzyłeś, Jonesa, Aaronsona i Rutheforda, ich też w końcu złamaliśmy. Sam brałem udział w przesłuchaniach. Widziałem, jak powoli tracą siły, zaczynają skamlać, czołgać się, łkać, w końcu już wcale nie z bólu czy strachu, tylko z żalu. Zanim z nimi skończyliśmy, byli ludzkimi wrakami. Nic z nich nie zostało poza smutkiem z powodu tego, co zrobili, i miłością do Wielkiego Brata. Widzieć, jak bardzo go kochają... To naprawdę chwytalo za serce. Błagali, aby ich szybko zastrzelić, póki ich umysły pozostają czyste.

Upadek, Klęska

Głos O'Briena stał się niemal rozmarzony. Na jego twarzy nadal malowała się egzaltacja i jakiś obłąkany entuzjazm. Winston zdał sobie sprawę, że O'Brien nie udaje, nie jest hipokrytą — wierzy w każde wypowiedziane przez siebie słowo. Winstonowi najbardziej dokuczalo poczucie własnej intelektualnej niższości. Obserwował ciężką, ale nie pozbawioną wdzięku sylwetkę, przechadzającą się po celi, na przemian pojawiającą się w jego polu widzenia i znikającą poza jego obrębem. O'Brien był pod każdym względem potężniejszy. Wszystko, co kiedykolwiek przyszło Winstonowi do głowy, każda idea, którą mógłby sformułować, została już przez O'Briena przemyślana i odrzucona. Umysł Winstona *zawierał się* w umyśle O'Briena. Czy w takim razie O'Brien mógł być szaleńcem? Chyba to on, Winston, popadał w obłąd. O'Brien zatrzymał się i ponownie na niego popatrzył. Ton głosu znów stał się surowy.

Szaleniec, Szaleństwo

— Niech ci się nie wydaje, że możesz się uratować, Winstonie, nawet jeśli całkowicie się poddasz. Nie oszczędzamy nikogo, kto raz zbłądził. Nawet jeśli pozwolimy ci dożyć do naturalnej śmierci, i tak nigdy przed nami nie uciekniesz. To, co się tutaj dzieje, odmieni cię na zawsze. Musisz to z zrozumieć zawczasu. Złamiemy cię do tego stopnia, że nie będzie powrotu. Doświadczysz takich rzeczy, po których nie pozabierałbyś się, choćbyś żył jeszcze tysiąc lat. Już nigdy nie będziesz zdolny do zwykłego ludzkiego odczuwania. Będziesz całkowicie martwy w środku. Nie będziesz zdolny do miłości ani przyjaźni, do odczuwania radości życia, do śmiechu, odwagi czy uczciwości. Wypełni cię pustka. Wyciśniemy z ciebie całą zawartość, a potem napelnimy cię odpowiednią treścią.

Kondycja ludzka, Przemiana

Przerwał i dał znak mężczyźnie w białym fartuchu. Winston czuł, że wciskają mu pod głowę jakieś masywne urządzenie. O'Brien usiadł obok łóżka, jego twarz znajdowała się teraz niemal na poziomie oczu Winstona.

— Trzy tysiące — powiedział do mężczyzny w białym fartuchu nad głowę Winstona.

Dwie miękkie poduszki, w dotyku wilgotne, przylgnęły do skroni Winstona. Zadrżał. Oto nadchodzi ból, nowy rodzaj bólu. O'Brien położył dłoń na dłoni Winstona uspokajającym, niemal przyjaznym gestem.

— Teraz nie będzie bolało — powiedział. — Patrz mi w oczy.

W tym samym momencie nastąpiła jakaś straszliwa eksplozja, a może Winstonowi jedynie tak się wydawało. Nie był pewien, czy faktycznie usłyszał huk, bez wątpienia jednak oślepił go potężny blask. Nie odniósł żadnych obrażeń, tylko jakby miotnęło nim o ziemię — miał takie wrażenie, choć przecież cały czas leżał unieruchomiony. Potężne, bezbolesne uderzenie rozplaszczyło go. Poza tym coś zaszło w jego głowie. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, pamiętał, kim jest i gdzie się znajduje, rozpoznawał także twarz człowieka, który się w niego wpatrywał, niemniej jednak odczuwał pustkę — jakby usunięto mu fragment mózgu.

— To minie — powiedział O'Brien. — Patrz mi w oczy. Z jakim krajem Oceania toczy wojnę?

Winston zastanowił się. Wiedział, do czego odnosi się słowo Oceania, a także, że on sam jest obywatelem tego kraju. Pamiętał również nazwy Eurazja i Azja Wschodnia; ale kto z kim walczy — tego sobie nie przypominał. W istocie nie był nawet świadom, że toczy się jakaś wojna.

— Nie pamiętam.

— Oceania walczy z Azją Wschodnią. Teraz pamiętasz?

— Tak.

— Oceania zawsze walczyła z Azją Wschodnią. Wojna trwa nieprzerwanie, odkąd żyjesz, od początku istnienia Partii, od zarania historii. To wciąż ta sama wojna. Pamiętasz?

— Tak.

— Jedenaście lat temu stworzyłeś legendę o trójce mężczyzn, których skazano na śmierć za zdradę. Upierałeś się, że widziałeś skrawek gazety, dowodzący ich niewinności. Taki wycinek nigdy nie istniał. Wymyśliłeś go, a następnie sam uwierzyłeś we własne kłamstwo. Teraz pamiętasz moment, kiedy przyszło ci ono do głowy, prawda?

— Tak, pamiętam.

— Przed chwilą podniosłem dłoń do góry. Widziałeś pięć palców. Pamiętasz?

— Tak.

O'Brien uniósł lewą rękę, chowając kciuk za pozostałymi palcami.

— Podnoszę pięć palców. Czy widzisz pięć palców?

— Tak.

Rzeczywiście je widział przez ułamek sekundy, dopóki coś się nie przestawiło w jego mózgu. Widział pięć palców i nie było to żadne zniekształcenie rzeczywistości. A potem wszystko powróciło do normy, znów pojawiły się strach, nienawiść i dezorientacja. Jednak przez pewien czas — Winston nie miał pewności, jak długo to trwało, może trzydzieści sekund — postrzegał wszystko z całkowitą jasnością. Każda odpowiedź O'Briena wypełniała jakiś fragment pustki i stawała się prawdą absolutną, zatem dwa plus dwa mogło równać się trzy albo pięć, w zależności od potrzeby. To wrażenie minęło, zanim O'Brien opuścił rękę; Winston nie mógł powtórnie go przywołać, ale pamiętał je tak, jak pamięta się jakieś intensywne przeżycie z odległej przeszłości, kiedy było się właściwie inną osobą.

— W każdym razie teraz wiesz — powiedział O'Brien — że to jest możliwe.

— Tak — zgodził się Winston.

O'Brien podniósł się, ewidentnie zadowolony z siebie. Winston zobaczył, jak mężczyzna w białym fartuchu, stojący po lewej stronie łóżka, łamie ampulkę i wciąga zawartość do strzykawki. O'Brien zwrócił się do Winstona z uśmiechem. Poprawił okulary na nosie — niemal tym samym gestem co dawniej.

— Czy pamiętasz, jak napisałeś w dzienniku, że nie ma znaczenia, czy jestem przyjacielem czy wrogiem, skoro cię rozumiem i mógłbyś ze mną porozmawiać? Miałaś rację. Lubię z tobą rozmawiać. Twój umysł mnie fascynuje. Przypomina mój własny, z tą różnicą, że ty jesteś chory. Zanim skończymy na dziś, możesz zadać mi kilka pytań, jeśli masz ochotę.

— Mogę pytać o cokolwiek?

— O cokolwiek. — O'Brien zauważył, że Winston spogląda na przełącznik urządzenia.

— Jest wyłączone. Jak brzmi twoje pierwsze pytanie?

— Co zrobiliście Julii? — spytał Winston.

O'Brien ponownie się uśmiechnął.

— Zdradziła cię, Winstonie. Natychmiast, bez wahania. Rzadko bywam świadkiem tak błyskawicznego przejścia na naszą stronę. Nie rozpoznałbyś jej, gdybyś ją zobaczył. Wypaliliśmy z niej wszelki bunt, kręctwo, skłonność do popełniania głupstw i brudne myśli. Doskonale nawrócenie, przypadek podręcznikowy.

— Torturowaliście ją.

O'Brien zbył tę uwagę milczeniem.

— Następne pytanie.

— Czy Wielki Brat istnieje?

— Oczywiście, że istnieje. Istnieje Partia. Wielki Brat jest jej ucieleśnieniem.

— Ale czy istnieje w taki sam sposób jak ja?

— Ty nie istniejesz — odparł O'Brien.

Winstona ponownie ogarnęło uczucie bezradności. Znał albo umiał sobie wyobrazić uzasadnienia, dowodzące jego nieistnienia, ale był to nonsens, puste obracanie słowami. Czyż samo zdanie „Ty nie istniejesz” nie zawierało już w sobie logicznego absurdu? Po co to w ogóle mówić? Jego umysł wzdrygnął się na myśl o niemożliwych do zbiccia, chorych argumentach, jakich O'Brien użyje, żeby go zniszczyć.

Zdrada

— Myślę, że istnieję — powiedział zmęczonym głosem. — Jestem świadomy własnej tożsamości. Urodziłem się i umrę. Mam ręce i nogi. Znajduję się w określonym miejscu w przestrzeni. Żadne materialne ciało nie może w tym samym czasie zajmować tego samego miejsca. Czy Wielki Brat istnieje w taki sposób?

— To nie ma znaczenia. Istnieje.

— Czy Wielki Brat kiedyś umrze?

— Oczywiście, że nie. Jak mógłby umrzeć? Następne pytanie.

— Czy istnieje Bractwo?

— Tego nigdy się nie dowiesz, Winstonie. Nawet jeśli, gdy już z tobą skończymy, zdecydujemy się puścić cię wolno i choćbyś dożył dziewięćdziesiątki, nadal nie będziesz wiedział, jak brzmi odpowiedź: „tak” czy „nie”. Póki żyjesz, ta kwestia pozostanie nierozstrzygnięta.

Winston leżał w milczeniu. Jego oddech przyspieszył. Wciąż nie zadał pytania, które przyszło mu do głowy jako pierwsze. Musiał to zrobić, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Na twarzy O'Briena zamajaczyło lekkie rozbawienie. Nawet jego okulary zdawały się pobłyskiwać ironicznie. On wie, pomyślał Winston. Wie, o co chcę zapytać! Ta myśl wycisnęła z niego słowa:

— Co znajduje się w pokoju 101?

Wyraz twarzy O'Briena nie zmienił się. Odpowiedział sucho:

— Dobrze wiesz, Winstonie, co znajduje się w pokoju 101. Wszyscy to wiedzą.

Skinął ręką na człowieka w białym fartuchu. Najwyraźniej sesja dobiegła końca. Igła wbiła się w ramię Winstona. Niemal natychmiast zapadł w głęboki sen.

### 3

— Twoja terapia składa się z trzech etapów — powiedział O'Brien. — Najpierw nauka, następnie zrozumienie, wreszcie akceptacja. Czas, żebyś przeszedł do drugiej fazy.

Winston, jak zwykle, leżał płasko na plecach. Od jakiegoś czasu przytrzymujące go pasy były jednak nieco poluzowane. Nadal przytwierdzały ciało do łóżka, teraz jednak mógł lekko zgiąć kolana, pokręcić głową albo unieść przedramię. Dźwignia już go tak nie przerażała. Jeśli wykazał się wystarczającą bystrością, udawało mu się uniknąć bólu; O'Brien przesunął przełącznik głównie wtedy, kiedy Winston mówił coś głupiego. Zdarzały się całe sesje, podczas których przesłuchujący ani razu nie skorzystał z urządzenia. Winston nie pamiętał, ile ich było. Proces był bardzo rozciągnięty w czasie — mógł obejmować nawet tygodnie — a przerwy między sesjami czasem trwały parę dni, a czasem tylko godzinę lub dwie.

— Leżąc tu — powiedział O'Brien — zastanawiasz się często, pytałeś mnie o to zresztą, dlaczego Ministerstwo Miłości poświęca ci tyle czasu i uwagi. Na wolności intrygowała cię zasadniczo ta sama kwestia. Rozumiałeś zasady funkcjonowania społeczeństwa, w którym żyłeś, ale nie rozumiałeś motywów. Pamiętasz, jak napisałeś w swoim dzienniku: „Rozumiem *jak*, nie rozumiem *dlaczego*”? Zastanawiając się „dlaczego”, powątpiewałeś we własne zdrowie psychiczne. Przeczytałeś *tę książkę*, książkę Goldsteina, a w każdym razie niektóre jej fragmenty. Czy dowiedziałeś się z niej czegokolwiek, czego nie wiedziałeś wcześniej?

— Czytaliście ją? — spytał Winston.

— Napisałem ją. Ścisłej rzecz biorąc, uczestniczyłem w jej powstawaniu. Jak dobrze wiesz, każda książka ma wielu autorów.

— Czy to, co w niej napisano, jest prawdą?

— Jako opis, tak. Ale przedstawiony tam program jest absurdalny. Tajemna akumulacja wiedzy, stopniowe rozprzestrzenianie się oświecenia, wreszcie bunt proletariatu i obalenie Partii. Sam przewidziałeś, że właśnie to będzie tam napisane. To czysty nonsens. Proletariat nigdy się nie zbuntuje, ani za tysiąc lat, ani za milion. Nie mogą. Nie muszę tłumaczyć ci dlaczego; sam to rozumiesz. Jeśli miewałeś mrzonki na temat powstania zbrojnego, porzuć je od razu. Nie ma sposobu na obalenie Partii. Partia rządzi na zawsze. Niech to stanie się punktem wyjścia dla twoich rozmyślań.

O'Brien podszedł bliżej do łóżka.

Więzien

Książka

— Partia rządzi na zawsze! — powtórzył. — A teraz powróćmy do pytań o „jak” i „dlaczego”. Wystarczająco dobrze rozumiesz, w jaki sposób Partia utrzymuje się przy władzy. Wyjaśnij mi zatem, dlaczego zależy nam na utrzymaniu władzy. Co nam przyswieca? Dlaczego chcemy rządzić? — Winston nie odpowiedział. — Dalej, mów! — nakazał mu O'Brien.

Upłynęło jeszcze parę chwil, zanim więzień się odezwał. Ogarnęło go potworne zmęczenie. Entuzjastyczne szaleństwo ponownie zamajaczyło w oczach O'Briena. Z góry było wiadomo, co powie: „Partia nie pragnie władzy dla niej samej, tylko dla dobra większości. Chce władzy, bo większość ludzi to kruche, tchórzliwe istoty, niezdolne do konfrontacji z wolnością czy prawdą. Dlatego lepiej dla nich, jeśli rządzą nimi silniejsi, którzy ich systematycznie oszukują. Człowiek ma wybór: wolność lub szczęście, a dla ogromnej większości ludzi szczęście jest ważniejsze. Partia jest wiekuiłą opiekunką słabych; przypomina żarliwą sektę, czyniącą zło, aby wynikało z niego dobro, poświęcającą dla innych własne szczęście”. Najstraszniejsze — myślał Winston — najstraszniejsze jest to, że gdy O'Brien mówi te rzeczy, naprawdę w nie wierzy. Ma to wypisane na twarzy. O'Brien o wszystkim wiedział. Tysiąc razy lepiej od Winstona zdawał sobie sprawę, jak naprawdę wygląda świat, w jakiej nędzy żyje większość ludzi, do jakich kłamstw, do jakiego barbarzyństwa ucieka się Partia, aby ich w tym stanie utrzymać. Wszystko zrozumiał, wszystko rozważył i nie robiło to żadnej różnicy — ostatecznie cel uświęcał środki. Co można zdziałać, zastanawiał się Winston, w obliczu poczynań szaleńca, który jest od ciebie inteligentniejszy i uważnie słucha twoich argumentów, a mimo to nadal trwa w swoim szaleństwie?

— Rządzicie nami dla naszego dobra — zaczął bez przekonania. — Uważacie, że ludzie nie są w stanie sami sobą sterować, więc...

Poderwał się i o mało nie krzyknął. Ból przeszył jego ciało. O'Brien przesunął wskaźnik na trzydzieści pięć.

— To było głupie, Winstonie, bardzo głupie! Powinieneś mieć więcej rozsądku.

Opuścił dźwignię i ciągnął:

— Powiem ci, jak brzmi odpowiedź na moje pytanie. Oto ona: Partia pragnie władzy wyłącznie dla niej samej. Nie interesuje nas dobro innych, interesuje nas tylko panowanie. Nie bogactwo czy luksusy, nie długie życie albo szczęście, tylko władza, czysta władza. Czym ona jest, to zaraz zrozumiesz. Różnimy się od dawnych oligarchii tym, że doskonale wiemy, co robimy. Wszyscy inni, nawet ci z pozoru do nas podobni, byli tchórzami i hipokrytami. Naziści w Niemczech i radzieccy komuniści stosowali metody bardzo podobne do naszych, ale nawet im brakowało odwagi, żeby przyznać się do własnych motywacji. Udawali, a może nawet w to wierzyli, że władzę przejęli przypadkowo i na pewien ograniczony czas, a zaraz za zakrętem czeka świat, w którym istoty ludzkie będą wolne i równe. My tacy nie jesteśmy. Wiemy, że nikt nie sięga po władzę z intencją, żeby ją oddać. Władza nie jest środkiem, jest celem. Nie ustanawia się dyktatury po to, żeby doprowadzić do rewolucji; robi się rewolucję, żeby ustanowić dyktaturę. Celem prześladowania jest prześladowanie. Celem torturowania jest torturowanie. Celem władzy jest władza. Czy zaczyna to do ciebie docierać?

Winstona ponownie uderzył zmęczony wyraz twarzy O'Briena. Było to mocne, nalane, brutalne oblicze, wyrażające inteligencję i pewien rodzaj kontrolowanej pasji, wobec której Winston czuł się bezsilny. A jednak była to także twarz zmęczonego człowieka — worki pod oczami, skóra zwisająca luźno na policzkach. O'Brien pochylał się, celowo przysuwając tę zmęczoną twarz bliżej Winstona.

— Myślisz — powiedział — że mam starą i zmęczoną twarz. Że mówię o władzy nad światem, a nie mogę nawet powstrzymać rozpadu własnego ciała. Naprawdę nie pojmujesz, że jednostka jest tylko komórką? Zmęczenie komórki to witalność całego organizmu. Czy umierasz, kiedy obcinasz sobie paznokcie?

Odwrócił się od łóżka i znowu zaczął się przechadzać w tę i z powrotem, z jedną ręką w kieszeni.

— Jesteśmy kapłanami władzy — powiedział. — Bóg jest władzą. Jednak, póki co, władza jest dla ciebie tylko słowem. Czas, żebyś zrozumiał, co ono oznacza. Po pierwsze, musisz pojąć, że panowanie jest kolektywne. Jednostka ma władzę tylko w takim stopniu, w jakim przestaje być jednostką. Znasz ten partyjny slogan: „Wolność to niewola”. Przyszło ci kiedyś do głowy, że można go odwrócić? Niewola to wolność. Samotnie, a za-

Obraz świata, Wiedza,  
Szaleńiec

Władza

Władza

tem wolny, człowiek zawsze przegrywa. Nie może być inaczej, skoro każdy musi umrzeć, a to przecież największa ze wszystkich porażek. Jeśli jednak uda mu się całkowicie, doszczętnie poddać, jeśli ucieknie od własnej tożsamości i zleje się z Partią do tego stopnia, że po prostu *będzie* Partią, wtedy stanie się wszechmocny i nieśmiertelny. Po drugie, musisz zrozumieć, że władza oznacza władzę nad ludźmi. Nad ich ciałami, oczywiście, ale przede wszystkim nad ich umysłami. Władza nad materią, nad tym, co ty określiłbyś jako rzeczywistość zewnętrzną, nie ma znaczenia. Nasze panowanie nad materią już jest absolutne.

Winston na chwilę zignorował przełącznik. Dokonując ogromnego wysiłku, spróbował usiąść, ale wyszło z tego jedynie bolesne szarpnięcie.

— Jak możecie kontrolować materię? — wybuchnął. — Nie kontrolujecie przecież klimatu czy grawitacji. A są także choroby, ból, śmierć...

O'Brien uciszył go gestem dłoni.

— Kontrolujemy materię, bo kontrolujemy umysł. Rzeczywistość znajduje się w ludzkim mózgu. Stopniowo wszystkiego się nauczysz, Winstonie. Możemy wszystko. Niewidzialność, lewitacja... Wszystko jest w naszym zasięgu. Gdybym chciał, mógłbym unieść się z tej podłogi jak bańka mydlana. Nie chcę, bo Partia tego nie chce. Musisz pozbyć się tych dziewiętnastowiecznych conceptów, dotyczących praw natury. To my tworzymy prawa natury.

— Ależ skąd! Nie jesteście nawet panami tej planety. Co z Eurazją i Azją Wschodnią? Jeszcze ich nie podbiliście.

— To nie ma znaczenia. Podbijemy ich w odpowiednim dla nas momencie. A nawet jeśli nie, co to za różnica? Możemy ich wyeliminować, sprawić, że przestaną istnieć. Oceania jest światem.

— Ależ świat to pyłek kurzu. Człowiek jest małeńki, bezbronny! Od jak dawna żyje nasz gatunek? Przez miliony lat Ziemia istniała bez człowieka.

— Nonsens. Ziemia istnieje, odkąd my tu jesteśmy, nie dłużej. Jak mogłaby być od nas starsza? Nie istnieje nic poza ludzką świadomością.

— Przecież znajduje się w ziemi kości dawno wymarłych zwierząt: mamutów, mastodontów albo ogromnych gadów, które żyły na długo przed człowiekiem.

— Czy kiedykolwiek widziałeś te kości, Winstonie? Oczywiście, że nie. Wymyślili je dziewiętnastowieczni biolodzy. Przed człowiekiem nic nie istniało. Po człowieku, gdyby kiedykolwiek miał nastąpić nasz kres, niczego nie będzie. Nie ma niczego poza człowiekiem.

— Cały kosmos istnieje niezależnie od nas. Popatrzcie na gwiazdy! Niektóre z nich są odległe od Ziemi o miliony lat świetlnych. Nigdy do nich nie dotrzemy.

— Czym są gwiazdy? — rzucił O'Brien obojętnie. — Kulami ognia parę kilometrów stąd. Gdybyśmy chcieli, dotarlibyśmy do nich bez trudu. Moglibyśmy je zgasić. Ziemia to centrum wszechświata. Słońce i gwiazdy krążą wokół Ziemi.

Winston znów drgnął konwulsyjnie. Tym razem nic nie powiedział. O'Brien ciągnął, jakby w odpowiedzi na głośno wyrażony sprzeciw:

— Rzecz jasna, prawdę tę można nieco nagiąć w określonym celu. Gdy pływamy po oceanie albo przewidujemy zaćmienie, niekiedy wygodnie jest założyć, że to Ziemia krąży wokół Słońca, a gwiazdy są od niej oddalone o miliony kilometrów. I co z tego? Myślisz, że nie jesteśmy w stanie stworzyć podwójnego systemu astronomicznego? Gwiazdy mogą znajdować się blisko lub daleko, w zależności od potrzeby. Sądzisz, że nasi matematycy sobie z tym nie radzą? Zapomniałeś o dwójmyśleniu?

Winston opadł na łóżko. Czego by nie powiedział, odpowiedź O'Briena błyskawicznie miażdżyła jego argumenty. A jednak wiedział, *wiedział*, że ma rację. Musiał istnieć jakiś sposób podważenia poglądu, iż świat istnieje tylko w umyśle. Czyż dawno temu nie wykazano już, że takie myślenie jest błędne? Koncepcja ta miała nawet swoją nazwę, lecz Winston jej nie pamiętał. Lekki uśmiech wykrzywił kąciaki ust wpatrującego się w jego twarz O'Briena.

Obraz świata



— Powiedziałem ci już, Winstonie, że metafizyka nie jest twoją mocną stroną. Termin, który usiłujesz sobie przypomnieć, to solipsyzm<sup>84</sup>. Mylisz się jednak. Nie mamy tu do czynienia z solipsyzmem. Chyba, że z kolektywnym solipsyzmem. A to coś zupełnie innego, w istocie dokładne przeciwieństwo solipsyzmu. Wszystko to stanowi tylko dygresję — dodał zmienionym tonem. — Prawdziwa władza, ta, o którą musimy walczyć dzień i noc, to nie władza nad rzeczami, tylko nad ludźmi. — Przerwał, po czym po raz kolejny przybrał ton nauczyciela, który egzaminuje dobrze rokującego ucznia. — W jaki sposób człowiek pokazuje, że ma władzę nad innym człowiekiem?

Winston zastanowił się.

— Poprzez zadawanie cierpienia.

— Dokładnie. Poprzez zadawanie cierpienia. Posłuszeństwo nie wystarczy. Jeśli człowiek nie cierpi, skąd możesz wiedzieć, że podlega twojej woli, a nie własnej? Władza polega na zadawaniu bólu i poniżaniu. Na rozbijaniu ludzkich umysłów na kawałki i układaniu tych fragmentów na nowo, zgodnie z własnymi preferencjami. Zaczynasz wreszcie rozumieć, jaki świat budujemy? Jest on dokładnym przeciwieństwem kretyńskich, hedonistycznych utopii, które wyobrażali sobie dawni reformatorzy. To świat przepelniony strachem, zdradą i cierpieniem, w którym ludzie depczą innych i zostają przez nich podeptani, i który w miarę doskonalenia się będzie się stawał nie mniej, a *bardziej* okrutny. Postęp w naszym świecie oznacza coraz więcej bólu. Dawne cywilizacje deklarowały, że opierają się na miłości czy sprawiedliwości. Nasza bazuje na nienawiści. W naszym świecie nie będzie innych emocji poza strachem, wściekłością, rywalizacją i samoponiżeniem. Wszystko inne zniszczymy, wszystko. Już teraz eliminujemy nawyki myślowe sprzed Rewolucji, które jeszcze przetrwały. Przecieliśmy więź łączącą dziecko z rodzicami, mężczyznę z kobietą, człowieka z człowiekiem. Już nikt nie ma odwagi zaufać żonie, dziecku czy przyjacielowi. A w przyszłości nie będzie żon ani przyjaciół. Dzieci będziemy odbierać matkom zaraz po urodzeniu, tak jak zabiera się jajko od kury. Wykorzenimy popęd seksualny. Prokreacja stanie się odbywaną raz w roku formalnością, taką jak przedłużenie kartek na towary. Zlikwidujemy orgazm. Nasi neurologowie już nad tym pracują. Nie będzie istniała żadna lojalność, poza lojalnością wobec Partii. Żadna miłość, poza miłością do Wielkiego Brata. Nie będzie śmiechu, poza śmiechem triumfu nad pokonanym wrogiem. Nastąpi koniec sztuki oraz literatury. I nauki. Staniemy się wszechwładni, zatem nie będziemy jej potrzebować. Zniknie różnica między pięknem i brzydotą. Umrze ciekawość, zginie radość życia. Zlikwidujemy wszelkie istniejące przyjemności. Zawsze jednak, nie zapominaj o tym, zawsze będzie istniało upojenie władzą, coraz większą, coraz bardziej wyrafinowaną. Zawsze, w każdym momencie, będziemy odczuwać rozkoszny dreszcz zwycięstwa, to uczucie, kiedy depcze się pokonanego wroga. Jeśli chcesz wyobrazić sobie przyszłość, wyobraź sobie buciur miażdżący ludzką twarz. Wiecznie!

Przerwał, jakby oczekiwał, że Winston coś powie. Ten jednak leżał zupełnie płasko na łóżku. Żadne słowa nie przechodziły mu przez gardło. Miał wrażenie, że jego serce zamarzło. O'Brien ciągnął zatem:

— Pamiętaj, że to jest na zawsze. Zawsze będzie ta twarz do deptania. Zawsze znajdą się heretycy, wrogowie społeczeństwa, których będziemy mogli ciągle od nowa niszczyć i upokorzać. To wszystko, czego doświadczyłeś, odkąd wpadłeś w nasze ręce, będzie trwało; to i gorsze rzeczy. Szpiegostwo, zdrady, aresztowania, tortury, egzekucje czy tajemnicze zniknięcia nigdy się nie skończą. Świat przyszłości to w równej mierze świat terroru co zwycięstwa. W miarę jak Partia umocni swoją władzę, stanie się zdecydowanie mniej tolerancyjna. Im słabsza opozycja, tym duszniejszy despotyzm. Goldstein ze swoimi herezjami przetrwa po wsze czasy. Codziennie, w każdym momencie, będziemy odnosić nad nim zwycięstwo. Zdyskredytujemy go, ośmieszymy, a mimo to przetrwa. Gra, którą toczę z tobą od siedmiu lat, rozegra się nieskończenie wiele razy, pokolenie za pokoleniem przybierając coraz subtelniejsze formy. Zawsze znajdzie się heretyk, zdany na naszą łaskę, krzyczący z bólu, złamany i upokorzony, i w końcu całkowicie nawrócony, uratowany przed samym sobą, wijący się dobrowolnie u naszych stóp. Taki świat budujemy, Winstonie. Świat zwycięstwa za zwycięstwem, w którym triumf goni triumf:

<sup>84</sup>*solipsyzm* — pogląd filozoficzny, zgodnie z którym istnieje tylko jednostkowy podmiot poznający. [przypis edytorski]

Władza, Obraz świata,  
Nienawiść

Władza, Obraz świata

wieczne, coraz mocniejsze naciskanie na nerw władzy. Widzę, że zaczynasz rozumieć, jaki ten świat będzie. Wymagamy jednak czegoś więcej niż zrozumienie. Musisz go zaakceptować, musisz go zapragnąć, musisz stać się jego częścią.

Winston doszedł do siebie na tyle, żeby się odezwać.

— Nie zdołacie — powiedział słabo.

— Co masz na myśli, Winstonie?

— Nie zdołacie stworzyć takiego świata, jaki właśnie opisaliście. To mrzonka. To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie da się oprzeć cywilizacji na strachu, nienawiści i okrucieństwie. Taka cywilizacja nie może przetrwać.

— Dlaczego nie?

— Będzie pozbawiona żywotności. Ulegnie rozpadowi. Popelni samobójstwo.

— Nonsens. Masz wrażenie, że nienawiść jest bardziej wyczerpująca od miłości. Niby dlaczego? A nawet jeśli tak, co to za różnica? Załóżmy, że decydujemy się skrócić „datę przydatności” człowieka. Przyspieszamy więc tempo życia i ludzie w wieku trzydziestu lat stają się starcami. Co to zmienia? Nie pojmujesz, że śmierć jednostki nie jest kresem? Partia jest nieśmiertelna.

Nie pierwszy raz ten głos wywołał u Winstona poczucie bezradności. Ponadto trząsał się na myśl, że jeśli zbyt długo wytrwa w sprzeciwie, O'Brien ponownie przesunie przełącznik. A mimo to nie mógł milczeć. Słabym głosem, nie mając żadnych argumentów i czerpiąc siłę jedynie z niewysłowionego przerażenia wizją zarysowaną przez O'Briena, powrócił do ataku.

— Nie pojmuję. I nic mnie to nie obchodzi. Tak czy inaczej, przegracie. Coś was pokona. Życie was pokona.

— Kontrolujemy życie, Winstonie, na wszystkich poziomach. Wyobrażasz sobie, że istnieje coś takiego jak natura ludzka, która, rozsierzona wskutek naszych działań, zwróci się przeciwko nam. Ale to my stwarzamy naturę ludzką. Ludzie są nieskończenie plastyczni. Możliwe, że nadal wierzysz, iż zbuntują się prole albo niewolnicy i nas obalą. Zapomnij o tym. Oni są bezbronni jak zwierzęta. Ludzkość to Partia. Wszyscy inni znajdują się poza systemem, nie liczą się.

— Wszystko jedno. W końcu was pokonają. Wcześniej czy później zobaczą, kim naprawdę jesteście, a wtedy rozerwą was na strzępy.

— Dostrzegasz jakieś sygnały, żeby to się działo? Albo jakkolwiek przyczynę, dla której miałyby się wydarzyć?

— Nie. Ale wierzę w to. *Wiem*, że przegracie. Jest we wszechświecie coś, nie wiem... Jakiś duch, jakaś zasada, której nigdy nie pokonacie.

— Wierzysz w Boga, Winstonie?

— Nie.

— Więc czym jest ta zasada, która nas pokona?

— Nie wiem. Ludzką duszą.

— Uważasz się za człowieka?

— Tak.

— Jeśli jesteś człowiekiem, Winstonie, to jesteś ostatnim z ludzi. Twój gatunek już wymarł, my przychodzimy po was. Nie rozumiesz, że jesteś *sam*? Żyjesz poza historią, nie istniejesz. — Ton głosu uległ zmianie i O'Brien dodał szorstko: — Uważasz, że stoisz moralnie wyżej od nas, od naszych kłamstw i okrucieństwa?

— Tak, uważam się za lepszego.

O'Brien milczał. Rozległy się dwa inne głosy. Po chwili Winston zorientował się, że jeden z nich należy do niego. Było to nagranie rozmowy, którą odbyli z O'Brienem tamtego wieczora, kiedy przystępowali do Bractwa. Winston usłyszał, jak obiecuje kłamać, kraść, fałszować, mordować, zachęcać do zażywania narkotyków i prostytucji, rozprzestrzeniać choroby weneryczne, oblać twarz dziecka kwasem. O'Brien machnął niecierpliwie ręką, jakby uważał, że szkoda czasu, żeby kontynuować to przedstawienie. Przekręcił gałkę i głosy ucichły.

— Wstań! — rozkazał.

Pasy się rozpięły. Winston postawił nogi na ziemi i wyprostował się niepewnie.

— Jesteś ostatnim człowiekiem — powiedział O'Brien. — Jesteś strażnikiem ludzkiej duszy. A teraz poznasz całą prawdę o sobie. Rozbierz się.

Winston rozwiązał sznurek, przytrzymujący kombinezon. Zamek błyskawiczny już dawno został wyrwany. Nie pamiętał, czy od chwili aresztowania zdarzyło mu się rozebrać do naga. Pod kombinezonem do jego ciała kleiły się brudne, żółtawe szmaty, w których z trudem dało się rozpoznać resztki bielizny. Kiedy zrzucił je na podłogę, zauważył, że w drugim końcu pomieszczenia znajdowało się trójstronne lustro. Zbliżył się do niego, po czym zamarł. Wydał z siebie niekontrolowany jęk.

— Dalej — rozkazał O'Brien. — Stań między skrzydłami lustra. Musisz obejrzeć się także z boku.

Winston zatrzymał się, zeszywniał z przerażenia. Zbliżył się do niego szary, zgarbiony kościotrup. Już sam wygląd tej kreatury przeraził go; i nie tylko dlatego, że zdawał sobie przecież sprawę, iż odbicie w lustrze jest jego własnym. Podeszedł bliżej. Z powodu pochylonej sylwetki twarz sprawiała wrażenie wysuniętej do przodu. Ponure oblicze więźnia, z guzowatym czołem przechodzącym w gołą czaszkę, haczykowatym nosem i potłuczonymi kośćmi jarzmowymi, nad którymi płonęły zawzięte, czujne oczy. Policzki w bliznach, usta zapadnięte. Była to bez wątpienia twarz Winstona, miał jednak wrażenie, że zmieniła się bardziej niż jego wnętrze. Malujące się na niej emocje nie były tymi, które naprawdę odczuwał. Częściowo wyłysiał. Przez chwilę wydawało mu się, że także posiwiiał, ale była to tylko szarość starego brudu, który wżarł się w całe jego ciało, poza dłońmi i twarzą. Gdzieśgdzie przez bury kolor przebijały czerwone blizny, a wokół ropiejącego wrzodu nad kostką luszczyły się płaty skóry. Jednak najbardziej przerażające było wychudzenie ciała — klatka piersiowa wąska jak u kościotrupa, patykowate nogi z kolanami grubszymi niż uda. Winston zrozumiał teraz, dlaczego O'Brien kazał mu obejrzeć się także z boku. Wygięcie kręgosłupa wydawało się wprost niewiarygodne. Chude ramiona wychodziły do przodu, tworząc w miejscu klatki piersiowej głęboką jamę, wiotka szyja niemal zginiała się pod ciężarem czaszki. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że patrzy na śmiertelnie chorego sześćdziesięciolatka.

— Myślałeś sobie czasem — powiedział O'Brien — że moja twarz, twarz członka Partii Wewnętrznej, ma wygląd starej i zmęczonej. A co myślisz o swojej?

Złapał Winstona za ramię i odwrócił go tak, żeby stanąć z nim twarzą w twarz.

— Spójrz, w jakim jesteś stanie! — zawołał. — Popatrz na ten wstrętny, oblepiający cię syf. Popatrz na brud między palcami u stóp. Na ohydny, jątrzącą się ranę na nodze. Zdajesz sobie sprawę, że cuchniesz jak kozioł? Pewnie już tego nawet nie czujesz. Zobacz, jaki jesteś wychudzony. Widzisz? Mogę twój biceps objąć dwoma palcami. Mógłbym złamać ci kark jak gałązkę. Odkąd wpadłeś w nasze ręce, straciłeś dwadzieścia pięć kilo. Włosy wychodzą ci garściami. Tylko popatrz! — Szarpnął Winstona za czuprynę, parę kosmyków zostało mu w ręku. — Otwórz usta. Masz dziewięć, dziesięć, jedenaście zębów. Ile ich było, kiedy cię tu przywieźliśmy? A te, które ci jeszcze zostały, też już prawie wypadają. Popatrz!

Złapał jeden z tkwiących jeszcze w szczęce przednich zębów między swój kciuk i palec wskazujący. Winston poczuł przeszywający ból. O'Brien wyrwał ząb z korzeniami i rzucił go na podłogę celi.

— Gnijesz — powiedział. — Rozpadasz się na kawałki. Czym jesteś? Workiem obrzydliwości. Teraz odwróć się i ponownie spójrz w lustro. Widzisz tę rzecz, która na ciebie z niego spogląda? Oto ostatni człowiek. Jeśli jesteś człowiekiem, oto ludzkość. A teraz ubierz się.

Winston zaczął ubierać się powolnymi, sztywnymi ruchami. Aż do tego momentu nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo schudł i osłabł. Prześladowała go tylko jedna myśl — musiał tu spędzić o wiele więcej czasu, niż mu się zdawało. Naraz, kiedy owijał się w nędzne lachmany, zrobiło mu się straszliwie żal własnego zrujnowanego ciała. Opał bezwiednie na stół przy łóżku i wybuchnął płaczem. Zdawał sobie sprawę, jak okropnie wygląda w ostrym oświetleniu — żałośnie szlochający worek kości, zawinięty w cuchnące szmaty — ale nie mógł przestać lkać. O'Brien, niemal przyjaznym gestem, położył mu rękę na ramieniu.

— To nie będzie trwać wiecznie — powiedział. — Możesz od tego uciec, kiedy tylko zechcesz. Wszystko zależy od ciebie.

— Wy to zrobiliście — szlochał Winston. — Wy doprowadziliście mnie do tego stanu.

— Nie, Winstonie, sam to sobie zrobiłeś. Zdecydowałeś się na to, kiedy zwróciłeś się przeciwko Partii. Wszystko zawierało się w pierwszym akcie nieposłuszeństwa. Nie wydarzyło się nic, czego nie mógłbyś przewidzieć.

Przerwał, a po chwili ciągnął dalej:

— Biliśmy cię, Winstonie. Złamałiśmy cię. Zobaczyłeś, jak wygląda twoje ciało. Twój umysł jest w takim samym stanie. Nie sądzę, żebyś miał jeszcze choć odrobinę godności. Kopano cię, chłostano i lżono, krzyczałeś z bólu, wleś się po podłodze we własnych wymiotach i krwi. Błagałeś o litość, wszystkich i wszystko zdradziłeś. Przychodzi ci do głowy choć jedno poniżenie, którego nie doświadczyłeś?

Winston przestał płakać, choć z jego oczu nadal toczyły się łzy. Popatrzył na O'Briena.

— Nie zdradziłem Julii — powiedział.

O'Brien przyjrzał mu się z namysłem.

— Tak — przyznał — to prawda. Nie zdradziłeś Julii.

Niewyrozumialny szacunek dla O'Briena, którego najwyraźniej nic nie mogło skruszyć, ponownie wypełnił serce Winstona. Jaki mądry, pomyślał, jaki mądry! O'Brien zawsze rozumiał, co się do niego mówi. Każdy inny człowiek odpowiedziałby z miejsca, że owszem, *zdradził* Julię. Czyż nie wyznał wszystkiego podczas tortur? Powiedział im, co wie o Julii, o jej przyzwyczajeniach, temperamencie i przeszłości, opisał, w najdrobniejszych szczegółach, co robili podczas schadzek, co do niej mówił, co ona mówiła do niego, opowiedział o smakołykach z czarnego rynku, o cudzołóstwie i mętnych knowaniach przeciwko Partii — wyznał wszystko. A jednak, w takim sensie, w jakim rozumiał to słowo, nie zdradził jej. Nie przestał jej kochać, jego uczucia wobec niej pozostały niezmienione. O'Brien od razu zrozumiał, o co chodzi Winstonowi, nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień.

— Powiedzcie mi — poprosił Winston — kiedy mnie zastrzelą?

— Prawdopodobnie nieprędko — odparł O'Brien. — Ciężki z ciebie przypadek. Ale nie trać nadziei. Każdego udaje się w końcu wyleczyć. Wcześniej czy później na pewno cię zastrzelimy.

## 4

Winston czuł się znacznie lepiej. Z dnia na dzień — o ile mówienie o dniach miało w jego położeniu sens — odzyskiwał siły.

Wciąż drażniło go mocne światło i ustawiczny szum, ale nowa cela była nieco wygodniejsza od poprzednich. Na pryczy z desek leżały materac i poduszka, miał też do dyspozycji stołek. Pozwolono mu wziąć kąpiel, potem mógł dość często myć się w blazanej miednicy. Dostawał nawet ciepłą wodę. Dali mu świeżą bieliznę i czysty, nowy kombinezon. Wrzód nad kostką opatrzono łagodzącą maścią. Wyrwano mu pozostałe zęby i wstawiono protezę.

Minęło wiele tygodni lub nawet miesięcy. Teraz, gdyby miał na to ochotę, mógłby już mierzyć upływ czasu — ewidentnie karmiono go o regularnych porach. Szacował, że dostaje trzy posiłki na dobę, czasem tylko zastanawiał się, czy ma to miejsce w dzień czy w nocy. Jedzenie było znacznie lepsze, niż się spodziewał — co trzecie danie zawierało mięso. Raz dostał nawet paczkę papierosów. Nie miał zapalek, ale milczący strażnik, który przynosił jedzenie, podał mu ogień. Przy pierwszym podejściu Winstonowi zrobiło się niedobrze, ale się opanował. Potem dozwalał sobie paczkę, paląc pół papierosa po każdym posiłku.

Dostał też białą tabliczkę z przywiązany do rogu ogryzkiem ołówka. Z początku jej nie używał. Nawet kiedy nie spał, czuł się całkowicie odrętwiały. Między posiłkami przeważnie leżał bez ruchu, drzemiąc lub oddając się niezbornym rozmyśleniom z zamkniętymi oczami. Dawno już przywykł do spania przy padającym na twarz ostrym świetle. Nie robiło mu to różnicy, co najwyżej sny stawały się bardziej spójne. Przez cały czas bardzo dużo śnił i przeważnie były to sny szczęśliwe. Znajdował się w Złotej Krainie albo siedział pośród jakichś potężnych, zjawiskowych, zalanych słońcem ruin — z matką, z Julią, z O'Brienem — nic nie robiąc, po prostu chłonąc słońce i gawędząc o zwyczaj-

Zdrada

Sen

nych rzeczach. Także myśli, które miewał na jawie, dotyczyły głównie snów. Z chwilą, gdy znikł bodziec w postaci bólu, Winston stracił zdolność do podejmowania wysiłku intelektualnego. Nie nudziło mu się, nie pragnął rozmowy ani rozrywki. Chciał tylko być sam, bez bicia i przepytywania, mieć co jeść, móc się umyć — to mu całkowicie wystarczało.

Stopniowo spał coraz mniej, wciąż jednak nie czuł potrzeby, żeby wstawać z łóżka. Zależało mu tylko na tym, aby leżeć w spokoju i czuć, jak ciało nabiera sił. Od czasu do czasu dotykał różnych jego części, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że to nie złudzenie, mięśnie zaokrąglały się, a skóra staje się bardziej napięta. W końcu nabrał pewności — tak, przybierał na wadze, uda miał już zdecydowanie grubsze od kolan. Od tego momentu zaczął regularnie ćwiczyć. Początkowo z trudem. Wkrótce jednak mógł przejść trzy kilometry, spacerując w kółko po celi, a zgarbione ramiona zaczęły się prostować. Kiedy spróbował trudniejszych ćwiczeń, odkrył ze zdumieniem i upokorzeniem, że wiele banalnych czynności przekracza jego możliwości. Nie dawał rady przyspieszyć kroku czy przytrzymać stołka w wyciągniętej ręce; kiedy próbował stanąć na jednej nodze, przewracał się. Przykucnął na piętach, ale potem ledwo się podniósł, czując rwący ból w udach i łydkach. Położył się płasko na brzuchu i chciał unieść ciężar ciała na rękach, lecz poległ sromotnie — nie oderwał się nawet od ziemi. Jednak po kolejnych kilku dniach i po kolejnych posiłkach dokonał również i tego. Wreszcie udało mu się zrobić sześć pompek z rzędu. Zaczął odczuwać autentyczną dumę ze swego ciała, a chwilami miał nadzieję, że także jego twarz odzyskuje swój normalny wygląd. Dopiero kiedy przypadkiem dotknął ręką gołą czaszki, przypomniało mu się spoglądające z lustra, wyniszczone oblicze kościotrupa.

Również jego umysł stał się bardziej aktywny. Winston przysiadł na łóżku, opierając się plecami o ścianę, kładł sobie na kolanach tabliczkę i całkiem świadomie przystępował do reedukacji.

Skapitulował, to było jasne. W rzeczywistości — teraz to widział — był gotów do zaprzestania walki na długo przed tym, zanim podjął tę decyzję, w momencie gdy przeprowadzono go do Ministerstwa Miłości, a nawet wcześniej. Już w czasie tamtych kilku minut, kiedy stali z Julią bezbronni wobec żelaznego głosu z teleekranu, dyktującego im, co mają robić, już wtedy dotarło do niego, jak lekkomyślna i naiwna była jego próba buntu przeciwko Partii. Teraz wiedział, że myślopolicja obserwowała go przez siedem lat jak żuka przez lupę. Żaden jego czyn, żadne słowo nie umknęło ich uwadze, umieli odgadnąć treść każdej myśli. Wiedzieli nawet o białym paprochu, pozostawionym na okładce dziennika, i uważnie odkładali go na miejsce. Puszczano mu nagrania, pokazywano fotografie. Były wśród nich jego zdjęcia z Julią. Tak, nawet podczas... Nie mógł już dłużej walczyć przeciwko Partii. Poza tym, Partia miała rację. Musiała mieć rację: czy nieśmiertelny, kolektywny mózg może się mylić? Jakiej zewnętrznej miary trzeba by było użyć do oceny jego sądów? Zdrowie psychiczne to kwestia statystyki. Winston musiał jedynie nauczyć się myśleć tak jak oni. Tylko tyle!

Ołówek wydawał mu się dziwnie gruby, niewygodnie trzymało się go w ręce. Zaczął notować myśli, które przychodziły mu do głowy. Niezdarnymi, wielkimi literami napisał najpierw:

WOLNOŚĆ TO NIEWOLA

I niemal od razu dodał poniżej:

DWA I DWA TO PIĘĆ

W tym momencie coś go powstrzymało. Nie mógł się skoncentrować, jakby jego umysł unikał jakiegось myśli. Czuł, że wie, jak powinno brzmieć następne zdanie, ale chwilowo nie mógł go przywołać. Wreszcie sobie przypomniał, choć fraza nie pojawiła się spontanicznie — musiał w tym celu świadomie zrekonstruować proces myślowy. Napisał:

BÓG TO WŁADZA

Ciało

Kłęska

Zgodził się na wszystko. Przeszłość podlegała modyfikacjom. Przeszłości nigdy nie zmieniono. Oceania walczyła z Azją Wschodnią. Oceania zawsze walczyła z Azją Wschodnią. Jones, Aaronson i Rutheford byli winni zbrodni, o które ich oskarżono. Nigdy nie widział zdjęcia dowodzącego ich niewinności. Ta fotografia nigdy nie istniała, Winston ją wymyślił. Miał świadomość, że pamięta wiele sprzecznych faktów, ale to były fałszywe, urojone wspomnienia. Jakie to łatwe! Wystarczyło poddać się, wszystko inne działało samo. Zupełnie jakby człowiek, płynący pod prąd rwącej rzeki i niezależnie od podejmowanego wysiłku raz po raz odrzucany do tyłu, postanowił nagle odwrócić się i podążać z prądem, zamiast z nim walczyć. Nie zmieniło się nic poza nastawieniem Winstona, działało się to, co i tak musiało się stać. Właściwie nie pamiętał, po co się kiedykolwiek buntował. Wszystko było takie łatwe, oprócz...!

Wszystko może być prawdą. Tak zwane prawa natury są nonsensowne. Grawitacja to bzdura. „Gdybym chciał — powiedział O'Brien — to uniósłbym się z tej podłogi jak bańka mydlana”. Winston uważnie przeanalizował tę kwestię. „Jeśli *wierzy*, że unosi się nad podłogą, i jeśli jednocześnie ja *wierzę*, że to widzę, to znaczy, że tak się dzieje”. Nagle, jak fragment zatopionego wraku wyłaniający się niespodziewanie nad powierzchnią wody, przyszła mu do głowy myśl: „Tak się nie dzieje. Wyobrażamy to sobie tylko. To halucynacja”. Od razu wpełchnął tę myśl z powrotem pod wodę. Błąd był oczywisty. Wynikał z założenia, że gdzieś tam, na zewnątrz umysłu, istnieje „prawdziwy” świat, w którym dzieją się „prawdziwe” rzeczy. Tylko jakim cudem taki świat mógł istnieć? Skąd byśmy o tym wiedzieli, nie polegając na umyśle? Wszystko dzieje się w umyśle. Zaś to, co dzieje się we wszystkich umysłach, dzieje się naprawdę.

Bez trudu wykrył błąd, nie było zatem ryzyka, że podda się szkodliwemu tokowi myślenia. Miał jednak świadomość, że coś takiego nie powinno było się wydarzyć. Zadaniem umysłu jest wykształcenie mechanizmu wyłączania się, kiedy tylko pojawi się groźba zejścia na manowce. To musi odbywać się automatycznie, instynktownie. W nowomowie proces ten nosi miano *zbrodniostopu*.

Winston zabrał się za ćwiczenie tej umiejętności. Przywoływał w myślach różne stwierdzenia — „Partia mówi, że Ziemia jest płaska”, „Partia utrzymuje, że lód jest cięższy od wody” — i wprawiał się w ignorowaniu albo nierozumieniu argumentów, które im przeczyły. Nie było to łatwe. Wymagało umiejętności błyskawicznego reagowania i talentu do improwizacji. Przykładowo, problemy arytmetyczne, wynikające ze stwierdzenia, że „Dwa i dwa to pięć”, przekraczały jego możliwości intelektualne. Umysł musi być niezwykle elastyczny, żeby w jednym momencie dokonywać najbardziej subtelnych operacji logicznych, a zaraz potem nie dostrzegać najoczywistszych błędów w rozumowaniu. Głupota była do tego potrzebna nie mniej niż inteligencja. I równie trudno było ją wykształcić.

Przez cały czas przez jego głowę przewijało się pytanie, kiedy go zastrzelą. „Wszystko zależy od ciebie”, powiedział O'Brien. Winston wiedział jednak, że żadne świadome działanie nie przybliży tego momentu. Może nadejść za dziesięć minut albo za dziesięć lat. Mogą trzymać go w izolacji bez końca, mogą zesłać go do obozu pracy, mogą go na jakiś czas wypuścić, bo tak też czasem robili. Niewykluczone, że przed rozstrzelaniem ponownie rozegra się całe to przedstawienie z aresztowaniem i przesłuchaniami. Pewne było tylko jedno: że śmierć zawsze przychodzi niespodziewanie. Zgodnie ze zwyczajem — niepisaną tradycją, o której się wiedziało, choć o tym nie rozmawiano — strzelano zza pleców w tył głowy, bez ostrzeżenia, kiedy więzień przechodził korytarzem z jednej celi do drugiej.

Pewnego dnia — choć wyrażenie „pewnego dnia” nie jest precyzyjne, bo równie dobrze mogło się to dziać w środku nocy — a więc pewnego razu Winston miał dziwny, błogi sen. Szedł korytarzem, spodziewając się wystrzału. Wiedział, że zaraz dosięgnie go kula. Wszystko się uspokoiło, wygładziło, zgodziło. Nie miał już żadnych wątpliwości, nie potrzebował argumentów, nie czuł bólu ani strachu. Jego ciało było zdrowe i silne. Szedł lekkim krokiem, ciesząc się każdym ruchem i czując na sobie światło słoneczne. Nie był to wąski, biały korytarz w Ministerstwie Miłości, Winston znajdował się w przestronnym, szerokim na kilometr, zalanym słońcem przejściu. Widział już kiedyś to miejsce podczas halucynacji wywołanych przez środki, które mu podano. Wędrował przez Złotą Krainę; szedł ścieżką, przecinającą pastwisko wygryzione przez króliki. Pod stopami czuł krótką,

Prawda

Śmierć

Sen, Wspomnienia

sprężystą trawę, na twarzy — łagodne ciepło słonecznego światła. Na skraju łąki rosły wiązy, wiatr poruszał delikatnie ich gałęziami; gdzieś w dali płynął strumień, a w nim, w zielonych rozlewiskach pod wierzbami, pluskały się klenie.

Nagle poderwał się, zdjęty strachem. Pot zalał mu plecy. Usłyszał swój głos, wołający: — Julio! Julio! Julio, kochanie! Julio!

Na moment poddał się przemożnemu wrażeniu, że Julia znajduje się tuż przy nim. A nawet więcej — nie przy nim, a w nim, jakby wniknęła mu pod skórę. W tym momencie kochał ją o wiele bardziej niż wtedy, kiedy byli razem na wolności. Zrozumiał, że Julia nadal żyje i że potrzebuje jego pomocy.

Położył się na łóżku i próbował się uspokoić. Co on najlepszego zrobił? Ile lat właśnie dodał sobie do wyroku tym momentem słabości?

Zaraz usłyszy tupanie buciorów za drzwiami. Taki wybuch nie mógł mu ująć na sucho. Teraz już mieli pewność — o ile nie domyślili się wcześniej — że łamie zasady zawartej z nimi umowy. Był posłuszny wobec Partii, lecz wciąż jej nienawidził. Wcześniej skrywał heretycki umysł za pozorami zgody, teraz zrobił krok wstecz. Tak, poddał umysł. Wciąż jednak liczył, że uda mu się zachować czyste serce. Wiedział, że nie ma racji, ale wołał jej nie mieć. Przejrzą go, O'Brien go przejrzy. Przyznał się do wszystkiego tym jednym głupim okrzykiem.

Będzie musiał zaczynać wszystko od początku. To może trwać całymi latami. Przechadł dłonią po twarzy, ucząc się jej nowego kształtu. Miał głębokie bruzdy w policzkach, kości jarzmowe ostro sterczały, zaś nos był spłaszczony. Poza tym, odkąd widział się w lustrze, wstawiono mu protezę. Nielatwo zachować pokerową twarz, kiedy człowiek nie zna własnego wyglądu. Zresztą kontrolowanie wyrazu twarzy to za mało. Dotarło do niego wreszcie, że jeśli chce się coś ukryć, trzeba to zataić także przed samym sobą. Należy przez cały czas mieć świadomość, że coś pozostaje w ukryciu, nie może to jednak pod żadną uchwytną postacią przeniknąć do świadomości, dopóki nie zajdzie taka konieczność. Odtąd musi nie tylko myśleć prawidłowo, musi czuć prawidłowo i prawidłowo śnić. I stale kryć nienawiść głęboko w sobie, nosić jak cystę, tkwiącą w ciele, lecz od niego odrębną.

Któregoś dnia postanowił go zastrzelić. Nie można przewidzieć, kiedy to nastąpi, chyba jednak da się odgadnąć kilka sekund przed faktem. Zawsze strzelają z tyłu, zawsze na korytarzu. Dziesięć sekund wystarczy. W tym czasie cały jego wewnętrzny świat zdoła przewrócić się do góry nogami. Nagle, bez jednego słowa, nie zmieniając rytmu kroków, bez drgnięcia twarzy odrzuci kamuflaż i bum! Wystrzelą działa jego nienawiści. Nienawiść wypełni go jak potężny, ryczący płomień. I niemal jednocześnie — bum! — wypali pistolet, za późno albo za szybko. Rozwałą mu mózg, zanim zdołają ponownie nad nim zapanować. Heretycka myśl uniknie kary, pozostanie nieodkupiona i poza ich zasięgiem — na wieki. Sami spowodują tę wyrwę w stworzonej przez siebie doskonałości. Umrzeć nienawidząc ich — oto, czym jest wolność.

Zamknął oczy. Trzeba było dokonać czegoś o wiele trudniejszego niż zachowanie intelektualnej dyscypliny. Musiał się poniżyć, okaleczyć, wytarzać się w najohydniejszym brudzie. Co było najstraszniejsze, bardziej obrzydliwe niż wszystko inne? Pomyślał o Wielkim Bracie. Ogromna twarz (ponieważ zawsze widywał ją na plakatach, wyobrażał sobie, że ma z metr szerokości), z gęstymi, czarnymi wąsami i oczami podążającymi za każdym ruchem człowieka, sama pojawiła się w jego umyśle. Jakie uczucia naprawdę żywił wobec Wielkiego Brata?

Na korytarzu rozległo się stąpanie ciężkich buciorów. Szczęknęły stalowe drzwi celi. Do środka wkroczył O'Brien. Tuż za nim szedł oficer o woskowej twarzy i strażnicy w czarnych mundurach.

— Wstawaj! — rozkazał O'Brien. — Podejdź tu.

Winston stanął naprzeciw O'Briena. Ten położył swoje mocne ręce na jego ramionach i popatrzył na niego z bliska.

— Przyszło ci do głowy, że mógłbyś mnie oszukać. To było naprawdę głupie. Wyprostuj się. Popatrz na mnie.

Przerwał, a potem ciągnął łagodniejszym tonem:

— Robisz postępy. Intelektualnie jesteś już prawie zdrowy, ale emocjonalnie tkwisz w tym samym miejscu. Powiedz mi, Winstonie... Tylko pamiętaj, żadnych kłamstw, do-

Miłość

Tajemnica

Śmierć, Wolność,  
Nienawiść

brze wiesz, że zawsze rozpoznam kłamstwo. Powiedz mi, co naprawdę czujesz do Wielkiego Brata?

— Nienawidzę go.

— Nienawidzisz go. Dobrze. A zatem czas, abyś przeszedł do ostatniego etapu. Musisz pokochać Wielkiego Brata. Nie wystarczy, że jesteś mu posłuszny, musisz go kochać.

Puścił Winstona, popychając go lekko w kierunku strażników.

— Pokój 101 — powiedział.

## 5

Na każdym etapie uwięzienia Winston wiedział — albo tak mu się przynajmniej zdawało — gdzie w pozbawionym okien gmachu w danym momencie przebywa. Może wyczuwał drobne różnice ciśnienia. Cele, w których go bito, zlokalizowane były pod ziemią, zaś pokój, w którym przesłuchiwał go O'Brien, gdzieś wysoko, bliżej dachu. Miejsce, do którego aktualnie trafił, znajdowało się wiele metrów pod ziemią, na najniższym poziomie budynku.

Pomieszczenie było większe od większości cel, w których dotąd przebywał. Nie zwracał jednak zbytnej uwagi na otoczenie. Zauważył jedynie, że naprzeciwko niego znajdują się dwa stoły — oba przykryte zielonym rypsem<sup>85</sup>. Pierwszy stał o metr czy dwa od niego, drugi dalej, przy drzwiach. Winston siedział, przytwierdzony do fotela tak ciasno, że nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Coś w rodzaju ochraniacza podtrzymywało jego głowę od tyłu w pozycji, która zmuszała go do patrzenia prosto przed siebie. Przez moment był sam, potem drzwi otworzyły się i wszedł O'Brien.

— Zapytałeś mnie kiedyś — zaczął O'Brien — co znajduje się w pokoju 101. Powiedziałem ci wtedy, że ty sam najlepiej znasz odpowiedź. Każdy ją zna. W pokoju 101 znajduje się to, co jest najstraszniejsze na świecie.

Ponownie otworzyły się drzwi. Wszedł strażnik, niosąc przedmiot zrobiony z drutu — jakieś pudło czy kosz. Postawił go na bardziej oddalonym stole. O'Brien tak się ustawił, że Winston nie mógł zobaczyć, co to jest.

— To, co najstraszniejsze na świecie — ciągnął O'Brien — jest dla każdego czym innym. Dla jednego będzie to pogrzebanie żywcem, dla drugiego śmierć w płomieniach, utonięcie, konanie na palu lub jakiś inny rodzaj śmierci. Czasem chodzi o coś zupełnie trywialnego, co niekoniecznie prowadzi do zgonu.

Przesunął się trochę, żeby Winston lepiej widział przedmiot leżący na stole. Była to podłużna, drucziana klatka z przymocowanym na górze uchwytem. Z przodu dodano coś, co wyglądało jak maska szermierza, skierowana wklęsłością na zewnątrz. Chociaż klatka znajdowała się w odległości trzech czy czterech metrów, Winston dostrzegł, że jest podzielona na dwie komory, a w każdej z nich znajduje się jakieś stworzenie. Były to szczury.

— Dla ciebie — powiedział O'Brien — najstraszniejsze są szczury.

Jakiś ostrzegawczy dreszcz, lęk przed nie wiadomo czym, wstrząsnął ciałem Winstona, kiedy tylko zobaczył klatkę. Lecz dopiero teraz dotarł do niego sens przymocowanej z przodu, maskopodobnej instalacji. Zmroziło go.

— Nie możecie! — zawołał cienkim, łamiącym się głosem. — Nie możecie! Nie, to niemożliwe!

— Przypominasz sobie — spytał O'Brien — napady lęku, które czasem nawiedzały cię w snach? Widziałeś przed sobą czarną ścianę, a w uszach dzwonił ci jakiś przeszywający dźwięk. Po drugiej stronie muru znajdowało się coś potwornego. Zdawałeś sobie sprawę, że na jakimś poziomie wiesz, co to takiego, ale nie ośmielałeś się dopuścić do świadomości, że chodzi o szczury.

— O'Brien — zawołał Winston, próbując kontrolować swój głos. — Wiecie, że to nie jest konieczne. Co mam zrobić?

O'Brien nie odpowiedział od razu. Po chwili odezwał się tonem nauczyciela, który czasem zdarzało mu się przybierać. Refleksyjnie spojrzął w dal, jakby zwracał się do publiczności, siedzącej gdzieś za plecami Winstona.

Strach

<sup>85</sup>*ryps* — rodzaj prążkowanej tkaniny. [przypis edytorski]



— Sam w sobie — mówił — ból czasem nie wystarcza. Zdarza się, że człowiek nie złamie się pod wpływem cierpienia, nawet jeśli przyplaci to życiem. Ale zawsze, w każdym przypadku, da się znaleźć coś niemożliwego do zniesienia, coś, o czym ten człowiek boi się choćby pomyśleć. Nie ma to nic wspólnego z odwagą czy strachem. Kiedy spadasz z dużej wysokości, złapanie się liny nie jest aktem tchórzostwa. Gdy wynurzasz się z głębin, zaczerpnięcie powietrza nie oznacza rejterady. To instynkt, przeciwko któremu nie można się buntować. Tak samo jest ze szczurami. Nie możesz nawet o nich myśleć. Wywierają na ciebie presję, której nie zniesiesz, choćbyś próbował. Zrobisz, co ci każemy.

— Ale co takiego? Co to jest? Jak mogę to zrobić, skoro nie wiem, o co chodzi?

O'Brien przeniósł klatkę na bliższy stół. Ustawił ją ostrożnie na rypsie. Winstonowi dzwoniło w uszach. Czuł się straszliwie samotny. Miał wrażenie, że znajduje się pośrodku wielkiej, pustej równiny, na jakiejś płaskiej pustyni zalanej słońcem. Wszystkie dźwięki docierały do niego jakby z oddalenia. Jednak klatka ze szczurami stała mniej niż dwa metry od niego. Zwierzęta były ogromne. Oba w tym wieku, kiedy szczurze pyski stają się szersze i bardziej drapieżne, a futro zmienia kolor z szarego na brązowy.

— Choć jest gryzoniem — O'Brien nadal zwracał się do niewidzialnej publiczności — szczur lubi mięso. Jesteś tego świadomy. Słyszałeś, co się czasem zdarza w biednych dzielnicach tego miasta. Są ulice, gdzie matki boją się zostawić dziecko samo w domu choćby na krótką chwilę. Szczury z pewnością by je zaatakowały i w okamgnieniu ogryzły mięso do gołych kości. Rzucają się też na chorych i umierających. Umieją zadziwiająco skutecznie rozpoznać, kiedy człowiek jest bezbronny.

Nagle z klatki dobiegły piski. Winston miał wrażenie, że słyszy je z daleka. Szczury walczyły ze sobą, jeden próbował dorwać drugiego przez rozdzielającą je przegrodę. Usłyszał również głośny, rozpaczliwy jęk, który także zdawał się dochodzić z zewnątrz.

O'Brien podniósł klatkę, coś przy niej naciskając. Rozległo się głośne kliknięcie. Winston podjął rozpaczliwą próbę oderwania się od fotela. Całe jego ciało, włącznie z głową, było doskonale unieruchomione. O'Brien przybliżył klatkę. Znajdowała się teraz niecały metr od twarzy Winstona.

— Nacisnąłem pierwszą dźwignię — powiedział O'Brien. — Chyba rozumiesz budowę tej klatki. Maskę szczelnie otoczy twoją głowę. Kiedy nacisnę drugą dźwignię, drzwiczki uniosą się i te wygłodniałe bestie wyrwą się do przodu jak wystrzelone z pistoletu. Widziałeś kiedyś skaczącego szczura? Rzucą się na twoją twarz i natychmiast się w nią wgrzyzą. Czasem najpierw atakują oczy. Niekiedy przegryzają się przez policzek i wyjadają język.

Klatka przybliżyła się i zaczynała otaczać głowę Winstona. Usłyszał serię przeszywających jęków, dobiegających jakby z góry. Rozpaczliwie starał się opanować strach. Myśleć, myśleć — nawet jeśli został ułamek sekundy — może jeszcze zdoła się uratować. Nagle dotarł do jego nozdrzy okropny, stęchły odór bestii. Poczul tak silny spazm mdłości, że o mało nie zemdlał. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Na moment zamienił się w szalone, wyjące zwierzę. Nagle jednak z ciemności wynurzyła się pewna myśl. Istniał tylko jeden sposób, żeby się obronić — musiał oddzielić się od szczurów innym człowiekiem, *ciałem* innego człowieka.

Wklęsłość maski znajdowała się już tak blisko, że niczego innego spoza niej nie widział. Szerokość dłoni dzieliła druciane drzwiczki od jego twarzy. Szczury rozumiały, co zaraz nastąpi. Jeden podskakiwał, drugi — stary kanalarz o łuszczącym się pysku — opierał się różowymi łapami o druty, węsząc niecierpliwie. Winston dostrzegał już jego wąsy i żółte zęby. Znowu pograżył się w ciemności. Ze strachu czuł się ślepy, bezradny, oszalały.

— Dość popularna kara w cesarskich Chinach — powiedział O'Brien swoim typowym, dydaktycznym tonem.

Maska zamykała się na twarzy Winstona. Drut dotknął jego policzka. I wtedy... Nie, to nie była ulga, tylko nadzieja, iskierka nadziei. Za późno, może już za późno. Nagle jednak zrozumiał, że na całym świecie jest tylko *jedna* osoba, na którą może zrzucić tę karę — tylko *jedno* ciało może go oddzielić od szczurów. Zaczął więc krzyczeć jak opętany:

— Zróbcie to Julii! Zróbcie to Julii! — powtarzał w kółko. — Nie mnie, tylko Julii! Wszystko mi jedno, co z nią zrobicie. Niech szczury zjedzą jej twarz, niech ogołocą do kości. Tylko nie róbcie tego mnie! Zróbcie to Julii! Nie mnie!

Okrucieństwo

Strach

Kondycja ludzka, Zdrada,  
Strach, Upadek, Klęska

Spadał do tyłu, w jakąś otchłań bez dna, oddalając się od szcurów. Nadal był przytwierdzony do fotela, mimo to przeleciał przez podłogę, ściany budynku, warstwy skorupy ziemskiej, oceany i atmosferę, aż znalazł się w kosmosie, w przestrzeni międzygwiazdnej — coraz dalej i dalej od szcurów. Oddalił się o lata świetlne, ale O'Brien nadal stał przy nim. Winston wciąż czuł zimny dotyk drutu na policzku. W otaczającej go ciemności usłyszał jednak kolejne metaliczne kliknięcia. I wiedział, że nie oznacza ono otwarcia drzwiczek, tylko ich definitywne zamknięcie.

## 6

W kawiarni Pod Kasztanem było prawie pusto. Przez okno wpadał na zakurzone stoły ukośny promień żółtego światła. Była piętnasta. Cicha godzina. Metaliczna muzyczka sączyła się z teleekranów.

Winston siedział w tym samym kącie co zawsze, wpatrując się w pustą szklankę. Od czasu do czasu zerkał na ogromną twarz, spoglądając na niego z przeciwległej ściany. „WIELKI BRAT WIDZI” — głosił podpis. Kelner, nieproszony, napełnił szklankę Ginem Zwycięstwa, po czym dodał kilka kropli płynu, wytrząśniętego z innej butelki przez rurkę umieszczoną w korku. Była to sacharyna przyprawiona goździkami, specjalność tego lokalu.

Winston słuchał teleekranu. W tej chwili dobiegała z niego jedynie muzyka, jednak w każdej chwili mogło rozpocząć się ogłoszenie Ministerstwa Pokoju. Z frontu afrykańskiego płynęły skrajnie niepokojące wieści. Martwił się tym przez cały dzień. Armia eurazjatycka (Oceania prowadziła wojnę z Eurazją, Oceania zawsze prowadziła wojnę z Eurazją) posuwała się na południe w zatrważającym tempie. W wiadomościach nadanych w południe nie sprecyzowano dokładnej lokalizacji, nie dało się jednak wykluczyć, że walki toczyły się już przy ujściu Kongo. Brazzaville i Léopoldville<sup>86</sup> znalazły się w niebezpieczeństwie. Nie trzeba było patrzeć na mapę, żeby zrozumieć, co to oznacza. W grę wchodziła nie tylko utrata Afryki Środkowej; pierwszy raz od początku wojny zagrożone było terytorium Oceanii.

Winstona opanowało jakieś gwałtowne uczucie — nie strach, raczej coś w rodzaju ogólnego pobudzenia — i zaraz minęło. Przestał myśleć o wojnie. Nie był w stanie skupić się na jednej sprawie dłużej niż kilka chwil. Podniósł szklankę i opróżnił na raz. Jak zwykle wzdrygnął się i zrobiło mu się niedobrze. Napój miał obrzydliwy smak. Goździki z sacharyną, same w sobie okropnie mdłe, bynajmniej nie zabijały płaskiego, oleistego zapachu alkoholu. Najgorsze ze wszystkiego było to, że towarzyszący Winstonowi dzień i noc zapach ginu nieuchronnie kojarzył mu się z odorem tych...

Nigdy ich nie nazywał, nawet w myślach, w miarę możliwości nigdy sobie ich nie wyobrażał. Były czymś, czego istnienie uświadamiał sobie tylko połowicznie, czymś unoszącym się tuż przy jego twarzy, smrodem, którego nie mógł pozbyć się z nozdrzy. Gin podszedł mu do gardła, przez fioletowe wargi wydostało się beknięcie. Przytył, odkąd go wypuścili, i odzyskał dawny rumieniec — z nawiązką. Rysy mu zgrubiały, skóra na nosie i policzkach stała się jaskrawoczerwona, nawet łysina przybrała różowawą barwę. Kelner, znów nieproszony, przyniósł planszę i dzisiejsze wydanie „Timesa”, otwarte na szachowej łamigłówce. Widząc pustą szklankę, ponownie napełnił ją ginem. Winston nie musiał niczego zamawiać. Zнали jego zwyczaje. Zawsze czekała na niego szachownica, stolik w kącie był dla niego stale zarezerwowany; nawet kiedy w lokalu było pełno ludzi, miał to miejsce dla siebie, bo nikt nie chciał być widziany w jego towarzystwie. Nie zawracał sobie głowy liczeniem drinków. Od czasu do czasu wręczali mu powalany świstek, twierdząc, że to jego rachunek; miał jednak wrażenie, że zawsze liczyli za mało. Gdyby było odwrotnie, nie robiłoby mu to żadnej różnicy. Nie brakowało mu teraz pieniędzy. Miał nawet pracę — była to typowa synekura — w której zarabiał znacznie więcej niż na swojej dawnej posiadzie.

Muzyczka ucichła i z teleekranu rozległ się głos. Winston uniósł głowę, żeby posłuchać. Nie było jednak nowych wiadomości z frontu, jedynie krótkie ogłoszenie Mini-

<sup>86</sup>Léopoldville — obecnie Kinszas, stolica i największe miasto Demokratycznej Republiki Konga. [przypis edytorski]

sterstwa Dobrobytu. W poprzednim kwartale założenia dziesiątego Planu Trzyletniego, dotyczące produkcji sznurowadeł, zostały przekroczone o 98%.

Winston przeanalizował problem szachowy i rozstawił figury. To była trudna końcówka, angażująca dwa skoczki. „Grają białe, mat w dwóch ruchach”. Winston popatrzył na portret Wielkiego Brata. Białe zawsze wygrywają, pomyślał, popadając w jakiś niejasny mistycyzm. Ustawienie jest stale takie samo, bez wyjątku. Nigdy, od początku świata, nie wygrały czarne. Czyż nie symbolizowało to wiecznego, niezmiennego triumfu Dobra nad Złem? Ogromna twarz, przepelniona spokojną siłą, spoglądała na Winstona. Białe zawsze wygrywają.

Głos z teleekranu zamilkł na moment, po czym odezwał się na nowo innym, o wiele poważniejszym tonem. „Przypominamy — o 15.30 wiadomości najwyższej wagi. Nie wolno ich przegapić. 15.30!”. Ponownie rozległa się metaliczna muzyczka.

Serce Winstona przyspieszyło. Chodziło o wieści z frontu; instynktownie wiedział, że są złe. Przez cały dzień, raz po raz, ogarniała go ekscytacja na myśl o druzgocącej klęsce w Afryce. Zdawało mu się, że widzi, jak eurazjatycka armia szturmuje nigdy wcześniej niezdobytą granicę, po czym sunie w dół Afryki jak kolumna mrówek. Dlaczego nie udało się ich otoczyć? Miał wyraźnie przed oczami zachodnie wybrzeże Afryki. Podniósł białego skoczka i przestawił w inne miejsce. *Tamto* pole było właściwe. Wyobrażając sobie czarne hordy, posuwające się coraz dalej na południe, ujrzał jednocześnie inną armię, w tajemniczy sposób zgromadzoną na tyłach wroga, odcinającą mu łączność na lądzie i morzu. Miał wrażenie, że aktem woli powołuje tę drugą siłę do istnienia. Ale należało działać szybko. Bo gdyby udało im się zająć całą Afrykę, gdyby pasy startowe i bazy łodzi podwodnych wokół przylądka wpadły w ich ręce, przepołowiliby Oceanię. A to mogłoby oznaczać wszystko — klęskę, załamanie starego porządku, nowy podział świata, zniszczenie Partii! Winston wziął głęboki wdech. Kotłowała się w nim niebywała mieszanina uczuć — choć nie była to właściwie mieszanina, ściślej rzecz biorąc emocje nawarstwiały się w taki sposób, że nie dało się poznać, która dominuje.

Spazm minął. Wrócił skoczkiem na poprzednie pole, chwilowo jednak nie mógł należycie skupić się na zadaniu. Jego myśli pobiegły innym torem. Niemal nieświadomie nabazgrał palcem na zakurczonym blacie:  $2+2=5$ .

„Nie mogą dostać się do wnętrza twojej głowy”, powiedziała Julia. Okazało się, że mogli. „To, co ci się tu przydarza, odmieni cię na *zawsze*”, stwierdził O'Brien. I miał rację. Są rzeczy — twoje własne czyny — po których nigdy się nie pozbierasz. Coś zostaje w tobie zabite, wypalone, spopielone.

Widział Julię i nawet z nią rozmawiał. Nie było to niebezpieczne. Instynktownie wiedział, że zupełnie już nie interesowali się jego poczynaniami. Mogłby znów się z nią umówić, gdyby ktoreś z nich tego chciało. Właściwie wpadli na siebie przypadkiem. Miało to miejsce w parku pewnego podlego, wietrznego, marcowego dnia. Ziemia była jeszcze zmarznięta na kość, trawa martwa, żadnych pąków poza kilkoma krokusami, które przebiły się przez lód tylko po to, żeby zginąć na mroźnym wietrze. Szedł pospiesznie, ze zgrabiałymi rękoma i załzawionymi oczami, gdy nagle zobaczył ją dosłownie parę kroków przed sobą. Od razu uderzyła go trudna do opisanego przemiana, która w niej zaszła. Mało brakowało, a minęliby się po prostu bez słowa; zdecydował się jednak pójść za nią, choć niezbyt ochoczo. Wiedział, że nie ma żadnego ryzyka, nikt się nimi nie interesował. Nie odezwała się. Szła na ukos przez trawnik, jakby próbowała go splawić, potem jednak poddała się i pogodziła się z jego towarzystwem. Weszli w gęstwinę wystrzępionych, bezlistnych zarośli, bezużytecznych jako osłona przed ludzkim wzrokiem i niedających żadnej ochrony przed wichrem. Zatrzymali się. Ziąb był straszliwy. Wiatr gwizdał w gałęziach, nękając pojedyncze, blade krokusy. Objął ją w tali.

Nie było teleekranów, z pewnością jednak otaczały ich ukryte mikrofony, poza tym każdy mógł ich zobaczyć. Nie miało to jednak znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Mogli położyć się na ziemi i zrobić *to*, gdyby tylko chcieli. Ta myśl sparaliżowała Winstona. Julia w żaden sposób nie zareagowała na jego dotyk, nie próbowała nawet się uwolnić. Wiedział już, co się w niej zmieniło. Twarz miała bardziej ziemistą, a przez czoło i skroń przebiegała długa blizna, częściowo ukryta pod włosami, ale nie to było najważniejsze. Chodziło o jej talię — stała się grubsza i zaskakująco sztywne. Winston przypomniał sobie, jak kiedyś po uderzeniu rakiety pomagał wyciągnąć z ruin trupa. Zaskoczył go nie tyle ciężar zwłok,

Spotkanie

Przemiana

co ich sztywność i nieporęczność, przywodząca na myśl raczej kamień niż ludzkie ciało. Dotykając Julii, miał podobne wrażenie. Przyszło mu do głowy, że także jej skóra musi być zupełnie inna w dotyku niż dawniej.

Nie próbował jej pocałować. Nie odzywali się do siebie. Kiedy szli z powrotem przez trawnik, pierwszy raz na niego spojrziała. Był to przelotny rzut oka, pełen pogardy i niechęci. Winston nie wiedział, czy korzenie tej wrogiej postawy tkwiły w przeszłości, czy może wywołał ją widok jego nabrzmiałej twarzy i łez, które wiatr wyciskał mu z oczu. Przysiedli na żelaznych krzesłach — obok siebie, ale niezbyt blisko. Zorientował się, że Julia chce coś powiedzieć. Przesunęła niezgrabny but o kilka centymetrów i z rozmysłem zgmiotła gałązkę. Zauważył, że stopy ma teraz o wiele szersze.

— Zdradziłam cię — powiedziała po prostu.

— Zdradziłem cię — odparł.

Ponownie spojrziała na niego z niechęcią.

— Czasem — ciągnęła — grożą ci czymś... Czymś takim, czego nie dasz rady udźwignąć, o czym nie możesz nawet myśleć. A wtedy mówisz: „Nie róbcie tego mnie, zróbcie to komuś innemu, zróbcie to tej i tej osobie”. Potem możesz udawać, że to tylko podstęp, żeby przestali, i że tak naprawdę nie miałeś tego na myśli. Ale to nieprawda. Kiedy to się dzieje, właśnie to masz na myśli. Sądzisz, że nie ma innego sposobu, żeby ocalić siebie samego: i jesteś gotów właśnie tak ratować skórę. Chcesz, żeby to się przydarzyło tej drugiej osobie. Masz gdzieś, czy będzie cierpiała. Myślisz tylko o sobie.

— Myślisz tylko o sobie — powtórzył.

— Po tym uczucia, którymi ją darzyłeś, gasną. Już nigdy nie będzie między wami tak samo.

— Nie — powiedział. — Już nigdy nie będzie tak samo.

Nie zostało nic więcej do dodania. Wiatr przykleił cienkie kombinezony do ich ciał. Siedzenie w ciszy prawie od razu stało się krępujące; poza tym było za zimno, żeby trwać w bezruchu. Julia powiedziała, że musi złapać metro, i wstała.

— Musimy znowu się spotkać — stwierdził.

— Tak — odparła. — Musimy znowu się spotkać.

Przez pewien czas szedł pół kroku za nią, nie wiedząc, co ma zrobić. Więcej już nie rozmawiali. Nie próbowała go zgubić, szła jednak na tyle szybko, że nie nadążał. Postanowił, że odprowadzi ją do stacji metra, w końcu jednak dreptanie po jej śladach wydało mu się bezcelowe i niezdolne. Opanowało go pragnienie — nie dlatego, że chciał uciec od Julii — żeby znaleźć się znowu Pod Kasztanem. Jeszcze nigdy ten lokal nie wydawał mu się aż tak atrakcyjny. Z nostalgią wyobrażał sobie swój stolik w kącie, z gazetą, szachownicą i niekończącym się strumieniem ginu. Przede wszystkim tam będzie ciepło. Po chwili bezwiednie pozwolił, by oddzieliła ich od siebie grupka ludzi. Jeszcze raz spróbował ją dogonić, ale bez przekonania; następnie zwolnił, odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę. Po jakichś pięćdziesięciu krokach spojrzął za siebie. Ulica nie była zatłoczona, mimo to już jej nie wypatrzył. Każda z dziesiątek spieszących się postaci mogła nią być. Jej zgrubiałego, sztywnego ciała nie dało się rozpoznać od tyłu.

„Kiedy to się dzieje, właśnie to masz na myśli”, powiedziała. Właśnie to miał na myśli. Nie wymówił tych słów niechcący, naprawdę taka była wtedy jego intencja. Chciał, żeby to Julię — a nie jego — oddano na pastwę tych...

Zmieniła się płynąca z teleekranu muzyka. Teraz dołączyła jakaś dziwnie skrzecząca, fałszywa, szydercza nuta, kojarząca się Winstonowi z kolorem żółtym. A potem — choć może nie działało się to naprawdę, może jedynie wróciło wspomnienie — głos z teleekranu zaśpiewał:

Pod ogromnym kasztanem  
Sprzedajemy się wzajem...

Łzy nabiegły mu do oczu. Przechodzący kelner zauważył opróżnioną szklankę i wrócił po chwili z butelką ginu.

Winston uniósł szklankę i powąchał. Z każdym łykiem gin wydawał mu się nie mniej, a bardziej ohydny. Ale stał się jego żywiołem. Był jego życiem, śmiercią i zmartwychwstaniem. Dzięki ginowi udawało mu się znieczulić każdej nocy na tyle, żeby zasnąć; dzięki

Zdrada, Klęska, Upadek,  
Rozstanie

Alkohol

ginowi był w stanie rano wrócić do życia. Kiedy się budził, co rzadko zdarzało przed 11.00 — ze sklejonymi powiekami, palącym gardłem i takim bólem w kręgosłupie, jakby go sobie złamał — nie mógł nawet dźwignąć się z łóżka bez butelki i filiżanki, pozostawionych przy nim wieczorem. Do wczesnych godzin popołudniowych przesiadywał w domu, z flaszką w zasięgu ręki, wpatrując się nieprzytomnie w teleekran. Od piętnastej aż do zamknięcia stanowił element wyposażenia kawiarni Pod Kasztanem. Nikogo już nie interesowało, co robi, nie budził go żaden gwizdek, nie strofował żaden teleekran. Raz na jakiś czas — może dwa razy w tygodniu — szedł do zakurzonego i wyraźnie zaniedbanego biura w Ministerstwie Prawdy, gdzie pracował przez parę godzin albo udawał, że pracuje. Został przydzielony do podkomitetu jednego z podkomitetów, które powstały z jednego z niezliczonych komitetów zajmujących się drobnymi trudnościami, wynikłymi podczas kompilowania jedenastego wydania *Słownika nowomowy*. Ich zadanie polegało na przygotowaniu czegoś, co nazywało się „raportem przejściowym”; czego jednak dotyczył ten dokument, tego Winston nigdy dokładnie nie zrozumiał. Miało to związek z pytaniem, czy przecinki należy umieszczać wewnątrz nawiasów czy na zewnątrz. W podkomitecie pracowały jeszcze cztery osoby — wszystkie podobne do Winstona. Bywało, że spotykali się tylko po to, żeby od razu się pożegnać, szczerze przyznając, że nie ma nic do zrobienia. Zdarzało się jednak, że siadali do pracy niemal entuzjastycznie, ostentacyjnie sporządzali jakieś protokoły i szkicowali długie memoranda, których nigdy nie kończyli. Kiedy spór dotyczący tego, czym właściwie mieli się zajmować, stawał się szczególnie zaciekle i zawiły, sięgali po coraz bardziej złożone argumenty, targowali się o szczegóły definicji, wplatali do dysputy długie dygresje, a nawet grozili, że odwołają się do jakiejś wyższej instancji. A potem wszystko wracało do normy — siedzieli wokół stołu, spoglądając na siebie zgaszonym wzrokiem, jak duchy, które usłyszały pianie koguta.

Teleekran umilkł na chwilę. Winston znów podniósł głowę. Wiadomości! Jednak nie, po prostu zmienili muzykę. Miał przed oczami mapę Afryki. Ruchy armii przedstawiał sobie za pomocą diagramu: czarna strzałka biegła pionowo na południe, biała — poziomo na wschód, krzyżując się z tą pierwszą. Spojrzał na niewzruszoną twarz z portretu, jakby szukał oparcia. Czy możliwe, że ta druga strzałka nie istniała?

Znowu się rozproszył. Wypił kolejny łyk ginu, podniósł białego skoczka, wykonał nieśmiały ruch. Szach. Nie było to jednak właściwe posunięcie, bowiem...

Nagle, bez powodu, wróciło do niego pewne wspomnienie. Ujrzał pokój oświetlony płomieniami świec, ogromne łóżko, przykryte białą narzutą, i samego siebie — chłopca w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat. Siedział na podłodze, potrząsając kubkiem z kostkami do gry, i śmiał się podeksycytowany. Obok przykucnęła jego matka i również chichotała.

Miało to miejsce może miesiąc przed jej zniknięciem. Był to moment zgody. Winston zapomniał o ssącym głodzie, jego uczucie do matki na chwilę znowu ożyło. Dobrze pamiętał ten dzień; był to dzień bębniącego deszczu, mokry dzień, dzień spływającej po szybach wody, kiedy do środka nie wpadało dość światła, by czytać. Nuda dwójki dzieci w ciemnej, zagraconej sypialni stała się nieznośna. Winston marudził i narzekał, bezskutecznie żądał jedzenia, kręcił się po pokoju, przestawiając przedmioty i kopiąc w listwę nad podłogą, aż sąsiedzi załomotali w ścianę; jego młodsza siostra raz po raz zanosila się płaczem. W końcu matka powiedziała: „Teraz bądź grzeczny, a kupię ci zabawkę. Śliczną zabawkę — spodoba ci się”. Po czym wyszła na deszcz do małego sklepu, który nadal czasem otwierano; było tam mydło i powidło. Wróciła z kartonowym pudełkiem, zawierającym grę „Węże i drabiny”. Winston nadal pamiętał zapach mokrego kartonu. Był to bardzo nędzny zestaw. Plansza była pęknięta, a małe drewniane kości tak nierówne, że nie chciały ustać w miejscu. Winston spojrział na prezent ponuro i bez zainteresowania. Potem jednak matka zapaliła świecę i usiedli na podłodze, żeby zagrać. Wkrótce bardzo się ożywił i śmiał się na cały głos, kiedy pionki wspinały się z nadzieją po drabinach, żeby następnie zjechać po węzłach niemal do początku planszy. Rozegrali osiem partii, każde wygrało cztery razy. Jego młodsza siostra — za mała, żeby rozumieć, o co chodzi w tej grze — siedziała, opierając się o poduszkę, i śmiała się, bo inni się śmiali. Przez całe popołudnie byli razem szczęśliwi, jak bywało w czasach jego wczesnego dzieciństwa.

Wspomnienia, Matka,  
Dzieciństwo, Zabawa,  
Szczęście, Radość, Śmiech

Odepchnął od siebie ten obraz. To fałszywe wspomnienie. Czasem prześladowały go takie urojenia. Nie miały znaczenia, o ile człowiek rozumiał, czym są. Niektóre rzeczy naprawdę się wydarzyły, inne nie. Pochylił się nad szachownicą i podniósł skoczka; niemal w tej samej chwili upuścił go, czując nagły ból — jak ułtucie szpilki.

Piskliwy dźwięk trąbki przeszył powietrze. Wiadomości! Zwycięstwo! Kiedy przed wiadomościami grała trąbka, to zawsze oznaczało zwycięstwo. Zgromadzonych w kawiarni ludzi ogarnęło podniecenie. Nawet kelnerzy przystanęli i nadstawili uszu.

Głos blaszanego instrumentu spowodował hałaśliwe poruszenie. Podniecony sprawozdawca już nadawał z teleekranu, ale zagłuszały go dochodzące z zewnątrz radosne okrzyki. Wieść błyskawicznie obiegła ulice. Z tego, co ogłoszono przez teleekran, Winston zdołał usłyszeć akurat tyle, by wywnioskować, że sprawy potoczyły się tak, jak przewidział: potajemnie zebrała się ogromna armada i zaatakowała tyły wroga, w ten sposób biała strzałka przecięła czarną. Przez ogólną wrzawę przebijały się strzępki triumfalnych fraz: „Genialny manewr strategiczny... doskonała koordynacja... druzgocąca kłęska... pół miliona jeńców... pełna demoralizacja... podbicie całej Afryki... na horyzoncie widać koniec wojny... zwycięstwo... największe zwycięstwo w historii ludzkości — zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo!”

Stopy Winstona konwulsyjnie dreptały pod blatem stołu. Nie ruszył się z miejsca, ale w myślach biegł szybko razem z tłumami wiwatującymi na zewnątrz kawiarni i darł się do utraty tchu. Spojrzał na portret Wielkiego Brata. Oto kolos, który ujarzmił świat! Skąła, od której bezładnie odbijają się azjatyckie hordy. Uświadomił sobie, że jeszcze dziesięć minut wcześniej — tak, zaledwie dziesięć minut — z mieszanymi uczuciami w sercu czekał na wiadomości o kłęsce lub zwycięstwie. Nie tylko eurazjatycka armia została pokonana! Winston — od dnia, kiedy po raz pierwszy trafił jako więzień do Ministerstwa Miłości — stał się innym człowiekiem, ale ostateczna, nieunikniona, uzdrawiająca przemiana nastąpiła dopiero w tym momencie.

Głos z teleekranu nadal opowiadał o jeńcach, łupach i rzezi, ale okrzyki na zewnątrz trochę przycichły. Kelnerzy wrócili do pracy. Jeden z nich podszedł z butelką ginu. Winston, pogrążony w błogich rozmyślaniach, nie zwrócił uwagi, że ponownie napełniono mu szklankę. Już nie biegł i nie krzychał. Znajdował się znowu w gmachu Ministerstwa Miłości. Wszystko zostało wybaczone, jego dusza była czysta jak śnieg. Siedział na ławie oskarżonych, do wszystkiego się przyznając i obciążając wszystkich. Szedł korytarzem, wyłożonym białymi płytkami, czując na sobie światło słoneczne, a za plecami obecność uzbrojonego strażnika. Wyczekiwana kula zaraz rozsądzi mu mózg.

Spojrzał na ogromną twarz. Potrzebował czterdziestu lat, żeby zrozumieć, jaki rodzaj uśmiechu kryje się pod ciemnym wąsem. Cóż za okrutna, niepotrzebna pomyłka! Jakież to tępy upór trzymał go z dala od kochającej piersi! Dwie łzy o zapachu ginu spłynęły po policzkach Winstona. Lecz wszystko było dobrze, wreszcie było dobrze, walka dobiegła końca. Odniósł zwycięstwo nad samym sobą. Kochał Wielkiego Brata.

Przemiana

# ANEKS

## ZASADY NOWOMOWY

Nowomowa była oficjalnym językiem Oceanii. Została wymyślona, aby sprostać ideologicznym wymaganiom angosocu, czyli socjalizmu angielskiego. W roku 1984 nikt jeszcze nie używał w ustnej czy pisemnej komunikacji wyłącznie nowomowy. Najważniejsze artykuły „Timesa” publikowano w tym języku, ale napisanie takiego tekstu stanowiło ogromne wyzwanie, któremu sprostać mogli tylko specjaliści. Spodziewano się, że nowomowa ostatecznie zastąpi staromowę (czyli standardowy język angielski) około roku 2050. W międzyczasie skutecznie się rozprzestrzeniała, w miarę jak członkowie Partii coraz chętniej używali na co dzień typowych dla niej słów i konstrukcji gramatycznych. Wersja z 1984 roku, dostępna w dziewiątym i dziesiątym wydaniu *Słownika nowomowy*, wciąż była prowizoryczna i zawierała wiele zbędnych słów oraz archaicznych zwrotów, które należało z czasem wykorzenić. Interesuje nas tu ostateczna, doskonała wersja, uwzględniona w jedenastym wydaniu słownika.

Celem nowomowy było nie tylko dostarczenie środków wyrazu dla światopoglądu i nawyków mentalnych typowych dla wyznawców angosocu, lecz także wykluczenie wszystkich innych sposobów myślenia. Zakładano, że kiedy nowomowa przyjmie się na dobre, a staromowa zostanie zapomniana, wszelkie nieprawomyślne idee — czyli idee niespójne z zasadami angosocu — staną się niemożliwe do pomyślenia, w każdym razie w takim zakresie, w jakim myśli zależą od słów. Słownictwo zostało stworzone w taki sposób, aby umożliwić precyzyjne i częstokroć bardzo subtelne oddanie każdego sensu, jaki członek Partii mógłby chcieć wyartykułować, przy jednoczesnym wykluczeniu wszelkich innych niuansów pojęciowych, jak również możliwości wydedukowania ich określną drogą. Dokonano tego częściowo poprzez wymyślanie nowych słów, głównie jednak poprzez eliminowanie tych niechcianych i oczyszczanie starych z nieprawomyślnych znaczeń, jak również z wszelkich dodatkowych konotacji. Przykładowo słowo *wolny* wciąż istniało w nowomowie, ale używano go tylko w zdaniach takich jak: „Ten pies jest wolny od pcheł” albo „To pole jest wolne od chwastów”. Nie dało się przy jego pomocy wyrazić, że ktoś jest wolny politycznie albo intelektualnie, gdyż wolność polityczna i intelektualna nie istniały już nawet jako pojęcia, nie miały zatem swoich nazw. Obok usuwania słów o wyraźnie nieprawomyślnym znaczeniu, redukcję słownictwa uważano za cel sam w sobie. Likwidowano każdy wyraz, bez którego można się było obejść. Nowomowa nie miała poszerzać zakresu myśli, tylko go *ograniczać*. Pośrednio służyło temu redukcjonowanie do minimum liczby istniejących słów.

Nowomowa powstała na bazie angielskiego, jakim posługujemy się dzisiaj, ale zdania w niej sformułowane, nawet niezawierające nowo stworzonych słów, byłyby dla współczesnych użytkowników angielszczyzny trudne do zrozumienia. Słownictwo nowomowy dzieliło się na trzy odrębne klasy, określane jako zbiór A, zbiór B (tu należały wyrazy złożone) i zbiór C. Prościej będzie omówić każdą klasę oddzielnie, jednak z gramatycznymi osobliwościami tego języka możemy rozprawić się już w części A — poświęconej słownictwu, gdyż w każdej klasie obowiązywały te same reguły.

## ZBIÓR A

Zbiór A składał się ze słów niezbędnych w codziennym życiu, odnoszących się do takich spraw jak jedzenie, picie, praca, ubieranie się, wchodzenie i schodzenie po schodach, jeżdżenie pojazdami, uprawianie ogródka, gotowanie itp. Złożony był prawie wyłącznie z już istniejących słów — na przykład *uderzyć, biec, pies, drzewo, cukier, dom* czy *pole* — jednak, w porównaniu z aktualnym słownikiem języka angielskiego, liczba tych wyrazów była skrajnie ograniczona, a ich znaczenia o wiele bardziej rygorystycznie opisane. Wyeliminowano wszelkie wieloznaczności i odcienie. W miarę możliwości słowo należące do tej klasy miało być krótkim, wyraźnym dźwiękiem, wyrażającym *jedno*, precyzyjne znaczenie. Pojęcia ze zbioru A nie nadawały się do użycia w utworze literackim ani do politycznej czy filozoficznej dysputy. Służyły do wyrażania prostych, celowych myśli, przeważnie odnoszących się do konkretnych przedmiotów czy czynności fizycznych.

Gramatyka nowomowy miała dwie szczególne cechy. Pierwszą z nich była niemal kompletna wymiennosc pomiędzy różnymi częściami mowy. Każde słowo w tym języku (co do zasady odnosiło się to także do partykuł czy spójników, takich jak *jeśli* albo *kiedy*) mogło służyć za bazę dla czasownika, rzeczownika, przymiotnika czy przysłówka. Jeśli czasownik i rzeczownik miały ten sam rdzeń, w nowomowie brzmiały identycznie lub bardzo podobnie, co z definicji prowadziło do wyeliminowania wielu archaicznych form. Nie istniał, dajmy na to, czasownik *myśleć*. Słowo *myśl* mogło służyć za rzeczownik i czasownik. Nie obowiązywała żadna reguła etymologiczna, w niektórych wypadkach zachowywano stary rzeczownik, w innych — czasownik albo rzeczownik odczasownikowy (*myślenie*). Nawet jeśli rzeczownik i czasownik o zbliżonym znaczeniu nie były etymologicznie spokrewnione, jedno z tych słów usuwano (a czasem obydwie). Nie istniał, na przykład, wyraz *kroić*, bo jego znaczenie zawierało się w rzeczowniko-czasowniku *nóż* i pochodnych tego wyrazu. Przymiotniki i przysłówki tworzone poprzez dodanie odpowiednich przyrostków. Przykładowo, *prędfuł* znaczyło szybki, a *prędnie* — szybko. Niektóre z przymiotników — na przykład *dobry*, *silny*, *czarny* czy *miękki* — zachowano, ich liczba była jednak bardzo ograniczona. Inne nie były potrzebne, bo prawie każde znaczenie przymiotnikowe dało się uzyskać poprzez dodanie przyrostka *ful* do rzeczowniko-czasownika. Nie zachowano istniejących obecnie przysłówków, poza tymi, które brzmiały, jakby należały do nowomowy, czyli kończyły się na *nie*. Przykładowo wyraz *smutno* wyeliminowano konsekwentnie na rzecz formy *smutnie*.

Ponadto każdy wyraz — znów, co do zasady, dotyczyło to całego słownika — mógł zmienić znaczenie na przeciwstawne poprzez dodanie przedrostków *nie* lub *bez*, mógł też ulec wzmocnieniu przez poprzedzenie go przedrostkiem *plus* lub, dla podwójnego wzmocnienia, *plusplus*. I tak słowo *niezimny* znaczyło *ciepły*, zaś *pluszimny* i *pluspluszimny* — odpowiednio *bardzo zimny* i *straszliwie zimny*. Dało się również, jak we współczesnym angielskim, modyfikować znaczenia niemal wszystkich wyrazów poprzez dodanie przedrostków przyimkowych, takich jak *ante* czy *post*. W ten sposób udało się drastycznie zredukować liczbę słów. Skoro istniał wyraz *dobry*, nie było żadnej potrzeby używania wyrazu *zły*, zważywszy, że pożądane znaczenie można było równie skutecznie — ba, skuteczniej — wyrazić za pomocą zbitki *bezdobry*. W sytuacji, kiedy dwa wyrazy tworzyły naturalną parę antonimów, wystarczyło zdecydować, który z nich zostanie usunięty. Przykładowo słowo *ciemny* mogło zostać zastąpione przez *bezasny* lub na odwrót, wyraz *jasny* wyrazem *beziemny* — do wyboru.

Drugą cechą wyróżniającą gramatykę nowomowy była jej regularność. Poza kilkoma wyjątkami, które omówimy poniżej, słowa odmieniały się według tych samych zasad. W koniugacji czasowników unikano oboczności, a w miarę możliwości eliminowano wręcz odmianę, preferując bezokoliczniki, które, jak już wiemy, pełniły funkcję rzeczowniko-czasowników. Także w deklinacji rzeczowników wystrzegano się zmiany tematu. I tak, liczba mnoga słów *człowiek*, *lew* i *cukier* brzmiała, odpowiednio, *człowieki*, *lewy* i *cukiery*. Stopniowanie przymiotników odbywało się poprzez dodanie przedrostków *plus* i *naj*, formy nieregularne i opisowe (*bardziej* i *najbardziej*) zlikwidowano.

Jedyną grupą słów wciąż podlegającą nieregularnej odmianie były zaimki osobowe i wskazujące oraz czasowniki posiłkowe. Te zachowywały się jak dawniej. Ponadto pewne nieregularności w budowie nowych słów wynikały z potrzeby, aby dało się je wypowiedzieć łatwo i szybko. Wyraz *trudny* do wymówienia lub taki, który mógł zostać błędnie odczytany przez odbiorcę, uważano *ipso facto*<sup>87</sup> za niewłaściwy. Dla lepszego brzmienia dodawano czasem głoski, urywano końcówkę albo powracano do archaicznej formy danego słowa. Ta uwaga odnosi się jednak przede wszystkim do zbioru B. W kolejnej części niniejszego opisu wyjaśnimy, *dłaczego* tak ważne było, aby słowa dawały się łatwo wymówić.

## ZBIÓR B

Na zbiór B składały się wyrazy stworzone specjalnie do celów politycznych — to znaczy takie, które nie tylko odnosiły się do polityki, ale także miały za zadanie narzucić użytkownikom pożądaną dyspozycję psychiczną. Trudno było używać tych słów poprawnie

<sup>87</sup>*ipso facto* (łac.) — samo przez się, na mocy samego faktu. [przypis edytorski]



bez dogłębnego zrozumienia angso. Niekiedy dawało się je przetłumaczyć na staromowę albo na wyrażenia ze zbioru A, przeważnie jednak wymagało to długiej parafrazy i zawsze traciło się pewne odcienie znaczeniowe. Wyrazy z grupy B stanowiły coś w rodzaju werbalnej stenotypii, często kondensując całe pola semantyczne w kilku sylabach; były jednocześnie bardziej precyzyjne i dosadniejsze niż zwykle zwroty.

Wszystkie słowa z grupy B były wyrazami złożonymi<sup>88</sup>. Składały się z dwóch lub więcej prostych słów, sklejonych razem w łatwy do wymówienia sposób. Powstały w ten sposób zlepek był niemal zawsze rzeczowniko-czasownikiem, odmienianym według standardowych reguł. Przykładowo wyraz *dobromysł*, czyli z grubsza odpowiednik *ortodoksji*, a w znaczeniu rzeczownikowym *myślenie zgodne z ortodoksyjną wykładnią* — odmieniał się następująco: czas przeszły — *dobromyślał*, imiesłów czynny — *dobromyśl*, przymiotnik — *dobromyślny*, przysłówki — *dobromyślnie*. Stopniowanie przymiotnika *dobromyślny* wyglądało w taki oto sposób: *plusdobromyślny* i *najdobromyślny*.

Zbiór B zbudowano bez oglądania się na zasady etymologiczne. Wyrazy można było tworzyć ze wszystkich części mowy, układać w dowolnej kolejności i okaleczać na wszelkie sposoby, żeby ułatwić wymowę, przy jednoczesnym zachowaniu jasności co do pochodzenia danego słowa. Przykładowo, w słowie *zbrodniomysł* (myśl-zbrodnia) część *myśl* znajdowała się na drugiej pozycji, zaś w słowie *myślopol* (myśl-policja) na miejscu pierwszym, przy czym wyraz *policja* utracił drugą sylabę. Ponieważ słowa z tej grupy narażały większych trudności w wymowie, nieregularności były tu powszechniejsze niż w grupie A. Na przykład przymiotniki utworzone na bazie rzeczowników *Minipra*, *Minipo* i *Minimilo* brzmiały: *Miniprawy*, *Minipowy* i *Minimily*, gdyż po dodaniu przyrostka *ful* słowa te stałyby się zbyt pokracznie. Jednak, co do zasady, wszystkie wyrazy z grupy B były tworzone według takich samych reguł.

Niektóre słowa z tego zbioru wyrażały bardzo subtelne odcienie znaczeniowe, ledwo wyczuwalne dla kogoś, kto nie opanował nowomowy w całości. Rozważmy dla przykładu takie typowe zdanie ze strony tytułowej „Timesa”: *Staromysł niebrzuchoczuj angso*. Najkrótsze tłumaczenie tej frazy na staromowę brzmiałoby następująco: „Ci, których myślenie zostało ukształtowane przed Rewolucją, nie są w stanie osiąść pełnego, instynktownego zrozumienia zasad angso”. Nie jest to jednak przekład adekwatny. Po pierwsze, aby w pełni zrozumieć znaczenie przytoczonego powyżej zdania w nowomowie, należałoby mieć jasność co do znaczenia słowa *angso*. Co więcej, tylko ktoś gruntownie obeznany z *angso* jest w stanie docenić siłę określenia *brzuchoczuj*, oznaczającego ślepa, euforyczną akceptację — dziś trudną do wyobrażenia — albo specyficzny wydzźwięk słowa *staromysł*, sugerującego nikczemność i chylenie się ku upadkowi moralnemu. Jednak szczególność takich pojęć jak *staromysł* nie sprowadzała się w pierwszym rzędzie do wyrażania znaczeń, lecz do ich niszczenia. Te słowa, rzecz jasna — bardzo nieliczne, poszerzały swoje pola semantyczne, wchłaniając znaczenia dziesiątek innych wyrazów, które w konsekwencji zanikały i popadały w zapomnienie. Największa trudność, z jaką mierzyli się twórcy *Słownika nowomowy*, nie polegała na tworzeniu nowych słów, lecz na precyzyjnym ustaleniu, co znaczą, czyli które stare słowa można nimi zastąpić.

Jak już to wcześniej zobaczyliśmy na przykładzie słowa *wolny*, niektóre pojęcia, posiadające dawniej znaczenie nieprawomyślne, wygodnie było zostawić — pod warunkiem jednak, że dało się je oczyścić z niepożądanych sensów. Inne, niezliczone słowa, takie jak *honor*, *sprawiedliwość*, *moralność*, *kosmopolityzm*, *demokracja*, *nauka* czy *religia*, po prostu przestały istnieć.

Zostały one zastąpione przez grupę wyrazów — by tak rzec — osłonowych, przykrywających pierwotne znaczenia tak skutecznie, że te stopniowo zanikały. Na przykład wszystkie słowa związane z pojęciami wolności i równości, zawierały się w wyrazie *zbrodniomysł*; słowo *staromysł* wchłonęło wszelkie znaczenia łączone z ideami obiektywności i racjonalności. Większa precyzja byłaby niebezpieczna. Od członka Partii wymagano podejścia podobnego do tego, jakie charakteryzowało starożytnych Hebrajczyków<sup>89</sup>, których światopogląd zawierał przekonanie, że inne narody wielbią „falszywych bogów”.

<sup>88</sup>wyraz *złożony* — także w zbiorze A znajdowały się wyrazy złożone, takie jak *głosopis*, były to jednak po prostu poręczne skróty bez zabarwienia ideologicznego. [przypis autorski]

<sup>89</sup>Hebrajczy — biblijny lud semicki, wywodzący się od patriarchy Izraela (Jakuba). [przypis edytorski]

Nie mieli potrzeby wnikać, czy owi bogowie nazywają się Baal<sup>90</sup>, Ozyrys<sup>91</sup>, Moloch<sup>92</sup> lub Isztar<sup>93</sup>; im mniejsza wiedza, tym bardziej żarliwa ortodoksja. Wiedzieli, że Bóg jest jeden, znali jego przykazania, z których wynikało, że bogowie o innych imionach czy atrybutach byli wytworem świadomego oszustwa. Na takiej samej zasadzie członek Partii wiedział, jak należy postępować; miał też mgliste, bardzo ogólne pojęcie o możliwych odstępstwach. Życie seksualne, dajmy na to, było całkowicie regulowane za pomocą słów *seksobrodnia* (rozwiążność) i *dobroseks* (niewinność). W terminie *seksobrodnia* zawierały się wszystkie seksualne wykroczenia, takie jak cudzołóstwo, nierząd i homoseksualizm, ale także zwykły seks uprawiany dla przyjemności. Nie trzeba było wymieniać każdego z osobna, gdyż wszystkie w jednakowym stopniu zasługiwały na potępienie i — co do zasady — były karane śmiercią. W grupie C, zawierającej terminy naukowe i techniczne, mogły znajdować się specjalistyczne słowa, odnoszące się do pewnych aberracji seksualnych, jednak zwykły obywatel nie miał potrzeby ich znać. Wiedział natomiast, czym jest *dobroseks*, czyli stosunek płciowy między małżonkami, którego jedynym celem jest prokreacja i podczas którego kobieta nie odczuwa żadnej przyjemności. Każdy inny akt seksualny był *seksobrodnią*. Posługując się nowomową, nie dało się wyrazić żadnej heretyckiej myśli, można było jedynie stwierdzić, iż dana myśl *stanowi* herezję, potem zaczynało brakować słów.

Wszystkie słowa ze zbioru B były ideologicznie nacechowane, a wiele z nich miało charakter eufemizmów. Znaczenia takich pojęć jak *miłobóz* (obóz pracy przymusowej) czy *Minipo* (Ministerstwo Pokoju, czyli w istocie Ministerstwo Wojny) były niemal dokładnym przeciwieństwem tego, co mogłoby przychodzić na myśl pod wpływem ich brzmienia. Z drugiej strony, istniały też słowa wyrażające autentyczne i pogardliwe zrozumienie prawdziwej natury porządku społecznego Oceanii. Dobrym przykładem jest *prolkit*, wyraz odnoszący się do śmieciowej rozrywki i zmanipulowanych wiadomości, którymi Partia karmiła masę. Istniały również wyrazy dwuznaczne, sugerujące coś pozytywnego w odniesieniu do Partii i negatywnego w stosunku do jej wrogów. Funkcjonowało ponadto wiele wyrażań, które na pierwszy rzut oka zdawały się być zwykłymi skrótowcami, a ich wydźwięk ideologiczny wynikał nie tyle ze znaczenia, co z budowy.

W miarę możliwości wszystkie wyrazy, mające lub mogące mieć jakikolwiek wydźwięk polityczny, umieszczano w zbiorze B. Nazwy wszelkich organizacji i ugrupowań, doktryn, państw, instytucji i budynków użyteczności publicznej przycinano do znajomego kształtu, czyli do pojedynczego, łatwego do wymówienia słowa, składającego się z możliwie najmniejszej liczby sylab, byle tylko dało się zrozumieć sens. I tak, na Departament Archiwów Ministerstwa Prawdy, w którym pracował Winston, mówiono *Ardep*, na Departament Fikcji — *Fikdep*, na Departament Teleprogramów — *Teledep* i tak dalej. Nie chodziło jedynie o oszczędność czasu. Już w pierwszych dekadach dwudziestego wieku język polityki chętnie sięgał po wygodne zbitki słowne; da się zauważyć, że tendencję do skracania wyrazów przejawiały w szczególności państwa i organizacje totalitarne — przykłady: *nazi*<sup>94</sup>, *Gestapo*<sup>95</sup>, *Komintern*<sup>96</sup> czy *Agitprop*<sup>97</sup>. Na początku praktykę tę przejęto w Oceanii niejako instynktownie, ale nowomowa sięgała po nią z rozmysłem. Zauważono, że skracając w ten sposób nazwę, zarazem ograniczało się i delikatnie zmieniało jej znaczenie, eliminując większość skojarzeń, które w przeciwnym wypadku przylgnęłyby do niej. Nazwa *Międzynarodówka Komunistyczna*<sup>98</sup> przywodzi na myśl powszechne brater-

<sup>90</sup>*Baal* — bóstwo semickie, jego miejscem kultu było Ugarit. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Ozyrys* — w mitologii egipskiej bóg śmierci i odrodzonego życia. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*Moloch* — fenickie i kananejskie bóstwo ciemności, śmierci, ziemi i płodności. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*Isztar* — mezopotamska bogini miłości i wojny. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*nazi* — zwolennik nazizmu, doktryny niemieckiej partii narodowosocjalistycznej (NSDAP). [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Gestapo* (z niem. *Geheime Staatspolizei*) — tajna policja w nazistowskich Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*Komintern* — Międzynarodówka Komunistyczna, w skrócie Komintern (ros. *Коммунистический интернационал*, *Komunističeskij internacjonal*), międzynarodowa organizacja zrzeszająca partie komunistyczne. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*Agitprop* — skrót powstały ze słów: agitacja i propaganda, dotyczący Wydziału Agitacji i Propagandy przy Komitecie Centralnym radzieckiej partii komunistycznej. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*Międzynarodówka Komunistyczna* — por.: Komintern. [przypis edytorski]

stwo, czerwone flagi, barykady, Karola Marksa<sup>99</sup> i Komunę Paryską<sup>100</sup>, ale już *Komintern* oznacza wyłącznie zwartą organizację i konkretną doktrynę. Odnosi się do czegoś równie łatwego do rozpoznania, o tak samo konkretnym przeznaczeniu, co krzesło czy stół. Słowo *Komintern* da się wypowiedzieć w zasadzie bez zastanowienia, podczas gdy użycie terminu *Międzynarodówka Komunistyczna* wymaga minimalnego choćby namysłu nad sensem tych słów. Na tej samej zasadzie, nazwa *Minipra* wywołuje mniej skojarzeń i jest łatwiejsza do kontrolowania niż *Ministerstwo Prawdy*. Tu tkwi uzasadnienie zarówno tendencji do skracania słów, jak i niemal przesadnej dbałości o eufonię<sup>101</sup>.

Nowomowa kładła jednak największy nacisk na precyzję znaczeniową, na drugim miejscu stawiając łatwość wymowy. Kiedy wydawało się to wskazane, rezygnowano nawet z poprawności gramatycznej. I słusznie, najpotrzebniejsze z politycznego punktu widzenia były bowiem krótkie, dobitne słowa o jednoznacznej treści, nadające się do szybkiego wypowiedzenia bez wzbudzania niepotrzebnych skojarzeń w umyśle mówiącego. Wyrazy z grupy B zyskiwały dodatkową skuteczność dzięki temu, że wszystkie były do siebie bardzo podobne. Słowa takie jak *dobromysł*, *Minipo*, *prolkit*, *seksozbrodnia*, *miłobóz*, *angsoc*, *brzuchoczuj*, *mysłopol* i setki innych składały się z dwóch do czterech sylab, z akcentem na przedostatniej z nich. Nowomowa była zarazem kanciasta i monotonna — i o to właśnie chodziło. Celem było doprowadzenie do sytuacji, w której wypowiedź dotycząca dowolnego tematu (w szczególności o zabarwieniu ideologicznym) oderwie się, na ile to możliwe, od świadomości mówiącego. W życiu codziennym czasami nie da się uniknąć chwili refleksji, zanim człowiek coś powie, ale członek Partii, poproszony o wyrażenie opinii politycznej lub osądu moralnego, powinien być w stanie wyrzucić z siebie potok poprawnych opinii równie szybko jak pistolet automatyczny wystrzeliwuje serię kul. Był tego uczonej, język dawał mu niezawodne narzędzia, zaś materia słów — szorstkie dźwięki i pewna celowa brzydota, zgadzająca się z duchem angso-cu — dodatkowo wspierała cały proces.

Ograniczona liczba słów stanowiła kolejne ułatwienie. W porównaniu z naszym, słownictwo nowomowy było bardzo skromne, a wciąż opracowywano nowe sposoby na redukcję liczby wyrazów. Nowomowa tym różniła się od wszystkich innych języków, że jej zasób leksykalny nie powiększał się, lecz przeciwnie — kurczył się z każdym kolejnym rokiem. Jakakolwiek redukcja oznaczała postęp, gdyż mniejsze możliwości wyboru skutkowały słabszą pokusą myślenia. Liczono, że ostatecznie uda się doprowadzić do sytuacji, w której ludzka krtka będzie artykułować słowa bez angażowania wyższych czynności mózgowych. Ewidentnym dowodem istnienia takich zakusów było słowo *kwaczyć*, czyli „brzmieć jak kaczką”. Jak wiele innych wyrazów z grupy B, było ono dwuznaczne. Jeśli poglądy wypowiedziane w ten sposób były prawomyślne, *kwaczący* mógł być z siebie dumny. Kiedy o pewnym mówcy napisano w „Timesie”: *plusplusdobry kwaczyciel*, oznaczało to najwyższą pochwałę.

## ZBIÓR C

Zbiór C stanowił uzupełnienie dwóch powyższych i składał się wyłącznie z terminów naukowych i technicznych. Przypominały one pojęcia, którymi posługujemy się dzisiaj, i bazowały na tych samych tematach, ale oczywiście dokończono wszelkich starań, żeby je precyzyjnie zdefiniować i oczyścić z niepożądanych sensów. W zbiorze C obowiązywały te same reguły gramatyczne, co w dwóch pozostałych. Bardzo rzadko zdarzało się, aby wyrazy z tej grupy trafiały do języka codziennego lub politycznego. Pracownik naukowy czy techniczny mógł znaleźć wszystkie potrzebne słowa w kompendium dotyczącym jego specjalności, ale rzadko znał więcej niż kilka pojęć z zakresu innych dziedzin. Jedynie parę słów powtarzało się we wszystkich leksykonach, nie istniały żadne terminy pozwalające na opisanie nauki jako pewnej dyspozycji intelektualnej czy metody — niezależnie

<sup>99</sup>Marks, Karol a. Karl Marx (1818–1883) — niemiecki filozof, socjolog, ekonomista, historyk, dziennikarz i działacz rewolucyjny, twórca socjalizmu naukowego. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Komuna Paryska — rewolucyjny protest paryskiego ludu w 1871 roku. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>eufonia — tu: unikanie trudnych połączeń fonetycznych; harmonijne brzmienie głosek w wyrazie. [przypis edytorski]

od dziedziny. Nie istniało *de facto* słowo oznaczające *naukę*; cokolwiek się z nią wiązało, zawierało się w absolutnie wystarczającym pojęciu *angsocu*.

\*

Jak wynika z powyższego opisu, wyrażenie nieortodoksyjnych opinii w nowomowie było w zasadzie niewykonalne. Dało się oczywiście głosić dość prymitywne herezje, czyli swego rodzaju bluźnierstwa. Można było na przykład powiedzieć „Wielki Brat jest bezdobry”, jednak podobnej wypowiedzi, dla ortodoksyjnego ucha brzmiącej jak czysty absurd, nie dałoby się podeprzeć przekonującą argumentacją, bo na to nie starczało już słów. Wszelkie idee sprzeczne z *angsocem* mogły pojawić się jedynie w mglistej, niezwerbalizowanej postaci i nie dało się ich wyrazić inaczej niż za pomocą paru ogólników, grupujących różne pojęcia i od razu potępiających herezję jako taką. Właściwie jedynym sposobem na zaprzęgnięcie nowomowy w służbę nieortodoksyjnych celów było nielegalne tłumaczenie niektórych słów z powrotem na staromowę. Przykładowo, w nowomowie dało się powiedzieć „Wszystkie człowieki są równe”, ale miało to tyle samo sensu, co staromowne stwierdzenie, że „Wszyscy ludzie są rudzi”. Nie zawierało błędu logicznego, odnosiło się jednak wyłącznie do sfery fizycznej — innymi słowy, sugerowało, że wszyscy ludzie są tego samego wzrostu. Idea równości politycznej już nie istniała, toteż związane z nią pojęcie równości wymazano z zakresu semantycznego słowa *równy*. W 1984 roku, kiedy większość ludzi nadal posługiwała się staromową, istniało teoretyczne niebezpieczeństwo, że używając w kontekście nowomowy starych słów, mówiący będzie pamiętał ich pierwotne znaczenia. W praktyce każdy, kto wprawił się w *dwójmyśleniu*, mógł bez trudu tego uniknąć, a zakładano, że w ciągu paru pokoleń uda się całkowicie wyeliminować podobne ryzyko. Człowiek od dziecka posługujący się wyłącznie nowomową nie będzie wiedział, że słowo *równy* sugerowało kiedyś dodatkowo równość polityczną, a *wolny* — wolność intelektualną, podobnie jak ktoś, kto nigdy nie słyszał o szachach, nie będzie świadom peryferyjnych znaczeń słów *królowa* czy *wieża*. Taki człowiek nie będzie w stanie popełnić niektórych zbrodni i błędów po prostu dlatego, że nie będą miały nazw, znajdując się zatem poza zasięgiem jego wyobraźni. Dało się przewidzieć, że z biegiem czasu cecha wyróżniająca nowomowę spośród innych języków stanie się jeszcze wyraźniejsza: słownictwo będzie się kurczyło, znaczenia — usztywniać, a co za tym idzie, ryzyko nieprawidłowego użycia będzie stale malało.

Kiedy staromowa zostanie raz na zawsze zapomniana, uda się zerwać wszelkie związki z przeszłością. Historię już przepisano, ale fragmenty literatury z dawnych czasów — w wyniku niedoskonałości cenzury — tu i ówdzie przetrwały. Dopóki istniała znajomość staromowy, mogły one zostać przeczytane. W przyszłości, nawet jeśli jakimś cudem przetrwają, będą niezrozumiałe i nieprzetłumaczalne. Nie da się przełożyć tekstu literackiego ze staromowy na nowomowę, chyba że byłby to zapis ściśle techniczny, określający jakąś prostą, codzienną czynność lub w swej wymowie od razu zmierzający w stronę ortodoksji (w nowomowie użyto by terminu *dobromyślny*). W praktyce zatem żadnej książki napisanej przed 1960 rokiem nie da się przetłumaczyć w całości na nowomowę. Literatura przedrewolucyjna może jedynie stanowić przedmiot przekładu ideologicznego — co oznacza zmianę nie tylko języka, ale i znaczeń. Weźmy na przykład ów dobrze znany fragment z *Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych*<sup>102</sup>:

Uważamy za niezbite i oczywiste następujące prawdy: że wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie; że Stwórca udzielił im pewnych praw niezbywalnych, w rządzie których na pierwszym miejscu należy postawić prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia; celem zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowili między sobą rządy, których władza wypływa z woli rządzonych; że ilekroć jakakolwiek forma rządu sprzeciwia się celowi, w jakim była ustanowiona, naród ma prawo zmienić ją lub znieść zupełnie i ustanowić rząd nowy na takich zasadach (...) oparty, jakie mu się wydadzą

<sup>102</sup>Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych — akt prawny z 1776 r. autorstwa m.in. Thomasa Jeffersona (1743–1826), uzasadniający prawo kolonii brytyjskich w Ameryce Płn. do wolności i niezależności od Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

najodpowiedniejszymi do zapewnienia własnego bezpieczeństwa i pomysłowości.<sup>103</sup>

Przetłumaczenie tego fragmentu na nowomowę z zachowaniem oryginalnego sensu byłoby całkowicie niemożliwe. Jedyne, co dałoby się zrobić, to oddać całość za pomocą jednego słowa — *zbrodniomysł*. Pełna translacja musiałaby być przekładem ideologicznym, a wtedy słowa Jeffersona<sup>104</sup> zostałyby zastąpione panegirycznym, sławiącym rządy totalitarne.

W istocie wiele dzieł dawnej literatury poddawano już tego rodzaju zabiegom. Ze względów prestiżowych zdecydowano się na zachowanie pamięci o niektórych postaciach historycznych, przy jednoczesnym uspojnieniu ich osiągnięć z filozofią angosocu. Tłumaczono takich pisarzy jak Shakespeare, Milton, Swift<sup>105</sup>, Byron czy Dickens<sup>106</sup>; po zakończeniu tego procesu oryginalne utwory miały zostać zniszczone, wraz ze wszystkim, co się jeszcze zachowało z literatury dawnych epok. Tego rodzaju przekład był żmudnym i trudnym zadaniem. Nie spodziewano się, że uda się doprowadzić go do końca wcześniej niż w pierwszej lub drugiej dekadzie XXI wieku. Należało również przetłumaczyć ogromną liczbę książek użytkowych — na przykład podręczników czy instrukcji. Głównie ze względu na niebywałą czasochłonność tej niezbędnej pracy ostateczne wprowadzenie nowomowy zaplanowano dopiero na 2050 rok.

---

<sup>103</sup> *Uważamy za niezbite i oczywiste następujące prawdy: że wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie; że Stwórca udzielił im pewnych praw niezbywalnych, w rządzie których na pierwszym miejscu należy postawić prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia; celem zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowili między sobą rządy, których władza wypływa z woli rządzonych; że ilekroć jakakolwiek forma rządu sprzeciwia się celowi, w jakim była ustanowiona, naród ma prawo zmienić ją lub znieść zupełnie i ustanowić rząd nowy na takich zasadach (...) oparty, jakie mu się wydadzą najodpowiedniejszymi do zapewnienia własnego bezpieczeństwa i pomysłowości.* — cytata: *Wiek XVI–XVIII w źródłach. Wybór tekstów źródłowych z propozycjami metodycznymi dla nauczycieli historii, studentów i uczniów*, oprac. M. Sobańska-Bondaruk, S.B. Lenard, Warszawa: WN PWN, 1999, s. 470–472. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *Jefferson, Thomas* (1743–1826) — amerykański prawnik, działacz niepodległościowy, archeolog, architekt, trzeci prezydent USA. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *Swift, Jonathan* (1667–1745) — irlandzki pisarz. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *Dickens, Charles* (1812–1870) — angielski pisarz. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3.**

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orwell-rok-1984>

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)). Sfinansowano dzięki zrzutce społecznościowej czytelniczek i czytelników Wolnych Lektur.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Anna Krzywania, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Adam Szopa, Peyo, Robert Hajduk, księgarnia Księgi Barneja, Wpłaty przez FB (anonimowo), Norbert Kamiński, Michalina Kotwica, Czemiński, Leszek Para, Mirek Mederski, Oskar Szabla, Patryk Pham Quoc, Tomasz Woj, Krzysztof Kleszcz, Aleksandra Jursza, Sławomir Symus, Ryszard Gburek, Anna Stawecka, Tomasz Jan Kuc, Dominik Meller, Dominik Gdeczyk, Mariusz Nowacki, Maciej, Michał Sidor, Bartłomiej Piotrowski, Jo mama Franka i Janka, Jarosław Pendowski, Emil Kapturek, Łukasz A. Bartnik, Tomasz Pagór, Tomasz Stempowski, Krzysztof Pietruszewski, Tomasz Muras, Leszek Kępa, "Docent" Marcin Małecki, Maciej Adasiewicz, Chrystian Schutz, Radosław Zajączkowski, Wojtek, \*\*\*\*, \*\*\*\*, \*\*\*\*, \*\*\*\*, \*\*\*\*, Michał Wanat, tom, Michał Ciepły, Hanna Korytnicka, Katarzyna Nowicka, Zbysł, Tomasz Rejdrowicz, Piotr Metel, Krystyna Wujcik-Kotecka, Agata Jabłońska, Małgorzata Brokos, Ewa Zając, OpiF, Kita, Grzegorz Gierlik, Wojciech Nawrocki, Tomasz Szamsza, Zbigniew Młynarski, Piotr Wojciechowski, Magdalena Rosada, Klaudia, Patrycja N, Dorota Nowacka, Ewa Klemczak, Anonim, Jakub Brzozowski, traffic7, lewar, Marcin, Dawid Kurzawiński, Grzegorz, Bartłomiej Lis, McNooze, Yonek, Tomek, Karol Baran, Paweł Grudzień, Agata, Cezary Sosnowski, khj, Miłosz Jarzynka, Barbara Misiowiec, AgnieszkaJ, papson, Szymon Siemieniuk, Maja Kowalska, Adam Żekieć, anonim, Karol Dabrowski, Antoni Kosobucki, Bartłomiej, Michał Roman Bałaban, MT wspiera Rok 1984, Maria Świetlik, Maria Pieczarka, Kamil Tatom, Marzena Chandoha, Karolina, Wojciech Malinowski, Maciej Woźniakowski, Szymon Hołysz, Mirek Wypok, Kamil Wojtowicz, Kuba Marszałkiewicz, Ewa Ablewska, Marcel Bober, Marta, SM, krystyna, Iga, Marcel Bober, Martyna Magiera, Marta Kozieradzka, Agata Siwirska, Dominika Kugler, Kasia, Anna P, Agatm, Piotr, Mariusz Karasiewski, Bukoholizm, Amelia Kuczyńska, Blichtr, Dobrek, Filip Miszczycha, SquintHippo, Marcel Bober, Agnieszka Brewczuk, Jakub S., Jakub S., Sebastian Cuber.

ISBN 978-83-288-7047-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.